

SIMON BECKETT

CHEMIA

ŚMIERCI



Już po trzydziestu sekundach
przechodzi cię dreszcz.

Po minucie masz serce w gardle.

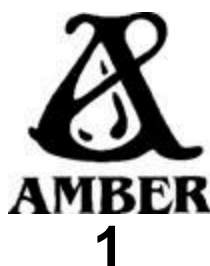

AMBER



SIMON BECKETT

David Hunter #1 Chemia

smierci



Rozdział 1

Ciało ludzkie zaczyna się rozkładać cztery minuty po śmierci. Coś, co było kiedyś siedliskiem życia, przechodzi teraz ostatnią metamorfozę. Zaczyna trawić samo siebie. Komórki rozpuszczają się od środka. Tkanki zmieniają się w ciecz, potem w gaz. Już martwe, ciało staje się stołem biesiadnym dla innych organizmów. Najpierw dla bakterii, potem dla owadów. Dla much. Muchy składają jaja, z jaj wylęgają się larwy. Larwy zjadają bogatą w składniki pokarmowe pożywkę, następnie migrują. Opuszczają ciało w składnym szyku, w zwartym pochodzie, który podąża zawsze na południe. Czasem na południowy wschód lub południowy zachód, ale nigdy na północ. Nikt nie wie dlaczego.

Do tego czasu zawarte w mięśniach białko zdążyło się już rozłożyć, wytwarzając silnie stężony chemiczny roztwór. Zabójczy dla roślinności, niszczy trawę, w której pełzną larwy, tworząc swoistą pępowinę śmierci ciągnącą się aż do miejsca, skąd wyszły. W sprzyjających warunkach na przykład w dni suche i gorące, bezdeszczowe pępowina ta, ten pochód tłustych, żółtych, rozedrganych jak w tańcu czerwi, może mieć wiele metrów długości. Jest to widok ciekawy, a dla człowieka z natury ciekawskiego cóż może być bardziej naturalne niż chęć zbadania źródła tego zjawiska? Właśnie tak dzieci Yatesów znalazły to, co pozostało po Sally Palmer.

Neil i Sam natknęli się na pochód larw na brzegu lasu Farnhama, na skraju mokradeł. Był drugi tydzień lipca i zdawało się, że to nietypowe lato trwa już od wieków. Nieustający upał wysysał kolory z drzew, spiekał ziemię na kość. Chłopcy szli do Sadzawki pod Wierzbą porośniętego trzciną stawu, który uchodził tu za basen kąpielowy. Mieli spotkać się tam z kolegami i spędzić niedzielę, skacząc do zielonej wody z rosnącego nad brzegiem drzewa. Tak przynajmniej myśleli.

Byli pewnie znudzeni i apatyczni, odurzeni upałem i zniecierpliwieni swoim towarzystwem. Jedenastoletni Neil, trzy lata starszy od Sama, szedł przodem, żeby zademonstrować bratu swoje rozdrażnienie tak to sobie wyobrażałem. Idzie przodem, ma w ręku patyk i smaga nim krzaki i gałęzie mijanych po drodze drzew. Sam wlecze się z tyłu, pociągając nosem. Nie, nie jest przeziębiony ma katar sienny i mocno zaczerwienione oczy. Pomógłby mu łagodny lek przeciwhistaminowy, ale on jeszcze o tym nie wie. Latem zawsze pociąga nosem, tak po prostu jest. Wiecznie w cieniu starszego brata, idzie ze spuszczoną głową, dlatego to właśnie on, a nie Neil, zauważa pochód larw.

Przystaje, żeby się mu przyjrzeć, a potem woła brata. Neil nie ma ochoty zawracać, ale wyczuwa, że Sam coś znalazł. Udaje, że nie robi to na nim żadnego wrażenia, lecz falujący pochód czerwi intryguje go tak samo jak Sama. Obydwaj kucają i odgarniając z czoła ciemne włosy, krzywią się od zapachu amoniaku. I chociaż potem nie będą mogli sobie przypomnieć, który z nich wpadł na pomysł, żeby sprawdzić, skąd larwy idą, myślę, że zaproponował to Neil. To nie on zauważył je jako pierwszy, dlatego na pewno zechciałby ponownie objąć dowództwo. Tak więc to on rusza przodem w stronę kęp pożółkłej bagiennej trawy, a Sam idzie za nim.

Czy już wtedy poczuli smród? Prawdopodobnie tak. Musiał być na tyle silny, że mimo zapalenia zatok poczuł go nawet Sam. I prawdopodobnie wiedzieli, co ten smród oznacza. Nie byli mieszczuchami, dobrze znali cykl życia i śmierci. Ich uwagę musiały też zwrócić muchy, somnambulicznie brzęczące w upale. Ale wbrew temu, czego oczekiwali, nie zobaczyli tam ścierwa owcy ani jelenia czy nawet psa. Nagie, lecz wciąż rozpoznawalne zwłoki Sally Palmer były studium rozedrganego ruchu, siedliskiem kłębiącego się pod skórą robactwa, które wypełzało z jej ust, nosa i z pozostałych otworów ciała. Czerwie zbijały się na ziemi w gromadę, dołączały do pochodu i znikwały w trawie.

Nie ma znaczenia, który z chłopców uciekł stamtąd pierwszy, ale myślę, że był to Neil. Sam, jak zwykle naśladowując brata, próbował go dogonić i ścigali się tak aż do domu. Z domu poszli na policję. I w końcu trafili do mnie.

Oprócz łagodnego środka uspokajającego dałem Samowi coś na katar sienny. Ale do tego czasu nie tylko on miał zaczerwienione oczy. Odkryciem wstrząśnięty był i jego brat, chociaż jak na młodego chłopaka przystało, zaczynał już odzyskiwać zimną krew. Dlatego to właśnie on opowiedział mi, co się stało, powoli nadając surowym wspomnieniom bardziej przystępną formę opowieści, którą można w nieskończoność odtwarzać i powtarzać. Jako odkrywca zwłok, od których to wszystko się zaczęło, miał ją opowiadać jeszcze przez wiele lat, długo po tragicznych wydarzeniach tamtego upalnego lata. Rzecz w tym, że koszmar nie zaczął się wcale od odkrycia zwłok Sally Palmer. Po prostu nie wiedzieliśmy wtedy i do wtedy co wśród nas żyło.

Rozdział 2

Przyjechałem do Manham trzy lata wcześniej, późnym popołudniem w deszczowym tamtego roku marcu. Wsiadłem na stacji małej platformie w szczerym polu by ujrzeć tonący w deszczu krajobraz, pozbawiony zarówno życia, jak i konkretnych kształtów. Z walizką w ręku stałem tam, chłonąc scenerię i nie zwracając uwagi na ściekający za kołnierz deszcz. Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont rozciągały się płaskie wrzosowiska i upstrzone kępami drzew mokradła.

Nigdy przedtem nie byłem w Broads ani w ogóle w Norfolk. Tak, okolica była spektakularnie obca.

Ogarnąłem wzrokiem rozległą, otwartą równinę, odetchnąłem chłodnym, wilgotnym powietrzem i

poczułem, że zaczynam się trochę rozluźniać. Choć dość odstręczające, Manham nie było Londynem i to mi

wystarczyło.

Nikt nie wyszedł mi na spotkanie. Nie zamówiłem taksówki ani żadnego innego środka transportu. Moje

plany nie sięgały tak daleko. Sprzedałem samochód oraz całą resztę i zupełnie nie zastanawiałem się, jak

dotrę ze stacji do miasteczka. Wtedy jeszcze nie myślałem zbyt trzeźwo. Gdybym pomyślał z typową dla

mieszczucha arogancją założyłbym pewnie, że będą tam taksówki, sklep czy w ogóle cokolwiek.

Tymczasem nie było tu ani żadnej taksówki, ani nawet budki telefonicznej. Przez chwilę żałowałem, że

wraz z rzeczami sprzedałem komórkę, a potem wziąłem walizkę i ruszyłem w stronę drogi. Gdy tam

doszedłem, stanąłem przed wyborem: skręcić w lewo czy w prawo? Skręciłem w lewo. Bez wahania i bez

powodu. Kilkaset metrów dalej było skrzyżowanie, a przed skrzyżowaniem stał wyblakły, drewniany

mocno pochylony drogowskaz, wydawało się więc, że wskazuje coś ukrytego w rozmokłej ziemi. Ale

dowiedziałem się przynajmniej, że idę w dobrym kierunku.

Zanim doszedłem do miasteczka, zapadł już zmierzch. Po drodze minęło mnie parę samochodów, ale

żaden się nie zatrzymał. Nie licząc samochodów, pierwszymi oznakami życia było kilka przydrożnych,

oddalonych od siebie gospodarstw. Nieco później w gasnącym świetle dnia zobaczyłem wieżę na wprost

wrośniętego w ziemię kościoła; tak to przynajmniej wyglądało. Zaraz potem pojawił się chodnik, wąski i

śliski od deszczu, mimo to lepszy niż trawiaste pobocze i żywopłoty, przez które musiałem się przedtem

przedzierać. Za kolejnym zakrętem wyrosło samo Manham ukryte tak dobrze, że zobaczyłem je dopiero

wtedy, gdy do niego dotarłem.

Nie należało do miasteczek jak z widokówki. Było za bardzo przytulne, za bardzo rozciągnięte, żeby

pasować do obrazu typowej angielskiej prowincji. Na skraju stało kilka przedwojennych kamienic, ale te

szybko ustąpiły miejsca kamiennym domom ze ścianami upstrzonymi kawałkami krzemienia. Im bliżej

centrum, tym domy były starsze, tak więc z każdym krokiem coraz bardziej cofałem się w przeszłość.

Błyszczące od deszczu tuliły się do siebie, a ich martwe okna gapiły się na mnie z nieskrywaną

podejrzliwością.

Nieco dalej, na ulicy pojawiły się zamknięte sklepy, a za sklepami kolejne domy ginące w mokrym

zmierzchu. Minąwszy szkołę i pub, dotarłem do miejskiego skweru. Skwer jarzył się od żonkili. W

ponurym ciemnobrązowym świetle ich kiwające się na deszczu żółte trąbki były szokująco barwne. Nad

skwerem górował olbrzymi kasztanowiec z nagimi, czarnymi, rozłożystymi gałęziami. Za kasztanowcem,

pośrodku cmentarza pełnego omszałych nagrobków stał normandzki kościół, którego wieżę widziałem z

drogi. Podobnie jak ściany domów na skraju miasteczka, jego ściany też wyłożono kawałkami twardego,

odpornego na pogodę krzemienia. Ale tynk, w którym tkwił krzemień, był stary i zwietrzały, a drzwi i

okna lekko wypaczone, gdyż z upływem stuleci fundamenty kościoła coraz bardziej zapadały się w ziemię.

Przystanąłem. Dalej były domy, a za nimi kolejne. Dotarło do mnie, że to już całe Manham. W niektórych

oknach paliło się światło, lecz poza tym nigdzie nie dostrzegłem ani śladu życia. Stałem na deszczu, nie

wiedząc, dokąd iść. Nagle usłyszałem jakiś hałas i zobaczyłem dwóch ogrodników na cmentarzu. Nie

zwracając uwagi ani na pogodę, ani na porę dnia, wyrywali i grabili trawę między starymi, kamiennymi

nagrobkami. Gdy podszedłem bliżej, nie przerwali pracy ani nawet na mnie nie spojrzeli.

–Przepraszam, gdzie tu jest przychodnia? spytałem z twarzą spływającą deszczem.

Dopiero wtedy podnieśli wzrok i mimo dzielącej ich różnicy wieku trudno było nie poznać, że są to

dziadek i wnuk. Obydwaj mieli takie same spokojne i obojętne twarze, takie same modre oczy. Ten starszy

ruchem głowy wskazał wąską, wysadzaną drzewami uliczką biegnącą wzdłuż skweru.

Tam. Prosto przed siebie.

Jego akcent, spiralne zbitki samogłosek tak obce moim miejskim uszom, był kolejnym potwierdzeniem

tego, że nie jestem już w Londynie. Podziękowałem im, ale oni już powrócili do pracy. Wszedłem w uliczkę

i szum ściekającego z gałęzi drzew deszczu przybrał na sile. Po chwili stanąłem przed szeroką bramą

strzegącą dostępu do wąskiego podjazdu. Na słupie bramy wisiała drewniana tabliczka z napisem: Bank

House, pod nią zaś była mosiężna z napisem: Dr H. Maitland. Wysadzana cisami alejka pięła się łagodnie

pod górę przez starannie utrzymany ogród, a potem opadała, by skończyć się na podwórzu okazałego

gregoriańskiego domu. Potarłem butami o błyszczącą mocno zużytą sztabę kutego żelaza z boku

frontowych drzwi i oskrobawszy błoto z butów, głośnie zastukałem ciężką kołatką. Już miałem zastukać

ponownie, gdy drzwi się otworzyły.

W progu stanęła pulchna kobieta w średnim wieku o nienagannie uczesanych szarych włosach.

Tak?

Ja do doktora Maitianda. Kobieta zmarszczyła brwi.

Gabinet już zamknięty. I boję się, że pan doktor nie chodzi na tak późne wizyty.

Nie, nie, chciałem powiedzieć, że jestem umówiony. Nie zareagowała. Dopiero wtedy zdałem

sobie sprawę, jak muszę wyglądać po godzinnym spacerze w deszczu. Ja w sprawie pracy. Nazywam się

Hunter. David Hunter.

Natychmiast rozjaśniła jej się twarz.

Och, bardzo pana przepraszam. Nie wiedziałam, myślałam, że... Proszę, proszę wejść.

Przepuściła mnie przodem. Boże święty, przemókł pan do suchej nitki. Długo pan szedł?

Godzinę, ze stacji.

Ze stacji? Przecież to kilometry stąd! Już pomagała mi zdjąć płaszcz. Dlaczego pan nie

zadzwoił i nie powiedział, o której pan przyjeżdża? Ktoś by pana odebrał.

Nie odpowiedziałem. Szczerze mówiąc, po prostu nie przyszło mi to do głowy.

Proszę dalej, do saloniku. Rozpaliłam w kominku. Nie, walizkę niech pan zostawi
dodała,

odwracając się od wieszaka. Uśmiechnęła się i dopiero wtedy zauważyłem, jak
bardzo ściągniętą ma

twarz. To, co wziąłem przedtem za oschłość i lapidarność, było po prostu
zmęczeniem. Nikt jej tu nie

ukradnie.

Zaprowadziła mnie do dużego, wyłożonego drewnem pokoju. Przed kominkiem, w
którym żarzył się stos

polan, stała stara, wytarta skórzana kanapa. Dywan był perski, też stary, lecz wciąż
piękny; leżał na

podłodze z brunatnoczerwonych desek. Wszędzie unosił się przyjemny zapach
sosny i dymu z kominka.

Proszę, niech pan usiądzie. Powiem doktorowi, że pan przyjechał. Napije się pan
herbaty?

Kolejny znak, że byłem już na wsi. W mieście zaproponowano by mi kawę.
Podziękowałem i gdy wyszła,

zapatrzyłem się w ogień. Po panującym na dworze zimnie, od gorąca zrobiłem się
senny. Za oknem było

już zupełnie ciemno. W szybę bębniły krople deszczu. Kanapa była miękka i
wygodna, i Powoli opadały mi

powieki. Gdy zaczęła opadać głowa, ogarnięty paniką, szybko wstałem. Wstałem i
od razu poczułem się do

cna wyczerpany, fizycznie i psychicznie wypłuty. Ale strach przed zaśnięciem był
jeszcze większy.

Gdy wróciła, wciąż stałem przed kominkiem.

Proszę tędy. Doktor jest w gabinecie.

Poskrzypując bucikami, zaprowadziła mnie do drzwi na końcu korytarza. Przystanąła, cicho zapukała i nie

czekając na „proszę”, swobodnym, poufałym ruchem ręki przekręciła klamkę. Uśmiechnęła się i stanęła z

boku.

Zaraz przyniosę herbatkę szepnęła, zamykając drzwi.

Biurko, za biurkiem jakiś mężczyzna. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa. Był wysoki, nawet

siedząc. Miał wyrazistą, pooraną zmarszczkami twarz i gęste włosy, może nie siwe, ale kremowe. Lecz jego

czarne brwi były zaprzeczeniem jakiegokolwiek słabości, a osadzone pod nimi oczy spoglądały czujnie i

przenikliwie. Patrzyły, oceniały, ale co we mnie dostrzegły, tego nie umiałem powiedzieć. Nie wyglądałem

najlepiej i po raz pierwszy ogarnął mnie lekki niepokój.

Boże, człowieku warknął. Aleś pan przemókł! Głos miał szorstki, lecz przyjazny.

Szedłem piechotą aż ze stacji. Nie było taksówek.

Witamy w naszym cudownym Manham prychnął. Powinien był pan mnie uprzedzić, że

przyjedzie pan dzień wcześniej. Ktoś by na pana czekał.

Dzień wcześniej? powtórzyłem.

No, tak. Spodziewałem się pana jutro.

Zamknięte sklepy dopiero teraz to do mnie dotarło. Była niedziela. Nie zdawałem sobie sprawy, jak

bardzo wypaczyło mi się poczucie czasu. Gafa wprowadziła mnie w zakłopotanie. Udał, że tego nie widzi.

Nie szkodzi. Najważniejsze, że pan już jest. Be_dzie pan miał więcej czasu na

aklimatyzację.

Henry Maitland. Miło mi.

Wyciągnął do mnie rękę, ale nie wstał. Dopiero wtedy zauważyłem, że jego fotel ma kółka. Nachyliłem się,

żeby uścisnąć mu dłoń, lecz tuż przedtem lekko się zawahałem. Maitland uśmiechnął się gorzko.

Teraz już pan rozumie, dlaczego dałem to ogłoszenie.

Zamieścił je w „Timesie”, w dziale „Praca”, ogłoszenie tak małe, że łatwo je można było przeoczyć. Ale ja nie

wiedzieć czemu, od razu je zobaczyłem. Wiejska przychodnia poszukiwała lekarza pierwszego kontaktu

na umowę okresową. Na pół roku; mieszkanie zapewnione. Najbardziej uderzyła mnie lokalizacja. Nie

żebym bardzo chciał pracować w Norfolk, ale Norfolk leży daleko od Londynu. Odpowiedziałem na

ogłoszenie bez ekscytacji i wielkich nadziei, dlatego gdy tydzień później przyszedł list, otwierałem go, spo

dziewając się grzecznej odmowy. Ale zamiast odmowy, znalazłem konkretną propozycję. Musiałem

przeczytać list dwa razy, żeby w końcu to do mnie dotarło. W innych okolicznościach pomyślałbym

pewnie, że musi tkwić w tym jakiś haczyk. Ale w innych okolicznościach nigdy nie odpowiedziałbym na

ogłoszenie.

Odpisałem, że przyjmuję propozycję.

A teraz patrzyłem na mojego nowego chlebodawcę, ponieważ zastanawiając się, w co właściwie

wdepnąłem. Maitland jakby czytał w moich myślach. Klepnął się po udach i rzucił:

Wypadek samochodowy powiedział to bez zażenowania czy użalania się nad sobą.

Jest

nadzieja, że z czasem odzyskam częściową władzę w nogach, ale na razie nie dają sobie rady sam. Przez

rok brałem na zastępstwo miejscowych, ale mam tego dość. Jednego tygodnia jedna gęba, drugiego druga.

To nikomu nie służy. Wkrótce się pan przekona, że tu nie lubią zmian, Wziął fajkę i kapciuch z biurka.

Przeszkadza panu dym?

Nie, jeśli nie przeszkadza panu.

Dobra odpowiedź odparł ze śmiechem Maitland. Ale ja nie jestem pańskim pacjentem.

Niech pan o tym pamięta.

Przytknął zapałkę do cybucha.

No, dobrze powiedział, pykając z fajki. Po pracy na... na uniwersytecie, tak? Po pracy na

uniwersytecie przeżyje pan tu nielichy szok. No, a poza tym Manham to nie Londyn. Zerknął na mnie

znad cybucha i myślałem, że spyta mnie o doświadczenie zawodowe. Ale nie spytał. Jeśli ma pan jeszcze

jakieś wątpliwości, to odpowiednia chwila, żeby je wyniszczyć.

Nie, nie mam.

Zadowolony kiwnął głową.

Dobrze. Tymczasem zamieszka pan tutaj. Janice pokaże panu pokój. Porozmawiamy przy

kolacji. Może pan zacząć już jutro. Przyjmujemy od dziewiątej.

Mogę o coś spytać? Maitland uniósł brwi. Czekał.

Dlaczego mnie pan zatrudnił?

Nie dawało mi to spokoju. Nie na tyle, żeby odrzucić propozycję, jednak wciąż dręczyła mnie mglista

niepewność.

Bo uznałem, że się pan nadaje. Dobre kwalifikacje, znakomite referencje, no i chęć pracy na

odludziu za psi grosz.

Myślałem, że najpierw przeprowadzi pan ze mną rozmowę. Lekceważąco machnął fajką,

oplatając się strużką dymu.

Rozmowy trwają, a ja chciałem przyjąć kogoś, kto mógłby zacząć natychmiast. Poza tym, mam

dobrego nosa.

Jego pewność siebie dodała mi otuchy. Dopiero dużo później, kiedy nie było już wątpliwości, że zostanę,

wyznał mi ze śmiechem przy którejś tam szklaneczce słodowej whisky, że byłem jedynym kandydatem.

Ale wtedy tak oczywista odpowiedź nie przyszła mi do głowy.

Uprzedzałem pana, że nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w leczeniu ogólnym. Skąd

pewność, że dam sobie radę?

A da pan?

Chwilę trwało, zanim odpowiedziałem, bo w sumie zastanawiałem się nad tym pierwszy raz. Wyjechałem

z Londynu prawie bez namysłu. Po prostu uciekłem od ludzi i miejsc zbyt dla mnie bolesnych. No i

świetnie zacząłem. Nie dość że przyjechałem dzień wcześniej, to jeszcze przemokłem do suchej nitki. Nie

miałem nawet na tyle rozumu, żeby skryć się gdzieś przed deszczem.

Tak odparłem.

No to nie mam pytań rzucił z surową jednocześnie lekko rozbawioną twarzą. Poza tym, to

tylko pół roku. No i będę miał na pana oko.

Wcisnął guzik na biurku. W głębi domu zadzwonił dzwonek.

Jeśli pacjenci nie dopisują, kolacja jest zwykle o ósmej. Może pan teraz odpocząć. Ma pan bagaż

czy przyślą?

Mam walizkę. Zostawiłem ją pod opieką pańskiej żony. Zaskoczony uśmiechnął się dziwnie

zażenowanym uśmiechem.

Janice to moja gosposia odparł. Jestem wdowcem. Zdawało się, że wchłonąłem całe zawarte

w pokoju ciepło.

Ja też.

I tak zostałem lekarzem w Manham. I właśnie dlatego, że nim zostałem, trzy lata później jako jeden z

pierwszych dowiedziałem się o odkryciu Neila i Sama Yatesów. Oczywiście nikt nie wiedział, czyje to

zwłoki, jeszcze nie wtedy. Były w takim stanie, że chłopcy nie potrafili nawet powiedzieć, czy są to zwłoki

kobiety, czy mężczyzny. Teraz, gdy wreszcie poczuli się bezpiecznie, nie byli nawet pewni, czy są nagie czy

nie. W pewnym momencie Sam wymamrotał nawet, że mają skrzydła, ale zaraz potem stracił pewność

siebie i zamilkł. Natomiast Neil patrzył na mnie z tępych wyrazem twarzy. Cokolwiek tam widzieli, musiało

to wykraczać poza wszelkie znane im dotychczas punkty odniesienia, dlatego pamięć broniła się przed

tym i wzdragała. Zgadzała się jedynie co do tego, że leży tam człowiek i że człowiek ten jest martwy. I

choć z tego, że na zwłokach roi się od robactwa, wynikało, iż odniósł jakieś rany, dobrze wiedziałem, że

martwych stać na wiele różnych sztuczek. Nie było powodu, żeby zakładać najgorsze.

Jeszcze nie wtedy.

Tym dziwniej zabrzmiały słowa ich matki. Linda Yates siedziała w małym saloniku, bez przekonania

oglądając coś na jaskrawym ekranie telewizora i tuląc do siebie przygaszonego syna. Jej mąż, rolnik, nie

wrócił jeszcze z pracy. Zadzwoiła do mnie, kiedy synowie przybiegli do domu zdyszani i

rozhisteryzowani. W miasteczku tak małym i odciętym od świata jak to, dyżur miało się nawet w niedzielę.

Wciąż czekaliśmy na przyjazd policji. Najwyraźniej uznali, że nie ma po co się spieszyć, mimo to czułem się

w obowiązku zostać. Dałem Samowi środek uspokajający, łagodny jak placebo, i niechętnie wysłuchałem

opowieści jego brata. Próbowałem nie słuchać. Dobrze wiedziałem, co mogli tam zobaczyć.

I nie chciałem do tego wracać.

Okno było szeroko otwarte, ale do pokoju nie wpadał najmniejszy powiew wiatru. Z podwórza była

oślepiająca jasność, rozpalona niemal do białości przez popołudniowe słońce.

To Sally Palmer powiedziała mi z tego, ni z owego Linda.

Popatrzyłem na nią zaskoczony. Sally mieszkała samotnie na małej farmie tuż za miastem. Była atrakcyjną

kobietą w wieku trzydziestu, trzydziestu pięciu lat i przyjechała do Manham kilka lat przede mną

odziedziczywszy gospodarstwo po wujku. Wciąż miała kilka kóz, a dzięki wujkowi nie ma to jak więzy

krwi w oczach miejscowych uchodziła co prawda za autsajderkę, lecz nie taką, jaką byłaby osoba

zupełnie obca, a już na pewno nie taką jak choćby ja, nawet teraz, po tylu latach. Jednakże zarabiała na

życie jako pisarka i to stawiało ją poza nawiasem społeczności, gdyż większość sąsiadów patrzyła na nią z

pełnym szacunku podziwem, ale i z podejrzliwością. Nie słyszałem plotek, że zaginęła.

Skąd pani wie?

Bo mi się śniła.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem. Zerknąłem na jej synów. Sam, teraz już spokojniejszy, chyba nie

przysłuchiwał się naszej rozmowie. Ale Neil przez cały czas patrzył na matkę i wiedziałem, że gdy tylko

wyjdzie z domu, rozpowie wszystko po całym mieście.

Ponieważ milczałem, pomyślała, że jej nie wierzę.

Stała na przystanku autobusowym i płakała. Spytałam, co się stało, ale nie odpowiedziała.

Potem spojrzałam na drogę, a kiedy się odwróciłam, już jej nie było.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Takie sny nie śnią się bez powodu ciągnęła. Ten też nie.

Niech pani przestanie, nie wiemy jeszcze, kto to jest. To może być każdy. Posłała mi spojrzenie,

które mówiło, że się mylę, ale nie zamierzała ze mną

polemizować. Ucieszyłem się, kiedy do drzwi wreszcie zapukała policja.

Przyjechało ich dwóch i obydwaj byli świetnym przykładem wiejskiego policjanta.

Starszy miał rumianą

twarz i podczas rozmowy co chwilę wymownie mrugał. W tych okolicznościach było to zupełnie nie na

miejscu.

A więc znaleźliście trupa, tak? zaczął wesoło, spoglądając na mnie ze znaczącą miną jakby

ponad głowami chłopców chciał wciągnąć mnie do jakiejś zabawy. Podczas gdy Sam tulił się do matki,

zastraszyony obecnością umundurowanej władzy, Neil mamrotał pod nosem, odpowiadając na pytania.

Nie trwało to długo. Ten starszy, rumiany, zamknął notes i powiedział:

Dobra. Chodźmy to obejrzyć. Który z was pokaże, gdzie to jest?

Sam wtulił głowę w piersi matki. Neil milczał, lecz bardzo pobladł. Rozmowa to jedno. Powrót na skraj

mokradła to drugie. Linda spojrzała na mnie niespokojnie.

To chyba nie jest dobry pomysł odparłem. Szczerze mówiąc, był zupełnie poroniony. Ale

miałem do czynienia z policją na tyle często, by wiedzieć, że dyplomacją można wskórać z nimi znacznie

więcej niż otwartą konfrontacją.

To jak znajdziemy to miejsce, skoro nie znamy terenu? spytał.

W samochodzie mam mapę. Pokażę wam, gdzie to jest.

Ten rumiany nie próbował nawet ukryć niezadowolenia. Wyszliśmy na dwór, mrużąc oczy w oślepiającym

blasku słońca. Dom Lindy stał na samym końcu szeregu małych, kamiennych domów. Nasze samochody

parkowały po drugiej stronie ulicy. Wziąłem mapę z land rovera i rozłożyłem ją na masce. Maską była

zniszczona i gorąca, bo prażyło w nią słońce.

To niecałe pięć kilometrów stąd. Będziecie musieli zaparkować na skraju mokradeł i dojść

piechotą do lasu. Z tego, co mówili Sam i Neil, zwłoki powinny być gdzieś tu.

Postukałem palcem w mapę. Rumiany chrząknął.

Mam lepszy pomysł. Jeśli nie chce pan, żeby szli z nami chłopcy Lindy, to może pan z nami

pójdzie? Uśmiechnął się ze ściągniętymi ustami. Widzę, że dobrze zna pan teren.

Po jego minie poznałem, że nie da mi wyboru. Kazałem im jechać za mną wsiałem i odpaliłem silnik. W

samochodzie pachniało rozgrzanym plastikiem. Otworzyłem okna, na ile się dało. Kierownica parzyła w

dłonie. Zacisnąłem na niej palce tak mocno, że zbiełały mi kłykcie, i odprężyłem się nieco dopiero wtedy,

gdy to zauważyłem.

Drogi były wąskie i kręte, ale do lasu mieliśmy niedaleko. Zaparkowałem na zrytym koleinami placku

spieczonej ziemi, ocierając drzwiczkami o uschnięty żywopłot. Tuż za mną zakołysał się i zatrzymał

radiowóz. Policjanci wysiedli i ten starszy naciągnął spodnie na brzuch. Młodszy, mocno opalony i z wy

sypką po goleniu, trzymał się z tyłu.

Tam jest ścieżka powiedziałem. Dochodzi do samego lasu. Idźcie cały czas prosto. To

najwyżej kilkaset metrów stąd.

Rumiany otarł spocone czoło. Pachy jego białej koszuli były ciemne i mokre. Bił od niego ostry, kwaśny

zapach. Popatrzył na odległy las, zmrużył oczy i pokręcił głową.

Za gorąco dziś. To co? Nie pójdzie pan z nami i nie pokaże? Na pewno? Powiedział to na wpół

kpiąco, na wpół z nadzieją w głosie.

Wiem tyle samo co wy. Musicie dojść do skraju lasu i się rozejrzeć. Szukajcie larw.

Ten młodszy parsknął śmiechem, ale gdy rumiany łypnął na niego spode łba, natychmiast przestał się śmiać.

Nie powinni tego robić ci z dochodzeniówki? spytałem. Rumiany pogardliwie prychnął.

Nie podziękowaliby nam za wezwanie do jeleniego ścierwa. Bo to najczęściej znajdują.

Neil i Sam mówią że to co innego.

Pozwoli pan, że najpierw sam to obejrzę. Dał znak młodszemu koledze. Chodźmy. Skończmy tę zabawę.

Patrzyłem, jak przechodzą niezdarnie przez dziurą w żywopłocie i idą w stronę lasu. Rumiany nie kazał mi

zaczekać, zresztą czekanie nie miało sensu. Doprowadziłem ich najdalej, jak mogłem, reszta zależała od nich.

Ale nie odjechałem. Wróciłem do samochodu i wyjąłem butelkę wody spod przedniego fotela. Woda była

ciepła, ale zaschło mi w ustach. Założyłem okulary przeciwsłoneczne i spoglądając na las, oparłem się o

zielony, zakurzony błotnik. Policjantów pochłonęły już zarośla. Stojące nad płaskimi mokradłami

powietrze, duszne i stężałe w upale, pachniało czymś metalicznym. Wszędzie brzęczały, bzyczały i cykały

owady. Tuż obok mnie tańczyły dwie ważki. Wypiłem jeszcze jeden łyk wody i

spojrzałem na zegarek.

Kolejnego pacjenta miałem dopiero wieczorem, za dwie godziny, ale stać tu i czekać tylko po to, żeby

dowiedzieć się, co znalazło w lesie dwóch wiejskich policjantów? Miałem ciekawsze rzeczy do zrobienia.

Zresztą pewnie mieli rację. Neil i Sam mogli zobaczyć tam martwe zwierzę. Po prostu. Reszty dokonała

wyobraźnia i panika.

Mimo to ani drgnąłem.

Jakiś czas później zobaczyłem, że już wracają. Ich białe koszule to pokazywały się, to znikwały w wysokiej,

pożółkłej trawie. Byli bardzo bladzi; spostrzegłem to już z daleka. Ten młodszy miał plamę po

wymiocinach na piersi, ale chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Bez słowa podałem mu butelkę. Przyjął

ją z wdzięcznością.

Rumiany unikał mojego wzroku.

Szlag by to, nie ma zasięgu mruknął, idąc z komórką do radiowozu. Próbował być szorstki i

gburowaty tak jak przedtem, ale mu nie wychodziło.

A więc jednak to nie jeleni powiedziałem. Posłał mi ponure spojrzenie.

Nie będziemy już pana zatrzymywali.

Zaczekał, aż wsiądę do samochodu i dopiero wtedy sięgnął po mikrofon radiostacji. Ten młodszy gapił się

na swoje buty; w ręku dyndała mu butelka.

Postanowiłem jechać prosto do przychodni. W głowie brzęczało mi od myśli, ale już dawno temu

ustawiłem tam coś w rodzaju siatki, która zatrzymywała je jak muchy. Próbowiałem

oczyścić umysł siłą

woli, mimo to muchy wciąż szeptały coś podświadomości. Dojechałem do drogi prowadzącej do

miasteczka. Moja ręka odruchowo powędrowała do dźwigni kierunkowskazu i zamarła. Zupełnie nie

myśląc, podjąłem decyzję, której skutki miały rozbrzmiewać echem jeszcze przez wiele tygodni. Która

miała odmienić życie moje i innych.

Pojechałem prosto przed siebie. Na farmę Sally Palmer.

Rozdział 3

Z jednej strony farmy rosły drzewa, z drugiej ciągnęły się mokradła. Jechałem zrytą koleinami drogą i spod kół land rovera biły tumany kurzu. Zaparkowałem na nierównym bruku tylko tyle pozostało tu z podwórza i wysiadłem. W upale drżała szopa z blachy falistej. Sam dom był pomalowany na biało. Wyblakła farba łuszczyła się już i odpadała, lecz w słońcu wciąż była oślepiająco jaskrawa. Po obu stronach drzwi wisiały jasnozielone skrzynki na kwiaty, jedyne plamy koloru w tym wypłowiłym świecie. Kiedy Sally była w domu, jej owczarek szkocki zaczynał ujadać, zanim goście zdążyli zapukać do drzwi. Zwykle, ale nie tamtego dnia. Przez okna też nie dostrzegłem żadnego śladu życia, ale to nie musiało nic znaczyć. Podeszedłem do drzwi i zapukałem. Teraz, gdy już tu byłem, powody mojego przyjazdu wydały mi się beznadziejnie głupie. Czekaając, patrzyłem na horyzont i zastanawiałem się, co jej powiem. Zawsze

mogłem powiedzieć prawdę, ale prawda byłaby równie irracjonalna jak sny Lindy Yates. Poza tym, Sally

mogłaby to źle zrozumieć, odebrać moją wizytę jako coś więcej niż tylko dręczący niepokój, którego nie

potrafiłem logicznie wyjaśnić.

Mieliśmy kiedyś może nie romans, ale na pewno łączyło nas coś więcej niż tylko zwykła znajomość. Był

taki czas, kiedy widywaliśmy się dość często. I nic dziwnego: obydwójce byliśmy autsajderami, obydwójce

mieszkaliśmy kiedyś w Londynie. Poza tym, Sally była bardzo towarzyska,

odpowiadała mi wiekowo i

łatwo nawiązywała nowe znajomości. No i była ładna. Kilka razy spotkaliśmy się na drinku w pubie i miło

to wspominałem.

Ale dalej się nie posunęliśmy. Gdy wyczułem, że chciałaby czegoś więcej, natychmiast się wycofałem.

Początkowo była zaskoczona, ale ponieważ nic nie zdążyło się między nami rozwinąć, nie miała do mnie

pretensji ani żalu. Ilekroć na siebie wpadaliśmy, zawsze ucinaliśmy krótką pogawędkę, ale na tym się

kończyło.

Bardzo tego pilnowałem.

Zapukałem ponownie. Pamiętam, że poczułem nawet ulgę, kiedy nie otworzyła. Musiała gdzieś wyjść, co

oznaczało, że nie będę musiał wyjaśniać jej powodów mojego przyjazdu. Bo szczerze mówiąc, nie znałem

ich nawet ja sam. Nie należałem do ludzi przesądnych i w przeciwieństwie do Lindy Yates, nie wierzyłem

w złe przeczucia. Tylko że Linda nie miała złych przeczuć, w każdym razie niezupełnie. Lindzie coś się

przyśniło. A dobrze wiedziałem, jak mylące mogą być sny. Jak mylące i niebezpieczne.

Odwróciłem się od drzwi i od miejsca, do którego zmierzały moje myśli. Dobrze, że jej nie ma, pomyślałem

poirytowany. Co mi odbiło? To, że na skraju lasu umarł jakiś turysta czy obserwator ptaków, to jeszcze nie

powód, żeby dać się ponieść wyobraźni.

Ale w połowie drogi do samochodu przystanąłem. Coś nie dawało mi spokoju i chociaż ponownie

odwróciłem się w stronę domu, wciąż nie wiedziałem, co to jest. Chwilę trwało, zanim zaskoczyłem.

Skrzynki. Rosnące w nich kwiaty były brązowe, uschnięte.

Sally nigdy by do tego nie dopuściła.

Zawróciłem. Ziemia w skrzynkach była sucha jak pieprz i twarda jak kamień. Kwiatów nikt nie podlewał i

to co najmniej od kilku dni. Zapukałem jeszcze raz i zawołałem. Nie słysząc odpowiedzi, przekręciłem

klamkę.

Drzwi były otwarte. Możliwe, że zamieszkawszy w Manham, Sally wyzbyła się nawyku zamykania ich na

klucz. Ale tylko możliwe, bo tak samo jak ja, wychowała się w mieście, a stare nawyki trudno wykorzenić.

Drzwi utknęły, zablokowane stertą leżących za nimi listów i przesyłek. Pchnąłem je mocniej i pokonawszy

lawinę korespondencji, wszedłem do kuchni. Wyglądała tak, jak ją pamiętałem: wesole cytrynowe ściany,

solidne wiejskie meble i kilka delikatnych akcentów, które wskazywały na to, że Sally nie potrafiła tak do

końca zapomnieć o wielkim mieście: elektryczna wyciskarka do soków, błyszczący ekspres do kawy i

duży, dobrze zaopatrzony stojak na wino.

Nie licząc gromady listów, na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie. Ale wszędzie unosił się

ten charakterystyczny stęchły zapach długo niewietrzonego domu, wymieszany ze słodkawym zapachem

gnijących owoców. Ten ostatni dochodził z glinianej miski na starym, sosnowym kredensie, gdzie

zobaczyłem stężałe memento mori, martwą naturę ze szerniałych bananów, jabłek i pokrytych białą

pleśnią pomarańczy. Z wazonu na stole bezwładnie zwisały martwe i nierozpoznawalne już kwiaty.

Szuflada pod zlewem była otwarta, jakby Sally coś z niej wyjmowała, gdy jej przeszkodzono. Chciałem ją

odruchowo zamknąć, lecz nie zamknąłem.

Mogła wyjechać na urlop; tak to sobie tłumaczyłem. Mogła być za bardzo zajęta, żeby zawracać sobie

głowę zgniłymi owocami i uschniętymi kwiatami. Istniało wiele prawdopodobnych wyjaśnień. Ale myślę,

że podobnie jak Linda, wiedziałem już swoje.

Zastanawiałem się, czy nie zajrzeć do pozostałych pomieszczeń, ale uznałem, że lepiej nie. Już wtedy

zacząłem traktować jej dom jak miejsce zbrodni i nie chciałem przypadkowo zatrzeć śladów. Dlatego

wyszedłem na dwór. Za domem było ogrodzenie, a za ogrodzeniem Sally trzymała kozy. Coś było nie tak,

wystarczyło jedno spojrzenie. Kilka osłabionych i wychudzonych kóz jeszcze stało, ale większość leżała

nieruchomo. Były albo nieprzytomne, albo martwe. Wyskubały całą trawę, do ostatniego źdźbła, a gdy

podszedłem do koryta, okazało się, że jest zupełnie suche. Za korytem leżał wąż, którym najwyraźniej je

napelniano. Oparłem go o ściankę i poszukałem kranu. Gdy chlusnęła woda, parę kóz przytruchtało bliżej i

zaczęło pić.

Postanowiłem, że gdy tylko zawiadomię policję, ściągnę tu weterynarza. Wyjąłem telefon, ale nie mogłem

złapać zasięgu. W Manham zawsze mieliśmy z tym trudności, dlatego komórki często zawodziły. Gdy

odszedłem trochę dalej, wskaźnik pola ożył i już miałem wybrać numer, gdy za

rdzewiejącym pługiem

zobaczyłem coś małego i ciemnego. To dziwne, ale wiedziałem, co to jest. Spięty ruszyłem w tamtą stronę.

W wysokiej, suchej trawie leżała Bess, owczarek szkocki Sally. Ze zmierzwioną, zakurzoną sierścią

wyglądała jak maleństwo. Odpędziłem muchy, które napadły mnie, zwietrzywszy świeższy posiłek, i się

odwróciłem. Ale tuż przedtem zobaczyłem, że pies ma prawie odciętą głowę.

Nagle zrobiło mi się jeszcze goręcej. Nogi odruchowo zaniósły mnie do samochodu. Zwalczyłem pokusę,

żeby wsiąść i czym prędzej odjechać. Zamiast uciec jak najdalej, zadzwoniłem na policję. Czekając, aż ktoś

podniesie słuchawkę, patrzyłem na zieloną smugę lasu, z którego niedawno wróciłem. Nie, tylko nie to.

Nie znowu. Nie tutaj. Po chwili zdałem sobie sprawę, że z telefonu dochodzi cichutki głos. Odwróciłem

wzrok i powiedziałem:

Chcę zgłosić zaginięcie.

Inspektor najwyżej parę lat starszy ode mnie był przysadzisty i zadziorny. Nazywał się Mackenzie.

Pierwszą rzeczą jaką zauważyłem, było to, że ma nienaturalnie szerokie bary. Dolna część jego ciała, a

zwłaszcza króciutkie nogi i absurdalnie drobne stopy, zupełnie do nich nie pasowała. Wyglądałby jak

komiksowy kulturysta, gdyby nie zarys brzucha i bijąca z twarzy niecierpliwość, która wymownie

ostrzegała, że lepiej traktować go poważnie.

Ja zostałem przy samochodzie, a on i jego ubrany po cywilnemu sierżant poszli obejrzeć psa. Widać było,

że im się nie spieszy, że robią to niemal niefrasobliwie. Jednakże fakt, że zamiast mundurowych przyjechał

tu główny inspektor wydziału śledczego, był znakiem, że sprawę potraktowano poważnie.

Mackenzie wrócił, a sierżant wszedł do domu, żeby rozejrzeć się po pokojach.

Dobrze, a więc jeszcze raz. Dlaczego pan tu przyjechał?

Pachniał płynem po goleniu i delikatnym zapachem mięty. Spod jego rzadkich rudych włosów

prześwitywała mocno opalona skóra głowy, ale jeśli dokuczało mu słońce, niczym tego nie okazywał.

Byłem w pobliżu. Pomyślałem, że wpadną.

Towarzyska wizyta?

Chciałem po prostu sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Nie zamierzałem wciągać w to Lindy Yates, chyba że w ostateczności. To, co mi powiedziała, powiedziała

w zaufaniu, jako lekarzowi, poza tym nie sądziłem, żeby policjant wierzył w sny. Ja też nie wierzyłem. Sęk

w tym, że bez względu na to, czy myśleliśmy racjonalne czy nie, Sally gdzieś przepadła.

Kiedy widział ją pan ostatni raz? spytał Mackenzie. Wróciłem do terazniejszości.

Jakieś dwa tygodnie temu.

Mógłby pan to trochę zawęzić?

Pamiętam, że widziałem ją w pubie na letnim grillowaniu dwa tygodnie temu. Na pewno tam

była.

Z panem?

Nie. Ale rozmawiałem z nią. Rozmawiałem bardzo krótko. „Cześć, jak się masz? Świetnie. No

to na razie, do zobaczenia". „Do zobaczenia". Słowa te nie miały żadnego znaczenia, były po prostu

słowami, niczym więcej. Nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości.

I po dwóch tygodniach niewidzenia nagle pan do niej przyjechał, tak?

Słyszałem, że znaleziono czyjeś zwłoki. Chciałem sprawdzić, czy nic jej nie jest.

Skąd pan wie, że są to zwłoki kobiety?

Nie wiem. Ale uznałem, że nie zaszkodzi tu zajrzeć.

Co pana z nią łączy?

Chyba przyjaźń.

Bliska?

Nie bardzo.

Sypia pan z nią?

Nie.

A sypiał pan?

Miałem ochotę powiedzieć mu, żeby nie wtykał nosa w nie swoje sprawy. Bo właśnie to robił. Ale w

sytuacjach takich jak ta prywatność się nie liczyła. Dobrze o tym wiedziałem.

Nie.

Patrzył na mnie bez słowa. Ja patrzyłem na niego. Po chwili wyjął z kieszeni paczkę miętówek. Gdy

niepiesznie wkładał jedną do ust, zauważyłem pieprzyk na jego szyi. Pieprzyk miał dziwny kształt.

Schował miętówki, nawet mnie nie poczęstowawszy.

A więc to nie był zażyły związek. Tylko przyjaźń, tak?

Znaliśmy się, to wszystko.

Mimo to odczuwał pan nieodpartą potrzebę sprawdzenia, czy nic jej nie jest. Nikomu

innemu,

tylko jej. Tak?

Mieszka tu sama. To odludzie nawet według naszych standardów.

Dlaczego pan do niej nie zadzwonił? Tu mnie miał. Fakt, dlaczego?

Nie przyszło mi to do głowy.

Ona ma komórkę? Odparłem, że ma. Zna pan numer?

Był w moim telefonie. Szukałem go, wiedząc, o co mnie zaraz spyta i czując się bardzo głupio. Ale

naprawdę o tym nie pomyślałem.

Zadzwonić do niej? rzuciłem, zanim zdążył otworzyć usta.

Właśnie, gdyby pan zechciał.

Czekałem na połączenie, czując na sobie jego wzrok. Zastanawiałem się, co powiem, jeśli Sally odbierze.

Ale nie sądziłem, żeby odebrała. Otworzyło się okno. Sierżant wychylił się za parapet.

Panie inspektorze, komórka dzwoni w torebce.

Nawet z tej odległości słyszeliśmy cichutki, elektroniczny świergot. Wcisnąłem guzik. Świergot ustał.

Mackenzie kiwnął głową.

Dobra, to tylko my. Rób swoje. Sierżant zniknął. Mackenzie potarł policzek.

To niczego nie dowodzi powiedział. Milczałem.

Mackenzie westchnął.

Chryste, ten cholerny upał... Po raz pierwszy dał po sobie poznać, że mu przeszkadza.

Zejdźmy ze słońca.

Stanęliśmy w cieniu domu.

Zna pan kogoś z jej rodziny? spytał. Kogoś, kto mógłby wiedzieć, gdzie ona jest?

Nie. Odziedziczyła tę farmę, ale o ile wiem, nie ma tu nikogo.

Przyjaciół też nie? Nie licząc pana.

Mógł w tym tkwić jakiś haczyk, ale trudno było powiedzieć.

Na pewno kogoś tu zna, ale naprawdę nie wiem.

Ma kochanka? Uważnie mi się przyglądał, chcąc sprawdzić, jak zareaguję.

Nie wiem. Przykro mi.

Mackenzie chrząknął i spojrział na zegarek.

Co teraz? spytałem. Porównacie próbki DNA z tych zwłok z próbkami zebranymi w domu?

Mackenzie zmrużył oczy. Widzę, że się pan na tym zna. Poczulem, że się czerwienię.

Nie, niezupełnie.

Ucieszyłem się, że przestał drażnić temat.

Jeszcze nie wiemy, czy jest to miejsce zbrodni czy nie. Mamy kobietę, która zaginęła albo i nie

zaginęła, to wszystko. I żadnych dowodów na to, że coś łączy ją z tymi zwłokami.

A pies?

Mogło go zagryźć jakieś zwierzę.

Z tego co widziałem, ma poderżnięte gardło. Poderżnięte, nie przegryzione. Przecięte czymś

ostrym.

Znowu otaksował mnie spojrzeniem i gdybym mógł, dałbym sobie kopa w tyłek za to, że tyle gadam.

Byłem teraz lekarzem. Zwykłym lekarzem, nikiem więcej.

Zobaczę, co powiedzą ci z sądówki. Ale nawet jeśli jest tak, jak pan mówi, mogła zabić go sama.

Przecież pan w to nie wierzy.

Już miał się odciąć, ale zmienił zdanie.

Nie. Nie wierzę. Ale nie zamierzam też wyciągać pochopnych wniosków.

Otworzyły się drzwi i wyszedł sierżant.

Nic. Ale w korytarzu i w saloniku pali się światło.

Mackenzie kiwnął głową, jakby się tego spodziewał. Ponownie przeniósł wzrok na mnie.

Nie będziemy pana dłużej zatrzymywać, doktorze. Ktoś przyjedzie do pana spisać zeznania. I

byłbym wdzięczny, gdyby nikomu pan o tym nie mówił.

Oczywiście. Nie musiał mnie o to prosić; próbowałem stłumić w sobie złość. Mackenzie już

się odwracał, już mówił coś do sierżanta: ruszyłem przed siebie i nagle przystanąłem.

Jeszcze jedno. Spojrzał na mnie rozdrażniony. Ten pieprzyk na pańskiej szyi. To pewnie nic

takiego, ale na wszelki wypadek niech pan pójdzie z tym do lekarza.

Gapili się na mnie, gdy szedłem do samochodu.

Wracałem odrętwiały. Droga biegła brzegiem Manham Water, płytkiego jeziora, a raczej bagnistego

jeziorka, które co roku robiło się mniejsze, przegrywając walkę z agresywną trzcina. Jego powierzchnia

była gładka jak lustro i zburzyło ją dopiero stadko dzikich gęsi, które tam wylądowały. Ani jezioro, ani

przecinające mokradła wąziutkie, częściowo zarośnięte strumyki nie nadawały się do żeglugi, a ponieważ

w pobliżu nie było żadnej rzeki, turyści i motorowodniacy, od których latem roiło się w Broads, omijali

Manham szerokim łukiem. Choć od sąsiedniego miasteczka dzieliło nas ledwie kilka kilometrów,

zdawało się, że mieszkamy w zupełnie innej części Norfolk, w części starszej i zdecydowanie mniej

gościnnej. Otoczone lasami, bagniskami i źle osuszonymi mokradłami Manham było dosłownie za

ścianką. Nie licząc ornitologów-amatorów, nie odwiedzał nas praktycznie nikt, dlatego miasteczko

coraz bardziej izolowało się od świata niczym stary, stetryczały samotnik.

Ale jakby na przekór temu wszystkiemu tego wieczoru wyglądało niemal wesoło. Klomby przed kościołem

i na skwerku wyglądały w słońcu jak barwne plamy, plamy tak jaskrawe, że gdy popatrzyłem na nie

dłużej, rozboleły mnie oczy. Skrupulatnie pielęgnowane przez George'a Masona i jego wnuka, ogrodników,

których spotkałem pierwszego dnia na cmentarzu, były dumą wszystkich mieszkańców Manham.

Girlandami kwiatów ozdobiono nawet stojący na skwerze pomnik Męczennicy. Dzieci z miejscowej szkoły

robiły to co roku, żeby uczcić pamięć kobiety, którą w szesnastym wieku ukamienowali sąsiedzi. Legenda

głosiła, że kobieta ta wyleczyła śmiertelnie chore niemowlę tylko po to, żeby uznano ją za czarownicę.

Henry żartował, że tylko w Manham można ukamienować kogoś za dobry uczynek, i twierdził, że obydwaj

powinniśmy wyciągnąć z tego stosowne wnioski.

Nie miałem ochoty wracać do domu, więc pojechałem do przychodni. Często bywałem tam nawet wtedy,

gdy nie musiałem. W domu czułem się samotnie, podczas gdy w przychodni miałem chociaż wrażenie, że

pracuję. Wszedłem bocznymi drzwiami, które prowadziły do malej, lecz niezależnej i samowystarczalnej

poradni. Stara oranżeria, zielona i wilgotna od kwiatów, starannie pielęgnowanych przez Janice, służyła

teraz za recepcję i poczekalnię. W kilku pokojach na parterze mieszkał Henry. Ale pokoje te znajdowały się

na drugim końcu domu, który był wystarczająco duży, żeby pomieścić nas wszystkich. Ja przejąłem jego

stary gabinet i gdy zamknąłem za sobą drzwi, natychmiast uspokoił mnie kojący zapach starego drewna i

woskowej pasty do podłóg. Chociaż od przyjazdu pracowałem tu niemal codziennie, w gabinecie wciąż

wyczuwało się obecność Henry'ego: stary obraz scena myśliwska biurko z żaluzjowym zamknięciem,

wielki skórzany fotel. Półki były wypełnione starymi księgami medycznymi, czasopismami i książkami,

które rzadko kiedy widuje się u wiejskiego lekarza: pracami Kanta i Nietzschego oraz książkami

psychologicznymi; te ostatnie zajmowały całą półkę, ponieważ psychologia była jego konikiem. Moim je

dynym wkładem w umeblowanie gabinetu był komputer cicho szumiący na biurku; Henry zgodził się na tę

innowację bardzo niechętnie zresztą dopiero po wielomiesięcznych perswazjach.

Nie wyzdrowiał i nie wrócił do pracy na pełen etat. Podobnie jak jego wózek, moja tymczasowa umowa

zmieniła się w coś bardziej trwałego. Henry najpierw ją przedłużył, a gdy okazało się, że nie będzie w

stanie samodzielnie praktykować, zaproponował, żebym został jego wspólnikiem. Nawet land rover

defender, którym teraz jeździłem, należał kiedyś do niego. Był stary i dobitny, Henry kupił go po wypadku,

w którym stracił żonę Dianę i władzę w nogach. Było to swoiste oświadczenie woli i złożył je, kiedy miał

jeszcze nadzieję, że będzie mógł prowadzić i chodzić. Okazało się, że nie może. I jak zapewniali lekarze

nigdy nie będzie mógł.

Idioci szydził. Dać takiemu biały kitel i pomyśli, że jest Bogiem.

Ale w końcu musiał pogodzić się z tym, że mieli rację. I tak odziedziczyłem nie tylko land rovera, ale i

większość jego pacjentów. Początkowo dzieliliśmy się nimi po równo, ale z biegiem czasu mój udział

znacznie wzrósł. Ale to bynajmniej nie zmieniło faktu, że w oczach większości mieszkańców to on był

„naszym doktorem”, choć już dawno przestałem zwracać na to uwagę. Ja wciąż byłem „tym nowym” i

wiedziałem, że na zawsze nim pozostanę.

Teraz, w popołudniowym upale, próbowałem odwiedzić kilka medycznych witryn internetowych, lecz nie

miałem do tego serca. Wstałem i podszedłem do okna. Na biurku buczał wentylator, hałaśliwie mieszając

stężałe powietrze i zupełnie go nie chłodząc. Nawet z szeroko otwartymi oknami różnica była tylko

psychologiczna. Popatrzyłem na starannie utrzymany ogród. Podobnie jak wszystko inne, był zupełnie

suchy; krzewy i trawa więdły dosłownie w oczach. Jezioro dochodziło niemal do samego ogrodu i przed

nieuchronną zimową powodzią chronił go jedynie niski nasyp. Przy molo cumowała jolka, stara żaglówka

Henry'ego. Żaglówka, a raczej zwykła łódź wiosłowa, ale Manham Water było za płytkie na coś innego.

Chociaż nie umywało się do cieśniny Solent i chociaż tu i ówdzie było gęsto

porośnięte wodorostami,

obydwaj lubiliśmy po nim pływać.

Ale tego dnia nie było szans na postawienie żagla. Tafla jeziora przypominała idealnie gładką stalową

płytkę. Z miejsca, gdzie stałem, widać było jedynie cieniutką kreseczką trzciny, oddzielającą wodę od nieba.

Nad nią i pod nią rozciągała się zupełna pustka, która zależnie od nastroju obserwatora mogła albo

podnieść na duchu, albo dobić. Tego dnia mnie nie podniosła.

To ty? Tak myślałem.

Do pokoju wjechał na wózku Henry.

Chciałem tu trochę posprzątać odparłem, wracając do rzeczywistości.

Gorąco jak w piecu, cholera... mruknął, zatrzymując się przed wentylatorem. Kremowobiałe

włosy, opalona twarz, ciemne, bystre oczy: nie licząc tego, że nie miał władzy w nogach, wyglądał jak okaz

zdrowia. Co to za historia z tym trupem? Ponoć chłopcy Yatesów znaleźli trupa. Janice usta się nie

zamykały.

Prawie w każdą niedzielę Janice przynosiła mu na przykrytym talerzu to, co akurat dla siebie ugotowała.

Henry upierał się, że lunch potrafi ugotować sobie sam, ale zauważyłem, że rzadko kiedy z nią wygrywa.

Janice była świetną kucharką i podejrzewałem, że jej uczucia dla Henry'ego wykraczają poza te, jakimi

gosposia powinna darzyć swego chlebodawcę. Podejrzewałem również, że ponieważ była starą panną jej

dezaprobatą dla zmarłej żony Henry'ego wpływa głównie z zazdrości, chociaż często wspominała też o

jakimś dawnym skandalu. Powiedziałem jej bez ogródek, że nie chcę o tym wiedzieć. Nawet jeśli jego

małżeństwo nie należało do idyllicznych, jak je teraz przedstawiał, nie zamierzałem w nim grzebać.

Ale zupełnie nie zaskoczyło mnie to, że Janice wiedziała o zwłokach. W miasteczku musiało huczeć od

plotek.

Tak, w lesie Farnhama.

Pewnie jakiś ornitolog. Forsowny marsz z plecakiem w takim upale...

Pewnie tak.

Słyszając ton mojego głosu, uniósł brwi.

Nie? W takim razie co? Chcesz powiedzieć, że to morderstwo? Trochę by się tu ożywiło! Nie

uśmiechnąłem się, więc też przestał się uśmiechać. Coś mi mówi, że to był kiepski żart.

Opowiedziałem mu o mojej wizycie w domu Sally Palmer z nadzieją że kiedy komuś o tym opowiem, to, co

mnie gnębiło, stanie się mniej prawdopodobne. Ale się nie stało.

Jezu Chryste mruknął głucho, gdy skończyłem. 1 policja myśli, że to może być ona?

Nie, tego nie powiedzieli. Pewnie jeszcze za wcześnie.

Boże święty, co za koszmar.

Może to nie ona.

Nie, oczywiście, że to nie ona odparł, lecz widziałem, że nie wierzy w to tak samo jak ja. Nie

wiem jak ty, ale ja mam ochotę na kielicha.

Dzięki, ale spasuję.

Oszczędzasz się na Owieczkę?

Pub Pod Czarną Owieczką był jedynym pubem w Manham. Często tam chodziłem, lecz wiedziałem, że tego

wieczoru na pewno nie zechcę przyłączyć się do rozmowy. Nie na ten temat.

Nie, chyba zostanę w domu odrzekłem.

Mieszkałem w starym, kamiennym domu na skraju miasta. Kupiłem go, gdy stało się oczywiste, że

ostatecznie zostanę tu dłużej niż pół roku. Henry proponował, żebym zamieszkał z nim; Bank House był

tak duży, że na pewno bym mu nie przeszkadzał mój kamienny domek zmieściłby się w jego piwnicy. Ale

wolałem przeprowadzić się na swoje, poczuć, że zapuszczam tu korzenie, zamiast stale siedzieć na

walizkach. Chociaż bardzo lubiłem moją pracę, nie chciałem żyć nią przez całą dobę. Bywały takie chwile,

kiedy dobrze było wyjść i zamknąć za sobą drzwi z nadzieją, że telefon nie zadzwoni przynajmniej przez

kilka najbliższych godzin.

I to była jedna z nich. Do kościoła szło kilkoro ludzi na wieczorną mszę. Witał ich w drzwiach pastor

Scarsdale, stary ponurak, którego nie lubiłem. Ale mieszkał tu od lat i przez ten czas zebrał gromadkę

wiernych wyznawców. Gestem ręki pozdrowiłem Judith Sutton, wdowę, która mieszkała z dorosłym

synem Rupertem, wielkim, niezdarnym tłuściochem, który zawsze chodził parę kroków za swoją władczą,

apodyktyczną matką. Judith rozmawiała z Lee i Marjority Goodchildami, wymuskaną parą starych,

szttywnych hipochondryków, naszych stałych pacjentów. Miałem nadzieję, że nie zatrzymają mnie, żeby

zasięgnąć ulicznej porady. W Manham nie było czegoś takiego jak dzień wolny od

pracy.

Ale tego wieczoru nie zatrzymali mnie ani oni, ani nikt inny. Zaparkowałem na spieczonej ziemi z boku

domu i otworzyłem drzwi. W środku było duszno. Otworzyłem okna na oścież i wyjąłem piwo z lodówki.

Nie miałem ochoty iść do pubu, mimo to chciałem się napić. Zdawszy sobie sprawę jak bardzo, wstawiłem

piwo z powrotem do lodówki i nalałem sobie dżinu z tonikiem.

Wrzuciłem do szklanki kruszony lód, dodałem kawałek cytryny i usiadłem przy małym, drewnianym stole

w ogrodzie za domem. Z ogrodu widać było łąkę i las i chociaż widok nie był tak spektakularny jak ten z

okna gabinetu w przychodni, nie był też odstręczający. Niespiesznie wypilem dżin, zrobiłem sobie omlet i

zjadłem w ogrodzie. Upał powoli ustępował. Nareszcie. Siedziałem przy drewnianym stole i patrzyłem, jak

na niebie nieśmiało pokazują się pierwsze gwiazdy. Myślałem o tym, co musiało dziać się kilka kilometrów

dalej, w tej do niedawna spokojnej okolicy, gdzie synowie Lindy Yates dokonali swego odkrycia.

Próbowałem wyobrazić sobie, że Sally Palmer jest bezpieczna, że gdzieś się teraz śmieje, pragnąłem

zmusić ją do tego samym myśleniem. Ale nie wiedzieć czemu, nie mogłem utrzymać w pamięci jej obrazu.

Odkładając na później chwilę, kiedy będę musiał się wreszcie położyć i stawić czoło snom, siedziałem tam,

dopóki niebo nie nabrało barwy ciemnego indygo i dopóki nie upstrzyły go migotliwe punkciki gwiazd,

plamki dawno już martwego światła.,

Obudziłem się gwałtownie, bez tchu i zlany potem. Rozejrzałem się, nie wiedząc,

gdzie jestem. Stałem

nago w otwartym oknie sypialni. Wychylałem się na zewnątrz i niski parapet wrzynał mi się w uda.

Chwiejnie zrobiłem krok do tyłu i usiadłem na łóżku. Zmięte prześcieradło niemal świeciło w blasku

księżycyca. Siedziałem tak i czekałem, aż przestanie mi walić serce, aż obeschną łzy.

Znowu miałem ten sen.

Zły sen. Zły i jak zawsze tak plastyczny, że przebudzenie zdawało się iluzją, a sen rzeczywistością. Właśnie

to było najokrutniejsze. Najokrutniejsze dlatego, że we śnie Kara i Alice, moja żona i sześćioletnia

córeczka, wciąż żyły. Widziałem je, rozmawiałem z nimi. Dotykałem ich. We śnie wciąż wierzyłem, że

mamy przed sobą przyszłość, nie tylko przeszłość.

Bąłem się tych snów. Nie tak, jak ludzie boją się nocnych koszmarów, bo nie było w nich nic strasznego.

Nie, przeciwnie.

Bąłem się ich dlatego, że prędezej czy później musiałem się obudzić.

A wtedy smutek i poczucie straty były równie silne jak w dniu, kiedy to się stało. Często budziłem się, by

stwierdzić, że jestem poza łóżkiem, że śpiąc, chodziłem, że lunatykowałem, zupełnie nie zdając sobie z

tego sprawy. Że stoję w otwartym oknie, tak jak choćby teraz, czy na szczycie stromych, bezlitosnych

schodów, nie pamiętając, jak tam trafiłem, nie wiedząc, co mnie do tego pchnęło.

Zadrżałem w lepkiem cieple nocy. W oddali zaszczekał samotny lis. Po chwili położyłem się i patrzyłem w

sufit, dopóki nie wypłowały mroczne cienie, dopóki nie ustąpiła ciemność.

Rozdział 4

Mad mokradłami stała jeszcze mgła, gdy Lyn Metcalf zamknęła za sobą drzwi i wyruszyła na poranną przebieżkę. Biegła lekko i z łatwością, bo lubiła biegać. Naciągnięty mięsień łydki już nie bolał, mimo to nie chciała przesadzić, dlatego biegła długim, swobodnym krokiem. Na końcu wąskiej ścieżki prowadzącej do domu skręciła w porośniętą dróżkę, która przecinała mokradła i dochodziła aż do jeziora. Jej nogi smagała wysoka, zimna i wciąż mokra od rosy trawa. Lyn oddychała głęboko, rozkoszując się wrażeniami i doznaniem. Chociaż był poniedziałek, nie umiała wyobrazić sobie lepszego początku nowego tygodnia. Była to jej ulubiona pora dnia, bo o poranku nie musiała jeszcze myśleć o bilansach okolicznych farmerów i drobnych przedsiębiorców, którzy i tak nie słuchali jej rad, bo dzień wciąż jeszcze tchnął optymizmem, bo nikt nie zdążył go jeszcze zepsuć. O poranku wszystko było świeże i wyraźne, wszystko sprowadzało się do głuchego, rytmicznego odgłosu, jaki wydawały uderzające w ziemię buty, do równego, chrapliwego oddechu.

Miała trzydzieści jeden lat i była dumna ze swojej formy. Dumna, że potrafiła utrzymać rygor, który sama sobie narzuciła, i że dzięki temu zdołała zachować zgrabną sylwetkę, co z kolei oznaczało, że wciąż mogła biegać w obcisłych szortach i kusym topie. Świetnie w tym stroju wyglądała. Ale nie, nie była na tyle próżna, żeby się tym komuś chwalić. Naprawdę lubiła sport, dlatego było jej łatwiej. Lubiała się forsować, sprawdzać, ile da radę wytrzymać, czy wytrzyma jeszcze więcej. Włożyć adidas i przebiec dziesięć kilometrów w budzącym się do życia świecie jeśli istniał lepszy sposób na rozpoczęcie dnia, nie zdążyła go jeszcze poznać.

Zgoda, nie licząc seksu, oczywiście. Chociaż seks stracił ostatnio trochę smaczku. Nie żeby narzekała: już na sam widok Marcusa zmywającego pod prysznicem kurz dnia, na widok porastających jego ciało włosów, które woda zmieniała w futerko wydry, czuła, że ściska ją w podbrzuszu. Ale to, co kryło się pod maską czystej przyjemności, odbierało radość zarówno jej, jak i jemu. Zwłaszcza że nie przynosiło żadnych rezultatów. Jak dotąd.

Przeskoczyła nad głęboką koleiną, utrzymując tempo, uważając, żeby nie wypaść z rytmu. Żeby nie wypaść z rytmu, pomyślała cierpko. Wolałaby wypaść. Jeśli chodziło o rytm, rytmiczność i cykliczność, jej ciało było jak zegarek. Znienawidzony okres występował dokładnie co miesiąc, niemal codo dnia, sygnalizując koniec kolejnego cyklu i początek kolejnego rozczarowania. Lekarze twierdzili, że wszystko z nimi w porządku, i z nią, i z nim. Że po prostu u niektórych dłużej to trwa, nikt nie wie dlaczego. Próbcie dalej, mówili. No więc próbowali, początkowo chętnie i radośnie, śmiejąc się, że z medycznym błogosławieństwem mogą robić coś, co i tak sprawia im frajdę. Marcus żartował, że uprawiają seks na receptę. Ale żartobliwy nastrój stopniowo wygasł, ustępując miejsca czemuś bliskiemu desperacji, w każdym razie jej embrionicznym początkom. I desperacja ta zaczynała rzutować na wszystko inne,

na każdy aspekt ich życia.

nie żeby się do tego przyznawali. Mimo to obydwójce czuli, że tak jest. Wiedziała, że Marcus nie może pogodzić się z tym, iż ona jako księgowa zarabia więcej niż on jako budowlaniec. Jeszcze nie zaczęli się wzajemnie oskarżać, ale bała się, że mogą. Wiedziała też, że jest w stanie mu dogryźć, tak samo jak on jej. Na razie zapewniali się wzajemnie, że nie ma się czym martwić, że nie ma pośpiechu. Ale próbowali już od lat, a za cztery lata miała osiągnąć wiek, który jak zawsze twierdziła będzie wiekiem nieprzekraczalnym. Szybko to sobie przemnożyła. Jeszcze tylko czterdzieści osiem okresów. Przeróżająco blisko. Czterdzieści

osiem potencjalnych rozczarowań, nie licząc tych, które już przeżyła. Z tym, że ten miesiąc był inny. W tym

miesiącu rozczarowanie spóźniało się już o trzy dni.

Szybko stłumiła gwałtowny przyływ nadziei. Na nadzieję było za wcześnie. Nie powiedziała nawet

Marcusowi. Bo i po co? Żeby znowu się rozczarował? Nie, zaczeka jeszcze kilka dni, a potem zrobi test

ciążowy. Już na samą myśl o teście ścisnęło ją w brzuchu. Biegnij, nakazała sobie stanowczo. Biegnij i nie

myśl.

Wschodziło słońce i niebo zaczynało nabierać połysku. Ścieżka prowadziła wzdłuż grobli nad jeziorem,

przez trzciny w kierunku ciemniejszego w oddali lasu. Nad wodą powoli kłębiła się mgła, jakby zaraz

miało tam coś wybuchnąć. Ciszę przerywał jedynie plusk niewidocznych ryb. Uwielbiała ten odgłos.

Uwielbiała lato, uwielbiała ten krajobraz. Urodziła się tu i wychowała, potem wyjechała na studia, często

bywała za granicą. Ale zawsze wracała. To poletko Pana Boga, mawiał jej ojciec. Nie wierzyła w Boga,

niezupełnie, ale wiedziała, co miał na myśli.

Dobiegała do miejsca, gdzie rozpoczynał się jej ulubiony fragment trasy. Las. Skręciła na rozwidleniu

ścieżki i zwolniła, gdy nad jej głową zamknęły się mroczne korony drzew. W tym świetle łatwo było

potknąć się o jakiś korzeń. To właśnie tu się kiedyś potknęła i nadwerżyła sobie mięsień łydki. Minęły

prawie dwa miesiące, zanim znowu mogła biegać.

Ale wschodzące słońce zaczynało już rozpraszać mrok, zmieniając liściasty baldachim w drobniutką,

światlistą koronką. Las był prastary i przypominał labirynt oplecionych pnączami drzew, sterczących z

miękkiej, zdradliwej ziemi. Było tu mnóstwo krętych ścieżek i drózek, które zmyliwszy nieświadomego

wędrowca, mogły zaprowadzić go w głuche ostępy i nagle zniknąć. Kiedy się tu przeprowadzili, podczas

jednej z porannych przebieżek Lyn popełniła błąd i skręciła nie tam, gdzie trzeba. Zabłądziła i minęło

wiele godzin, zanim wyszła na znajomą ścieżkę. Marcus szalał z niepokoju i wściekłości gdy w końcu

dotarła do domu. Od tamtej pory zawsze trzymała się utartego i sprawdzonego szlaku.

Dokładnie w połowie prawie dziesięciokilometrowej trasy była mała polana, na której leżał, a właściwie

stał wielki kamień. Porośnięty trawą mchem mógł być niegdyś fragmentem wielkiego kamiennego kręgu

albo częścią bramy. Nikt już tego nie pamiętał. Jego historia i tajemnice tonęły w mroku dziejów. Był

jednak wygodnym punktem orientacyjnym i Lyn miała zwyczaj klepać go czule przed wyruszeniem w

drogę powrotną. Polanka była już niedaleko, dzieliło ją od niej najwyżej kilka minut biegu. Oddychając

głęboko, lecz równo, pomyślała o śniadaniu nie ma to jak skuteczny bodziec do większego wysiłku.

Nie była pewna, kiedy poczuła się nieswojo. Na pewno nie nagle. Przypominało to raczej narastające

wrażenie czegoś obcego i wrogiego, podświadomy niepokój, który w końcu stał się niepokojem

świadomym. W lesie zrobiło się nagle nienaturalnie cicho. Las zaczął ją nagle

przytłaczać. Odgłos jej

kroków przybrał na sile i brzmiał teraz dużo głośniejsze niż zwykle. Dziwne uczucie. Chciała je zignorować,

odpędzić, lecz wciąż powracało. Stawało się coraz silniejsze. Zwalczyła pokusę, żeby obejrzeć się za siebie.

Co się z nią, do diabła, działo? Przecież biegała tędy od dwóch lat. I nigdy dotąd tak się nie czuła.

Ale teraz było inaczej. Teraz miała wrażenie, że coś ją obserwuje. Stanęły jej dęba włoski na karku.

Przestań, pomyślała. Nie bądź głupia. Jednakże pokusa, żeby zerknąć za siebie, cały czas narastała. Lyn

wbiła wzrok w ziemię. Jediną żywą istotą, jaką kiedykolwiek tu widziała, był jelen. Ale dawała głowę, że

to, co tam czyha, nie jest jeleniem. No, bo nie jest, kretyńko. Bo nic tam nie czyha. To tylko wyobraźnia.

Spóźnia ci się okres i dostajesz szmergla.

Myśl ta odciągnęła jej uwagę od otoczenia, ale tylko na sekundę. Zaryzykowała i szybko podniosła głowę.

Zdażyła tylko zobaczyć ciemne gałęzie i krętą ścieżkę, gdyż zaraz potem zahaczyła o coś nogą. Potknęła się

i dziko wymachując rękami, z trudem utrzymała równowagę. Serce waliło jej jak młotem. Idiotka! Polana

była tużtuż, leśny przesmyk, pocętkowana słońcem oaza. Przyspieszyła kroku, klepnęła porośnięty

mchem kamień i szybko się odwróciła.

Nic. Tylko cieniste, ponure drzewa.

A czego się spodziewałaś? Leśnych skrzatów? Mimo to ani drgnęła. Nie śpiewały ptaki, nie brzęczały

owady. Zdawało się, że las wstrzymał oddech i popadł w cichą zadumę. Lyn bała się mu przeszkodzić, bała

się opuścić schronienie na polanie i ponownie wejść między gęste drzewa. To co teraz zrobisz? Będziesz tu

sterczeć przez cały dzień?

Niewiele myśląc, odepchnęła się od kamienia. Jeszcze tylko pięć minut i ponownie wybiegnie na otwartą

przestrzeń. Otwarte łąki, otwarte jezioro, otwarte niebo wyobraziła to sobie i niepokój nieco zelżał.

Między mrocznymi drzewami pojaśniało, kilkaset metrów dalej zza konarów wychynęło słońce. Zaczęła

się już odprężyć i wtedy zobaczyła coś na ziemi.

Przystanęła. Dokładnie pośrodku ścieżki leżał martwy królik. Jakby ktoś chciał go jej podarować. Nie, nie

królik. Zając. Miał zmierzwioną i zakrwawioną sierść.

Przedtem go tu nie było.

Lyn rozejrzała się wokół. Ale drzewa nie chciały jej odpowiedzieć, skąd się wziął, nie chciały nic

zdradzić. Obeszła go z boku i puściła się biegiem przed siebie. To lis, pomyślała, ponownie wpadając w

rytm. Pewnie go spłoszyła. Ale żaden lis, spłoszony czy nie, nie porzuciłby zdobyczy. Poza tym, zając nie wyglądał tak, jakby go upuszczono. Wyglądał tak, jakby... Celowo go tam podrzucono.

Co za głupota. Odpędziła tę myśl i popędziła dalej. A potem wybiegła z lasu i zobaczyła jezioro. Niepokój zaczął powoli znikać, maleć z każdym krokiem. W pełnym słońcu zdawał się absurdalny. Nawet żenujący. Jej mąż Marcus mówił potem, że gdy wróciła do domu, w radiu nadawano wiadomości. Wkładając grzankę do tostera i krojąc banana, powiedział, że ledwie kilka kilometrów od ich domu znaleziono ludzkie zwłoki. Lyn natychmiast skojarzyła to sobie z martwym zającem i opowiedziała mu o swojej leśnej przygodzie, o tym, jak bardzo się przestraszyła. Ale teraz śmiała się z tego i żartowała, i zanim grzanka wyskoczyła z tostera, obydwójce uznali, że był to tylko nic nieznaczący incydent. Gdy wyszła spod prysznic, zaczęli rozmawiać o czymś innym.

Rozdział 5

Mackenzie przyjechał w połowie porannego dyżuru. Janice zawiadomiła mnie o tym, przynosząc kartę

kolejnego pacjenta. Miała wielkie oczy, z ciekawości i zaintrygowania.

Policja do pana szepnęła. Inspektor Mackenzie.

Nie wiem dlaczego, ale wcale mnie to nie zdziwiło. Spojrzałem na kartę. Ann Benchley,

osiemdziesięcioletnia staruszka z chronicznym artretyzmem. Stała pacjentka.

Ilu jeszcze zostało? spytałem, grając na zwłokę.

Razem z panią Benchley, jeszcze czworo.

... Niech pani mu powie, że za chwilę. I poprosi panią Benchley.

Była zaskoczona, ale nic nie powiedziała. Wątpiłem, żeby do tego czasu był w miasteczku ktoś, kto nie

słyszał o zwłokach. Ale chyba nikt nie kojarzył ich jeszcze z Sally Palmer. Ciekawiło mnie, kiedy i kto

zacznie.

Dopóki Janice nie wyszła z gabinetu, udawałem, że przeglądam kartę pani Benchley. Wiedziałem, że

Mackenzie nie przyjechałby do mnie, gdyby sprawa nie była naprawdę pilna, a wątpiłem, żeby któryś z

moich pacjentów cierpiał na coś, co wymagało natychmiastowej interwencji. Nie byłem pewien, dlaczego

kazałem mu czekać. Zrobiłem to pewnie dlatego, że nie miałem ochoty wysłuchiwać tego, co miał mi do

powiedzenia.

Myślałem o tym, rozmawiając z panią Benchley. Gdy pokazała mi swoje artretycznie powykręcane dłonie,

zrobiłem współczującą minę, wypisując receptę, uspokajałem ją bezsensownie i pocieszałem, a gdy

zadowolona wychodziła z gabinetu, uśmiechnąłem się do niej z roztargnieniem. Nie, nie mogłem tego

dłużej odkładać.

Janice, proszę go wpuścić.

Chyba jest zły szepnęła ostrzegawczo gosposia.

Fakt, Mackenzie nie robił wrażenia rozradowanego policjanta. Miał czerwoną z gniewu twarz i

wojowniczo sterczący podbródek.

Miło mi pana widzieć, doktorze rzucił z nieukrywanym sarkazmem. W ręku trzymał skórzaną

teczkę. Usiadł bez zaproszenia i położył ją sobie na kolanach.

W czym mogę panu pomóc, panie inspektorze?

Chciałbym wyjaśnić parę spraw.

Zidentyfikowaliście zwłoki?

Jeszcze nie.

Wyjął torebkę miętówek i wrzucił jedną sobie do ust. Czekałem. Znałem zbyt wielu policjantów, żeby takie

gierki mogły wyprowadzić mnie z równowagi.

Nie przypuszczałem, że są jeszcze takie miejsca zaczął. Wie pan, małe miasteczko, lekarz

rodzinny, domowe wizyty... Rozejrzał się po gabinecie. Jego wzrok spoczął na półce z książkami. Sama

psychologia. Interesuje się pan psychologią?

To książki mojego współnika.

Aha. Ilu macie pacjentów? Zastanawiałem się, dokąd to wszystko zmierza.

Pięciuset, może sześciuset.

Aż tyłu?

Miasteczko jest małe, ale przyjeżdżają tu z całej okolicy. Kiwnął głową, jakby była to zwyczajna

pogawędka.

Ale pracuje się tu trochę inaczej niż w dużym mieście. Prawda?

Chyba tak.

Nie tęskni pan za Londynem?

W tym momencie wszystko zrozumiałem. I znowu bez specjalnego zaskoczenia. Poczulem tylko większy

ciężar na barkach.

Proszę mi lepiej powiedzieć, z czym pan przychodzi.

Po naszej wczorajszej rozmowie przeprowadziłem mały wywiad. Cóż, ostatecznie jestem

policjantem. Spojrzał na mnie chłodno. Ma pan imponujący życiorys, doktorze. Wiejski lekarz i coś

takiego? Proszę, proszę...

Rozpiął teczkę i teatralnym gestem zaczął przerzucać kartki.

Zrobił pan dyplom, a potem doktorat z antropologii. Piszą tu, że był z pana wybitnie zdolny

naukowiec, zdolny i ambitny. Wyjechał pan do Stanów, wykładał pan na uniwersytecie W Tennessee,

potem wrócił pan do Anglii i zrobił specjalizację z antropologii sądowej.

Przekrzywił głowę.

Antropologia sądowa. Wie pan, jestem policjantem prawie od dwudziestu lat, ale nie wiedziałem, co to takiego. „Sądowa”, tak, to jasne, ale antropologia? Zawsze myślałem, że antropolodzy

badają stare kości. Trochę tak jak archeolodzy. Cóż, człowiek uczy się przez całe

życie...

Nie chciałbym pana poganiać, ale czekają na mnie pacjenci.

Och, proszę się nie martwić, nie zabiorę panu więcej czasu, niż to konieczne. W Internecie

znalazłem też kilka pańskich artykułów. Mają ciekawe tytuły. Podniósł kartkę. „Rola entomologii w

oznaczaniu czasu śmierci”. „Chemia rozkładu zwłok”.

Opuścił kartkę.

. Bardzo to wszystko specjalistyczne. Dlatego zadzwoniłem do znajomego z Londynu; jest inspektorem

tamtejszej policji. Okazało się, że dużo o panu słyszał. Proszę, cóż za niespodzianka. Wygląda na to, że

pracował pan jako ich konsultant w kilku poważnych śledztwach, sprawach o morderstwo. W Anglii, w

Szkocji, nawet w Irlandii Północnej. Ten znajomy twierdzi, że jest pan jednym z nielicznych w pełni

wykwalifikowanych i licencjonowanych antropologów sądowych w naszym kraju. Że pracował pan przy

masowych grobach w Iraku, Bośni, w Kongo, wszędzie. Że jest pan ekspertem od ludzkich szczątków. Nie

od ich identyfikowania, tylko od ustalania czasu i sposobu śmierci. Że przejmuje pan pałeczkę po

patologu...

Panie inspektorze, o co właściwie chodzi?

O to, że cały czas zastanawiam się, dlaczego nie wspomniał pan o tym podczas naszej

wczorajszej rozmowy. Przecież wiedział pan, że znaleźliśmy zwłoki i że chcemy je jak najszybciej

zidentyfikować. Mackenzie mówił cicho, ale jeszcze bardziej poczerwieniała mu

twarz. Mój znajomy z

Londynu uważa, że to przezabawne. Oto ja, główny inspektor, prowadzę śledztwo w sprawie o

morderstwo, nie wiedząc, że mam pod ręką jednego z najwybitniejszych antropologów sądowych w kraju,

który udaje zwykłego lekarza.

W końcu przyznał, że jest to śledztwo w sprawie o morderstwo i nie uszło to mojej uwagi.

Ja nie udaję. Jestem lekarzem.

Ale i kimś więcej, prawda? Po co te tajemnice, panie doktorze?

To, co robiłem kiedyś, nie ma już znaczenia. Teraz jestem lekarzem. Mackenzie przyglądał się

mi, jakby nie wiedział, czy żartuję czy nie.

Po telefonie do Londynu ciągnął zadzwoniłem jeszcze w kilka miejsc. Wiem, że praktykuje

pan jako lekarz od trzech lat. Rzucił pan antropologię sądową i przyjechał tu po tym, jak pańska żona i

córka zginęły w wypadku samochodowym. Pijany kierowca tego drugiego samochodu wyszedł z wypadku

bez szwanku.

Znieruchomiałem. Mackenzie był na tyle przyzwoity, że zrobił współczującą minę.

Nie chcę otwierać starych ran. Może bym nie musiał, gdyby był pan ze mną szczery. Krótco

mówiąc, chodzi o to, że dobrze by było, gdyby nam pan pomógł.

Wiedziałem, że czeka, aż spytam w czym, ale nie spytałem. Mówił więc dalej.

Stan zwłok utrudnia identyfikację. Wiemy tylko, że to kobieta, nic więcej. I dopóki jej nie

zidentyfikujemy, jesteśmy uziemieni. Nie możemy rozpocząć właściwego śledztwa,

dopóki nie ustalimy na

sto procent, kim jest ofiara. Z trudem odzyskałem głos.

Powiedział pan: „Na sto procent”. Przecież jesteście tego niemal pewni. Prawda?

Sally Palmer? Ciągłe próbujemy ustalić miejsce jej pobytu. Spodziewałem się tej odpowiedzi,

mimo to bardzo mną wstrząsnęła.

Kilkoro gości widziało ją w pubie na grillu ciągnął Mackenzie ale jak dotąd nie znaleźliśmy

nikogo, kto widziałby ją potem. To już prawie dwa tygodnie. Pobraliśmy próbki DNA, ze zwłok i z jej

domu, ale wyniki będą dopiero za tydzień.

A odciski palców?

Odpada, nie damy rady ich zdjąć. Jeszcze nie wiemy, czy celowo je usunięto, czy uniemożliwia

to stan rozkładu zwłok.

W takim razie spróbujcie ustalić tożsamość po zębach. Mackenzie pokręcił głową.

Za mało ich zostało.

Ktoś je wybił?

Można tak powiedzieć. Niewykluczone, że celowo, żeby uniemożliwić identyfikację albo jest to

skutek uboczny odniesionych ran. Jeszcze tego nie wiemy.

Przetarłem oczy.

A więc to na pewno morderstwo?

O tak, na pewno odparł ponuro Mackenzie. Trudno powiedzieć, czy została zgwałcona, ale

prawdopodobnie tak. Zgwałcona, a potem zabita.

Jak?

Mackenzie wyjął bez słowa dużą kopertę i rzucił ją na biurko. Z koperty wystawała krawędź błyszczącego

zdjęcia. Wyciągnąłem rękę, zanim zdałem sobie sprawę z tego, co robię.

Odepchnąłem kopertę.

Nie, dziękuję.

Myślałem, że zechce pan obejrzeć.

Już mówiłem, nie mogę wam pomóc.

Nie może pan czy nie chce? Pokręciłem głową.

Przykro mi.

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę i gwałtownie wstał.

Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi tyle czasu. Miał zimny głos.

O czymś pan zapomniał. Podniosłem kopertę.

Niech pan to zatrzyma. Może obejrzy pan później.

Wyszedł. Wciąż trzymałem kopertą w ręku. Wystarczyło tylko wysunąć zdjęcia. Zamiast tego wrzuciłem ją

do szuflady. Zamknąłem szufladę i kazałem Janice poprosić kolejnego pacjenta.

Ale obecność zdjęć odczuwałem przez cały poranny dyżur. Przeszkadzała mi w każdej rozmowie, w

każdym badaniu. Po wyjściu ostatniego pacjenta próbowałem zająć się wypełnianiem kart. Gdy

skończyłem, podszedłem do drzwi na balkon i wbiłem wzrok w dal. Jeszcze tylko dwie wizyty domowe i

resztę popołudnia będę miał dla siebie. Gdyby choć trochę wiało, chętnie bym pożeglował. Ale na jeziorze

była taka sama flauta jak na suchym lądzie.

Gdy Mackenzie zaczął grzebać w mojej przeszłości, ogarnęło mnie dziwne odrętwienie. Równie dobrze

mógłby mówić o kimś innym. I w sumie mówił. Byłem kiedyś innym człowiekiem. Byłem Davidem

Hunterem, który zgłębił chemię śmierci, widział produkt końcowy niezliczonych przypadków gwałtu i

przemocy, wypadków naturalnych i mieszanych. Który na co dzień widywał pozbawione skalpów czaszki i

szczyił się wiedzą, której istnienia wielu nawet nie podejrzewało. To, co działo się z ludzkim ciałem po

śmierci, nie było dla mnie żadną tajemnicą. Byłem w zażyłych stosunkach z rozkładem we wszelkiej

postaci i umiałem przedstawić na wykresie jego postęp w zależności od pogody, rodzaju gleby i pory roku.

To makabryczne, tak, ale i konieczne. Niczym cyrkowy sztukmistrz, czerpałem satysfakcję z tego, że

niemal zawsze potrafiłem powiedzieć, kiedy, jak i kto. Nigdy nie zapomniałem, że mam do czynienia z

ludźmi. Ale z ludźmi tylko w sensie abstrakcyjnym poznawałem ich dopiero po śmierci, za życia byli mi

obcy.

A potem w jednej chwili odebrano mi dwie istoty, które kochałem bardziej niż kogokolwiek innego na

świecie, żonę i córeczkę. Zabił je pijak, który wyszedł z wypadku bez jednego zadrapania. Z żywych

stworzeń w ułamku sekundy zmieniły się martwą materię organiczną. Tymczasem ja wiedziałem

niemal co do godziny! jaką metamorfozę ich ciała będą przechodzić po śmierci. I mimo tej wiedzy,

obsesyjnie prześladowało mnie pytanie, na które nie umiałem znaleźć odpowiedzi. Gdzie teraz były? Co

się stało z wypełniającym je kiedyś życiem? Jak to możliwe, że ożywiający je duch po prostu zniknął?

Nie wiedziałem. I właśnie tego nie mogłem znieść, i właśnie to przeważało szalę. Koledzy i przyjaciele byli

dla mnie bardzo wyrozumiali, ale nie zwracałem na nich uwagi. Najchętniej zaharowałbym się na śmierć,

tylko że praca nieustannie przypominała mi to, co straciłem, stawiała pytania, na które nie znajdowałem

odpowiedzi.

Dlatego uciekłem. Odwróciłem się od wszystkiego, co znałem, odświeżyłem wiadomości i ukryłem się

tutaj, na odludziu. Dałem sobie szansę może nie na nowe życie, ale przynajmniej na nową pracę. Na pracę z

ludźmi żywymi, nie martwymi, na pracę, dzięki której mogłem przynajmniej opóźnić tę ostateczną

transformację, chociaż wciąż jej nie rozumiałem. I poskutkowało.

Skutkowało aż do teraz.

Wróciłem do biurka i otworzyłem szufladę. Wyjąłem zdjęcia, lecz ich nie odwróciłem. Postanowiłem, że

obejrzę je i zwrócę Mackenziemu. Nie ma mowy, tłumaczyłem sobie stanowczo, nie zamierzam się w nic

pakować. Obejrzę je tylko i oddam.

Nie wiedziałem, jakie wywrą na mnie wrażenie, ale nie przypuszczałem, że będą aż tak znajome. I nie

dlatego, że pokazywały to, co pokazywały, choć tak, były aż nadto wstrząsające. Nie, chodziło przede

wszystkim o to, że patrząc na nie, cofnąłem się w czasie, zrobiłem krok w przeszłość. I zupełnie

nieświadomie zacząłem analizować je i studiować.

Było ich w sumie sześć; pokazywały zwłoki pod różnymi kątami i z różnej perspektywy. Szybko je

przejrzałem, a potem wróciłem do pierwszego, żeby zbadać je dokładniej. Trup był nagi. Leżał na brzuchu

z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby nurkował w wysoką trawę. Nie można było rozpoznać płci.

Pociemniała skóra zwisała zeń jak wylinka, ale nie to przykuło moją uwagę. Mały Sam nie zmyślał.

Powiedział, że zwłoki mają skrzydła, i rzeczywiście miały. Po obu stronach kręgosłupa biegły dwa

głębokie nacięcia.

A z nacięć tych sterczały łabędzie skrzydła, upodabniając ciało do rozkładającego się upadłego anioła.

W zestawieniu z gnijącą skórą efekt był szokująco obsceniczny. Przyglądałem się im przez chwilę, a potem

skupiłem się na samym ciele. Larwy wysypywały się z otwartych ran jak ryż. Nie tylko z dwóch dużych na

łopatkach, ale i z licznych drobniejszych nacięć na plecach, rękach i nogach. Ciało było w stanie

zaawansowanego rozkładu. Upał i wilgotność na pewno go przyspieszyły, zwierzęta i owady też zrobiły

swoje. Ale każdy czynnik coś znaczył, każdy coś mówił, każdy pomagał ustalić, jak długo zwłoki tam leżały.

Ostatnie trzy zdjęcia pokazywały ciało zaraz po tym, gdy przewrócono je na plecy. Tu też widniały małe

nacięcia, na ciele i kończynach, a twarz była bezkształtną masą roztrzaskanej kości. Z szyi sterczała

chrząstka grdyki, twardsza, dlatego rozkładająca się dłużej niż pokrywająca ją tkanka miękka, w której

ziała szeroka rana przypominająca ranę ciętą. Pomyślałem o Bess, owczarku szkockim Sally. Jemu też

poderżnięto gardło. Obejrzałem zdjęcia jeszcze raz. Gdy przyłapałem się na tym, że próbują doszukać się

w ciele czegoś rozpoznawalnego, odłożyłem je na biurko. Wciąż na nie patrzyłem, gdy ktoś zapukał do

drzwi. Henry.

Janice powiedziała, że była policja. Miejscowi znowu kradną bydło?

Nie, chodziło o wczoraj.

Aha. Henry spowaźniał. Jakież problemy?

Nie, nie, niezupełnie.

Co miało się z prawdą. Nigdy przed nim niczego nie ukrywałem czułbym się trochę niezręcznie mimo

to nie zdradziłem mu wszystkich szczegółów mojej przeszłości. Wiedział, że jestem antropologiem, lecz

antropologia to dziedzina niezwykle pojemna i mieści się w niej wiele różnych grzechów. To, że byłem

antropologiem sądowym i brałem udział w policyjnych śledztwach, zachowałem dla siebie. Po prostu nie

chciałem o tym mówić.

Ani wtedy, ani teraz.

Jego wzrok spoczął na zdjęciach. Był za daleko, żeby rozróżnić szczegóły, ale poczułem się tak, jakby

przyłapał mnie na gorącym uczynku. Uniósł brwi, gdy schowałem je z powrotem do koperty.

Możemy pogadać o tym później?

Jasne odparł. Nie chcę być wścibski.

Nie jesteś. Po prostu... muszę przemyśleć kilka spraw.

Na pewno wszystko w porządku? Chyba się czymś martwisz.

Nie, nie.

Kiwnął głową, ale widać było, że wciąż jest zaniepokojony.

Może wypuścimy się kiedyś na jezioro? spytał. Trochę wysiłku fizycznego dobrze nam

zrobi.

Przy wsiadaniu do łodzi ktoś musiał mu pomagać, co wcale nie powstrzymywało go od wiosłowania czy

operowania żaglem.

Jasne, ale za kilka dni, zgoda?

Chyba chciał spytać o coś jeszcze, ale zrezygnował. Zawrócił do drzwi.

Powiedz tylko słowo. Wiesz, gdzie mnie szukać.

Gdy wyjechał wózkiem, odchyliłem do tyłu głowę i zamknąłem oczy. Nie chciałem tego. Ale z drugiej

strony, nikt tego nie chciał. A już na pewno nie ta martwa kobieta. Pomyślałem o zdjęciach, które przed

chwilą oglądałem, i zdałem sobie sprawę, że podobnie jak ona, ja też nie mam wyboru.

Mackenzie dał mi swoją wizytówkę. Ale nie mogłem go złapać ani w biurze, ani pod komórką. Zostawiłem

wiadomość na obydwu telefonach i odłożyłem słuchawkę. Nie wiem, czy podjąwszy decyzję, poczułem się

lepiej, ale spadł mi ciężar z ramion. Może nie do końca, ale spadł.

Potem miałem pacjentów. Tylko dwóch, lekkie przypadki: dziecko ze świnką i staruszka, który nie chciał

jeść. Gdy skończyłem, była już pora na lunch. Właśnie wychodziłem, zastanawiając się, czy zjeść w domu

czy w pubie, gdy zadzwonił telefon. Szybko odebrałem, ale to była tylko Janice. Dzwonili ze szkoły.

Martwili się o Sama Yatesa i pytali, czy mógłbym tam na chwilę wpaść.

Obiecałem, że wpadnę. Ucieszyłem się, że czekając na telefon od Mackenziego, będę mógł zrobić coś

konstruktywnego.

Obecność policjantów na ulicach Manham była trzeźwiącym przypomnieniem tego, co się stało. Widok ich

surowych mundurów ostro kontrastował z widokiem wesołych, kolorowych kwiatów na cmentarzu i

skwerze, a w całym miasteczku wyczuwało się atmosferę przytłumionego, lecz nieomylnego podniecenia.

Przynajmniej w szkole wszystko było normalnie. Chociaż do najbliższego ogólniaka dzieci musiały

dojeżdżać osiem kilometrów, szkoła podstawowa była na miejscu. Mieściła się w dawnej kaplicy i miała

boisko, gwarne i kolorowe w jaskrawym słońcu. Zbliżały się długie letnie wakacje i świadomość ta

wprawiała dzieci w wesołą histerię. Mała dziewczynka odbiła się od moich nóg, uciekając przed

koleżanką. Chichocząc, pobiegły dalej, tak zaabsorbowane pościgiem, że chyba mnie nawet nie zauważyły.

Wszedłem do szkoły i ogarnęła mnie znajoma głucha cisza. Gdy zapukałem do otwartych drzwi, Berty,

sekretarka, posłała mi szeroki uśmiech.

Witam pana doktora. Pan do Sama?

Drobna i niezwykle serdeczna, mieszkała w Manham od urodzenia. Nie wyszła za mąż, mieszkała z bratem

i traktowała uczniów jak swoją własną rozległą rodzinę.

Jak się czuje? Zmarszczyła nos.

Jest trochę zdenerwowany. Wysłałam go do gabinetu lekarskiego. Prosto przed

siebie.

„Gabinet lekarski" to określenie stanowczo zbyt szumne jak na ciasny pokoiczek z umywalką leżanką i

apteczką pierwszej pomocy. Sam siedział na leżance ze zwieszoną głową, kiwając nogami. Był markotny i

miał w oczach łzy.

Obok niego siedziała młoda kobieta. Pokazywała mu jakąś książkę i przemawiała do niego cichym,

kojącym głosem. Gdy wszedłem, urwała. Mój widok sprawił jej wyraźną ulgę.

Dzień dobry rzuciłem. David Hunter, Jestem lekarzem. Uśmiechnąłem się do chłopca. Jak

się masz, Sam?

Jest trochę zmęczony odpowiedziała za niego kobieta. Miał zły sen. Tak, Sam?

Mówiła spokojnie i rzeczowo, jak do dorosłego. Domyśliłem się, że jest nauczycielką, ale nie widziałem jej

przedtem; sądząc po miękkim akcencie, na pewno nie pochodziła stąd. Sam jeszcze niżej zwiesił głowę.

Przykucnąłem, żeby spojrzeć mu w oczy.

Zły sen? Co ci się śniło? Widziałem zdjęcia i mogłem się tego domyślić. Chłopiec nie podniósł

głowy. Milczał. Dobrze, Chodź, opukam cię trochę i osłucham.

Nie przypuszczałem, żeby doskwierała mu jakaś dolegliwość fizyczna i rzeczywiście nie doskwierała. Miał

lekko podwyższoną temperaturę, to wszystko. Potargałem mu włosy i wstałem.

Jesteś silny jak byk. Chciałbym porozmawiać z twoją panią. Posiedzisz tu trochę?

Nie! wykrzyknął ogarnięty paniką Sam. Uśmiechnąłem się do niego pocieszająco.

Spokojnie, nie zostawimy cię. Będziemy na korytarzu, tuż za drzwiami. A drzwi będą otwarte.

I zaraz do ciebie wrócę, dobrze?

Nauczycielka podała mu książkę. Po chwili wahania wziął ją z nadąsaną miną i wyszliśmy na korytarz.

Drzwi zostawiliśmy szeroko otwarte, tak jak obiecałem, ale stanęliśmy na tyle daleko, że nas nie słyszał.

Przepraszam, że pana wezwałam powiedziała przyciszonym głosem. Ale nie wiedziałam, co

robić. Zaczął histeryzować. To zupełnie do niego niepodobne.

Znowu przypomniały mi się zdjęcia.

Na pewno pani słyszała, co się stało. Aż się skrzywiła.

Cała szkoła słyszała. I to jest najgorsze. Musiał opowiadać o tym wszystkim kolegom. No i nie

wytrzymał.

Zawiadomiła pani jego rodziców?

Próbowałam. Nie mogę ich złapać pod żadnym numerem telefonu, który mamy w sekretariacie. Przepraszająco wzruszyła ramionami. Dlatego pomyślałam, że zadzwonię do pana.

Bardzo się o niego martwiłam.

Widziałem, że nie udaje. Dawałem jej dwadzieścia osiem, najwyżej trzydzieści parę lat. Miała krótko

obcięte blond włosy blond chyba naturalny choć kilka odcieni jaśniejsze od jej ciemnych,

zaniepokojonych oczu. Była lekko opalona i słońce wymalowało na jej twarzy dziesiątki delikatnych pie

gów.

Przeżył silny wstrząs. Chwilę potrwa, zanim dojdzie do siebie.

Biedny. I to na samym początku wakacji. Zerknęła na otwarte drzwi. Myśli pan, że będzie

musiał pójść do psychologa?

Ja też się nad tym zastanawiałem. I gdyby nie polepszyło mu się za parę dni, na pewno dałbym mu

skierowanie. Ale przeszedłem przez to sam i wiedziałem, że rozdrapane rany jeszcze bardziej krwawią.

Może to pogląd niezbyt współczesny, ale wolałem dać chłopcu szansę, żeby spróbował uporać się z tym

sam.

Zobaczymy. Ale do końca tygodnia powinien wydobrzeć.

Oby.

Myślę, że najlepiej by było, gdyby poszedł teraz do domu. Dzwoniliście do szkoły jego brata?

Może oni wiedzą jak skontaktować się z rodzicami.

Nie. Nikt o tym nie pomyślał. Chyba była na siebie zła.

Czy ktoś może tu z nim zaczekać?

Tak, ja. Wezmą za mnie zastępstwo. Rozszerzyły jej się oczy. Przepraszam, co za gapa ze

mnie. Jestem jego nauczycielką!

Domyśliłem się- odparłem z uśmiechem.

Boże, nawet się nie przedstawiłam. Zaczerwieniła się i zbrązowiały jej piegi. Jenny. Jenny

Hammond.

Zakłopotana wyciągnęła do mnie rękę. Miała ciepłą i suchą dłoń. Słyszałem, że na początku roku przyjęto

do szkoły nową nauczycielkę, ale widziałem ją pierwszy raz. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Chyba widziałam pana w pubie.

To więcej niż prawdopodobne. Nocne życie jest tu dość ograniczone. Uśmiechnęła się.

Tak, zauważyłam. Ale chyba właśnie dlatego pan tu przyjechał, prawda? Żeby uciec od tego

wszystkiego i... Musiała dostrzec coś w mojej twarzy, bo szybko dodała: Przepraszam. Mówi pan z

nietutejszym akcentem, więc pomyślałam, że...

Nie, nie, nie szkodzi. Tak, rzeczywiście, nie jestem stąd. Trochę jej ulżyło.

Chyba wrócę już do Sama.

Wróciłem razem z nią żeby pożegnać się i sprawdzić, czy nie potrzebuje czegoś na uspokojenie.

Wieczorem chciałem zbadać go jeszcze raz i powiedzieć matce, żeby przez kilka dni zatrzymała go w

domu, do chwili, aż pamięć nie zasklepi mu się na tyle, by dać odpór nagabywaniom kolegów.

Gdy wsiałem do samochodu, zaterkotał telefon. Tym razem dzwonił Mackenzie.

Dostałem pańską wiadomość zaczął bez wstępów. Mówiłem szybko, żeby wyrzucić to z

siebie, zanim zmienię zdanie.

Pomogę wam zidentyfikować zwłoki. Ale to wszystko. Nie chcę się w nic mieszać. Zgoda?

Pańska wola. Nie zabrzmiało to tak, jakby był mi szczególnie wdzięczny, ale z drugiej strony,

moja propozycja też nie była zbyt hojna. Dobra, więc jak pan chce to rozegrać?

Muszę zobaczyć miejsce, gdzie chłopcy znaleźli ciało.

Ciało jest już w kostnicy, ale możemy spotkać się tam za godzinę i...

Nie, nie chcę oglądać ciała. Tylko miejsce, gdzie leżało. Nawet przez telefon wyczułem, że się

zirytował.

Po co? Co to panu da? Zaszło mi w ustach.

Chcę poszukać liści.

Rozdział 6

W stężałym upale nad mokradłami leniwie szybowwała czapla. Robiła wrażenie zbyt dużej, by móc

utrzymać się w powietrzu; w porównaniu z drobnym ptactwem wodnym, które przecinał jej cień, była

prawdziwym gigantem. Przechyliła się na bok, zakręciła w stronę jeziora i dwa razy załopotawszy

skrzydłami, żeby trochę wyhamować, wylądowała na płyciźnie. Arogancko potrząsając głową przeszła

kilka kroków, po czym zamarła niczym skamielina na cieniutkich jak trzcina nogach. Nadchodził

Mackenzie. Niechętnie się odwróciłem.

Proszę. Podał mi plastikową torbę. Niech pan to włoży. Wyjąłem z torby biały kombinezon i

żeby nie rozerwać cienkiego papieru,

ostrożnie wciągnąłem go na spodnie. Zaciągnąłem suwak i natychmiast oblał mnie pot. To wilgotne ciepło

było niepokojąco znajome.

Znowu cofałem się w czasie.

Odkąd spotkałem Mackenziego na tej samej drodze, którą dzień wcześniej prowadziłem wiejskich

policjantów, miałem nieustające poczucie deja vu i nie mogłem się z niego otrząsnąć. Teraz roilo się tu od

radiowozów i wielkich przyczep kempingowych służących za ruchome centra koordynacyjne. Gdy

włożyłem kombinezon i papierowe ochraniacze na buty, ruszyliśmy bez słowa przez mokradła trasą

wyznaczoną przez równoległe rozwieszone policyjne taśmy ostrzegawcze. Wiedziałem, że Mackenzie chce

spytać mnie, co zamierzam, wiedziałem też, że nie spyta, uważając, że jawna ciekawość byłaby oznaką

słabości. Ale ja bynajmniej nie chciałem grać teraz w głupie gierki z cyklu „kto silniejszy”. Po prostu jak

najdłużej odkładałem chwilę, kiedy będę musiał szczerze odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tu je

stem.

Miejsce, gdzie znaleziono zwłoki, też było ogrodzone taśmą. W środku uwijali się technicy, anonimowi w

identycznych białych kombinezonach. Gwałtownie powróciły niechciane wspomnienia.

Gdzie to cholerne smarowidło? spytał Mackenzie wszystkich i nikogo w szczególności.

Jakaś kobieta podała mu słoiczek wazeliny intensywnie pachnącej mentolem. Mackenzie wtarł sobie

trochę pod nos i podał słoiczek mnie.

Zwłok już nie ma, ale ciągle tam śmierdzi mruknął.

Był taki czas, że odór śmierci, nieodłączny atrybut mojej pracy, nie robił na mnie żadnego wrażenia. Ale to

było kiedyś. Posmarowałem wazeliną górną wargę i włożyłem gumowe rękawiczki.

Jak pan chce, jest jeszcze maska powiedział Mackenzie. Odruchowo pokręciłem głową.

Maskę nakładałem tylko wtedy, kiedy naprawdę musiałem.

No to chodźmy rzucił.

Pochylił się i przeszedł pod taśmą. Podążyłem za nim. Technicy przeczesywali

trawę. W ziemi, w

miejscach gdzie znaleziono coś, co mogło stanowić potencjalny dowód w sprawie, tkwiły małe markery.

Wiedziałem, że większość z nich okaże się bezużyteczna papierki od cukierków, niedopałki papierosów

czy kawałki zwierzęcej kości nie miały nic wspólnego z tym, czego szukali. Ale w tej fazie śledztwa nie

wiedzieli jeszcze, co jest ważne, a co nie. Wszystko wędrowało do toreb i trafiało do laboratorium.

Ten i ów zerknął na nas ciekawie, ale mnie interesowało tylko jedno miejsce: to dokładnie pośrodku.

Porastająca je trawa była szerniała i martwa; wyglądała tak, jakby strawił ją ogień. Ale to nie gorąco ją

wypaliło. Po chwili dotarło do mnie coś jeszcze: ów nieomylny zapach, odór tak silny, że przebił się nawet

przez ochronne opary mentolu.

Mackenzie wrzucił sobie do ust miętówkę i nie raczywszy mnie poczęstować, schował torebkę do kieszeni.

To jest doktor Hunter przedstawił mnie ekipie, z chrzęstem rozgryzając cukierka. Jest

antropologiem sądowym. Pomoże nam zidentyfikować zwłoki.

Ciężko będzie mruknął jeden z techników. Bo już ich tu nie ma. Ten i ów parsknął

śmiechem. To była ich praca i nie lubili, kiedy ktoś wchodził im w paradę. Zwłaszcza cywil. Często

spotykałem się z taką postawą.

Doktor Hunter jest tu na prośbę głównego inspektora Ryana. Rozumiem, że udzielicie mu

wszelkiej niezbędnej pomocy. W głosie Mackenziego pobrzmiwała groźna nutka. Technicy

spochmurnieli. Po ich minach poznałem, że nie odebrali tego zbyt dobrze. Ale zupełnie mi to nie

przeszkadzało. Przykucnąłem przed plackiem martwej trawy.

Miał niewyraźny zarys ludzkiego ciała, był sylwetką rozkładu. Wciąż wiło się na nim kilka larw, a na

czarnych, zgniecionych żdzibłach niczym płatki śniegu białeły ptasie pióra.

Przyjrzałem się im dokładnie.

To na pewno łabędzie?

Chyba tak odparł jeden z techników. Wysłaliśmy je do zbadania, do ornitologa.

A próbki ziemi?

Też. Są już w laboratorium.

Po ilości żelaza w ziemi można stwierdzić, ile wchłonęła krwi. Gdyby było go dużo, oznaczałoby to, że

ofierze poderżnięto gardło tu, w tym miejscu. Gdyby było go mało, rana na gardle musiała powstać albo po

śmierci ofiary, albo wskazywałoby to, że morderstwa dokonano gdzie indziej i że ciało po prostu

podrzuciono.

Owady?

Panie doktorze, robimy to nie pierwszy raz.

Wiem. Próbuję tylko ustalić, jak daleko zaszliście. Poirytowany technik ciężko westchnął.

Tak, robaki też zebraliśmy.

I co stwierdziliście?

Żęto larwy.

Jego koledzy znowu parsknęli śmiechem. Podniosłem wzrok.

A poczwarki?

Co poczwarki?

Jakiego były koloru? Jasnego? Ciemnego? Znaleźliście panczerzyki? Technik spojrzał na mnie

ponuro i szybko zamrugał. Nikt już się nie śmiał.

A chrząszcze? dodałem. Dużo ich było na zwłokach?

Technik wytrzeszczył oczy, jakbym nagle zwariował.

To jest śledztwo w sprawie morderstwa, a nie szkolny obóz biologiczny!

Aha, należał do starej szkoły. Ci z nowej chętnie uczyli się nowych technik i byli otwarci na wiedzę, która

mogła im pomóc. Ale nawet wśród nich trafiali się oporni na wszystko to, co nie pasowało do ich

skostniałych pojęć i doświadczeń osobistych. Czasem ich spotykałem. Wyglądało na to, że dotarli nawet

tutaj.

Spojrzałem na Mackenziego.

Każdy owad ma inny cykl życia. Te larwy to głównie larwy muchy plujki. Błękitnej i zielonej.

Otwarte rany natychmiast je przyciągają. Za dnia zaczynają składać jaja w ciągu godziny.

Wygrzebałem z ziemi nieruchomą larwę. Położyłem ją sobie na otwartej dłoni.

Ta zmieni się niedługo w poczwarkę. Im są starsze, tym są ciemniejsze. Na przykład ta ma

siedem, osiem dni. Na ziemi nie widać łupin panczerzyka, co oznacza, że poczwarki jeszcze się nie wykluły.

Pełny cykl życia muchy plujki trwa czternaście dni, co sugeruje, że zwłoki leżały tu krócej.

Rzuciłem larwę w trawę. Technicy przestali pracować. Słuchali.

Dobrze ciągnąłem. A więc na podstawie aktywności owadów można wstępnie powiedzieć, że

od chwili śmierci upłynął tydzień, maksymalnie dwa... Rozumiem, że wiecie, co to jest. Wskazałem ślady

żółtobiałej substancji, która w kilku miejscach przywarła do trawy.

Produkt rozkładu odparł sztywno jeden z techników.

Tak. To tłuszczo wosk. Kiedyś nazywano to trupim woskiem. Zwyczajne mydło, które powstaje

z kwasów tłuszczowych w trakcie rozkładu zawartego w ciele białka. Tłuszczowosk jest alkaiczny, silnie

żrący, dlatego wypalił trawę. Jeśli przypatrzyście się uważnie tej białej substancji, zobaczycie, że jest

krucha i łamiwa. Oznacza to, że rozkład następował bardzo szybko, ponieważ jeśli następuje wolno,

tłuszczowosk jest z reguły bardziej miękki. Czego z kolei można oczekiwać w przypadku, kiedy zwłoki leżą

na dworze w upalną pogodę i kiedy bakterie mają dostęp do wielu otwartych ran. Mimo to tłuszczowosku

jest tu stosunkowo mało, co pasowałoby do założenia, że od chwili śmierci upłynęło mniej niż dwa

tygodnie.

Zapadła cisza. Przerwał ją dopiero Mackenzie.

O ile mniej?

Bez dokładniejszych badań nie sposób powiedzieć. Popatrzyłem na gnijącą trawę i wzruszyłem ramionami. Biorąc pod uwagę szybko postępujące procesy gnilne, dziewięć, dziesięć dni.

Gdyby zwłoki leżały dłużej, w dodatku w upale, do tej pory pozostałyby z nich tylko szkielet.

Mówiąc, patrzyłem na szerniałą trawę, próbując znaleźć coś, co powinno tam być,

taką przynajmniej

miałem nadzieję.

Jak były zorientowane? spytałem.

Zorientowane? powtórzył jeden z techników.

Gdzie była głowa?

Ponuro wskazał palcem. Przypomniałem sobie zdjęcia, wyciągnięte przed siebie ręce i popatrzyłem w

tamtą stronę. Na trawie tego nie było, więc poszukałem dalej, ostrożnie rozchylając źdźbła i sprawdzając,

co leży bezpośrednio na ziemi.

Już myślałem, że nie, że jednak tego nie znajdę, że przede mną dotarły to dzikie zwierzęta, gdy wtem...

Mogę prosić o torebkę?

Zaczekałem, aż mi ją podadzą, wyciągnąłem rękę i wyłowilem z trawy mały, pomarszczony strzępek.

Włożyłem go do torebki.

Co to jest? spytał Mackenzie, wyciągając szyję.

Tydzień po śmierci następuje tak zwany ześlizg. Dlatego zwłoki są takie pomarszczone, jakby

pokrywało je za dużo skóry. Zwłaszcza na rękach. W końcu skóra zsuwa się zupełnie, tak jak rękawiczka.

Często się jej nie zauważa albo bierze ją za liście.

Podniosłem plastikową torebkę z cieniutkim jak pergamin skrawkiem tkanki.

Chciał pan odcisków palców. Mackenzie gwałtownie odrzucił głowę do tyłu.

Pan żartuje!

Nie. Nie wiem, czy pochodzi z lewej ręki czy prawej, ale można poszukać innych fragmentów.

Powinny tu być, chyba że pożarło je jakieś zwierzę. Dacie sobie radę.

Niby jak mamy pobrać z tego odciski? prychnął jeden z techników. Niech pan spojrzy. To jest

jak... jak chrupka!

To bardzo łatwe. Zaczynało mi się to podobać. Postępować według instrukcji na

opakowaniu: wystarczy dodać trochę wody. Technik doszczętnie zgłupiał. Potrzywać w wodzie przez

noc. Skóra ponownie się uwodni i będzie ją można włożyć na rękę jak rękawiczkę. Odciski powinny być

dość wyraźne.

Podąłem mu torebkę.

Na waszym miejscu wziąłbym kogoś o małych dłoniach. I najpierw niech włoży gumową

rękawiczkę.

Technik wybałuszył oczy. Zostawiłem go tak i zanurkowałem pod taśmą. Dopiero teraz zaczęło coś do

nich docierać. Ściągnąłem kombinezon i ochraniacze na buty. Z przyjemnością się ich pozbyłem.

Mackenzie podszedł do mnie, gdy zwijałem papier w kulkę. Szedł i kręcił głową.

Człowiek uczy się przez całe życie. Gdzie pan to podpatrzył?

W Stanach. Przez dwa lata pracowałem w ośrodku badawczym w Tennessee. Nieoficjalnie

nazywają go Trupią Farmą. To jedyne miejsce na świecie, gdzie proces rozkładu bada się na ludzkich

zwłokach. Jak długo trwa w różnych warunkach, jakie wpływają nań czynniki. To ośrodek FBI. Szkołą tam

swoich specjalistów. Ruchem głowy wskazałem wkurzonego szefa techników, który warkliwym głosem

rzucał rozkazy podwładnym. Nam też by się taki przydał.

Marne szanse. Mackenzie walczył z kombinezonem. Nienawidzę tego cholerstwa...

mruknął, otrzepując koszulę. A więc myśli pan, że śmierć nastąpiła jakieś dziesięć dni temu?

Zdjąłem rękawiczki. Zapach lateksu i wilgotnej od potu skóry przywodził więcej wspomnień, niż chciałem.

Tak, dziewięć, może dziesięć. Ale to nie znaczy, że zwłoki leżały tu przez cały czas. Ktoś mógł

je podrzucić, ale pańscy technicy na pewno to ustalą.

Mógłby pan im pomóc.

Przykro mi. Obiecałem, że zidentyfikuję zwłoki. Jutro o tej porze powinien pan wiedzieć, kto

to jest. A raczej był, pomyślałem. Zacisnąłem usta i zatrzymałem to dla siebie, ale Mackenzie mnie

przejrzał.

Rozpoczęliśmy zakrojone na szeroką skalę śledztwo, żeby ustalić miejsce pobytu Sally Palmer.

Żadna z przesłuchiwanym przez nas osób nie widziała jej ani z nianie rozmawiała od tamtego grilla w

pubie. Miała odebrać zamówienie w spożywczym, ale się nie pokazała. Codziennie rano przyjeżdżała do

kiosku po gazety; namiętnie czytuje „Guardiana”. Ale tam też przestała przyjeżdżać.

Powoli narastało we mnie mroczne, bardzo paskudne uczucie.

I nikt tego nie zgłosił?

Jak widać. Wygląda na to, że nikt za nią specjalnie nie tęsknił. Wszyscy myśleli, że wyjechała

albo że znowu coś pisze. Ten z kiosku powiedział, że Sally Palmer to nie miejscowa. Nie ma to jak życie w

małej, zamkniętej społeczności, co?

Nie miałem nic do powiedzenia. Ja też nie zauważyłbym jej zniknięcia.

To jeszcze nie znaczy, że to ona. Grill był prawie dwa tygodnie temu. Kobieta, którą tu

znaleziono, zmarła później. No i jej komórka.

Czyja komórka?

Sally Palmer. Kiedy zadzwoniłem, wciąż działała. Gdyby Sally zaginęła dwa tygodnie temu,

wysiadłyby baterie.

Niekoniecznie. To nowy model, baterie wystarczają na czterysta godzin, prawie na siedemnaście dni. Czterysta godzin to pewnie przesada, ale gdyby komórka leżała w torebce i gdyby nikt z

niej nie korzystał, mogłaby wytrzymać.

Wszystko jedno, to może być ktoś inny powtórzyłem, nie wierząc samemu sobie.

Zobaczmy. Mackenzie powiedział to tak, jakby coś przede mną ukrywał. Tak czy inaczej,

musimy znaleźć mordercę.

Z tym nie mogłem dyskutować.

Myśli pan, że to ktoś stąd? Z miasteczka?

Ja jeszcze nie myślę. Ofiarą może być na przykład jakaś autostopowiczka, a zabójca mógł ją tu

zwyczajnie podrzucić. Za wcześnie, żeby mówić o konkretach. Wziął głęboki oddech. Niech pan

posłucha...

Nie.

Przecież nie wie pan jeszcze, o co chciałem prosić.

Wiem. O jeszcze jedną przysługę. A potem o jeszcze jedną i jeszcze jedną. Pokręciłem głową.

Już się tym nie zajmuję. W tym kraju jest wielu innych.

Nie tak wielu. A pan jest najlepszy.

Już nie. Zrobiłem, co mogłem. Mackenzie miał zimny wyraz twarzy.

Czyżby?

Odwrócił się i odszedł, a ja ruszyłem do samochodu. Odjechałem, ale niedaleko. Nie mogłem zapanować

nad drżeniem rąk, więc gdy tylko zniknął mi z oczu, skręciłem na pobocze. Nagle zabrakło mi tchu.

Oparłem głowę o kierownicę. Próbowałem oddychać powoli i spokojnie, wiedząc, że hiperwentylacja,

gwałtowne wydalanie dwutlenku węgla, tylko pogorszy sprawę.

W końcu atak paniki minął. Mokra koszula kleiła mi się do ciała, ale ruszyłem się stamtąd dopiero wtedy,

gdy usłyszałem trąbienie klaksonu. Jechał ku mnie traktor, a ja blokowałem drogę. Kierowca gniewnie

wymachiwał rękami. Przeprosiłem go na odległość i wcisnąłem pedał gazu.

Zanim dojechałem do miasteczka, zdążyłem trochę ochłonąć. Nie byłem głodny, lecz wiedziałem, że

powinienem coś zjeść. Zatrzymałem się przed sklepem, czymś w rodzaju wiejskiego supermarketu.

Chciałem kupić kanapkę, zjeść ją w domu i zebrać myśli przed popołudniowym dyżurem. Przed drogerią

omal nie wpadła na mnie jakaś kobieta. Była pacjentką Henry'ego, jedną z tych wiernych i lojalnych, które

wolały poczekać, aż je przyjmie.

Kiedyś miał wolne i przyszła do mnie, mimo to musiałem poszukać w pamięci jej nazwiska. Lyn. Tak. Lyn

Metcalf.

Przepraszam powiedziała, tuląc do piersi jakąś paczuszką.

Nie szkodzi. Co słyhać?. Uśmiechnęła się szeroko.

Wszystko dobrze, wspaniale.

Pamiętam, że odchodząc, pomyślałem, jak to dobrze jest zobaczyć kogoś naprawdę szczęśliwego. A potem

przestałem o niej myśleć.

Rozdział 7

Do porośniętego trzciniami brzegu dobiegła później niż zwykle, ale ranek był jeszcze bardziej mglisty niż

poprzedniego dnia. Wszystko tonęło w bieli, która kłębiła się i wirowała wokół rozmazanych, prawie

niewidocznych kształtów. Wiedziała, że mgła wkrótce ustąpi i że będzie to jeden z najgorętszych dni w

roku. Ale teraz, w tym chłdzie i wilgoci, myśl o słońcu była jeszcze odległa.

Przez noc zeszywniały jej wszystkie mięśnie. I wstała nie w sosie. Do późna oglądała z Marcusem film i jej

organizm wciąż przeciwko temu protestował. To dziwne, ale ledwo zwlokła się z łóżka, gderając na męża,

który burknął coś niemiłego i zamknął się w łazience. Tak, mięśnie miała jak z drewna. Rozruszaj je. Od

razu poczujesz się lepiej. Wykrzywiła twarz. Tak, tak, jasne.

Żeby zapomnieć o wysiłku, pomyślała o paczuszce, którą ukryła w komodzie pod stanikami i majtkami.

Marcus na pewno jej tam nie znajdzie. Bielizna interesowała go tylko wtedy, gdy miała ją na sobie.

Idąc do drogerii, nie zamierzała kupować zestawu do próby ciążowej. Ale gdy zobaczyła go na półce, pod

wpływem nagłego impulsu wrzuciła pudełko do koszyka wraz z paczką tamponów, których miała nadzieję

już nie używać. Ale nawet wtedy długo się wahała. W Manham trudno było coś ukryć, więc zawsze istniało

niebezpieczeństwo, że jeszcze przed wieczorem ludzie zaczną obrzucać ją znaczącymi spojrzeniami.

Ale w sklepie nie było nikogo, a przy kasie siedziała tylko jedna znudzona dziewczyna, w dodatku nowa.

Nie interesował jej nikt powyżej osiemnastu lat, dlatego było mało prawdopodobne, że zwróci uwagę na

zestaw, tym bardziej że będzie jej się chciało o tym plotkować. Z palącymi rumieńcami na twarzy Lyn

podeszła bliżej i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu pieniędzy, podczas gdy dziewczyna

apatycznie pstrykała klawiszami kasy.

Wychodząc z drogerii, uśmiechała się jak rozradowane dziecko i omal nie wpadła na lekarza. Na tego

młodszego. Nie na doktora Henry'ego. Na doktora Huntera. Doktor Hunter. Facet cichy i spokojny, za to

jaki przystojny. Kiedy przyjechał, wśród młodszych kobiet wybuchło duże poruszenie, ale chyba tego nie

zauważył. Boże, była tak zażenowana, że omal nie wybuchła śmiechem. Szczerzyła się do niego jak idiotka

i pewnie pomyślał, że zwariowała. Albo że się jej podoba. Na tę myśl znowu rozciągnęła usta w uśmiechu.

Bieg zrobił swoje. Krew szybciej krążyła w żyłach, ból mięśni minął i zaczęła się w końcu rozluźniać.

Niedaleko był las i gdy spojrzała w tamtym kierunku, podświadomość zaczęła podsuwać jej dziwne,

mroczne skojarzenia. Pochłonięta przygodą w drogerii początkowo nie wiedziała, o co chodzi. I nagle

sobie przypomniała. Martwy zając, którego znalazła na ścieżce poprzedniego dnia. I wrażenie, że ktoś ją

obserwował, gdy wbiegała między drzewa.

Raptem stwierdziła, że perspektywa biegu w gęstym lesie i w gęstej mgle dziwnie ją zniechęca. Co za

głupota, pomyślała. Mimo to zwolniła kroku. Zwolniła, lecz zdawszy sobie sprawę z tego, co robi,

zirytowana mlasnęła językiem i ponownie przyspieszyła. Na skraju lasu przypomniało jej się, że na

mokradłach znaleziono zwłoki kobiety. Ale znaleziono je daleko stąd, tłumaczyła sobie cierpko i

racjonalnie. Poza tym zabójca musiałby być masochistą, żeby tak wcześnie wstawać. I wtedy otoczyły ją

pierwsze drzewa.

Z ulgą stwierdziła, że złe przeczucia z poprzedniego dnia nie powróciły. Las znowu był po prostu lasem. A

ścieżka ścieżką w dodatku pustą: martwy zając, pożarty przez jakieś zwierzę, stał się częścią łańcucha

pokarmowego, jak to w przyrodzie. Zerknęła na stoper. Miała parę minut spóźnienia, więc zbliżając się do

polanki, przyspieszyła jeszcze bardziej. Widziała już kamień, ciemny kształt we mgle. Ale dopiero gdy

podbiegła bliżej, dotarło do niej, że coś jest nie tak. Światło i cień zajęły właściwe sobie miejsce i myśl o

bieganiu momentalnie pierzchła.

Na kamieniu wisiał martwy ptak. Kaczka krzyżówka. Była przywiązana drutem za szyję i nóżki.

Otrząsnąwszy się z szoku, Lyn zerknęła w lewo, w prawo i za siebie. Ale niczego tam nie było. Niczego

oprócz drzew i martwej kaczki. Przetarła mokre od potu oczy i przyjrzała się jej

dokładniej. W miejscu

gdzie drut wrzynał się w ciało, ptak miał ciemne od krwi pióra. Wahając się, czy zdjąć go z kamienia czy

nie, i czy w ogóle sobie poradzi, Lyn nachyliła się, żeby to sprawdzić.

Wtedy kaczka otworzyła oczy.

Lyn przeraźliwie krzyknęła i zatoczyła się do tyłu. Ptak zaczął się wyrywać, szarpiąc przytrzymującym

szyję drutem. Zadawał sobie jeszcze głębsze rany, ale nie mogła zmusić się do tego, żeby podejść do dziko

trzepoczących skrzydeł. Jej umysł zaczął wreszcie funkcjonować i dopiero teraz skojarzyła sobie kaczkę z

martwym zającem, którego ktoś celowo podrzucił na ścieżce. A potem dotarło do niej coś znacznie

ważniejszego.

Skoro ptak jeszcze żył, nie mógł tu długo wisieć. Ktoś przywiązał go stosunkowo niedawno.

Przywiązał go ktoś, kto wiedział, że ona go znajdzie.

Chociaż część umysłu uparcie twierdziła, że to tylko wyobraźnia, Lyn pędziła już ścieżką z powrotem.

Chłostały ją gałęzie drzew. Równe tempo? Bzdura. Myślała tylko o jednym, w głowie pobrzmiwał jej

jeden krzyk: Uciekaj, uciekaj, uciekaj! Nie obchodziło ją, czy zachowuje się głupio czy nie, chciała jedynie

wydostać się z lasu na otwartą przestrzeń. Jeszcze tylko jeden zakręt i ją zobaczy. Oddychała coraz

chrapliwiej, strzelała oczami to w lewo, to w prawo, spodziewając się, że zaraz wyskoczy coś zza drzew.

Ale nie wyskoczyło. Zbliżając się do zakrętu, ni to jęknęła, ni to zaszlochała. Już niedaleko, pomyślała i w

chwili gdy poczuła pierwszy przyływ ulgi, coś szarpnęło ją mocno za nogę.

Nie miała czasu zareagować. Runęła na brzuch i siła upadku wycisnęła jej z płuc całe powietrze. Nie mogła

oddychać, nie mogła się poruszyć. Oszołomiona, czując w gardle zapach igliwia, z trudem wzięła jeden

oddech, potem drugi. Po chwili podniosła głowę i wciąż półprzytomna spojrzała za siebie. To, co tam

zobaczyła, nie miało początkowo żadnego sensu. Jedna noga była nienaturalnie wyciągnięta, a stopa

wykrzywiona pod dziwnym kątem. Wokół kostki zaciskała się błyszcząca żyłka. Nie, pomyślała Lyn. To nie

żyłka.

To drut.

Ale zrozumiała to za późno. Chciała wstać, lecz w tej samej chwili padł na nią czyjś cień. Coś przywarło do

jej ust, coś ją przydusiło. Szarpała się, próbowała zabrać głowę, żeby uciec od tego słodkawego,

chemicznego zapachu, dziko wierzgała i ze wszystkich sił wymachiwała rękami. Na próżno. Sił szybko

ubywało, stawiała coraz słabszy opór. Poranek poszarzał, światło dnia przeszło w nocny mrok. Nie! Wciąż

chciała walczyć, lecz mrok gęstniał i tonęła w nim jak wrzucony do studni kamyk.

Czy tuż przed utratą świadomości po raz ostatni ogarnęło ją zdumienie albo niedowierzanie? Możliwe,

lecz uczucie to na pewno nie trwało długo.

Wprost przeciwnie.

Dla pozostałych mieszkańców miasteczka wstał zwyczajny dzień. Może trochę bardziej zadyszany, trochę

bardziej podekscytowany obecnością policji i spekulacjami na temat tożsamości

martwej kobiety, ale w

sumie zwyczajny. Manham miało wreszcie swoją własną operę mydlaną swój własny melodramat. Ktoś

umarł, tak, ale dla większości z nich była to tragedia odległa, a więc w sumie nie tragedia. Po cichu

zakładano, że to ktoś obcy. Bo gdyby było inaczej, czyżby o tym nie wiedzieli? Czyż nikt nie zauważyłby

braku ofiary i nie rozpoznał sprawcy? Nie, o wiele bardziej prawdopodobne było, że to ktoś obcy, element

napływowy z miasta, ktoś, kto wsiadł nie do tego samochodu, co trzeba i skończył u nich. Dlatego

znalezisko Sama i Neila Yatesów traktowano niemal jak rozrywkę, jak rzadką w miasteczku gratkę, którą

można było cieszyć się bez szoku czy smutku.

Nie zmienił tego nawet fakt, że policja wypytywała o Sally Palmer. Wszyscy wiedzieli, że Sally jest pisarką

że często jeździ do Londynu. Za dobrze pamiętali jej twarz, żeby kojarzyć ją sobie z tym, co znaleziono na

mokradłach. Dlatego Manham nie potrafiło potraktować tego poważnie, dlatego nie rozumiało, że zamiast

roli postronnego obserwatora, odgrywa rolę dużo istotniejszą bo centralną.

Ale to miało się niebawem zmienić.

Dla mnie zmieniło się już o jedenastej, kiedy zadzwonił Mackenzie. Spałem źle i wyjechałem do pracy dużo

wcześnie niż zwykle, żeby pozbyć się resztek nocnego koszmaru. Gdy zadzwonił telefon i Janice

powiedziała mi, kto jest na linii, znowu ścisnęło mnie w brzuchu.

Proszę połączyć.

Łączyła długo, choć za krótko.

Porównaliśmy odciski zacząj bez wstępów Mackenzie. To Sally Palmer.

Na pewno? Głupie pytanie.

Na sto procent. Pasują do tych z jej domu. Poza tym figurują w naszej kartotece. Kiedy była

studentką aresztowano ją podczas jakiegoś wiecu protestacyjnego.

Nie wyglądała na wojującą działaczkę, ale w sumie jej nie znałem. I już nigdy nie miałem poznać.

Mackenzie jeszcze nie skończył.

Teraz możemy ruszać pełną parą. Pomyślałem, że może zainteresuje pana, że ciągle szukamy

kogoś, kto widziałby ją po tym grillu w pubie...

Czekał, jakby spodziewał się, że coś sobie skojarzę. Chwilę trwało, zanim zebrałem powolne myśli, lecz w

końcu je zebrałem.

Aha, daty nie pasują.

Otóż to. Jeśli ci chłopcy znaleźli ją po dziewięciu, dziesięciu dniach, to nie pasują. Bardziej

prawdopodobne jest, że zaginęła przed dwoma tygodniami. Pytanie: gdzie była i co robiła przez te trzy czy

cztery dni?

W przybliżeniu. Mogę się mylić. Co na to patolog?

Ciągle się w tym grzebie odparł oschle Mackenzie. Ale jak dotąd nie powiedział „nie”.

Wcale mnie to nie zdziwiło. Miałem kiedyś do czynienia z ofiarą morderstwa, którą zabójca

przetrzymywał w lodówce przez kilka tygodni, zanim spróbował się jej w końcu pozbyć, ale fizyczne

procesy rozkładu przebiegały zwykle według określonego harmonogramu. Mogły

różnić się w zależności

od środowiska, temperatury i wilgoci, które przyspieszały je lub spowalniały, ale jeśli tylko wzięło się te

czynniki pod uwagę, wszystko zwykle pasowało. Dlatego to, co widziałem na mokradłach poprzedniego

dnia wciąż nie potrafiłem dokonać emocjonalnego przeskoku i pomyśleć, że jest to moja znajoma było

równie niepodważalne, jak dwa razy dwa jest cztery. Była to tylko kwestia rozumienia i zrozumienia.

Niewielu patologom to odpowiadało. Zakres działania antropologów sądowych i patologów częściowo się

ze sobą pokrywa, lecz gdy zwłoki są w stanie zaawansowanego rozkładu, większość tych ostatnich się

poddaje. Mieli zbadać przyczynę śmierci, a kiedy ciało zaczyna gnić, jest to niezmiernie trudne. I właśnie

wtedy wzywano takich jak ja.

Ale nie mnie, pomyślałem. Mnie już nikt nie wezwie.

Jest pan tam? spytał Mackenzie.

Tak.

To dobrze, bo wynika z tego, że mamy kłopot. Musimy te dni jakoś rozliczyć.

Mogła gdzieś wyjechać. Wyjechała i nie miała czasu nikogo powiadomić.

I zamordowano ją zaraz po powrocie w taki sposób, że nikt z miasteczka niczego nie

zauważył?

To możliwe nie ustępowałem. Mógł ją zaskoczyć włamywacz.

Mógł zgodził się ze mną Mackenzie. Ale jeśli nawet, musimy wiedzieć to na pewno.

Przecież włamywacze to wasza działka.

A pies?

Pies? powtórzyłem, chociaż dobrze wiedziałem, do czego zmierza.

Ten, kto zabił Sally Palmer, zabił również psa, to logiczne założenie. Stąd pytanie: kiedy go

zabito?

Z jednej strony, podziwiałem jego bystrość, z drugiej, byłem na siebie zły, że nie wpadłem na to sam. Tak,

oczywiście, robiłem wszystko, żeby o tym nie myśleć. Ale kiedyś nie musiałby wskazywać mi tego palcem.

Jeśli pies zginął w tym samym czasie ciągnął pańska teoria z włamywaczem trzyma się

kupy. Sally Palmer wraca do domu. Pies atakuje włamywacza, który zabija i jego, i ją, następnie wywozi

ciało na mokradła. Powiedzmy. Ale jeśli pies leżał tam martwy dłużej, sprawa nabiera innego wymiaru. Bo

jeśli tak, oznaczałoby to, że morderca nie zabił jej od razu. Że przetrzymywał ją przez kilka dni, wreszcie

się znudził i pociął ją nożem.

Zamilkł, żeby to do mnie dotarło.

Moim skromnym zdaniem trzeba by to sprawdzić. Prawda, panie doktorze?

Dom Sally Palmer zmienił się od dnia, kiedy widziałem go ostatni raz. Wtedy był cichy i pusty, teraz roiło

się w nim od ponurych, nieproszonych gości. Na podwórzu stały policyjne radiowozy, wszędzie kręcili się

ubrani w białe kombinezony technicy. Jednakże ich obecność tylko podkreślała atmosferę porzucenia i

osamotnienia, przekształcając to, co było kiedyś prawdziwym domem, w żaloszny wehikuł czasu, który

musieli rozebrać na części, żeby następnie każdą z nich dokładnie zbadać.

Gdy wraz z Mackenziem szedłem przez podwórze, nie wyczuwałem tam ani śladu obecności kobiety, którą

kiedyś znałem.

Był weterynarz powiedział Mackenzie. Połowa kóz zdechła, dwie musiał uśpić, ale dziwił

się, że w ogóle jakieś przeżyły. Mówi, że to niesamowite. Jeszcze parę dni i padłyby wszystkie. Kozy są

silne, ale żeby doprowadzić je do takiego stanu, trzeba by zamknąć je na dwa tygodnie bez jedzenia i picia.

Podwórze za domem, gdzie znalazłem Bess, było ogrodzone taśmą, ale poza tym wyglądało tak jak wtedy.

Pies wciąż tam leżał, więc albo technicy skończyli już robotę, albo uznali, że są pilniejsze sprawy.

Ukucnąłem. Mackenzie stanął za mną i wrzucił sobie do ust miętówkę. Bess była mniejsza i drobniejsza,

niż ją pamiętałem, ale nie, pamięć mnie nie zawodziła. Biorąc pod uwagę stan rozkładu zwłok, procesy

gnilne musiały toczyć w jej ciele prawie widoczną wojnę o resztki pokarmu.

Sierść myliła, maskowała oczywisty fakt, że z Bess pozostały jedynie kości, ścięgna i chrząstka, otwarta

rura tchawicy stercząca z rany na szyi. Ale tkanki miękkiej prawie nie było. Pogrzebałem patykiem w

ziemi, spojrzałem na puste oczodoły i wstałem.

No i? rzucił Mackenzie.

Trudno powiedzieć. Trzeba wziąć pod uwagę mniejszą masę ciała. Sierść też ma wpływ na

tempo rozkładu. Ale nie wiem dokładnie jaki. Miałem do czynienia tylko z prosiakami, a prosiaki nie mają

gęstej sierści. Przypuszczam, że sierść utrudnia owadom składanie jaj, nie licząc otwartych ran oczywiście.

Dlatego myślę, że u psa trwałoby to dłużej.

Mówiłem bardziej do siebie niż do niego, gwałtownie rozgarniając pajęczynę pamięci, przeczesując

mroczne zakamarki wiedzy.

Do odsłoniętych fragmentów tkanki dobrały się zwierzęta. Widzi pan te rany wokół

oczodołów? Jakies zwierzę nadgryzło kość. Za małe na lisa, więc pewnie były to szczury albo ptaki. Zrobiły

to zaraz po tym, jak ją zabito, bo jeśli ścierwo zaczyna za bardzo cuchnąć, większość zwierząt go nie tyka. Z

kolei mniejsza ilość miękkiej tkanki oznacza mniejszą aktywność owadów. Poza tym ziemia jest tu dużo

bardziej sucha niż na mokradłach, gdzie znaleźliście tę kobietę. Wciąż nie mogłem zmusić się do tego,

żeby wypowiedzieć na głos jej imię. Dlatego zwłoki są bardziej odwodnione. W tym upale za kilka dni

uległyby mumifikacji. Susza ma duży wpływ na tempo procesów gnilnych...

Więc nie wie pan, od kiedy może tu leżeć? przerwał mi niecierpliwie Mackenzie.

Ja nic nie wiem. Mówię tylko, że warunkuje to bardzo dużo czynników. Mogę najwyżej

powiedzieć, co myślę, ale niech pan pamięta, że to tylko ocena wstępna. Dokładniejszych i szybszych

odpowiedzi nikt panu nie udzieli, nie po pobieżnych oględzinach.

No więc?

Na ziemi nie ma pustych pancerzyków, ale niektóre larwy wyglądają tak, jakby miały się zaraz

przepoczwaczyć. Są o wiele ciemniejsze od tych na mokradłach. Wskazałem otwartą ranę na szyi psa i

kilka pełzających wokół niej lśniących czarnych żuków. Są i chrząszcze. Niewiele, ale zwykle przychodzą

później. Muchy i larwy to pierwsza fala. Potem równowaga się zmienia. Larw jest mniej, chrząszczy więcej.

Mackenzie zmarszczył czoło.

A na mokradłach? Były żuki?

Jeśli były, to ich nie widziałem. Ale żuki nie są tak wiarygodnym wskaźnikiem jak larwy. I jak

już mówiłem, trzeba wziąć pod uwagę inne czynniki.

Niech pan posłucha. Nie każę zeznawać panu pod przysięgą chcę tylko wiedzieć, kiedy zabito

tego psa, tak mniej więcej.

Mniej więcej... Popatrzyłem na Bess, na kupkę obleczonych w skórę kości. Od dwunastu do

czternastu dni temu.

Mackenzie zagryzł wargę i jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

A więc przed Sally Palmer.

Na to wygląda. Porównując to z tym, co widziałem wczoraj, proces rozkładu jest o trzy, cztery

dni bardziej zaawansowany. Jeśli nawet odejmiemy jedną dobą, to i tak pozostają jeszcze trzy. Ale

powtarzam, na tym etapie to tylko zgadywanka.

Mackenzie patrzył na mnie w zadumie.

Jak pan myśli, to możliwe, żeby się pan mylił? Zawahałem się. Ale chciał rady, a nie fałszywej

skromności.

Nie. Westchnął.

Cholera.

Zadzwońa jego komórka. Odpiął ją od pasa i odszedł na bok. Ja zostałem przy Bess, żeby poszukać

czegoś, co skłoniłoby mnie do wydania innej opinii. Ale nie znalazłem niczego. Pochyliłem się nad jej szyją.

Chrząstka rozkłada się dłużej niż tkanka miękka, lecz i tutaj widać było ślady zwierzęcych ugryzień. Mimo

to, było oczywiste, że jest to rana cięta, nie szarpana. Wyjąłem z kieszeni małą latarkę i pamiętając, żeby ją

potem zdezynfekować, zaświeciłem do środka. Rana sięgała kręgu szyjnego. Oświetliłem blade wy

żłobienie na kości. Tego nie zrobiło żadne zwierzę. To zrobił nóż. Ostrze. Weszło tak głęboko, że dotarło aż

do kręgosłupa.

Tak, nóż. Duży. I bardzo ostry.

Byłem tak pogrążony w myślach, że nie słyszałem, kiedy wrócił Mackenzie. Opowiedziałem mu o moim

znalezisku.

Jeśli nacięcie jest wystarczająco głębokie, niewykluczone, że będziecie mogli nawet określić,

czy ostrze jest ząbkowane czy nie. Ale tak czy inaczej, zadanie tego rodzaju rany wymagało dużej siły.

Szuka pan krzepkiego osiłka.

Mackenzie kiwnął głową ale widać było, że jest rozkojarzony.

Muszę jechać. Niech pan tu zostanie, jak długo pan chce. Powiem moim, żeby panu nie

przeszkadzali.

Nie ma potrzeby. Już skończyłem.

Nie zmieni pan zdania?

Powiedziałem wszystko, co wiem.

Gdyby pan chciał, mógłby pan powiedzieć więcej. Próbował mną manipulować i zaczynałem

się na niego wkurzać.

Już to przerabialiśmy. Zrobiłem to, o co pan prosił.

Mackenzie jakby coś w sobie ważył. Wystawił twarz do słońca i zmrużył oczy.

Sytuacja się zmieniła powiedział, podjąwszy decyzję. Znowu ktoś zaginął. Może ją pan zna.

Lyn Metcalf.

Grzmotnęło mnie to jak młotem. Nie dalej jak poprzedniego dnia wieczorem widziałem ją przed drogerią. I

pomyślałem, jak dobrze jest zobaczyć kogoś tak szczęśliwego.

Dziś rano poszła pobiegać i nie wróciła ciągnął nerwowo Mackenzie. Może to fałszywy

alarm, ale na razie nic na to nie wskazuje. A jeśli tak, jeśli to ten sam człowiek, rozpęta się koszmar. Bo

oznaczać to będzie, że Lyn Metcalf już nie żyje albo że jest gdzieś przetrzymywana. A widząc to, co

spotkało Sally Palmer, nikomu bym tego nie życzył.

Już miałem go spytać, po co mi to mówi, ale odpowiedź nasunęła się sama. Z jednej strony, chciał wyrzucić

na mnie większą presję. Z drugiej, był po prostu policjantem. To, że zgłosiłem zaginięcie Sally, plasowało

mnie na niskiej pozycji na liście podejrzanych, ale jeśli pojawiła się druga ofiara, podejrzani znowu byli

wszyscy. Policja nie mogła wykluczyć absolutnie nikogo.

Nawet mnie.

Mackenzie obserwował mnie, chcąc zobaczyć, jak zareaguję. Miał nieprzeniknioną

twarz.

Odezwę się. I nie muszę chyba prosić, żeby zachował pan to dla siebie. Wiem, że jest pan w

tym dobry.

Z tymi słowami odwrócił się i odszedł. Cię ścigał go po trawie jak czarny pies.

Jeśli mówił poważnie, niepotrzebnie zawracał sobie głowę. Manham było zbyt małe, żeby coś takiego

mogło długo pozostać tajemnicą. Wiadomość o zniknięciu Lyn Metcalf rozeszła się, zanim zdążyłem

wrócić z farmy. Mniej więcej w tym samym czasie rozeszła się również wieść, że zamordowaną kobietą

jest Sally Palmer, miasteczko otrzymało więc podwójny cios, który trudno było znieść. W ciągu kilku

godzin gorączkowe podniecenie ustąpiło miejsca szokowi. Większość ludzi kurczowo trzymała się nadziei,

że te dwa wydarzenia nie mają ze sobą związku i że druga „ofiara” wróci do domu cała i zdrowa.

Ale nadzieja malała z minuty na minutę.

Kiedy Lyn nie wróciła do domu, jej mąż Marcus poszedł jej szukać. Później przyznał, że początkowo

zupełnie się tym nie przejął. Jeszcze nie wiedział, że kobietą z mokradeł jest Sally Palmer. Myślał, że żona

pobiegła inną trasą i zwyczajnie zabłądziła. Ponieważ już się to zdarzało, idąc ścieżką w kierunku jeziora i

wykrzykując jej imię, był trochę poirytowany. Lyn miała tego dnia dużo zajęć, a teraz, przez te głupie

poranne przebieżki, spóźnić się mógł i on.

Bez większego niepokoju przeszedł ścieżką między trzcinami i zagłębił się w las. Gdy znalazł martwą

kaczkę, przywiązaną do kamienia, jego pierwszą reakcją był gniew na bezsensowne okrucieństwo ludzi.

Przez całe życie mieszkał na wsi i nie miał czasu na sentyment do zwierząt, ale nie znosił sadyzmu. I

dopiero wtedy, kiedy pomyślał o tym w ten sposób, po raz pierwszy ogarnął go strach. Próbował sobie

wmówić, że martwa kaczka nie może mieć nic wspólnego z Lyn, że to absurd. Ale trudno jest wyzbyć się

strachu, kiedy się już zagnieździ.

Zagnieździł się na dobre i stale narastał, podsycany echem rozbrzmiewających między drzewami

nawoływań, które wciąż pozostawały bez odpowiedzi. Wracając, z trudem zachowywał spokój. Szedł

szybko w kierunku jeziora i powtarzał sobie, że Lyn na pewno czeka na niego w domu. Wtedy zobaczył

coś, co spowodowało, że ostatnia nadzieja prysła jak bańka mydlana.

Na wpół ukryty pod korzeniem drzewa leżał jej stoper.

Marcus podniósł go, zobaczył pęknięty pasek i rozbite szkiełko. Ogarnięty paniką rozejrzał się wokoło,

szukając innych śladów. Ale nie znalazł żadnych. A przynajmniej ich nie rozpoznał. Tak, zauważył

drewniany palik wbity w ziemię, ale nie zdawał sobie sprawy, że ma jakieś znaczenie. Dopiero kilka godzin

później policyjni technicy mieli stwierdzić, że jest to część wnyków i że na ziemi zakrzepło kilka kropel

krwi Lyn.

Ale po samej Lyn nie było ani śladu.

Rozdział 8

W poszukiwaniach pomagało prawie całe miasteczko. Kiedy indziej i w innych

okolicznościach ludzie pomyśleliby pewnie, że Lyn Metcalf po prostu uciekła. O tak, byli dobrym małżeństwem, szczęśliwym taka panowała opinia. Ale nigdy nic nie wiadomo. Ponieważ jednak zaginęła zaraz po zabójstwie innej kobiety, jej zniknięcie natychmiast nabrało złowieszczych cech. Policja skoncentrowała się głównie na lesie i ścieżkach, którymi biegała, i każdy, kto tylko mógł chodzić, chciał pomóc ją znaleźć. Był piękny letni wieczór. Słońce stało tuż nad horyzontem, jaskółki tańczyły swój podniebny taniec i wszędzie czuło się niemal świąteczny nastrój, rzadkie w Manham poczucie solidarności, jedności i zdecydowania. Ale nie sposób było zapomnieć, po co tam przyszli. Co więcej, musieli też pogodzić się z inną, jakże gorzką i trudną do przełknięcia prawdą. Ten, kto to zrobił, był jednym z nich.

. Nie mogli już dłużej zrzucać winy na kogoś z zewnątrz. Już nie. To, że obydwie kobiety pochodziły z Manham, nie było zwykłym przypadkiem, a już na pewno nie zbiegiem okoliczności. Nikt nie wierzył, żeby ktoś obcy mógł zostać tu po zabójstwie Sally Palmer albo wrócić, żeby zabić ponownie. Co oznaczało, że ten, kto zadźgał Sally i zastawił sidła na Lyn, musiał być jednym z nich. Owszem, istniało

prawdopodobieństwo, że zrobił to ktoś z sąsiedniej wioski, ale nasuwało się pytanie, dlaczego akurat

tutaj? I dlaczego aż dwa razy? Znacznie bardziej prawdopodobna była druga możliwość. Bardziej

prawdopodobna i o wiele bardziej przerażająca. Znaliśmy nie tylko te dwie kobiety. Znaliśmy również

bestię, która je zabiła.

Świadomość ta powoli zapuszczała korzenie, gdy wyruszaliśmy na poszukiwania. I chociaż jeszcze nie

rozkwitła, puszczała już pierwsze pędy. Widać to było choćby po tym, jak ludzie na siebie patrzyli.

Wszyscy słyszeli o mordercach, którzy uczestniczyli w poszukiwaniach. O tym, że publicznie wyrażali

odrazę i współczucie, że wylewali krokodyle łzy, mając na rękach ledwie zaschniętą krew ofiary i serce

ropiejące od jej ostatnich krzyków i błagań. Dlatego chociaż rozgarniając trawę i zaglądając za każdy

krzak, mieszkańcy Manham okazywali wielką solidarność, zaczynała lęgnąć się wśród nich podejrzliwość.

Przyłączyłem się do nich zaraz po dyżurze. Głównym ośrodkiem koordynacyjnym była policyjna

pryczepa na brzegu lasu, niedaleko miejsca, gdzie Marcus Metcalf znalazł stoper żony; ponieważ las rósł

na skraju miasteczka, samochody musiały pokonać kilkaset metrów przez żywopłoty i chaszczce. Niektórzy

trafili tam przypadkowo, ale większość przyciągnęło niezwykle jak na Manham poruszenie. Było kilku

reporterów, ale tylko z prasy lokalnej. Ci z krajowej niczego jeszcze nie zwęszyli, a może po prostu uznali,

że morderstwo i uprowadzenie to nie news. Już niebawem miało się to zmienić, ale na razie robiliśmy

swoje, korzystając ze względnej anonimowości.

Żeby lepiej skoordynować akcję poszukiwawczą, rozstawiono stół. Była to w sumie świetna okazja do

wykreowania pozytywnego wizerunku policji: wystarczyło dać ludziom poczucie, że robią coś

pożytecznego, i dopilnować, żeby ochotnicy nie wchodzili w paradę zawodowcom. Przybyli licznie, ale

Manham leżało w tak dzikiej okolicy, że nie sposób było dokładnie jej przeczesać. Mogła wessać

wszystkich jak gąbka, nie zdradzając swych tajemnic.

Zobaczyłem Marcusa Metcalfa. Stał w grupie mężczyzn, jednak trochę na uboczu. Miał nieco bezkształtną

posturę robotnika fizycznego, mocno opaloną twarz, która w normalnych okolicznościach byłaby

przyjemna i wesoła, i gęste, jasne włosy. Ale teraz był przybity, blady i wymizerowany. Tuż obok niego stał

pastor Scarsdale, któremu wreszcie trafiła się sytuacja pasująca do surowości bijącej z jego oblicza.

Zastanawiałem się, czy nie podejść do Marcusa i... I co? Przekazać mu wyrazy ubolewania? Złożyć

kondolencje? Powstrzymała mnie pustota cisnących się na usta słów, wspomnienie niezręcznych

wypowiedzi prawie obcych mi ludzi. Dlatego zostawiłem go pod troskliwą opieką pastora i podszedłem do

stołu.

Decyzji tej miałem potem bardzo żałować.

Spędziłem kilka kompletnie bezproduktywnych godzin na brodeniu po bagnistych łąkach. W mojej

grupie był między innymi Rupert Sutton, który skorzystał widocznie z okazji, żeby uciec od swojej

apodyktycznej matki. Chociaż szliśmy powoli, omijając grząskie oczka, wielki, gruby i zasapany z trudem

za nami nadążał. Ale nadążał. Raz potknął się i upadł na kolana. Gdy pomagałem mu wstać, doszedł mnie

zwierzęcy zapach jego potu.

Niech to szlag wydyszał zażenowany i zaczerwienił się, patrząc na warstwę błota, która

pokrywała mu dłonie jak rękawiczki. Miał zaskakująco cienki, niemal dziewczęcy głos. Niech to szlag

powtórzył, wściekle mrugając.

Ludzie prawie się do siebie nie odzywali. Kiedy gęstniejący mrok uniemożliwił dalsze poszukiwania,

postanowiliśmy zawrócić. Atmosfera była ponura, tak jak ciemniejszy krajobraz. Wiedziałem, że wielu z

nas wpadnie do Owieczki, łaknąc bardziej towarzystwa niż alkoholu. Niewiele brakowało i pojechałbym

prosto do domu. Aleni chciałem być sam, podobnie jak niemal wszyscy pozostali tego wieczoru.

Zaparkowałem przed pubem i wszedłem do środka.

Nie licząc kościoła, pub Pod Czarną Owieczką był najstarszym domem w miasteczku i jako jeden z

nielicznych już budynków w Manham miał kryty słomą dach. Wszędzie indziej, a już na pewno w bardziej

uczęszczanych okolicach Broads, doprowadzono by go do stanu cukierkowej szacowności, ale ponieważ

bywali tam tylko miejscowi, pub powoli popadał w ruinę i nikt nie próbował temu zapobiec. Słoma gniła,

niepomalowane ściany były brudne i popękane.

Tego wieczoru interes szedł pełną parą, chociaż atmosfera zdecydowanie nie sprzyjała. Rozmowy były

pryciszone, pozdrowienia smutne i poważne. Gdy stanąłem przy ladzie, właściciel pubu pytająco zadął

podbródek. Był ślepy na jedno oko, a powlekające je bielmo upodabniało go do starzejącego się labradora.

Małe jasne, Jack.

Brał pan udział w poszukiwaniach? spytał, stawiając przede mną szklankę. Gdy kiwnąłem

głową odsunął pieniądze. Na koszt firmy.

Zdażyłem wypić tylko jeden łyk, gdy poczułem na ramieniu czyjąś ciężką rękę.

Wiedziałem, że dzisiaj wpadniesz.

Tuż obok mnie jak spod ziemi wyrósł prawdziwy wielkolud. Rozmawiając z nim, musiałem zadzierać

głowę.

Cześć, Ben.

Ben Anders miał ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i szerokie na metr bary. Był

strażnikiem w rezerwacie przyrody Hickling Broad i od urodzenia mieszkał w Manham. Rzadko się

widywaliśmy, ale bardzo go lubiłem. Był miłym kompanem, dobrze się z nim gadało i milczało. Miał

sympatyczny, niemal rozmarzony uśmiech na kościstej twarzy, która wyglądała tak, jakby najpierw ją

zmięto, a potem niedokładnie wygładzono. Mocno opalony miał oczy niezwykle jasne i zielone. Zazwyczaj

tryskały humorem, ale tego wieczoru były smutne.

Podparł się łokciem i mruknął:

Kiepska sprawa.

Kiepska.

Widziałem ją dwa dni temu. Beztroska i wesolutka jak skowronek. No, a potem Sally Palmer.

Jak dwa gromy z jasnego nieba.

Wiem.

Chryste, mam nadzieję, że gdzieś wyjechała. Ale marnie to wygląda, co?

Bardzo marnie.

Biedny Marcus. Wolenie myśleć, co teraz przeżywa. Zniżył głos, żeby nikt go nie podsłuchał.

Podobno ten skurwiol pochlastał Sally nożem. Jeśli teraz dopadł Lyn... Chryste, skręciłbym sukinsynowi

kark.

Wbiłem wzrok w szklankę. Najwyraźniej nikt jeszcze nie wiedział, że pomagałem policji. Cieszyłem się z

tego, ale i czułem niezręcznie, trochę jak kłamca.

Ben pokręcił potężną głową.

Myślisz, że są jakieś szanse?

Nie wiem. Była to najszczerza odpowiedź, jakiej mogłem udzielić. Pamiętałem słowa

Mackenziego. Jeśli się nie mylił, Sally Palmer zamordowano prawie trzy dni po jej zniknięciu. Nie byłem

specjalistą od portretów psychologicznych, ale wiedziałem, że seryjni mordercy postępują według

określonego schematu. Zakładając, że zrobił to ten sam człowiek, Lyn mogła jeszcze żyć.

Jeszcze. Boże, czy to możliwe? Jeśli tak, ile czasu jej zostało? Wmawiałem sobie, że zrobiłem wszystko to,

czego ode mnie oczekiwano, że więcej nie mogłem. Mimo to czułem, że jest to tania, naciągana wymówka.

Wyczułem, że Ben dziwnie mi się przygląda... Przepraszam, zamyśliłem się.

Pytałem, czy dobrze się czujesz. Lecisz z nóg.

To był ciężki dzień.

Mnie to mówisz? - Spojrzał w stronę drzwi i sposepniał jeszcze bardziej. A już myślałem, że

gorzej być nie może.

Poszedłem za jego wzrokiem i zobaczyłem w progu pastora Scarsdale'a. Gdy z surową miną ruszył do lady,

powoli ustały rozmowy.

Chyba nie będzie odprawiał tu nabożeństwa mruknął Ben. Scarsdale odchrząknął.

Panowie. Z naganą w oczach spojrział na kilka siedzących pod ścianą kobiet, ale nie raczył ich

powitać. Chcę was zawiadomić, że jutro wieczorem odprawię mszę za Lyn Metcalf i Saily Palmer.

Mówił oschle, dźwięcznym, donośnym barytonem.

Jestem przekonany, że wszyscy... Powiódł wokoło wzrokiem. Powtarzam, wszyscy

przyjdziecie do kościoła, żeby okazać szacunek dla zmarłych i wesprzeć żyjących.
Zamilkł i sztywno

skinął głową. Dziękuję.

Idąc do drzwi, przystanął przede mną. Nawet latem bił od niego zapach pleśni.
Ramiona jego czarnej,

wełnianej marynarki były obsypane łupieżem, oddech cuchnął kulkami na mole.

Ufam, że pana też tam zobaczę, doktorze.

Jeśli tylko pacjenci pozwolą.

Jestem pewien, że nikt z nas nie okaże się egoistą i nie powstrzyma pana od
spełnienia

obowiązku. Nie byłem pewien, co miał na myśli. Zaszczycił mnie ponurym
uśmiechem. Poza tym

większość pacjentów zastanie pan w kościele. Tragedie takie jak ta bardzo nas
łączą. Jako mieszczuch

uważa pan pewnie, że to dziwne. Ale my tu wiemy, co idzie przed czym.

Krótko skinął głową i wreszcie wyszedł.

Oto prawdziwy chrześcijanin mruknął Ben i podniósł pusty kufel, który ginął w jego
wielkiej

dłoni jak mała szklanka. Przynieść ci jeszcze jedno?

Odmówiłem. Wystąpienie pastora bynajmniej nie poprawiło mi humoru. Już miałem
dopić piwo i pójść do

domu, gdy za plecami usłyszałem czyjś głos.

Pan doktor?

Odwróciłem się. Stała przede mną młoda nauczycielka, którą poprzedniego dnia
spotkałem w szkole.

Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać...

Nie szkodzi. To znaczy, zupełnie mi pani nie przeszkadza.

Jestem nauczycielką Sama zaczęła niepewnie. Poznaliśmy się wczoraj. Pamięta pan?

Mam kiepską pamięć do nazwisk, ale jej nazwisko przypomniałem sobie natychmiast. Jenny. Jenny

Hammond.

Tak, oczywiście. Co u niego słyhać? Jak się czuje?

Chyba dobrze. Dzisiaj nie było go w szkole. Ale kiedy wczoraj przyjechała po niego matka,

czuł się już dużo lepiej.

Miałem do niego wpaść, ale przeszkodziły mi inne sprawy.

Szybko dojdzie do siebie, tylko że przez kilka dni nie będzie go w szkole. Ale to chyba nie

problem, prawda?

Nie, nie, ależ skąd... Cóż, chciałam tylko... Chciałam się tylko przywitać, to wszystko.

Była zażenowana. Myślałem, że podeszła, żeby wypytać mnie o Sama. Poniewczasie dotarło do mnie, że

próbuję być po prostu przyjacielska.

Przyszła pani z koleżankami ze szkoły? spytałem.

Nie, sama. Byłam na poszukiwaniach, a potem... Moja współlokatorka wyszła i nie chciałam

siedzieć sama w domu.

Doskonale ją rozumiałem. Zamilkliśmy.

Przynieść pani coś do picia? Zadałem to pytanie w chwili, gdy powiedziała: „Cóż, do zobaczenia”

i obydwójce roześmialiśmy się z zażenowaniem. Czego się pani napije?

Nie, nie, nie trzeba, naprawdę.

I tak miałem iść do baru. Mówiąc to, zdałem sobie sprawę, że moja szklanka jest prawie

pełna. Miałem nadzieję, że tego nie zauważyła.

W takim razie butelkę becka. Dziękuję.

Gdy dotarłem do lady, Ben właśnie od niej odchodził.

Co, zmieniłeś zdanie? Zaczekaj, postawię ci. Włożył rękę do kieszeni.

Nie, nie, to nie dla mnie.

Zerknął ponad moim ramieniem i wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.

Jasne, rozumiem. Na razie.

Kiwnąłem głową czując, że pali mnie twarz. Zanim mnie obsłużono, zdążyłem dopić piwo. Zamówiłem

drugie i wróciłem do Jenny.

Na zdrowie powiedziała i pociągnęła łyk z butelki. Wiem, że właściciel tego nie lubi, ale ze

szklanki gorzej smakuje.

Ale ma mniej zmywania, więc w sumie robi mu pani przysługę.

Powiem mu to, kiedy znowu zwróci mi uwagę. Spoważniała. Po prostu nie mogę w to

uwierzyć. To straszne, prawda? Dwie kobiety i obydwie stąd, z Manham. Zawsze myślałam, że w takich

miasteczkach jest bezpiecznie.

Dlatego pani tu przyjechała?

Zabrzmiało to tak, jakbym wtykał nos w nie swoje sprawy, chociaż wcale tego nie chciałem. Popatrzyła na

butelkę.

Powiedzmy, że zmęczyło mnie życie w mieście.

- Gdzie pani mieszkała?

W Norwich.

Zaczęła zrywać naklejkę z butelki. Zdała sobie sprawę, że to robi, i przestała. Uśmiechnęła się do mnie i

pojaśniała jej twarz.

A pan? Już ustaliliśmy, że pan też nie jest stąd.

Tak, przyjechałem z Londynu.

Dlaczego akurat do Manham? Skusiły pana kolorowe neony i upojne nocne życie?

Coś w tym rodzaju. Spostrzegłem, że oczekuje czegoś więcej. Chyba z tego samego powodu

co pani. Szukałem odmiany.

No i chyba ją pan znalazł – odrzekła z uśmiechem. Mimo to, podoba mi się tu. Powoli

przywykam do życia na odludziu. Cisza, spokój. Ani tłumów, ani samochodów...

Ani kin.

Ani barów.

Ani sklepów. Uśmiechnęliśmy się do siebie.

Od dawna pan tu mieszka?

Od trzech lat.

Długo trwało, zanim pana zaakceptowali?

Ciągle nad tym pracuję. Jeszcze dziesięć lat i niewykluczone, że zaczną mnie brać za stałego

gościa. Oczywiście tylko ci najbardziej postępowi.

Obłąd. Ja jestem tu dopiero od pół roku.

Zatem turystka z pani.

Roześmiała się i już miała coś powiedzieć, gdy wtem przy drzwiach wybuchło jakieś

zamieszanie. Ktoś

krzyknął:

Gdzie jest lekarz?! Jest tu lekarz?

Przepchnąłem się do mężczyzny, którego na wpół wniesiono, na wpół wprowadzono do pubu. Miał

wykrzywioną z bólu twarz. Znałem go. Był to Scott Brenner, członek rozległej rodziny, która mieszkała w

rozpadającym się domu na skraju Manham. Jego but i nogawka spodni były uwalane krwią.

Posadźcie go rzuciłem. Ostrożnie. Co się stało?

Wpadł w sidła. Jechaliśmy do przychodni, ale zobaczyliśmy pana samochód.

Powiedział to nie Scott, tylko jego brat Carl. Brennerowie byli hermetycznie zamkniętą rodziną. Oficjalnie

pracowali na gospodarstwie, ale nie stronili też od kłusownictwa. Carl, żylasty, zadzierzysty osiłek, był z

nich najstarszy i podwijając przesiąkniętą krwią nogawkę Scotta, pomyślałem zgryźliwie, że przytrafiło się

to nie temu z braci. Potem zobaczyłem ranę.

Jesteście samochodem?

Myśli pan, że przyszliśmy tu z nim na piechotę?

To dobrze, bo musicie zawieźć go do szpitala. Carl zaklął.

Nie może go pan pocerować?

Mogę założyć tymczasowy opatrunek, to wszystko. Ale opatrunek tu nie wystarczy.

Obetną mi nogę? wysapał Carl.

Nie, ale przez jakiś czas nie będziesz mógł biegać. Wcale nie byłem tego taki pewny, chociaż

powiedziałem to z przekonaniem w głosie. Zastanawiałem się, czy nie zabrać go do

przychodni, ale

uznałem, że dość się nacierpiał. W samochodzie mam apteczkę, pod kocem z tyłu. Czy ktoś może ją

przynieść?

Ja pójdę odparł Ben. Dałem mu kluczyki. Gdy wyszedł, poprosiłem o wodę i czyste ręczniki i

zacząłem przemywać ranę.

Jakie to były sidła?

Druciane odrzekł Carl Brenner. Zaciskają się na nodze. Mogą przeciąć ciało do kości.

I przecięły.

Gdzie to było?

Po drugiej stronie mokradeł wychrypiał Scott, odwracając głowę, żeby nie widzieć tego, co

robię. Koło starego młyna...

Szukaliśmy Lyn wtrącił Carl, posyłając mu znaczące spojrzenie. Bardzo w to wątpiłem.

Wiedziałem, o co chodzi. Podobnie jak większość

wiatraków w Broads, ten na skraju Manham nie był młynem, tylko zwyczajną pompą wodną, za pomocą

której osuszano kiedyś bagnisko. Porzucony przed dziesiątkami lat, był teraz pustą, martwą skorupą i nie

miał nawet skrzydeł. Nawet według tutejszych standardów, stał na zupełnym odludziu i nadawał się

idealnie dla kogoś, kto chciał polować lub zastawiać wnyki bez niepotrzebnych świadków. Ponieważ

Brennerowie cieszyli się taką reputacją, jaką się cieszyli, bardziej prawdopodobne było, że poszli tam

właśnie po to, a nie z poczucia obowiązku obywatelskiego. Ciekawe, pomyślałem, obmywając ranę. Czyżby

wpadł we własne sidła? Scott jakby czytał w moich myślach.

To nie były naszejęknał.

Scott! warknął Carl.

Bo nie były! Ktoś zastawił je w trawie, na ścieżce. I były za duże na zająca czy jelenia.

Ludzie powitali to oświadczenie głuchym milczeniem. Chociaż policja oficjalnie tego nie potwierdziła,

wszyscy słyszeli, że w lesie, gdzie zaginęła Lyn, znaleziono drucziane wnyki.

Wrócił Ben z apteczką. Oczyszczyłem ranę najlepiej, jak umiałem.

Niech trzyma nogę do góry. I jak najszybciej zawieźcie go do szpitala. Carl pomógł bratu wstać,

chwycił go pod ramię i wyprowadził z pubu.

Umyłem ręce i wróciłem do Jenny.

Wyjdzie z tego? spytała.

; Zależy, jak bardzo ma uszkodzone ścięgna. Przy odrobinie szczęścia będzie lekko utykał. Pokręciła

głową.

Boże, co za dzień.

Podszedł do nas Ben z kluczykami.

Żebyś nie zapomniał.

Dzięki.

Jak myślisz? Ma to coś wspólnego ze zniknięciem Lyn?

Nie wiem odparłem. Ale tak jak wszyscy pozostali, miałem złe przeczucia.

Dlaczego ma mieć? spytała Jenny.

Ben jakby się zawahał. Zrozumiałem, że się nie znają.

Ben, to jest Jenny – powiedziałem. Uczy w naszej szkole. Potraktował to jako przyzwolenie.

Dlatego, że to za dużo jak na zwykły przypadek. Nie żebym współczuł Bremerom, bo to

banda sukin... Urwał i zerknął na Jenny. Cholera, mam nadzieję, że się mylę, że to jednak przypadek.

Nie rozumiem.

Ben spojrzał na mnie, ale ja nie zamierzałem nic mówić.

Bo jeśli mam rację, to znaczy, że to ktoś z nas. Z miasteczka.

Nie wiadomo, nie wierzę zaprotestowała Jenny.

Cóż, zobaczymy odparł Ben. Jego twarz mówiła co innego, ale był zbyt taktowny, żeby się z

nią sprzeczać. I tym akcentem chyba się pożegnam.

Dopił piwo i mszył do drzwi. Jakby po namyśle odwrócił się do Jenny.

To nie moja sprawa, ale przyjechała pani samochodem?

Nie. Dlaczego?

Bo samotny powrót do domu nie jest chyba dobrym pomysłem. I posławszy mi znaczące

spojrzenie, odszedł.

Jenny uśmiechnęła się niepewnie.

Myśli pan, że jest aż tak źle?

Oby nie. Ale Ben ma rację. Pokręciła głową.

Nie do wiary. Jeszcze dwa dni temu było to najspokojniejsze miejsce na ziemi!

Dwa dni temu Sally Palmer od dawna nie żyła, a odpowiedzialna za jej śmierć bestia polowała już na Lyn

Metcalf. Ale nie powiedziałem tego na głos.

Ma pani z kim wrócić?

Nie, ale nic mi nie będzie. Dam sobie radę.

W to nie wątpiłem. Ale pod maską przekory i lekceważenia dostrzegłem na jej twarzy wyraz

zdenerwowania.

Podrzucę panią.

Wróciwszy do domu, usiadłem w ogrodzie. Noc była ciepła i zupełnie bezwietrzna. Zadarłem głowę i

popatrzyłem na gwiazdy. Księżyc był prawie w pełni i wisiał na niebie jak asymetryczny dysk w białej

aureoli. Próbowałem podziwiać jego upstrzoną plamami powierzchnię, ale mój wzrok powoli opadał coraz

niziej i niziej, by spocząć w końcu na czarnym lesie za łąką. Lubilem ten widok nawet w nocy. Ale patrząc na

nieprzenikniony mur drzew, tego wieczoru poczułem się nieswojo.

Wszedłem do domu, nalałem sobie trochę whisky i wróciłem do ogrodu. Było już po północy i musiałem

wcześnie wstać. Ale chwytałem się wszystkich pretekstów, żeby tylko opóźnić moment, kiedy będę musiał

pójść spać. Na szczęście choć raz miałem za dużo do myślenia, żeby odczuwać zmęczenie.

Odprowadziłem Jenny do małego domku, który wynajmowała na spółkę z koleżanką. Ostatecznie

zrezygnowaliśmy z samochodu. Noc była ciepła i jasna, poza tym Jenny mieszkała ledwie kilkaset metrów

dalej. Idąc, opowiadała mi o swojej pracy i uczniach. Tylko raz nawiązała do przeszłości, wspominając, że

kiedyś pracowała w szkole w Norwich. Ale wspomniała o tym bardzo pobieżnie,

szybko ukrywając to pod

lawiną słów. Udałem, że niczego nie zauważyłem. Zresztą to nie była moja sprawa.

Gdy szliśmy wąską ścieżką w stronę jej domu, gdzieś w pobliżu zaszczekał nagle lis. Jenny chwyciła mnie

za ramię.

Przepraszam powiedziała, zabierając rękę tak szybko, jakby się sparzyła. Roześmiała się

zmieszana. Po tylu miesiącach powinnam już do tego przywyknąć.

Zrobiło się tak jakoś niezręcznie. Przystanęła przy furtce.

Cóż... Dziękuję.

Nie ma za co.

Uśmiechnęła się po raz ostatni i zniknęła za ogrodzeniem. Zaczekałem, aż szczęknie zamek i zawróciłem.

Szedłem przez ciemne miasteczko, czując dotyk jej ręki na nagim ramieniu.

Teraz też go czułem. Piłem whisky, krzywiąc się na wspomnienie tego, jak bardzo mną to wstrząsnęło. I to

tylko dlatego, że przypadkowo dotknęła mnie młoda kobieta. Nic dziwnego, że zamilkła.

Dopiłem whisky i wszedłem do domu. Ale coś ciągle nie dawało mi spokoju, ciągle miałem wrażenie, że

muszę coś zrobić. Myślałem przez chwilę i wreszcie sobie przypomniałem. Scott Brenner. Nie byłem

pewny, czy brat pozwoli mi powiedzieć policji o sidłach. Być może nie miało to żadnego znaczenia, ale

Mackenzie musiał się o tym dowiedzieć. Znalazłem jego wizytówkę i zadzwoniłem na komórkę.

Dochodziła pierwsza w nocy, ale zawsze mogłem zostawić mu wiadomość na poczcie głosowej.

Odpowiedział natychmiast.

Tak?

Mówi David Hunter zacząłem zaskoczony. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale chciałem

się tylko upewnić, czy skontaktował się z wami Scott Brenner.

Kto? Mackenzie był zirytowany i zmęczony. Opowiedziałem mu, co się stało.

Gdzie to było? spytał, gdy skończyłem; zmęczenie natychmiast z niego wyparowało.

Koło starego młyna, półtora kilometra na południe stąd. Myśli pan, że ma to jakiś związek z

Lyn?

Chwilę trwało, zanim rozpoznałem ten odgłos: Mackenzie przetarł twarz i zaszeleściły mu wąsy.

A co tam mruknał. Jutro i tak mieliśmy to ujawnić. Podczas poszukiwań poharatało się

dwóch moich. Jeden wpadł w sidła, drugi do jakiejś dziury z zaostrzoną żerdzią na dnie.

Powiedział to z nieukrywanym gniewem w głosie.

Dlatego trzeba założyć, że ten, kto porwał Lyn Metcalf, czekał, aż przyjdziemy jej szukać.

Tej nocy przebudzeniu nie towarzyszył żaden wstrząs. Po prostu stwierdziłem, że już nie śpię, że mam

otwarte oczy i patrzę na światło księżycy wpadające przez okno. Po raz pierwszy od długiego czasu

chodziłem tylko we śnie, po raz pierwszy od długiego czasu obudziłem się w łóżku. Lecz sen pamiętałem

tak dobrze, jakby nie był snem, jakbym przed chwilą przeszedł z jednego pokoju do drugiego.

Sceneria była zawsze ta sama. Domek, którego nigdy nie widziałem na jawie,

nieistniejące miejsce, w

którym mimo to czułem się jak w domu. I Kara i Alice, pełne życia, jak prawdziwe. Rozmawialiśmy o moim

dniu, o niczym konkretnym, tak jak wtedy, gdy jeszcze żyły.

A potem budziłem się, by stawić czoło bezlitosnemu faktowi, że obydwie nie żyją.

Przypomniały mi się słowa Lindy Yates. „Takie sny nie śnią się bez powodu”. Ciekawe, czego doszukałaby

się w moim. Mniej więcej wiedziałem, co powiedziała by psychiatra, a nawet psycholog amator, taki jak

choćby Henry. Rzecz w tym, że moje sny nie dawały się ująć w karby racjonalnych teorii. Ich logika,

plastyczność i namacalność zupełnie nie przypominały tych z normalnego snu. I chociaż nie chciałem tego

przyznać nawet przed samym sobą podświadomie nie wierzyłem, że były tylko zwykłymi snami.

Ale gdybym kiedyś uwierzył, zrobiłbym pierwszy krok na drodze, którą bałem się iść. Bo istniał tylko

jeden sposób, żebym mógł połączyć się z rodziną i wiedziałem, że byłby to nie akt miłości, tylko rozpacz.

Jeszcze bardziej przerażało mnie, że czasem miałem to gdzieś.

Rozdział 9

Nazajutrz rano przybyło rannych. Były to zupełnie odrębne przypadki, gdyż żadna z tych osób nie

przebywała w pobliżu miejsc, gdzie natrafiono na pułapki poprzedniego dnia. Jedna z nich, policjantka,

nadziła się w zamaskowanym dole na zaostrzoną żerdź, która przebiła jej tydkę. Podobnie jak Scotta

Brennera, opatrzyłem ją i odesłałem do szpitala na szycie. Rana drugiej ofiary, Dana Marsdena,

miejscowego robotnika, była bardziej powierzchowna, gdyż drucziana pętla tylko częściowo przecięła jego

graby, skórzany but.

Chryste, chciałbym dorwać tego skurwysyna wysyczał Marsden przez zaciśnięte zęby, gdy

go opatrywałem.

Były dobrze ukryte?

Kurde, były niewidoczne! I wielkie! Co on chciał w nie złapać?

Nie odpowiedziałem. Było całkiem prawdopodobne, że złapał dokładnie to, co chciał.

Mackenzie też tak uważał. Zarządził chwilową przerwę w poszukiwaniach Lyn i kazał zorganizować punkt

doraźnej opieki medycznej w centrum koordynacyjnym. Wydał również komunikat, w którym

przestrzegał wszystkich przed wchodzeniem do lasu i na mokradła. Rezultatu można było się domyślić.

Jeśli przedtem w miasteczku panowała atmosfera odrętwiałego szoku, wiadomość, że okolice Manham

przystały być bezpieczne, przyniosła pierwszą falę prawdziwego strachu.

Oczywiście znaleźli się i tacy, którzy nie chcieli w to wierzyć albo uparcie powtarzali, że nic nie odstraszy

ich od chodzenia tam, gdzie chodzili przez całe życie. Trwało to, dopóki jeden z najgłośniejszych

buntowników, który dodał sobie odwagi kilkoma kwartami piwa w Owieczce, nie wpadł do przykrytej

suchą trawą dziury i nie złamał sobie nogi w kostce. Jego przeraźliwe wrzaski podziały o wiele

skuteczniej niż jakiekolwiek ostrzeżenia.

Ponieważ ściągnięto policyjne posiłki, ocknęli się wreszcie reporterzy z prasy krajowej, którzy zjechali tu

gromadnie z mikrofonami i kamerami. Manham zaczynało wyglądać jak obleżone miasto.

Na razie mamy dwa rodzaje pułapek powiedział Mackenzie. Druciane wnyki, jakie potrafi

zastawiać każdy kłusownik. Z tym że te są na tyle duże, że mieści się w nich stopa dorosłego człowieka. I

zaostrzone żerdzie. Żerdzie są jeszcze gorsze. Ten facet to albo były wojskowy, albo zorganizował tu sobie

szkołę przetrwania. Albo ma paskudną wyobraźnię.

Powiedział pan „na razie”?

Ten, kto zastawia te pułapki, dobrze wie, co robi. Wszystko sobie starannie zaplanował.

Musimy założyć, że będzie więcej niespodzianek.

Może właśnie tego chce? Może chce uniemożliwić poszukiwania?

Pewnie tak. Ale nie możemy ryzykować. Te, które znaleźliśmy, tylko ranią. Ale jeśli będziemy

dalej łązić po lasach, następnym razem ktoś może stracić życie.

Zamilkł. Dojechaliśmy do skrzyżowania i zaczął niecierpliwie bębnić palcami w kierownicę, czekając, aż

ruszy stojący przed nami samochód. Spojrzałem w okno. W ciszy ogarniał mnie coraz większy niepokój.

Z samego rana zadzwoniłem do niego i powiedziałem, że jeśli nadał tego chce, zbadam szczątki Sally

Palmer. Wiedziałem o tym od chwili przebudzenia, jakbym podjął decyzją we śnie. I pewnie tak było.

Ale tak naprawdę nie miałem pojęcia, na ile mu się przydam. Zakładając, że nie wyszedłem jeszcze z

wprawy i niczego nie zapomniałem, w najlepszym razie mógłbym pewnie bliżej określić czas, jaki upłynął

od chwili śmierci ofiary. Nie miałem złudzeń, że pomogę tym Lyn. Po prostu siedzenie z założonymi

rękami nie wchodziło dłużej w rachubę.

Co wcale nie oznaczało, że się z tego cieszyłem.

Kiedy mu to zakomunikowałem, nie był ani zaskoczony, ani mi nawet nie podziękował. Odparł tylko, że

skontaktuje się z szefostwem i da mi znać. Odkładając słuchawkę, czułem się zawieszony w próżni i w

pierwszej chwili pomyślałem, że źle oceniłem sytuację.

Ale oddzwonił pół godziny później i spytał, czy mógłbym zacząć jeszcze tego dnia. Zaschło mi w ustach.

Odrzekłem, że mogę.

Zwłoki są u patologa. Wpadnę po pana o pierwszej.

Mogę tam przyjechać.

I tak muszę wrócić na posterunek. Poza tym mam do pana parę spraw. Musiałem prosić

Henry'ego, żeby mnie zastąpił, i idąc do niego, zastanawiałem się jakich.

Jasne. Coś się stało?

Henry patrzył na mnie wyczekująco. Nie powiedziałem mu jeszcze, po co zjawił się u mnie Mackenzie, ale

wymagałoby to dłuższych wyjaśnień, a ja nie byłem na to gotowy. Wiedziałem jednak, że nie mogę dłużej

zwlekać. Byłem mu winien przynajmniej tyle.

Daj mi czas do końca tygodnia odparłem. Do tej pory powinienem się ze wszystkim uporać,

poza tym w weekend nie miałem na głowie pacjentów. Wtedy ci powiem.

Przyjrzał mi się uważnie.

Wszystko w porządku? Na pewno?

Tak. Po prostu to trochę... skomplikowane.

A co nie jest? O tej porze w zeszłym tygodniu nikomu do głowy by nie przyszło, że zaroi się tu

od policji i wścibskich reporterów. Ciekawe, czym się to skończy.

Spróbował się uśmiechnąć.

Dobra. Wpadnij w niedzielę na lunch. Lubię gotować i mam butelczynę przedniego Bordeaux.

Już od dawna szukam pretekstu, żeby ją otworzyć. Z pełnym brzuchem lepiej się rozmawia.

Ciesząc się, że dał mi trochę czasu, przyjąłem zaproszenie.

Dojechaliśmy do ronda. W samochodzie pachniało mentolowym odświeżaczem powietrza i płynem po

goleniu. I było czyściutko, jakby Mackenzie przed chwilą w nim sprzątał. Na ruchliwych ulicach i uliczkach

panował chaos i hałas. Widok był znajomy, jednocześnie dziwny. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy

ostatni raz byłem w mieście, i z zaskoczeniem stwierdziłem, że od tamtego deszczowego popołudnia,

kiedy to zawitałem do Manham, ani razu stamtąd nie wyjeżdżałem. Miotaly mną sprzeczne uczucia, żal, że

jednak wyjechałem, i zdumienie, że zaszłyłem się na tak długo na odludziu.

Tymczasem tutaj życie toczyło się dalej.

Zobaczyłem grupę uczniów i nauczycielkę, która próbowała zapanować nad nimi przed szkołą. Tuż obok

spiesznie przechodzili zaaferowani ludzie. Wszyscy żyli swoim własnym życiem, na które moje nie miało

żadnego wpływu. Ani moje, ani innych.

Drut z tych sideł jest dokładnie taki sam jak drut we wnykach, w które wpadła Lyn Metcalf

powiedział Mackenzie, ściągnając mnie na ziemię. I jak ten, którym przywiązano do kamienia kaczkę. Nie

wiem, czy pochodzi z tej samej partii, ale to bezpieczne założenie.

Ta kaczką... Jak pan to rozumie?

Nie wiem, nie jestem pewien. Może miała ją przestraszyć. Albo to jakiś znak, swoisty podpis.

Tak jak skrzydła na zwłokach Sally Palmer?

Możliwe. A propos. Odezwał się ornitolog. To skrzydła łabędzia niemego. Często tu przylatują,

zwłaszcza o tej porze roku.

Myśli pan, że istnieje jakiś związek między łabędzimi skrzydłami i kaczką?

Nie wierzę, że to przypadek. Może facet ma jakiś uraz do ptaków. Mackenzie wyprzedził wolno

jadącą półciężarówkę. Siedzą nad tym nasi psychologowie; może uda im się określić, z kim mamy do

czynienia. Psychologowie i cała reszta, bo niewykluczone, że jest to część jakiegoś pogańskiego rytuału.

Pogańskiego, satanistycznego, cholera go wie jakiego jeszcze.

Ale pan tak nie uważa.

Chwilę zwlekał, zastanawiając się, co może mi powiedzieć. Wreszcie odparł:

Nie, nie uważam. Wszyscy podniecili się tymi skrzydłami. Mówili, że zabójca wykorzystuje

klasyczne lub religijne symbole, od anielskich skrzydeł poczynając, na Bóg wie czym kończąc. Ale teraz nie

jestem tego pewien. Gdyby tę kaczkę złożono w ofierze albo okaleczono, to może. Ale drut i kamień? Nie,

moim zdaniem, to robota jakiegoś gówniarza, który lubi męczyć zwierzęta. Który się popisuje.

Tak jak z tymi wnykami.

Tak, tak jak z wnykami. Zgoda, to nas spowalnia. Ciągle myślimy, co jeszcze mógł przyszykować i nie możemy skupić się na poszukiwaniach. Tylko po cholere tyle zachodu? Widać, że to

cwaniak, a cwaniak potrafiłby zatrzeć za sobą ślady. Tymczasem on zostawia kaczkę na widoku i nie usu

wa siდეł. Albo nie przejmuje się, że je znajdziemy, albo... Sam nie wiem.

Znakuje swój teren?

Coś w tym stylu. Pokazuje nam, kto tu rządzi. I nawet się zbytnio nie wysila. Zastawia wnyki

w kilku strategicznych punktach, a potem staje z boku i przygląda się zabawie.

Myślałem o tym przez chwilę.

Może chodzi mu o coś więcej?

Na przykład?

Doprowadził do tego, że nikt już nie chodzi do lasu ani na mokradła. Ludzie boją się wpaść w

siđeł.

Mackenzie zmarszczył brwi. No i?

Więc może nie tylko lubi się znęcać. Może lubi też straszyć. Mackenzie patrzył w zadumie

przed siebie. Szyba była upstrzona resztkami martwych owadów.

To możliwe powiedział w końcu. Mogę spytać, gdzie pan był wczoraj między szóstą a

siódmą rano?

To zbiło mnie z pantałyku.

O szóstej brałem pewnie prysznic. Potem zjadłem śniadanie i pojechałem do przychodni.

O której?

Mniej więcej za kwadrans siódma.

Wcześniej.

Źle spałem.

Czy ktoś może to potwierdzić?

Henry. Zaraz po przyjeździe wypiliśmy z nim kawę. Czarną bez cukru, gdyby to pana interesowało.

To są rutynowe czynności, doktorze. Brał pan udział w wielu śledztwach i dobrze pan o tym

wie.

Niech pan stanie.

Co?

Niech pan stanie.

Chciał coś powiedzieć, ale włączył migacz i zjechał na pobocze.

Czy jestem tu w charakterze podejrzanego, czy mam wam pomóc?

Niech pan posłucha, pytamy o to wszystkich...

Nie odpowiedział pan na pytanie.

Dobrze, przepraszam, może nie powinienem z tym tak wyskakiwać. Ale musiałem spytać.

Jeżeli uważa pan, że miałem z tym coś wspólnego, nie powinno mnie tu być. Myśli pan, że się

do tego palę? Byłbym szczęśliwy, gdybym już nigdy w życiu nie musiał oglądać żadnych zwłok. Więc jeśli

mi pan nie ufa, równie dobrze mogę tu wysiąść.

Mackenzie westchnął.

Nie, nie sądzę, żeby maczał pan w tym palce. Gdybym sądził, niech mi pan wierzy, że nie

prosiłbym pana o pomoc. Chodzi po prostu o to, że pytamy o to wszystkich mieszkańców miasteczka.

Pomyślałem, że załatwię to od razu, tu i teraz. Tyle. Rozumie pan?

Wciąż nie podobał mi się sposób, w jaki zadał mi to pytanie. Chciał mnie zaskoczyć, zobaczyć, jak

zareaguję. Zastanawiałem się, czy cała ta rozmowa nie była swego rodzaju próbą. Ale czy podobało mi się

to czy nie, na tym polegała jego praca. Zaczęło też do mnie docierać, że Mackenzie jest w tym dobry.

Niechętnie kiwnąłem głową.

Możemy jechać dalej?

Chcąc nie chcąc, musiałem się uśmiechnąć.

Chyba tak. Ruszyliśmy.

Jak długo to potrwa? spytał po chwili, przerywając milczenie. To badanie.

Trudno powiedzieć. Dużo zależy od stanu zwłok. Patolodzy coś znaleźli?

Niewiele. Ciało uległo zbyt dużemu rozkładowi, żeby stwierdzić, czy doszło do gwałtu. Było

nagie, więc to prawdopodobne. Na korpusie i kończynach są liczne nacięcia, ale tylko powierzchowne. Nie

potrafili nawet stwierdzić, co spowodowało śmierć, rany na głowie czy rana na szyi. Jest jakaś szansa, że

rzuci pan na to trochę światła?

Jeszcze nie wiem. Widziałem zdjęcia i chodziło mi po głowie kilka pomysłów, ale nie

chciałem się do niczego zobowiązywać. Najpierw musiałem mieć całkowitą pewność.

Mackenzie zerknął na mnie kątem oka.

Pewnie pożałuję, że spytałem, ale co dokładnie chce pan zrobić?

Celowo próbowałem o tym nie myśleć. Ale odpowiedziałem automatycznie, odruchowo:

Chcę prześwietlić ciało, chyba że już to zrobiono. Potem pobiorą próbki tkanki miękkiej, żeby

ustalić CZ...

CZ?

Czas zgonu. Na podstawie analizy zmian chemicznych, jakie zaszły w ciele od chwili śmierci;

bada się skład aminokwasów, nietrwałych kwasów tłuszczowych i stan rozkładu białka. Potem będę

musiał usunąć resztki tkanek miękkich i obejrzeć sam szkielet. Zbadać urazy kości, dopasować je do

narzędzia, które je spowodowało, i tak dalej.

Mackenzie z odrazą zmarszczył nos.

Usunąć tkankę miękką? Jak?

Jeśli zostało jej mało, można to zrobić skalpelem albo kleszczami. Albo przez kilka godzin

gotować zwłoki w detergencie.

Mackenzie wykrzywił twarz.

Teraz już wiem, dlaczego wolał pan zostać lekarzem powiedział. I natychmiast się zreflektował. Przepraszam.

Nie ma sprawy.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Zauważyłem, że od czasu do czasu drapie się w szyję.

Był pan z tym u specjalisty? spytałem.

Z czym?

Z tym pieprzykiem. Ciągle się pan drapie. Szybko opuścił rękę.

To tylko zwykłe swędzenie. Skręcił na parking. Jesteśmy na miejscu. Weszliśmy do szpitala i

zjechaliśmy windą do piwnicy. Kostnica mieściła

się na końcu długiego korytarza. Jej zapach uderzył mnie, gdy tylko stanęliśmy w

drzwiach, ostry,

słodkawy, chemiczny odór, który zatykał płuca przy pierwszym wdechu. Wnętrze było studium bieli,

błyszczącej nierdzewnej stali i szkła. Zza biurka wstała młoda Azjatka w białym kitlu.

Dzień dobry rzucił swobodnie Mackenzie. Marina Patel, doktor Hunter. Marina będzie panu

pomagała.

Azjatka uśmiechnęła się, gdy ściskaliśmy sobie ręce. Wciąż próbowałem się z tym oswoić, przywyknąć do

scenerii zarówno znajomej, jak i obcej. Mackenzie zerknął na zegarek.

Dobra, muszę lecieć. Niech pan do mnie zadzwoni, kiedy skończycie. Przyjadę i podrzucę pana

z powrotem.

Gdy wyszedł, Azjatka spojrzała na mnie, czekając na polecenia.

A więc jest pani patologiem, tak? spytałem, żeby opóźnić tę nieuchronną chwilę.

Jeszcze nie odrzekła z szerokim uśmiechem. Dopiero co skończyłam studia. Ale mam

nadzieję, że kiedyś będę.

Kiwnąłem głową. Wciąż staliśmy tam jak dwa kolki w płocie.

Chce pan obejrzeć ciało? spytała w końcu. Nie. Nie chciałem.

Oczywiście.

Dała mi fartuch i ruszyliśmy w stronę ciężkich wahadłowych drzwi. Za drzwiami znajdowało się małe

pomieszczenie przypominające salę operacyjną. W środku było chłodno. Zwłoki leżały na stalowym stole.

Wyglądały dziwnie nie na miejscu. Gdy Marina zapaliła górne światło, ukazały się w całej swej żalosnej

okazałości.

Spojrzałem na to, co było kiedyś ciałem Sally Palmer. Ale z samej Sally nic już tam nie zostało.

Krótkotrwała ulga szybko ustąpiła miejsca zawodowej obojętności.

Dobrze powiedziałem. Zaczynamy.

Kobieta była bardzo stara. Miała zniszczoną pocętkowaną twarz, a jej rysy powoli traciły dawną

wyrazistość. Z pochyloną głową, zdawała się dźwigać na ramionach ciężar całego świata. Mimo to, w jej

rezygnacji było coś szlachetnego, jakby pogodziła się z losem, który nigdy jej nie sprzyjał.

Figura nieznannej świętej przykuła moją uwagę podczas nabożeństwa. Stała na kamiennym postumencie i

nie wiem, co mi się w niej spodobało. Była topornie wyrzeźbiona i nawet jak na moje niewyrobione oko

trochę nieproporcjonalna. Ale czy to dzięki łagodzącemu efektowi starości, czy to czemuś mniej

uchwytnemu miała w sobie coś interesującego. Przetrwiała wieki, była świadkiem niezliczonych dni

radości i smutku. I będzie tu stała czujna i milcząca długo po tym, gdy wszyscy inni odejdą w niepamięć.

Przypominała, że dobre czy złe, wszystko przemija.

Myśl ta trochę mnie pocieszyła. W starym kościele było chłodno nawet w ciepły wieczór i nawet w ciepły

wieczór pachniało w nim stęchlizną. Przez witrażowe okna, wypaczone i nierówne, wpadały do środka

smugi niebieskiego i fioletoworóżowego światła. Główne przejście było wyłożone kamiennymi płytami,

wygładzonymi przez ludzi i czas i poprzetykanymi prastarymi kamieniami nagrobnymi. Na tym, przy

którym siedziałem, średniowieczny rzemieślnik wyrzeźbił ludzką czaszkę i wyrył napis: Byłem kiedyś

takim jak ty. Takim jak ja będziesz kiedyś ty.

Poprawiłem się na twardej, drewnianej ławce, wsłuchując się w echo zdradzieckiego barytonu

Scarsdale'a. To, co miało być zwykłym nabożeństwem, stało się dla niego pretekstem do narzucenia

swoistej pobożności tym, których tu podstępnie ściągnął i przetrzymywał.

Gdy modlimy się za duszę Sally Palmer i za wybawienie Lyn Metcalf, wszystkich nas dręczy

niewątpliwie pytanie: Dlaczego? Dlaczego to się stało? Czy te dwie młode kobiety odebrano nam tak

brutalnie za karę? Jeśli tak, za co nas ukarano? I właściwie kogo?

Chwyciwszy się obiema rękami za drewniany pulpit, Scarsdale potoczył wokoło gniewnym wzrokiem.

Kara może spotkać nas w każdej chwili. I nie nam podważać jej zasadność. Nie nam krzyczeć,

że to niesprawiedliwe. Bóg jest miłosierny, ale nie mamy prawa oczekiwać Jego łaski. Łaska Boża spływa

na nas w sposób, którego nigdy nie pojmiemy. Spływa na nas nie po to, żebyśmy potępiali ją w swej

niewiedzy.

Scarsdale wziął oddech, błysnęły flesze. Wpuścił reporterów do kościoła, co przydawało atmosferze

niesamowitości. Jego mała zwykle gromadka wiernych rozrosła się nagle do tłumu. Gdy przyszedłem,

prawie wszystkie ławki były już zajęte, tak że z trudem znalazłem wolne miejsce z tyłu.

O nabożeństwie przypomniałem sobie, widząc ludzi przed kościołem. Do Manham odwiózł mnie

małomówny policjant po cywilnemu, któremu rola taksówkarza wyraźnie nie przypadła do gustu. Gdy

zadzwońtem do Mackenziego, żeby powiedzieć mu, że już skończyliśmy, miał wyłączoną komórkę. Ale

zostawiłem wiadomość na poczcie głosowej i niemal natychmiast oddzwonił.

No i jak poszło?

Pobrałem próbki do badań na chromatografii gazowej. Kiedy przyjdą wyniki, będę mógł

dokładniej określić czas zgonu. Jutro rozpocznę oględziny szkieletu. Dowiemy się, jakiego narzędzia użyto.

Mackenzie był chyba rozczarowany.

Ma pan coś jeszcze?

Tylko jedno. Marina powiedziała mi, że według patologa, bardziej prawdopodobne jest, że

śmierć nastąpiła w wyniku urazów głowy, a nie szyi.

Pan się z tym nie zgadza?

Nie twierdzą, że urazy głowy nie mogły być śmiertelne, ale gdy podrzynano jej gardło, Sally

jeszcze żyła.

Na pewno?

Zwłoki za szybko wyschły. Nawet biorąc pod uwagę upał, schłyby znacznie wolniej, chyba że

doszło do silnego krwotoku. Po śmierci to się nie zdarza, nawet jeśli ofiara ma poderżnięte gardło.

Próbki gleby z mokradeł miały niską zawartość żelaza.

Oznaczało to, że w miejscu, gdzie znaleziono zwłoki, w ziemię wsiąkło bardzo mało krwi. Z przeciętych

tętnic wytrysłoby jej tyle, że zawartość żelaza w glebie wystrzeliłaby w górę jak

rakieta.

W takim razie zabito ją gdzie indziej.

A rany głowy?

Albo nie były śmiertelne, albo powstały, gdy już nie żyła. Mackenzie zamilkł, ale domyślałem

się, o czym myśli. To, co przeszła Sally

Palmer, czekało teraz Lyn Metcalf. I nawet jeśli jeszcze żyła, była to tylko kwestia czasu.

Chyba, że zdarzyłby się cud.

Scarsdaie trochę złagodniał.

Niektórzy z was pytają zapewne, co takiego te biedaczki zrobiły, żeby zasłużyć sobie na taki

los. Co takiego zrobiliśmy my wszyscy? Rozłożył ręce. Być może nie zrobiliśmy nic. Być może

racjęmający, którzy twierdzą że naszym wszechświatem nie kieruje żadna mądrość, że wszechświat ten

powstał bez żadnego powodu.

Zrobił dramatyczną pauzę. Zastanawiałem się, czy nie gra pod kamery.

A może nie dostrzeżliśmy go dlatego, że zaślepiła nas nasza własna arogancja? Wielu z was

nie było w kościele od lat. Jesteście zbyt zajęci, żeby przyjść tu i porozmawiać z Bogiem. Nie znałem ani

Sally Palmer, ani Lyn Metcalf. Ich życie nie krzyżowało się z życiem kościoła. Nie ma jednak żadnych

wątpliwości, że obydwie są tragicznymi ofiarami. Ale ofiarami czego?

Scarsdaie pochylił się do przodu i wyciągnął szyję.

Wszyscy, każdy z nas powinien zajrzeć do własnego serca. Chrystus powiedział: „Ile

zasjejecie, tyle zbierzecie". I właśnie dzisiaj nadeszła pora zebrać owoce. Owoce nie tylko duchowej plagi,

która nawiedziła naszą społeczność, ale i tego, że przymykaliśmy na nią oko. Zło nie zniknie tylko dlatego,

że przestaniemy je dostrzegać. Tak więc gdzie powinniśmy szukać winy?

Powiódł wokoło kościstym palcem.

W nas samych. To my dopuściliśmy do tego, że pełza wśród nas ten szatański wąż. My, nikt

inny. Dlatego teraz musimy modlić się do Boga o siłę, żeby go stąd wypędzić!

Zapadła cisza, bo ludzie próbowali to przetrwać. Ale Scarsdale nie dał im czasu. Zadarł podbródek,

zamknął oczy i błysnęły flesze aparatów fotograficznych, rzucając ruchome cienie na jego twarz.

Módlmy się.

Przed kościołem nie było zwykłej po mszy kotłowaniny. Na skwerze stała pękata policyjna przyczepa i jej

absurdalna obecność działała odstraszać. Mimo wysiłków dziennikarzy, reporterów i kamerzystów,

niewielu ludzi chciało udzielić wywiadu. Sprawa była wciąż zbyt świeża, zbyt prywatna. Oglądanie

reportażu z tragedii, która dotknęła inne miasteczko, to jedno. Aktywne w niej uczestniczenie to drugie.

Tak więc natarczywe pytania dziennikarzy odbijały się jak groch od kamiennego muru taktownego, acz

upartego milczenia. Nie licząc paru wyjątków, Manham odwróciło się plecami do świata zewnętrznego. To

zaskakujące, ale jednym z tych wyjątków był pastor Scarsdale. Nie należał do osób, które szukają rozgłosu,

ale tym razem najwyraźniej uznał, że może skumać się z diabłem. Sądząc po tonie jego kazania, najpewniej

uważał, że to co się stało, jest ostatecznym potwierdzeniem jego powołania. W jego gniewnych oczach

nieszczęście to udowodniło, że miał rację, dlatego ze wszystkich sił zaciskał sękatę palce, żeby okazja nie

wyślizgnęła mu się z rąk.

Patrzyliśmy z Henrym, jak stojąc przed kościołem, wygłasza kolejne kazanie do łaknących sensacji

dziennikarzy i jak kłębią się za nim podekscytowane dzieci, które tratując zwiędłe kwiaty na pomniku

Męczennicy, robiły wszystko, żeby znaleźć się w kadrze. Jeśli nie słowa, to na pewno jego głos dochodził aż

pod kasztanowiec, gdzie przystanęliśmy. Zobaczyłem go tam zaraz po wyjściu z kościoła. Na powitanie

posłał mi krzywy uśmiech.

Nie mogłeś wejść? spytałem.

Nawet nie próbowałem. Chciałem okazać szacunek zmarłej, ale podbijać bębenek

Scarsdale'owi? Słuchać, jak kipi jadem i żółcią? Po moim trupie. Co mówił? Że to kara boża za nasze

grzechy? Że to nasza wina?

Coś w tym stylu. Henry pogardliwie prychnął.

Tylko tego nam potrzeba. Zaproszenia do paranoi.

Stojąc za Scarsdale'em, który wciąż prowadził tę zaimprovizowaną konferencję prasową zauważyłem, że

trójka jego zatwardziałych zwolenników bardzo się powiększyła. Do Lee i Majory Goodchildów, Judith

Sutton, jej syna Ruperta i im podobnych dołączyli nowi, nawróceni jego płomiennym kazaniem, ci, których

noga nie postąpiła w kościele od wielu lat. Gdy wielebny podniósł głos, żeby wbić coś do głowy filmującym

go reporterom, patrzyli na niego z niemą aprobatą w oczach.

Henry pokręcił głową.

Spójrz na niego mruknął z odrazą. Jest w swoim żywiole. Sługa boży? Ha! To dla niego

okazja, żeby powiedzieć: „A nie mówiłem?”

Ma trochę racji.

Henry obrzucił mnie sceptycznym spojrzeniem.

Nie mów tylko, że ciebie też nawrócił.

Nie on. Ten, kto za tym stoi, musi pochodzić stąd. To ktoś, kto dobrze zna okolicę. I nas.

W takim razie, niech nam Bóg dopomoże, bo jeśli Scarsdale postawi na swoim, będzie dużo

gorzej.

To znaczy?

Widziałeś „Czarownice z Salem” Millera?

Tylko w telewizji.

Jeśli to potrwa dłużej, polowanie na czarownice, które opisuje Miller, to betka w porównaniu z

tym, co rozpęta się tutaj, w Manham.

Myślałem, że żartuje, ale powiedział to zupełnie poważnie.

Nie wychylaj się, David. Nawet bez Scarsdale'a, już niedługo ludzie zaczną oskarżać sąsiadów i

wskazywać ich palcami. Uważaj i trzymaj się od tego z daleka.

Chyba nie mówisz tego poważnie?

Nie? Mieszkam tu dłużej niż ty. Dobrze wiem, jacy są nasi kochani przyjaciele i sąsiedzi. Już

teraz ostrzą noże.

Przesadzasz.

Naprawdę?

Patrzył na wielebnego, który powiedziawszy to, co miał do powiedzenia, ruszył w stronę kościoła. Co

bardziej natrętni reporterzy chcieli pobiec za nim, ale wtedy do akcji wkroczył Rupert Sutton, który

szeroko rozłożywszy ręce, zagroził im drogę niczym wielka góra mięsa. Nikt nie miał ochoty z nim

dyskutować.

Henry posłał mi znaczące spojrzenie.

Coś takiego wydobywa ze wszystkich to, co najgorsze. Manham to małe miasteczko. A małe

miasteczka rodzą małe umysły. Może to tylko czarnowidztwo, ale na twoim miejscu bym uważał.

Przez chwilę patrzył mi prosto w oczy, upewniając się, czy zrozumiałem, a potem spojrzał ponad moim

ramieniem.

Hmm, to twoja znajoma?

Odwróciłem się i zobaczyłem młodą, pulchną, ciemnowłosą kobietę, która się do mnie uśmiechała.

Czasami ją widywałem, ale nie pamiętałem jej nazwiska. Dopiero gdy się trochę przesunęła, wyjrzała zza

niej Jenny. W przeciwieństwie do koleżanki, miała kwaśną minę.

Nie zważając na jej rozpaczliwe spojrzenia, ta pulchna podeszła krok bliżej.

Cześć. Jestem Tina.

Bardzo mi miło odparłem, zastanawiając się, co jest grane. Jenny uśmiechnęła się nieśmiało.

Była zdenerwowana i zażenowana.

Witaj, Tino powiedział Henry. Jak tam mama?

Już lepiej, dziękuję. Opuchlizna prawie zniknęła. Tina spojrzała na mnie z błyskiem w oku.

Dziękuję, że odprowadził pan Jenny do domu. Mieszkamy razem. Miło jest wiedzieć, że sajeszcze

prawdziwi dżentelmeni.

To... to nie była żadna fatyga.

Chciałam tylko powiedzieć, że musi pan do nas kiedyś wpaść. Na drinka albo na kolację.

Zerknąłem na Jenny. Była czerwona jak piwonia. Czułem, że ja też.

Ale...

Może w piątek wieczorem?

Tina, pan doktor jest na pewno...

Jenny chciała jej przerwać, ale ciemnowłosa Tina jej nie słuchała.

Zajęty? Zawsze możemy to przelożyć.

Nie, nie, tylko...

Świetnie! Więc o ósmej.

Uśmiechając się od ucha do ucha, wzięła Jenny pod rękę i pociągnęła ją za sobą. Zamurowało mnie.

Co to było? spytał Henry.

Nie mam zielonego pojęcia. Zrobił rozbawioną minę.

Naprawdę!

Opowiesz mi przy lunchu. Henry spowaźniał. Tylko pamiętaj, co ci powiedziałem. Nikomu

nie ufaj. I miej oczy z tyłu głowy.

Z tymi słowami pchnął koła wózka i odjechał.

Rozdział 10

Przez ciemny pokój płynęła muzyka, fałszywe tony tańczące wśród zwisających z niskiego sufitu

przedmiotów. Jakby w kontrapunkcie do niej, kropelka ciemnego płynu rzeźbiła krętą linię, stale

przyspieszając, by wreszcie ulec sile grawitacji. Spadając, przyjęła kształt idealnej kuli, lecz tylko na

ułamek sekundy, gdyż zaraz potem roztrzaskała się o ziemię.

Ośłupiała Lyn patrzyła na krew ściekającą z ręki na palce i z palców na podłogę. Krew utworzyła małą lecz

ciągle poszerzającą się kałużę i zaczynała już gęstnieć i krzepnąć na brzegach. Ból promieniujący z

rozciętego ramienia zlewał się z bólem szarpiącym inne rany i czuła się tak, jakby bolało ją całe ciało.

Krew malowała na skórze abstrakcyjny, lecz jakże okrutny wzór.

Zachwiała się, gdy fałszywie brzmiąca muzyka zwolniła i powoli ucichła. Ciesząc się z ciszy, oparła się o

chropowatą kamienną ścianę i znowu wpił się jej w ciało sznur na kostkach u nóg. Miała poharatane

czubki palców, gdyż leżąc w ciemności, przez wiele godzin na próżno próbowała go rozwiązać. Węzeł nie

chciał puścić.

Stan niedowierzania i poczucia zdrady powoli minął i z czasem ogarnęła ją niemal całkowita rezygnacja.

W tej ciemnej norze nikt jej nie współczuł, tyle wiedziała na pewno. Nie było tu ani cienia litości. Mimo to

musiała próbować. Oświeślała ją jaskrawa lampa, więc przesłoniwszy oczy, spojrzała w mrok, skąd

obserwował ją jej kat.

Proszę... Miała tak chrapliwy głos, że sama go nie rozpoznawała. Błagam, dlaczego to robisz?

Odpowiedziała jej cisza, w której słychać było tylko jego oddech. W powietrzu wisiał zapach tytoniu. Coś

zaszeleściło, ktoś się poruszył.

I ponownie zabrzmiała muzyka.

Rozdział 11

W czwartek w Manham pochłodziło. Nie w sensie fizycznym, bo było jak zwykle upalnie. Ale czy to w

nieuniknionej reakcji na ostatnie wydarzenia, czy to na kazanie wielebnego Scarsdale'a, z dnia na dzień

klimat w miasteczku uległ radykalnej zmianie. Ponieważ winy za te wszystkie potworności nie można

było dłużej zrzucać na obcych, ludziom pozostawało tylko jedno: zacząć czujnie obserwować sąsiadów i

znajomych. Podejrzliwość wkradła się do miasteczka jak lotny wirus i choć początkowo niezauważalna,

wkrótce zaraziła pierwsze ofiary.

I jak w przypadku każdej choroby zakaźnej, jedni byli na nią bardziej podatni, inni mniej.

Wracając wczesnym wieczorem z laboratorium, nie zdawałem sobie z tego sprawy. Zaproponowałem

Henry'emu, że tym razem załatwię zastępstwo, ale on tylko machnął ręką.

Jedź sobie, gdzie chcesz powiedział. Trochę pracy dobrze mi zrobi.

Jechałem z otwartymi oknami. Z dala od ruchliwych dróg powietrze pachniało kwiatowym pyłkiem,

kręcącą w nosie słodkością która zagłuszała lekki siarkowy zapach schnącego w trzcinach błota. Była to

miła odmiana po chemicznym odorze detergentów, który wciąż czułem w nosie i gardle. Prawie przez cały

dzień badałem szczątki Sally Palmer. Gdy próbowałem porównać obraz tej żywej, otwartej kobiety obraz,

który wciąż nosiłem w pamięci z obrazem jej wygotowanych w chemikaliach kości, od czasu do czasu

targały mną sprzeczne uczucia. Ale nie chciałem o tym myśleć.

Na szczęście miałem co robić.

W przeciwieństwie do skóry, kość zachowuje odcisk wszystkiego, co ją naruszy. W przypadku Sally

Palmer były to głównie małe zadrapania, które niczego nie zdradzały. Ale w trzech miejscach ostrze noża

weszło na tyle głęboko, że zostawiło wyraźny ślad. Na płaskich kościach łopatek, gdzie zwyrodniałec

przymocował skrzydła, widniały dwie prawie identyczne bruzdy. Każda miała piętnaście, może

osiemnaście centymetrów długości i zrobiono je jednym płynnym cięciem. Wynikało to z tego, że bruzdy

były płytsze na końcach i głębsze pośrodku; ostrze noża nie wbiło się w kość czubkiem, tylko przesunęło

się po niej łukiem. Było to raczej cięcie niż dźgnięcie.

Za pomocą maleńkiej piły elektrycznej rozciąłem wzdłuż jedną z bruzd. Gdy uważnie badałem odsłoniętą

powierzchnię kości, poczułem na sobie ciekawy wzrok Mariny. Kazałem jej podejść bliżej.

Widzi pani te gładkie krawędzie? To znaczy, że nóż nie miał ząbków. Zmarszczyła czoło.

Skąd pan wie?

Bo ząbkowane ostrze zostawia ślad. Podobnie jak piła na drewnie.

A więc to nie był ani nóż do chleba, ani na przykład do mięsa.

Nie. Ale na pewno był ostry. Nacięcia są bardzo czyste, wyraźne. Widzi pani? I dość głębokie.

Cztery, pięć milimetrów pośrodku.

To znaczy, że nóż był duży?

Chyba tak. Na przykład kuchenny albo rzeźnicki. Ale stawiałbym na myśliwski. Ostrza tych

noży są cięższe, grubsze i mniej elastyczne. To ani się nie wygięło, ani nie zadrżało. A samo nacięcie jest

dość szerokie. Nacięcia zrobione nożem do mięsa są dużo węższe.

Nóż myśliwski wskazywał również na profesję zabójcy, ale tego jej nie powiedziałem. Obfotografowałem i

pomierzyłem bruzdy na łopatkach, a potem skupiłem uwagę na trzecim kręgu szyjnym. Był najbardziej

zniszczony, ponieważ na nim oparło się ostrze, przeciąwszy ofierze gardło. Tu wyżłobienie było Inne,

prawie trójkątne. Wyraźne dźgnięcie, nie cięcie. Morderca wepchnął nóż w S2yję, następnie przeciągnął

ostrzem po krtani i tętnicy.

Jest praworęczny powiedziałem. Marina zerknęła na mnie.

Wgłębienie w kości jest głębsze z lewej strony, płytsze z prawej. Ciął tak. Przytknąłem palce

do szyi i przeciągnąłem nimi z lewej do prawej.

Nie mógł zrobić tego tak... tak jakby z bekhendu?

Wtedy rana byłaby cięta, podłużna, tak jak te na łopatkach.

A z tyłu? Żeby nie obryzgała go krew. Pokręciłem głową.

To nie ma znaczenia. Mógł stać z tyłu, ale i tak musiałby ją objąć, przytknąć nóż czubkiem do

szczy, wbić go i mocno pociągnąć. Na pewno nie dźgnął nim na wprost. To niewygodne, poza tym na kości

pozostałby ślad innego kształtu.

Trawiła to przez chwilę w milczeniu. Wreszcie kiwnęła głową.

Niesamowite.

Nie, pomyślałem. Zwyczajne. Zwyczajne, jeśli widziało się tyle co ja.

Dlaczego mówi pan „on”? spytała nagle.

Słucham?

Mówi pan o zabójcy w trzeciej osobie liczby pojedynczej rodzaju męskiego. „On”. Przecież nie

było świadków, a zwłoki są w takim stanie, że nie sposób znaleźć dowodów gwałtu. Dlatego zastanawiam

się, skąd pan o tym wie. Zmieszana wzruszyła ramionami. Czy to tylko zwrot retoryczny czy policja coś

wykryła?

Nie myślałem o tym, ale miała rację. Podświadomie założyłem, że morderca jest mężczyzną. Wszystko na

to wskazywało: siła fizyczna, ofiary płci żeńskiej. Ale fakt, trochę mnie to zaskoczyło.

Siła nawyku odparłem z uśmiechem. W takich przypadkach mordercą jest zwykle mężczyzna. Ale nie, nie wiem tego na pewno.

Spojrzała na kości, które tak dokładnie badaliśmy.

Ja też uważam, że to mężczyzna. Miejmy nadzieję, że złapią tego bydlaka. Myśląc o tym, co

powiedziała, omal nie przeoczyłem ostatniego dowodu

rzeczowego. Przyglądałem się kręgom przez mikroskop, w jaskrawym świetle, i już miałem się

wyprostować, gdy wtem coś przykuło moją uwagę. Maleńki, czarny płatek na samym dnie wyżłobienia w

kości. Jakby tkanka zaczęła się w tym miejscu psuć, ale nie, na pewno się nie psuła. Ostrożnie to stamtąd

wydłubałem.

Co to? spytała Marina.

Nie mam pojęcia. Czuję, jak wali mi serce. Bo bez względu na to, co znalazłem, czarny płatek

musiał ześlizgnąć się z czubka noża w trakcie zadawania śmiertelnego ciosu. Może było to coś, może nic.

Może.

Wysłałem to do laboratorium kryminalistycznego na badanie spektrograficzne, którego nie umiałem

przeprowadzić sam nie wspominając już o tym, że nie dysponowałem odpowiednim sprzętem i

zacząłem robić gipsowe odlewy nacięć na kościach. Gdyby kiedykolwiek znaleziono nóż, policja będzie

mogła zidentyfikować go, sprawdzając, czy ostrze pasuje do wyżłobień, przymierzyć go, tak jak

Kopciuszek przymierzał pantofelek. Prawie skończyliśmy. Musieliśmy tylko poczekać na wyniki badań

laboratoryjnych, badań nie tylko czarnego płatka, który wyskrobałem z kości, ale tych z poprzedniego

dnia. Dzięki nim mógłbym określić dokładny czas zgonu i nie miałbym już nic do roboty. Moja rola w

ustalaniu przyczyn śmierci Sally Palmer, o wiele bardziej intymna niż ta, jaką odegrałem w jej życiu, dobie

głaby końca. Mógłbym wrócić do normalnych zajęć i ponownie zaszyć się na odludziu.

Ale perspektywa ta nie przyniosła mi spodziewanej ulgi. A może już wtedy

wiedziałem, że nie będzie to

takie proste.

Właśnie umyłem i wytarłem ręce, gdy ktoś zapukał do stalowych drzwi. Marina poszła sprawdzić, kto to i

wróciła z młodym policjantem. Popatrzyłem na kartonowe pudełko, które trzymał w rękach, i naszły mnie

złe przeczucia.

Od inspektora Mackenziego.

Policjant rozejrzał się, żeby postawić gdzieś pudełko. Wskazałem pusty stolik, dobrze wiedząc, co jest w

środku.

Inspektor powiedział, żeby przeprowadził pan takie same badania. Że będzie pan wiedział, o

co chodzi. Pudełko nie robiło wrażenia ciężkiego, mimo to policjant ciężko dyszał i miał zaczerwienioną

twarz. Pewnie zmęczyło go ciągle wstrzymywanie oddechu. Odór był aż nadto wyczuwalny.

Gdy podszedłem do stolika, uciekł z sali. W plastikowej torbie w pudełku był pies Sally Palmer.

Domyśliłem się, że Mackenzie chce, żebym przeprowadził analizę nietrwałych kwasów tłuszczowych,

podobnie jak przeanalizowałem kwasy tłuszczowe jego właścicielki. Jeśli a wszystko na to wskazywało

pies został zabity, gdy ją uprowadzono, wiedząc, kiedy zdechł, mógłbym określić, kiedy doszło do

porwania. I jak długo żyła, zanim ją zamordowano. Nie było gwarancji, że zabójca postąpi tak samo w

przypadku Lyn Metcalf. ale wiedzielibyśmy mniej więcej, na czym stoimy.

Posłałem Marinie smutny uśmiech.

Wygląda na to, że późno dzisiaj skończymy.

Okazało się jednak, że nie trwało to długo. Pies jest dużo mniejszy, co ułatwiło nam pracę. Prześwieciłem

go, a potem włożyłem do pojemnika z wrzącym detergentem. Za kilkanaście godzin nie pozostanie z niego

nic oprócz białego szkieletu. Myśl, że Sally i jej pies leżą w tym samym pomieszczeniu, poruszyła ukrytą

struną, lecz nie byłem pewien, czy struna ta wydała dźwięk kojący czy żałobny.

Pod Manham droga wiała się, opadała i pięła do góry i w promieniach zachodzącego słońca jezioro

wyglądało tak, jakby stało w ogniu. Mrużąc oczy, zsunąłem na nos ciemne okulary. Przez chwilę nic nie

widziałem zza oprawek, lecz zaraz potem zobaczyłem kogoś na poboczu. Zaskoczyło mnie, że jest tak

blisko, ale szła pod słońce, dlatego rozpoznałem ją dopiero wtedy, gdy ją minąłem. Zatrzymałem się i

cofnąłem.

Podwieźć panią?

Lynda Yates rozejrzała się wokoło z taką miną, jakbym zadał jej trudne pytanie.

Nie po drodze panu.

Nie szkodzi. To tylko kilka minut. Niech pani wsiada. Nachyliłem się i otworzyłem drzwiczki.

Wciąż się wahała, więc dodałem:

Zresztą i tak miałem wpaść do Sama.

Imię syna przeważało szalę. Wsiadła. Pamiętam, że usiadła bardzo blisko drzwiczek, ale wtedy nie

zwróciłem na to uwagi.

Jak się czuje? spytałem.

Lepiej.

Poszedł do szkoły? Wzruszyła ramionami.

To chyba bez sensu. Jutro kończą.

Słusznie. Straciłem rachubę czasu, zapomniałem, że to już koniec roku i początek długich letnich wakacji.

A Neil?

Po raz pierwszy się uśmiechnęła. Krótko i gorzko.

Neil? Jemu nic nie jest. Wdał się w ojca.

Wyczułem w tym jakiś podtekst rodzinny i wolałem nie drążyć tematu.

Wraca pani z pracy? Wiedziałem, że czasem sprząta w paru sklepach w miasteczku.

Byłam w supermarkecie. Na dowód pokazała mi plastikową reklamówkę.

Trochę późno na zakupy.

Zerknęła na mnie z ukosa. Była zdenerwowana, dostrzegłem to dopiero teraz.

Ktoś musi je robić. Poszukałem w pamięci imienia jej męża.

Gary nie mógł pani podrzucić?

Wzruszyła ramionami. To rozwiązanie najwyraźniej nie wchodziło w rachubę.

Nie wiem, czy samotny powrót do domu to teraz dobry pomysł. Znowu nerwowe zerknięcie.

Jeszcze mocniej przytuliła się do drzwiczek. Wszystko w porządku? spytałem, choć domyślałem się już,

że nie.

Tak.

Jest pani zdenerwowana.

Nie, nie. Cieszę się, że już wracam, to wszystko.

Wciąż kurczowo trzymała się drzwiczek, jakby zamierzała wyskoczyć z samochodu.

Lindo, co się dzieje?

Nic. Odpowiedziała za szybko. Poniewczasie zacząłem rozumieć, o co chodzi.

Linda się bała. Bała się mnie.

**Jeśli woli pani przejść resztę drogi piechotą proszę powiedzieć, natychmiast stanę
zapropnowałem ostrożnie.**

**To, jak na mnie spojrzała, potwierdziło wszystkie domysły. Cofając się myślą
wstecz, przypomniałem**

**sobie, jak niechętnie Wsiadła do samochodu. Na miłość boską przecież nie byłem
obcy. Byłem ich**

**lekarzem, odkąd tylko przyjechałem do Manham. Przeprowadziłem Sama przez
świnkę i ospę wietrzną**

**składałem Neilowi złamaną rękę. Ledwie kilka dni wcześniej, zaraz po tym, gdy jej
synowie dokonali tego**

**makabrycznego odkrycia, rozmawiałem z nimi w jej kuchni. Co się tu, u diabła,
działo?**

Pokręciła głową. Odprężyła się, choć nie do końca.

Nie. Jedźmy.

Nie dziwię się, że jest pani nieufna. Chciałem tylko zrobić pani przysługę.

I zrobił pan, tylko że...

Tak?

Nie, nic. To tylko plotki.

**Do tej pory przypisywałem jej reakcję ogólnemu zdenerwowaniu i powszechnej
nieufności w związku z**

**tym, co stało się w miasteczku. Ale teraz zrozumiałem, że jest w tym coś więcej i
poczułem się jeszcze**

bardziej nieswojo.

Jakie plotki?

Takie tam. Że pana... aresztowali. Oczekiwałem wszystkiego, tylko nie tego.

Przepraszam dodała, jakby czymś zawiniła. To tylko głupie plotki...

Że mnie aresztowali? Osłupiałem. Chryste, skąd ten pomysł? Zaczęła wyłamywać sobie

palce. Nie bała się już mnie, tylko tego, że musi

mi o tym powiedzieć.

Nie było pana w poradni. Mówią, że aresztowała pana policja, że zabrał pana ten inspektor.

Ten najważniejszy.

Nareszcie przejrzałem na oczy. Z braku nowych wiadomości, próżnię wypełniły plotki. I godząc się na

współpracę z Mackenzie, niechcący wystawiłem się na ich cel. Było to tak absurdalne, że aż śmieszne.

Tylko że wcale nie było mi do śmiechu.

Zdałem sobie sprawę, że zaraz minimy jej dom. Wciąż oniemiały zjechałem na pobocze.

Przepraszam powtórzyła Linda. Po prostu myślałam, że... Urwała.

Zastanawiałem się, czy i co mógłbym jej powiedzieć, nie zdradzając jednocześnie wszystkich szczegółów

mojej przeszłości i nie rzucając ich na żer miejscowym plotkarzom.

Pomagam policji wyznałem w końcu. Współpracuję z nimi. Kiedyś byłem... specjalistą od

tych rzeczy. Zanim tu przyjechałem.

Słuchała mnie, lecz nie wiedziałem, Czy coś z tego rozumie. Ale przynajmniej nie chciała już wyskakiwać z

samochoodu.

Prosili mnie o radę ciągnąłem. Dlatego nie było mnie na dyżurze. Nic innego nie przyszło mi

do głowy.

Linda odwróciła wzrok.

Wszystko przez to miasto odparła ze znużeniem w głosie. Wszystko przez to miasto.

Otworzyła drzwiczki.

Lindo, chciałbym zbadać Sama.

Kiwnęła głową. Wciąż wstrząśnięty ruszyłem za nią w stronę domu. Wieczór był jasny, więc gdy

wszedłem do środka, zdawało mi się, że w domu panuje mglisty półmrok. W saloniku grał telewizor,

kakofonia dźwięków i barw. Przed telewizorem siedzieli jej mąż i młodszy syn, mąż rozwalony w fotelu,

syn na podłodze. Obejrzeni się, gdy stanęliśmy w progu. Gary popatrzył na żonę z niemym pytaniem w

oczach.

Pan doktor podwiózł mnie do domu wyjaśniła, kładąc na stole reklamówkę. Zrobiła to za

szybko, za nerwowo. Chce zbadać Sama.

Yates nie wiedział, jak zareagować. Był chudym, żyłastym mężczyzną w wieku trzydziestu kilku lat i miał

drapieźnie ściągniętą twarz starego rozrabiaki. Powoli wstał, nie wiedząc, co zrobić z rękami. W końcu

postanowił się ze mną nie witać i schował je do kieszeni.

Nie wiedziałem, że miał pan wpaść powiedział.

Ja też nie odparłem. Ale po tym, co się stało, nie chciałem, żeby Linda wracała do domu

sama.

Zaczerwienił się i uciekł wzrokiem w bok. Odpuść sobie, pomyślałem. Każdy punkt

przewagi, jaki

mógłbym u niego zdobyć, po moim wyjściu odebrałby sobie z rachunku żony.

Uśmiechnąłem się do Sama, który obserwował nas z podłogi. To, że w tak piękny letni wieczór siedział w

domu, mówiło, że jeszcze nie doszedł do siebie, ale na pewno wyglądał lepiej niż ostatnim razem. Gdy

spytałem go, co zamierza robić w wakacje, nawet się uśmiechnął, okazując odrobinę dawnego ożywienia.

Myślę, że wszystko będzie dobrze powiedziałem Lindzie po badaniu. Wstrząs minął, szybko

wróci do formy.

Kiwnęła głową, lecz wciąż była lekko rozkojarzona i zdenerwowana.

Jeśli chodzi o tamto...

Nie ma sprawy. Cieszę się, że mi pani powiedziała.

Nie przyszło mi do głowy, że ludzie mogą odnieść mylne wrażenie. Ale może powinno. Nie dalej jak

poprzedniego dnia Henry mnie ostrzegał. Myślałem, że przesadza, lecz najwyraźniej znał miasteczko lepiej

niż ja. Bolało mnie to, ale nie dlatego że źle oceniłem ludzi, tylko dlatego że społeczność, za której członka

się uważałem, była skłonna do tak pochopnych i krzywdzących osądów.

Już wtedy powinienem był wiedzieć, że oczekiwania nigdy nie dorastają do najgorszego.

Kuchnia. Przypomniało mi się, jak byłem tu ostatni raz. Przypomniałem sobie również, o co chciałem

spytać Lindę, gdy cofałem samochód, żeby ją zabrać.

W niedzielę, kiedy Neil i Sam znaleźli te zwłoki... zacząłem, zerkając na drzwi do saloniku;

były zamknięte. Powiedziała pani wtedy, że to Sally Palmer, że się pani śniła.

Linda podeszła do zlewu i zaczęła płukać kubki.

To tylko przypadek.

Wtedy mówiła pani co innego.

Byłam zdenerwowana. Nie powinnam była nic gadać.

To żaden podstęp, nie próbuję niczego z pani wyciągnąć. Chciałem tylko... Czego?
Nie

wiedziałem już, co miałem nadzieję usłyszeć i udowodnić.

Mimo to parłem naprzód. Czy miała pani jeszcze jakieś sny? O Lyn Metcalf. Linda znieruchomiała.

Nie pomyślałabym, że ktoś taki jak pan ma czas na takie rzeczy.

Jestem po prostu ciekawy.

Obrzuciła mnie nieufnym spojrzeniem. Nieufnym i przeszywającym. Czuję się coraz bardziej nieswojo. A

potem szybko pokręciła głową.

Nie odparła. I dodała coś tak cicho, że prawie niesłyszalnie. Pytałbym dalej, ale w tej samej

chwili otworzyły się drzwi. Gary spojrzał

na nas podejrzliwie.

Myślałem, że już pan poszedł.

Właśnie wychodzę.

Podszedł do lodówki i otworzył drzwiczki o zardzewiałych krawędziach. Wisiała na nich przekrzywiona

tabliczka magnetyczna z napisem: Zacznij dzień od uśmiechu i z szeroko uśmiechniętym krokodylem. Gary

wyjął i otworzył piwo. Jakby mnie tam nie było, pociągnął z puszki długi łyk i stłumiwszy beknięcie,

opuścił rękę.

Do widzenia rzuciłem. Linda nerwowo skinęła mi głową.

Gdy szedłem do land rovera, jej mąż obserwował mnie przez okno. Wracając do miasteczka, myślałem o

tym, co powiedziała. Powiedziała, że Lyn się jej nie śniła, i coś dodała. Dwa słowa tak ciche, że ledwo je

usłyszałem.

„Jeszcze nie”.

Chociaż krążące plotki były absurdalne, nie mogłem ich zignorować. Lepiej było od razu wziąć byka za

rogi, bo sytuacja mogła wymknąć się spod kontroli, dlatego jadąc do pubu, odczuwałem dziwny lęk.

Wieńce i kwiaty na pomniku Męczennicy wędły już i umierały. Miałem nadzieję, że nie jest to zły znak.

Minąłem policyjną przyczepę i dwóch znudzonych policjantów wygrzewających się w wieczornym słońcu.

Patrzyli na mnie obojętnie. Zaparkowałem przed pubem, wziąłem głęboki oddech i pchnąłem drzwi.

Wszedłem i w pierwszej chwili pomyślałem, że Linda przesadziła. Owszem, ludzie zerkali w moją stronę,

ale jak zwykle pozdrawiali mnie i witali. Może były to powitania nieco mniej wylewne niż zwykle, ale

można się było tego spodziewać. Wiedziałem, że jeszcze długo nikt nie będzie się tu śmiał i żartował.

Podszedłem do lady i zamówiłem piwo. Ben Anders rozmawiał w kącie przez komórkę. Pozdrowił mnie

gestem ręki i wrócił do rozmowy. Jack nalewał piwo w głębokiej zadumie, patrząc, jak złocisty płyn

wypiera białą pianę ze szklanki. Nie, Henry też przesadził, pomyślałem z ulgą. Przecież mnie tu znają. I

nagle ktoś głośno odchrząknął.

Wyjeżdżał pan?

Carl Brenner. Gdy spojrzałem na niego, w pubie zapadła cisza. A jednak. Zdałem sobie sprawę, że Henry

miał rację.

Podobno przez ostatnie dwa dni nic, tylko jeździł pan gdzieś i jeździł ciągnął Brenner. Miał

zaprawiony żółcią wzrok i ciężkie powieki, co powiedziało mi, że musiał sporo wypić.

To prawda, wyjeżdżałem, ale tylko dwa razy.

Tak?

Musiałem coś załatwić. Owszem, chciałem ukrócić te plotki, ale nie zamierzałem dopuścić do

tego, żeby ten pijaczyna zastraszył mnie i w coś wrobił. Nie zamierzałem też rzucać plotkarzom na żer

czegoś, o czym mogliby do upojenia mleć jęzorem.

Słyszałem co innego. Płonący w jego żółtych ślepiach gniew szukał tylko celu. Był pan

ponoć na policji.

W pubie zrobiło się jeszcze ciszej.

Tak, byłem.

Czego od pana chcieli??

Rady.

Rady? powtórzył z nieukrywanym niedowierzaniem. Jakiej?

Niech pan ich o to spyta.

Ale ja pytam pana.

Gniew znalazł cel. Odwróciłem się i rozejrzałem po sali. Niektórzy gapili się w swoje

szklanki i kufle. Inni

patrzyli na mnie. Jeszcze nie z potępieniem, ale na pewno wyczekująco.

Jeśli ktoś ma coś do powiedzenia, niech powie to teraz poprosiłem najspokojniej, jak

umiałem. Patrzyłem im prosto w oczy i jeden po drugim odwrócili wzrok.

Dobra, jak nikt nie chce gadać, to ja powiem. Brenner wstał. Gwałtownie zakręcił resztką

piwa w szklance i odstawił ją z trzaskiem na stolik. Był pan...

Na twoim miejscu bym uważał.

Tuż obok mnie jak spod ziemi wyrósł Ben Anders. Ucieszyłem się, ale nie z jego podnoszącej na duchu

obecności fizycznej, tylko z tego, że otrzymałem wyraźny znak poparcia.

Trzymaj się od tego z daleka warknął Brenner.

Od czego? Od tego, że próbuję powstrzymać cię od powiedzenia czegoś, czego jutro będziesz

żałował?

Niczego nie będę żałował.

Świetnie. Jak się miewa Scott? To pytanie zbiło Brennera z tropu.

Co?

Scott, twój brat. Jak jego noga? Ta, którą doktor Hunter wczoraj opatrzył. Brenner poruszył się

niespokojnie, wciąż naburmuszony, lecz już mniej

pewny siebie.

Noga? W porządku.

Dobrze, że doktor nie każe sobie płacić poza godzinami przyjęć, co? rzucił przyjaźnie Ben.

Popatrzył po sali. Przypuszczam, że większość z nas miała kiedyś okazję się z tego cieszyć...

Zawiesił głos, potem klasnął w dłonie i odwrócił się do lady.

Jack, jak będziesz miał minutkę, chętnie wypiję jeszcze jedno.

Było tak, jakby ktoś otworzył nagle okno i wpuścił do środka powiew świeżego powietrza. Atmosfera się

oczyściła. Ludzie poruszyli się na ławach i krzesłach i lekko zawstydzeni powrócili do przerwanych

rozmów. Poczułem, że dół pleców mam mokry od potu. I nie dlatego, że w dusznym pubie było gorąco.

Chcesz whisky? spytał Ben. Dobrze ci zrobi.

Nie, dzięki. Ale chętnie postawię tobie.

Nie musisz.

Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Daj spokój. Tymi sukinsynami trzeba od czasu do czasu potrząsnąć. Ben zerknął na Brennera,

który gapił się tępo na swoją szklankę. A temu tam ktoś powinien zdrowo przyłożyć. Jestem pewien, że

poluje na ptaki w rezerwacie. Na ptaki zagrożone, pod ścisłą ochroną. Dotąd było tak, że po wylęgu piskląt

nie musieliśmy się już o nic martwić. Ale teraz zaczynają ginąć dorosłe ptaki. Błotniaki stawowe, a nawet

bąki. Jeszcze go nie nakryłem, ale któregoś dnia...

Uśmiechnął się, gdy Jack postawił przed nim piwo.

Dobry z ciebie człowiek. Pociągnął długi łyk i z lubością westchnął. Więc co porabiałeś?

Zerknął na mnie z ukosa. Spokojnie, pytam z czystej ciekawości. Wszyscy widzieli, jak wyjeżdżałeś.

Zawahałem się, ale zasłużył na wyjaśnienia. Powiedziałem mu bez wdawania się w szczegóły.

Jezu Chryste... mruknął.

Teraz rozumiesz, dlaczego nie lubię o tym mówić. I dlaczego nigdy nie mówiłem.

Na pewno nie wolałbyś powiedzieć? Wyciągnąć to na światło dzienne?

Nie, chyba jednak nie.

Jak chcesz, mogę załatwić to za ciebie. Rozpowiedzieć po miasteczku, czym się zajmowałeś.

Był w tym pewien sens. Ale nie chciałem robić nic wbrew sobie. Nigdy nie rozmawiałem o pracy, a stare

nawyki trudno wykorzenić. Może byłem tylko uparty, ale uważałem, że zmarli mają takie samo prawo do

prywatności jak żywi. Gdyby miejscowi zwiedzieli się, jaki zawód kiedyś wykonywałem, makabrycznym

pytaniom nie byłoby końca. Poza tym nie wiedziałem, jak zareagowaliby na niezwykle praktyki swojego

lekarza. Medycyna i krajanie rozkładających się trupów? Niektórzy mogliby uznać, że to nie uchodzi.

Nie, dzięki, Ben.

Twoja wola. Tylko pamiętaj: będą gadać. Wiedziałem, że będą, mimo to ścisnęło mnie w

żołądku. Ben wzruszył ramionami.

Boją się. Wiedzą, że morderca jest jednym z nich. Woleliby, żeby był to ktoś obcy.

Nie jestem obcy. Mieszkam tu od trzech lat. Zabrzmiało to fałszywie nawet w moich własnych

uszach. Mieszkać tu i pracować to nie to samo co przynależeć. Właśnie mi to udowodniono.

Wszystko jedno. Możesz tu mieszkać trzydzieści lat i wciąż będziesz tym z miasta. Jak

przychodzi co do czego, ludzie patrzą na ciebie i myślą: „obcy”.

W takim razie, wszystko jedno, co powiem, prawda? Ale nie sądzę, żeby wszyscy byli tacy.

Nie, nie wszyscy. Ale wystarczy kilku. Ben spowaźniał. Miejmy nadzieję, że złapią tego

sukinsyna.

Zaraz potem wyszedłem. Piwo stało się nagle kwaśne i zwietrzałe, chociaż wiedziałem, że jest takie jak

zwykle. Ilekroć pomyślałem o tym, co się stało, popadałem w odrętwienie, swoiste otępienie, jakie

odczuwa się tuż przed atakiem bólu ze świeżej rany. Woląłem, żeby dopadł mnie w domu.

Odjeżdżając spod pubu, zobaczyłem Scarsdale'a. Akurat wychodził z kościoła. Może było to tylko

złudzenie, ale wydawało mi się, że jest wyższy niż zwykle. Ze wszystkich mieszkańców Manham jedynie

on odżył i rozkwitł po wydarzeniach, które wstrząsnęły miasteczkiem. Tylko strach i ludzka tragedia

potrafią zmienić sługę bożego w człowieka opatrnościowego, pomyślałem i natychmiast się

zawstydziłem. Scarsdale robił tylko swoje, tak samo jak ja. Nie lubiłem go, ale nie powinno to wpływać na

trzeźwą ocenę człowieka i sytuacji. Jak na jeden wieczór miałem dość uprzedzeń.

Gdy podjechałem bliżej, wyrzuty sumienia kazały mi pozdrowić go gestem ręki. Popatrzył prosto na mnie i

przez sekundę myślałem, że nie raczy odpowiedzieć. Ale po chwili krótko skinął mi głową.

Nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, że wiedział, o czym myślę.

Rozdział 12

Dziennikarze i reporterzy zaczęli rozjeżdżać się już w piątek. Ponieważ nie było nowych wydarzeń, kapryśna prasa straciła zainteresowanie. Gdyby coś się stało, na pewno by wrócili. A do ich ewentualnego powrotu Sally Palmer i Lyn Metcalf miały zajmować coraz mniej czasu antenowego i coraz mniej miejsca w gazetach, by wreszcie zniknąć ze świadomości czytelników.

Wstyd się przyznać, ale kiedy tego ranka jechałem do laboratorium, nie myślałem o zainteresowaniu czy

też raczej braku zainteresowania prasy. Chwilowo osłabł nawet wstrząs, jaki zafundowały mi podejrzenia

niektórych mieszkańców miasteczka. Owszem, denerwowałem się, ale czym innym.

Kolacją u Jenny Hammond.

Wmawiałem sobie, że to nic wielkiego. Że Jenny a raczej jej przyjaciółka Tina po prostu próbuje okazać

mi przyjaźń. Kiedy mieszkałem w Londynie, zaproszenie na kolację było formą grzecznościowej waluty,

którą oferowało się i przyjmowało bez zastanowienia. Tu jest tak samo, powtarzałem sobie w duchu.

Nie poskutkowało.

Manham to nie Londyn. Moje życie towarzyskie sprowadzało się tu do nijakich rozmów z pacjentami czy

znajomymi w pubie. O czym z nią będę rozmawiał? W miasteczku gadano tylko o jednym, a ten temat

raczej nie pasował do kolacyjnych spotkań w gronie obcych sobie ludzi. Zwłaszcza jeśli ludzie ci słyszeli

krążące o mnie plotki. Żałowałem, że nie byłem przytomny na tyle, by wtedy odmówić. Zastanawiałem się

nawet, czy nie zadzwonić do niej z jakąś wymówką i przeprosinami.

Ale chociaż bałem się tego spotkania, ostatecznie nie zadzwoniłem. Co samo w sobie też było niepokojące.

Bo wiedziałem, dlaczego tak się denerwują i dlaczego czuję się z tym nieswojo. Wszystko na myśl o tym, że

znowu zobaczę Jenny. Poruszało to we mnie skomplikowane i dawno zastale emocje, których wolałbym

nie poruszać. Było wśród nich poczucie winy.

Bo czułem się tak, jakbym przygotowywał się do zdrady.

Oczywiście wiedziałem, że to niedorzeczne. Szedłem tylko na kolację, poza tym od prawie czterech lat,

odkąd pewien pijany biznesmen stracił panowanie nad kierownicą swego bmw, nie miałem kogo

zdradzać, z czego aż za dobrze zdawałem sobie sprawę.

Lecz świadomość ta niczego nie zmieniała.

Dlatego parkując przed laboratorium, byłem nie do końca skupiony. Spróbowałem zebrać myśli i

pchnąłem stalowe drzwi do kostnicy. Marina już czekała. Drzwi nie zdążyły się jeszcze zamknąć, gdy

powiedziała:

Są wyniki.

Mackenzie czytał raport ze zmarszczonym czołem.

Na pewno? spytał.

Prawie na sto procent. Wyniki potwierdzają że zwłoki Sally Palmer znaleziono mniej więcej

dziewięć dni po śmierci.

Rozmawialiśmy w małym biurze za kostnicą. Chciałem przesłać mu raport mailem, ale gdy zadzwoniłem,

powiedział, że wpadnie.

To wiarygodne testy?

Analiza rozpadu aminokwasów wskazuje czas zgonu z dokładnością do dwunastu godzin,

dokładniej się nie da. Nie umiem podać godziny jej śmierci, ale zamordowano ją między dwunastą w

południe w piątek i północą z piątku na sobotę.

Bliżej określić tego nie można?

Miałem ochotę go zbluzgać. Przez całe przedpołudnie harowałem jak wół nad tymi przeklętymi

równaniami. Były skomplikowane, ponieważ musiałem uwzględnić średnią temperaturę oraz inne

czynniki pogodowe ze wszystkich dni, kiedy zwłoki leżały na mokradłach. Koszmar. Największa tajemnica

życia sprowadzona do ciągu banalnych matematycznych wzorów.

Przykro mi odparłem. Ale biorąc pod uwagę całą resztę, larwy, i tak dalej, powiedziałbym,

że zamordowano ją w piątek w nocy.

Dobra, załóżmy, że tak. Trzy dni wcześniej widziano ją na grillu w pubie. Mackenzie ponownie zmarszczył czoło. Czasu śmierci psa nie da się tak dokładnie określić, co?

Procesy chemiczne zachodzące w organizmie zwierząt różnią się od tych zachodzących w

człowieku. Mógłbym przeprowadzić analizę, ale nic by nam nie dała.

Szlag by to mruknął. Ale uważa pan, że psa zabito wcześniej, tak? Wzruszyłem ramionami.

Mogłem się tylko oprzeć na stanie jego zwłok

i na aktywności owadów, ale nie miało to nic wspólnego z nauką ścisłą.

Co najmniej dwa, trzy dni wcześniej, tak. Jestem tego niemal pewien, ale jak już mówiłem,

zasady te nie muszą odnosić się do zwierząt.

Mackenzie pociągnął za dolną wargę. Wiedziałem, o czym myśli. Mijał trzeci dzień

od zaginięcia Lyn

Metcalf. Nawet jeśli morderca nie zmienił swoich zwyczajów i nadal gdzieś ją przetrzymywał,

wkraczaliśmy w ostatni etap gry. Bez względu na to, jak bardzo była wynaturzona, jeśli jeszcze trwała, to

już niebawem miała się skończyć.

Chyba że przedtem znaleźlibyśmy Lyn.

Mamy również wyniki badań substancji, którą znalazłem na dnie wyłobienia w kręgu

szyjnym Saliy Palmer dodałem, zaglądając do raportu. To węglowodór. Bardzo złożony: mniej więcej

osiemdziesiąt procent węgla, dziesięć procent wodoru, niewielkie ilości siarki, tlenu i azotu oraz

pierwiastków śladowych.

To znaczy?

Że to bitumin. Kruszywo bitumiczne, popularny lepek, jaki można kupić w każdym sklepie

żelaznym, ogrodniczym albo w sklepie dla majsterkowiczów.

No to wszystko jasne burknął rozczarowany Mackenzie. Zaświtała mi jakaś myśl, mglista i

nieuchwytna, synaptyczne połączenie

uaktywnione przez słowo czy słowa, które przed chwilą wypowiedzieliśmy. Próbowałem ją schwytać, lecz

nie dałem rady.

Coś jeszcze? spytał Mackenzie i myśl umknęła na dobre.

Nie. Muszę jeszcze zbadać ślady od noża na kręgach szyjnych psa. Przy odrobinie szczęścia

może okazać się, że zabójca użył tej samej broni. I to już koniec.

Mackenzie chyba się tego spodziewał, choć na pewno liczył na więcej.

A u pana? spytałem. Jest coś nowego?

Nie musiał nic mówić, odpowiedź miał wypisaną na twarzy.

Badamy kilka tropów odparł sztywno. Milczałem. Mackenzie ciężko westchnął.

Nie mamy ani podejrzanego, ani świadków, ani motywu. A więc krótko mówiąc, nic.

Przesłuchaliśmy wszystkich mieszkańców miasteczka, i guzik z pętelką. Nawet gdybyśmy wznowili

poszukiwania, musielibyśmy uważać na sidła i pułapki, poza tym nie da się przeczesać takiego terenu.

Połowa to moczary i bagniska, reszta łąsy, dziury, wąwozy... Coraz bardziej sfrustrowany, pokręcił głową.

Jeśli dobrze ukrył zwłoki, nigdy ich nie znajdziemy.

Aha, uważa pan, że ona już nie żyje. Posłał mi znużone spojrzenie.

Brał pan udział w wielu policyjnych śledztwach. Jak często ofiarom udawało się przeżyć?

Może nieczęsto, ale czasem się udawało.

Jasne. W totka też można wygrać. Ale szczerze mówiąc, szansa na szóstkę jest chyba większa.

Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. Śledczy nie znaleźli żadnych użytecznych dowodów ani w miejscu,

gdzie uprowadzono Lyn Metcalf, ani na mokradłach, gdzie znaleziono zwłoki Sally Palmer. W krajowym

rejestrze przestępców seksualnych też niczego nie ma. Wiemy tylko tyle, że zabójca jest silny i wyrobiony

fizycznie, że zna las i umie polować.

To niewiele. Mackenzie aż się roześmiał.

W Milton Keynes może byśmy coś tym zwojowali, ale tutaj polowanie to sposób życia.

Myśliwy? Na myśliwego nikt nie zwraca tu uwagi. Nie, nie wiem, kto to jest, ale jak dotąd skutecznie unikał

naszych radarów.

A portret psychologiczny?

Ten sam problem. Za mało danych. To, co nam przedstawili, jest tak mgliste, że na nic się nie

przyda. Mamy do czynienia z kimś, kto lubi spędzać czas na świeżym powietrzu, kto jest wyrobiony

fizycznie i w miarę inteligentny, jednocześnie nieostrożny albo nierozważny na tyle, żeby zostawić ciało

Sally Palmer w miejscu, gdzie można było je łatwo znaleźć. Można to powiedzieć o połowie mieszkańców

miasteczka. Dodać do tego kilka okolicznych wiosek i będziemy mieli dwustu, trzysta podejrzanych.

Mackenzie był przybity. Wcale mu się nie dziwiłem. Nie byłem specjalistą ale z doświadczenia wiedziałem,

że większość seryjnych morderców schwytano dzięki szczęściu albo dzięki temu, że popełnili rażący błąd.

Ludzie ci są jak kameleony i uchodząc za zwykłych członków tej czy innej społeczności, ukrywają się

skutecznie na otwartej przestrzeni. Gdy w końcu wpadają, pierwszą reakcją ich znajomych i sąsiadów jest

zawsze niedowierzenie. Dopiero patrząc wstecz, ich bliscy stwierdzają, że ten wyszczerbiony, ząbkowany

nóż zawsze tam był, tylko po prostu go nie widzieli. Bez względu na to, jakie potworności te bestie

popełniły, ich znajomymi najbardziej wstrząsało to, że wydawały się zupełnie normalnymi ludźmi.

Takimi jak my. Jak ja czy ty.

Mackenzie podrapał się w pieprzyk na szyi. Przestał, gdy zobaczył, że to widzę.

Ale wyszło na jaw coś, co może być ważne rzucił z mało przekonującą obojętnością. Jeden

ze świadków, który rozmawiał z Sally Palmer na grillu, twierdzi, że była zdenerwowana, bo ktoś podrzucił

jej na próg martwego gronostaja. Wzięła to za niesmaczny kawał.

Pomyślałem o łabędzich skrzydłach na jej ciele i o dzikiej kaczce przywiązanej do głazu w dniu zaginięcia

Lyn Metcalf.

Myśli pan, że zrobił to morderca? Mackenzie wzruszył ramionami.

Albo dzieciaki. Albo miał to być jakiś znak czy ostrzeżenie. Naznaczenie ofiary, cholera go wie.

Wiemy już, że ptaki to jego podpis. Może zwierzęta też.

A Lyn? Ona też znalazła coś takiego?

Dzień wcześniej powiedziała mężowi, że widziała w lesie martwego zająca. Ale zająca mógł

zagryźć pies albo lis. Za późno, żeby to sprawdzić.

Miał rację, mimo to bardzo mnie to zastanowiło. Owszem, przypadki zdarzają się w zabójstwach tak samo

jak w innych aspektach życia. Ale biorąc pod uwagę dotychczasowe zachowanie mordercy, do przyjęcia

była również teza, że jest na tyle pewny siebie, iż znakuje przedtem swoje ofiary.

Więc uważa pan, że to nic nie znaczy?

Tego nie powiedziałem warknął. Ale na tym etapie niewiele możemy zdziałać. Szukamy już

notowanych za okrucieństwo wobec zwierząt. Dwóch świadków pamięta, że dziesięć, piętnaście lat temu

ktoś zabijał ta koty, że nigdy go nie złapano i że... Co?

Pokręciłem głową.

Sam pan powiedział, że Manham to nie Londyn. Ludzie myślą tu inaczej, mają inne nastawienie. Nie twierdzą, że są sadystami, ale sentymentu do zwierząt też nie mają.

Chce pan powiedzieć, że nikt nie zwróciłby uwagi na kilka martwych psów czy kotów, tak?

Jeśli ktoś podpaliłby psa na skwerku, pewnie by ktoś zareagował. Ale na wsi? Zwierzęta zabija

się tam cały czas.

Niechętnie przyznał mi rację.

Niech pan obejrzy tego psa i da mi znać rzucił, wstając. W razie czego, jestem pod komórką.

Chwileczkę odparłem. Musi pan chyba o czymś wiedzieć. Opowiedziałem mu o krążących

w miasteczku plotkach.

Jezu Chryste... westchnął, gdy skończyłem. Będzie pan miał kłopoty?

Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. Ludzie są podenerwowani. Widzą, że przyjeżdża pan do

przychodni i wyciągają pochopne wnioski. Nie chcę się ciągle tłumaczyć.

Jasne, dotarło.

Ale nie robił wrażenia zmartwionego. Ani zaskoczonego. Po jego wyjściu przyszło mi do głowy, że może

się tego spodziewał, że gdybym został czymś w rodzaju konia maskującego obecność myśliwego, bardzo

by mu to odpowiadało. Próbowałem wmówić sobie, że to absurd. Mimo to, badając szkielet psa, ciągle o

tym myślałem.

Wypreparowałem i obfotografowałem wyżłobienie na kręgu szyjnym w miejscu,

gdzie nóż wbił się w

kość. Były to czynności rutynowe, warte zachodu jedynie ze względów dokumentacyjnych, dlatego nie

spodziewałem się, że znajdę coś naprawdę wartościowego. Układając kręg pod mikroskopem, wiedziałem,

czego oczekiwać. Wciąż na to patrzyłem, gdy wróciła Marina z kubkiem kawy.

Coś ciekawego? spytała. Zrobiłem jej miejsce.

Proszę spojrzeć.

Pochyliła się nad mikroskopem. Po chwili wyregulowała ostrość. Gdy się wyprostowała, miała zaskoczona

minę.

Nie rozumiem.

Czego?

Wyźłobienie jest chropowate, zupełnie inne niż tamto. Brzegi są nierówne, wystrzępione.

Mówił pan, że tylko ząbkowane ostrze zostawia takie ślady.

Bo tak jest.

Ale to bez sensu. Cięcie na kręgu szyjnym tej kobiety było gładkie. Dlaczego to jest nierówne?

Prosta sprawa odparłem. Zrobiono je innym nożem.

Rozdział 13

Mięso wciąż było blade. Kropelki tłuszczu przywierały doń jak pot i skapywały z sykiem na rozżarzone

węgle. Nad paleniskiem snuły się leniwie smużki dymu, pachnąca błękitnawa mgiełka.

Tina dziobnęła widelcem jeden z leżących na ruszcie hamburgerów i zmarszczyła brwi.

Mówiłam, że za słabo się żarzy.

Trzeba trochę zaczekać odparła Jenny.

Jak zaczekamy, cały węgiel się wypali. Temperatura musi być wyższa.

Nie będziemy niczym tego polewali.

Dlaczego? W tym tempie zjemy je dopiero na śniadanie.

Wszystko jedno. Ten płyn to trucizna.

Przestań, jestem wściekle głodna!

Byliśmy w ogródku za ich maleńkim domkiem. W ogródku, a raczej na zaniedbanym podwórku, kawałku

trawnika otoczonego z dwóch stron płotem dużego wybiegu dla koni. Ale ponieważ na ogródek

wychodziły tylko okna sypialni sąsiedniego domu, było tam zacisznie, przytulnie i prywatnie. No i

roztaczał się stamtąd niczym nieprzesłonięty widok na oddalone o niecałe sto metrów jezioro.

Tina dźgnęła hamburgery jeszcze raz i popatrzyła na mnie.

Jak pan myśli, jako lekarz: czy lepiej jest zatruć się płynną podpałką do węgla czy umrzeć z

głodu?

Warto by pójść na kompromis zasugerowałem. Zdjąć hamburgery z rusztu i podlać węgle

podpałką. Dzięki temu mięso nie przesiąknie zapachem nafty.

Boże, uwielbiam praktycznych mężczyzn odrzekła Tina, podnosząc przez szmatkę druczany

ruszt.

Pociągnąłem łyk piwa z butelki, ale nie z pragnienia, tylko po to, żeby się czymś zająć. Chciałem pomóc,

lecz moja propozycja spotkała się z odmową i bardzo dobrze, biorąc pod uwagę moje umiejętności

kulinarne. Sęk w tym, że nie mając nic do roboty, nie mogłem zapomnieć o zdenerwowaniu. Jenny też była

chyba trochę skrępowana, bo dziwnie długo układała chleb i ustawiała sałatki na białym, plastikowym

stole. Szczupła i opalona, była w białym podkoszulku i dżinsowych szortach. Nie licząc „Dzień dobry”,

zamieniliśmy ze sobą może dwa słowa. Gdyby nie Tina, milczelibyśmy przez cały czas.

Na szczęście Tina należała do osób, które nie znoszą niezręcznych przerw w rozmowie. Gadała przez cały

czas, wygłaszając wesołe monologi, przerywane poleceniami, żebym w końcu się na coś przydał i

wymieszał sos do sałatki, przyniósł papierowy ręcznik, który miał robić za serwetki, i otworzył kolejne

piwo.

Było oczywiste, że nikt więcej nie przyjdzie. Miotaly mną sprzeczne uczucia: ulga, że nie będę musiał z

nikim więcej rozmawiać i żal, że nie uda mi się zniknąć w tłumie.

Tina chlusnęła podpałką.

Cholera jasna! krzyknęła, odskakując do tyłu, gdy buchnął płomień,

Mówiłam! odparła ze śmiechem Jenny.

To nie moja wina, za dużo się wylało!

Palenisko zasnuł gęsty dym. Żar był tak duży, że musieliśmy się cofnąć.

Teraz chyba wystarczy powiedziałem. Tina dała mi kuksańca.

Za karę przyniesie pan piwo.

Nie sądzicie, że najpierw trzeba by uratować jedzenie? Stół i półmiski z sałatkami

ginęły w

kłębach siwego dymu.

O żesz ty! Tina podbiegła bliżej i zaczęła zbierać naczynia.

Przesuńmy stół, tak będzie łatwiej. Chwyciłem go za blat i zacząłem ciągnąć.

Jenny, pomóż mu, mam zajęte ręce! krzyknęła Tina, podnosząc półmisek z makaronem.

Jenny przeszła ją wzrokiem, ale bez słowa chwyciła stół z drugiej strony i wspólnymi siłami

przesunęliśmy go poza zasięg dymu. Gdy postawiliśmy go na ziemię, puściły nogi z jej strony. Stół się

przechylił, niebezpiecznie zachybotwały szklanki.

Uważajcie! krzyknęła Tina.

Rzuciłem się na ratunek, przytrzymałem zsuwające się naczynia i chwyciłem stół od spodu. Prawą ręką

niechcący przykryłem dłoń Jenny.

Trzymam powiedziałem.

Zaczęliśmy powoli opuszczać go na ziemię, ale znowu się przekrzywił, tym razem z mojej strony.

Tina, miałaś go naprawić.

I naprawiłam! Nogi się odkręciły, więc podłożyłam złożony papier.

Papier? Trzeba je było porządnie przykręcić! I zrób coś z tym dymem. Dmuchnij albo...

To ciebie ktoś powinien wreszcie dmuchnąć. Przydałoby ci się.

Tina! Jenny zaczerwieniła się, tłumiąc śmiech.

Uważajcie! Uważajcie na stół!

Boże, nie stój tak. Idź i przynieś śrubokręt!

Tina zniknęła za zasłoną z koralików w drzwiach kuchni. Staliśmy tak, podtrzymywaliśmy stół i

uśmiechaliśmy się do siebie nieśmiało. Ale pierwsze lody zostały przełamane.

Na pewno cieszy się pan, że pan przyszedł powiedziała Jenny.

Pierwsze koty za płoty.

Tak, nie wszędzie jest tak elegancko.

To na pewno. Spuściła oczy.

Nie wiem, jak to powiedzieć, ale... ma pan mokro.

Spojrzałem w dół. Z przewróconej butelki wylało się piwo, które ściekało z blatu prosto na moje krocze.

Odsunąłem się, ale zyskałem tylko tyle, że piwo zaczęło ściekać na nogawki spodni.

Boże, to nie do uwierzenia powiedziała Jenny i obydwójce roześmialiśmy się bezradnie.

Wróciła Tina ze śrubokrętem.

Co się stało? spytała, zerkając na mokrą plamę na moich spodniach. Hmm, mam przyjąć

później?

Gdy wreszcie naprawiliśmy stół, przyniosła mi workowate szorty. Kiedyś należały do jej chłopaka.

Ale może je pan zatrzymać dodała ponuro. Już się po nie nie zgłosi. Patrząc na ich krzykliwe

wzór, wcale się mu nie dziwiłem. Ale były lepsze

niż przesiąknięte piwem džinsy, więc się przebrałem. Gdy wróciłem do ogrodu, powitały mnie chichotem.

Zgrabne nóżki rzuciła Tina i parsknęły śmiechem.

Na gorących węglach wreszcie zaskwierczały hamburgery. Jedliśmy je z sałatką i chlebem, zapijając

przyniesionym przeze mnie winem. Gdy chciałem dolać wina Jenny, ta lekko się zawahała.

Ale tylko troszeczkę. Tina uniosła brwi.

Na pewno? Jenny kiwnęła głową.

Tak, nic mi nie jest. Spojrzała na mnie i zrobiła smutną minę. Mam cukrzycę, muszę uważać

na to, co jem i piję.

Typu pierwszego czy drugiego? spytałem.

Boże, ciągle zapominam, że jest pan lekarzem. Pierwszego.

Tak myślałem. Wśród ludzi w jej wieku był to najpowszechniejszy rodzaj cukrzycy.

Ale nie jest tak źle. Biorę małą dawkę insuliny. Kiedy tu przyjechałam, doktor Maitland dał mi

receptę wyjaśniła przepaszająco.

No, tak. Wstydziła się, że zamiast do mnie, poszła do Henry'ego, tego „jedyne” i „właściwego”. Nie

musiała się tłumaczyć. Zdążyłem do tego przywyknąć.

Tina teatralnie zadrżała.

Zemdlałabym, gdybym musiała się codziennie szprycować.

Bez przesady zaprotestowała Jenny. Nie używam zwykłej strzykawki, tylko takiego specjalnego

aparaciku. I przestań już o tym mówić, bo pan doktor przestanie pić.

Boże broń! Ktoś musi dotrzymać mi kroku!

Kroku Tinie nie dotrzymałem, ale Jenny napełniała mój kieliszek o wiele częściej, niż chciałem. Cóż,

nazajutrz była sobota i miałem za sobą ciężki tydzień. Poza tym, świetnie się bawiłem. Nie bawiłem się tak

dobrze od...

Od długiego czasu.

Humor straciliśmy dopiero po jedzeniu. Zapadł zmierzch i w gasnącym świetle dnia Jenny spojrzała na

jezioro. Miała nachmurzoną twarz i wiedziałem, co powie, zanim otworzyła usta.

Ciągle zapominam o tym, co się stało. Nie macie wyrzutów sumienia? Ja mam.

Tina westchnęła.

Chciała odwołać kolację. Bała się, że ludzie się wnerwią.

Bo to trochę niestosowne powiedziała Jenny.

Dlaczego? zaproponowała Tina. Myślisz, że ludzie przestaną oglądać telewizję czy chodzić do

pubu na piwo? To bardzo smutne i przerażające, ale nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy chodzić we

włosiennicach.

Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Tak, ale ja ich wszystkich znam i wiem, jacy są. Jeśli uznają, że trzeba pociąć kogoś nożem, to

potną go bez względu na to, czy zrobił coś czy nie. Tina spochmurniała. No dobra, może powinnam była

ująć to inaczej, ale to prawda. Spojrzała znacząco na mnie. Niedawno się pan o tym przekonał.

Zrozumiałem, że plotki dotarły i do nich.

Tina rzuciła ostrzegawczo Jenny.

Nie ma sensu udawać, że nic nie słyszałyśmy. To oczywiste, że policja musiała porozmawiać z

miejscowym lekarzem, ale wystarczy, że ktoś uniesie brew i facet jest już skazany. To kolejny przykład

naszej małostkowości.

I plotkarstwa dodała z gniewem Jenny. Nie była to pierwsza oznaka jej wybuchowego

charakteru.

Tina lekceważąco wzruszyła ramionami.

Lepiej jest mówić wszystko otwarcie. W takich miasteczkach roi się od plotkarzy. Ja się tu

wychowałam, ty nie.

Widzę, że nie przepada pani za swoim rodzinnym miasteczkiem wtrąciłem, żeby zmienić

temat.

Posłała mi smutny uśmiech.

Gdybym tylko mogła, natychmiast bym stąd uciekła. Nie rozumiem takich jak wy. Po co tu

przyjeżdżać?

Zapadła cisza. Jenny wstała.

Zrobię kawę powiedziała z pobladłą twarzą. Weszła do domu, wściekłym ruchem rozgarniając zasłonę.

Cholera mruknęła Tina i uśmiechnęła się przepraszająco. Mam za długi język. I za dużo

wypiłam dodała, odstawiając kieliszek.

W pierwszej chwili pomyślałem, że Jenny zareagowała tak przeze mnie, ale teraz wiedziałem już, że nie.

Co się stało? spytałem.

Pewnie wkurzyła się na nietaktowną kumpelkę. Tina popatrzyła na drzwi, jakby

zastanawiając się, czy za nią nie pójść. Niech pan posłucha. Nie powinnam tego mówić, ale chcę, żeby pan

wiedział. W zeszłym roku Jenny dużo przeszła. Dlatego tu przyjechała. Żeby od tego

uciec.

Ale od czego? Tina pokręciła głową.

Jeśli zechce panu powiedzieć, to powie. Za dużo gadam, ale... ale uznałam, że powinien pan

wiedzieć. Ona bardzo pana lubi, dlatego... Boże, wszystko pochrzaniłam, co? Niech pan o tym zapomni.

Pogadajmy o czym innym.

Dobrze. Wciąż zafrasowany tym, co przed chwilą usłyszałem, spytałem o pierwszą rzecz, jaka

przyszła mi do głowy. No więc jakie krążą o mnie plotki?

Tina zrobiła minę.

Sama się o to prosiłam. Ale to tylko plotki. Że przesłuchiwała pana policja i że pana...

podejrzewają. Uśmiechnęła się zadziornie, a raczej chciała, bo nic z tego nie wyszło. Ale to nieprawda,

co?

O ile wiem, to nie. To jej wystarczyło.

I właśnie o to mi chodzi. Przeklęte miasteczko. Ludzie myślą najgorsze w najlepszych

chwilach. A kiedy stanie się coś takiego... Machnęła ręką. Znowu zaczynam. Lepiej pójde zrobić kawę.

Może w czymś pomóc?

Nie, nie. Zaraz ją tu przyślę, dotrzyma panu towarzystwa. Siedziałem w wieczornej ciszy i

myślałem. „Ona bardzo pana lubi”. Co to

miało znaczyć? A konkretniej, jak się z tym czułem? Wmówiłem sobie, że to tylko Tina i wino, że nie warto

się w to zagłębiać.

W takim razie skąd te nerwy?

Wstałem i podszedłem do niskiego, kamiennego murku na końcu ogrodu. Słońce już zaszło i mokradła

tonęły w nieprzeniknionym mroku. Od strony jeziora wiał leciuteńki wiatr, niosąc ze sobą odległy krzyk

sowy.

Usłyszałem jakiś hałas. Wróciła Jenny z dwoma kubkami kawy. Wychylnąłem z ciemności i wszedłem w

smugę bijącego zza drzwi światła. Jenny gwałtownie drgnęła i oblała sobie ręce kawą.

Przepraszam, nie chciałem pani wystraszyć.

Nie, nie, nie szkodzi. Po prostu nie zauważyłam... Postawiła kubki na stole i podmuchała na

dłonie.

Podąłem jej papierowy ręcznik.

Oparzyła się pani?

Jakoś to przeżyję. Wytarła ręce.

Gdzie Tina?

Trzeźwieje. Ponownie podniosła kubki. Nie spytałam, czy pije pan z mlekiem i cukrem.

Dwa razy bez.

Tak myślałam powiedziała z uśmiechem. Podeszła do murku. Podziwiał pan widok?

Niewiele już widać.

Jest wspaniały, jeśli ktoś lubi zieleni i wodę.

Pani lubi?

Stanęła tuż obok mnie, patrząc na jezioro.

Tak, bardzo. Kiedy byłam małą, pływałam z ojcem żaglówką.

A teraz?

Nie, już od lat nie pływam. Ale lubię wodę. Ciągle powtarzam sobie, że któregoś dnia

wypożyczę jakąś łódkę. Małą bo wiem, że jezioro jest za płytkie na coś dużego.

Mieszkać tuż nad brzegiem

i nie pływać to grzech.

Mam jolkę, ale nie wiem, czy by się pani spodobała. Moglibyśmy...

Powiedziałem to bez zastanowienia. Ale Jenny odwróciła się do mnie z radosnym wyczekiwaniem i w

świecie księżyca ujrzałem jej uśmiechniętą twarz. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak blisko siebie

stoimy. Czułem ciepło jej nagich ramion.

Naprawdę?

Nie jest moja. Należy do Henry'ego. Ale czasem z niej korzystam.

Okropnie się czuję. Nie chciałam niczego sugerować, po prostu...

Wiem. Trochę wysiłku fizycznego dobrze mi robi.

Ogarnęło mnie coś w rodzaju zdumienia. Chryste, człowieku, co ty wyprawiasz?

Popatrzyłem na jezioro,

żeby ukryć twarz w ciemności.

Może w niedzielę? Tak, to był mój własny głos.

Świetnie! O której?

Przypomniałem sobie, że jestem umówiony na lunch z Henrym.

Po południu? Mógłbym przyjechać po panią o... trzeciej?

Cudownie.

Nie patrzyłem na nią, ale po jej głosie poznałem, że się uśmiecha. Natychmiast zająłem się kawą, ledwo

zauważając, że parzę sobie usta. Nie mogłem uwierzyć, że to zrobiłem. Nie tylko Tina powinna

wytrzeźwieć, pomyślałem.

Zaraz potem wymyśliłem jakąś wymówkę i zacząłem zbierać się do wyjścia. Wtedy pojawiła się Tina,

która z wesołym błyskiem w oku oznajmiła, że szorty mogę zwrócić jej później. Wołałem jednak przebrać

siew wilgotne dżinsy. Miałbym paradować przez miasteczko w krzykliwych szortach do surfingu i jeszcze

bardziej zepsuć sobie reputację?

Nie odszedłem daleko, gdy zapiszczała moja komórka. Dostałem jakąś wiadomość. Telefon nosiłem

zawsze przy sobie na wypadek pilnego wezwania, ale zdejmując dżinsy, zostawiłem go w kieszeni.

Zupełnie o tym zapomniałem i dopiero teraz, gdy dotarło do mnie, że przez ponad dwie godziny nie było

ze mną żadnego kontaktu, przestałem wreszcie myśleć o Jenny. Miotany wyrzutami sumienia wybrałem

numer poczty głosowej z nadzieją, że to nic poważnego.

Ale nie była to wiadomość od pacjenta. Dzwonił Mackenzie.

Znaleźli kolejne zwłoki.

Rozdział 14

Okolica tonęła w trupim blasku reflektorów. Trawa, krzewy i drzewa tworzyły surrealistyczny obraz

światła i cienia. Dokładnie pośrodku tego obrazu uwijali się policyjni technicy. Prostokątny fragment

ziemi podzielili plastikowym sznurkiem na małe kwadraty i w monotonnym szumie generatora mozolnie

usuwali wierzchnią warstwę gleby, powoli odsłaniając to, co się pod nią kryło.

Mackenzie obserwował ich, pogryzając miętotówki. Widać było, że jest zmęczony i wymizerowany. Światło

reflektorów wysysało wszystkie kolory z jego twarzy i jeszcze bardziej podkreślało sińce pod oczami.

Znaleźliśmy to dziś po południu. Grób jest płytki, ma sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt centymetrów głębokości. Myśleliśmy, że to fałszywy alarm, że to borsuk czy inne zwierzę. Dopóki nie zobaczyliśmy ręki.

Grób był w lesie. Zanim przyjechałem, technicy zdjęli już górną warstwę ziemi. Jeden, a raczej jedna z nich

przesiewała ją przez sito. Nagle znieruchomiała, wzięła coś do ręki, obejrzała, odrzuciła na bok i wróciła

do pracy.

Jak go znaleźliście? spytałem.

Nie my. Pies.

Kiwnąłem głową. Policja wykorzystywała specjalnie szkolone psy nie tylko do wykrywania narkotyków i

materiałów wybuchowych. Znalazienie ukrytego grobu rzadko kiedy było łatwe, zwłaszcza na dużym

terenie. Jeśli ciało leżało długo, w osiadającej ziemi pojawiało się charakterystyczne wklęśnięcie, poza tym

często używano stalowych sond, którymi badano jej twardość. W Stanach słyszałem nawet o pewnym

kryminologu, który osiągał ciekawe rezultaty, szukając grobów za pomocą drucianej różdżki.

Ale najlepszymi poszukiwaczami wciąż były psy. Ich czuły nos potrafił wykryć minimalną nawet ilość

gazów gnilnych, sączących się z bardzo dużych głębokości; bywało, że dobrze wyszkolony pies odkrywał

ciało pochowane przed ponad stu laty.

Zjawilem się tam po północy i szczątki były już częściowo odkopane. Technicy usuwali teraz ziemię

małymi łopatkami i pędzelkami, z archeologiczną niemal precyzją. Bez względu na to, czy grób był świeży

czy bardzo stary, zawsze stosowano takie same techniki. I w jednym, i w drugim przypadku miały odsłonić

ciało bez naruszania ewentualnych dowodów rzeczowych, jakie mogły się przy nim kryć.

Tu najbardziej znamieny dowód już znaleziono. Nie brałem udziału w wykopaliskach, ale stałem na tyle

blisko, żeby widzieć to, co najważniejsze.

Mackenzie zerknął na mnie i spytał:

No i co pan powie?

Tylko to, co chyba już pan wie.

Wszystko jedno, niech pan mówi.

To nie Lyn Metcalf. Mackenzie mruknął coś pod nosem.

Dalej.

Grób jest stary. Ten człowiek leżał tu długo przed tym, zanim zaginęła. Brak tkanki miękkiej,

brak odoru... Pies świetnie się spisał.

Przekażę mu pańskie gratulacje burknął Mackenzie. Od kiedy może tu leżeć?

Spojrzałem na płytki wykop. Było już widać szkielet; miał kolor ziemi. Szkielet leżącego na boku dorosłego

człowieka w podkoszulku i dżinsach.

Bez dokładniejszych badań mogę powiedzieć tylko w dużym przybliżeniu. Na tej głębokości

rozkład ciała postępuje wolniej niż na powierzchni...

Najmniej rok, piętnaście miesięcy. Ale myślę, że leży tu dłużej. Najprawdopodobniej od pięciu lat.

Skąd pan wie?

Jest w bawełnianych dżinsach i bawełnianym podkoszulku. Bawełna rozkłada się dopiero po

czterech, pięciu latach. Reszki jeszcze są, ale niewiele ich zostało.

Coś jeszcze?

Mogę podejść bliżej?

Zapraszam.

Nie byli to ci sami technicy, których poznałem na mokradłach; Mackenzie ściągnął do lasu inną ekipę.

Zerknęli na mnie, gdy przykucnąłem na skraju wykopu, lecz bez komentarza dalej robili swoje. Było późno

i czekała ich długa noc.

Są ślady jakichś urazów? spytałem najbliższego.

Wyraźny uraz czaszki, ale dopiero co zaczęliśmy ją odsłaniać. Wskazał ręką. Chociaż czaszka

była częściowo przykryta ziemią dostrzegłem na niej pęknięcia rozchodzące się promieniście od

wgłębienia w kości.

Tępe narzędzie albo broń palna powiedziałem. Jak pan myśli? Kiwnął głową. W przeciwieństwie do technika, którego spotkałem na

mokradłach, nie miał nic przeciwko temu, że się wtrącam.

Na to wygląda. Ale będę wiedział na pewno dopiero wtedy, gdy usłyszę grzechot kuli w

czaszce.

Postrzał z broni palnej albo cios ostrym narzędziem, na przykład nożem, powoduje urazy innego rodzaju

niż te powstające przy użyciu narzędzia tępego. Zwykle łatwo je było rozpoznać i wszystko wskazywało

na to, że mamy do czynienia z tym ostatnim. Mimo to rozumiałem jego ostrożność.

Myśli pan, że zginął od ciosu w głowę? spytał Mackenzie.

Możliwe oparłem. Uraz wygląda groźnie. Zakładając, że nie powstał po śmierci, mógł być

przyczyną zgonu. Ale za wcześnie na konkrety.

Coś jeszcze? burknął niezadowolony.

To mężczyzna, najprawdopodobniej biały. Miał od osiemnastu do dwudziestu kilku lat.

Mackenzie zajrzał do wykopu.

Poważnie?

Niech pan spojrzy na czaszkę. Kształt szczęki mężczyzny różni się o kształtu szczęki kobiety.

Mężczyzny jest szersza. Widzi pan ten wyrostek kostny w miejscu, gdzie było kiedyś ucho? To łuk

jarzmowy, który u mężczyzny jest zawsze większy niż u kobiety. A rasa? Kość nosowa wskazuje, że denat

jest Europejczykiem. Mógłby być i Azjata, ale czaszka jest zbyt rombowa, więc raczej nie jest. Wiek...

Wzruszyłem ramionami. W tej fazie to tylko zgadywanka. Ale z tego, co widzę, kręgi nie są zbyt wyrobio

ne. Widzi pan żebra? Wskazałem miejsce, gdzie spod podkoszulki sterczały tępo zakończone fragmenty

kości. Im człowiek starszy, tym koniuszki są bardziej nierówne i gruzłowate. Te są jeszcze ostre, więc

musiał być młody. Mackenzie zamknął oczy i potarł grzbiet nosa.

Cudownie. Tylko tego nam brakowało: zabójstwa niezwiązanego z tamtym. Nagle poderwał

głowę. Ale chyba nie poderżnięto mu gardła, co?

Raczej nie. Już to sprawdziłem i na kręgach szyjnych nie znalazłem żadnych śladów od noża.

Zwłoki długo leżały w ziemi, dlatego trudniej jest zauważyć urazy, zwłaszcza bez dokładnych oględzin.

Ale nie widzę tu nic, co rzucałoby się w oczy.

Dzięki Ci, Boże, choć za to wymruczał Mackenzie.

Mogłem mu tylko współczuć. Trudno było powiedzieć, co bardziej skomplikowałoby mu życie:

konieczność wszczęcia kolejnego śledztwa czy dowód na to, że morderca działa w okolicy już od lat.

Ale to mnie nie dotyczyło i bardzo się z tego cieszyłem. Wstałem i otrzepałem rękę.

Jeśli będzie mnie pan potrzebował, mogę przyjechać jeszcze raz.

Wpadnie pan jutro do laboratorium? To znaczy, dzisiaj poprawił się Mackenzie.

Po co?

Mackenzie był szczerze zaskoczony.

Żeby lepiej się temu przyjrzeć. Do południa powinniśmy skończyć. W porze lunchu zwłoki

będą do pana dyspozycji.

Z góry zakłada pan, że dam się w to wciągnąć.

A nie da się pan?

Teraz z kolei ja byłem zaskoczony. Nie pytaniem, tylko tym, że zna mnie lepiej niż ja sam.

Chyba tak odparłem, godząc się z nieuchronnym. Przyjadę o dwunastej.

Obudziłem się w kuchni zmarznięty i dezorientowany. Stałem przed otwartymi

drzwiami na ogród,

patrzac na jasniejace niebo. Wciaz dokladnie pamietalem moj sen, a glosy Kary i Alice byly tak wyraźne,

jakbym przed chwila z nimi rozmawial. Poruszylo mnie to bardziej niz zwykle. We śnie czulem, ze Kara

chce mnie przed czymś ostrzec, ale ja nie chcialem wiedziec przed czym. Za bardzo bałem się tego, co

mogłem uslyszec.

Zadrzałem. Nie pamietam, jak zszedłem na dół i dlaczego podświadomość kazala mi otworzyc drzwi.

Zaniepokojony chcialem je zamknac, ale nie zamknałem. Z bladego morza stojacej nad mokradłami mgly,

niczym skalny klif wynurzyla się nieprzenikniona ściana ciemnego lasu. Patrzyłem na nią ogarnięty złymi

przezuciami.

Las. Wśród drzew go nie widać szczegóół przesłania ogóół. Nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy.

Przez chwila wydawalo mi się, ze ma to głębsze znaczenie, lecz gdy spróbowalem je odnaleźc, rozmyło się

jak dym. Wciaz stałem tam i myślałem, gdy wtem coś musnęło mi kark.

Drgnałem i się odwróciłem. W kuchni nie było nikogo. To wiatr, pomyslałem, chociaż poranek był cichy,

spokojny i zupełnie bezwietrzny. Zamknałem drzwi, starając się odpędzić niepokój. Ale wrażenie, ze ktoś

delikatnie przesuwa mi po szyi czubkami palców, nie minęło nawet wtedy, gdy wróciłem do łózka, żeby

doczekać świtu.

Przed wyjazdem do laboratorium miałem do zabicia parę godzin. Nie mając nic lepszego do roboty,

poszedłem do Henry'ego na śniadanie; w niedzielę często u niego bywałem. Już wstał. Był w dobrej formie

i smażąc jajka na boczku, spytał mnie wesoło, jak było wieczorem. Chwilę trwało, zanim zrozumiałem, że

chodzi mu o grilla u Jenny, a nie o nocne znalezisko. Wiadomość o leśnym grobie jeszcze się nie rozniosła i

nawet sobie nie wyobrażałem, jak zareagują na to mieszkańcy Manham. I bez tego mieli na głowie dość

zmartwień. Zresztą byłem zbyt zdenerwowany snem, żeby myśleć o takich rzeczach.

Dlatego nie powiedziałem mu, że znaleziono drugie zwłoki. Ale zaraził mnie swoim humorem i wyszedłem

od niego w znacznie lepszym nastroju. Nastrój polepszył mi się jeszcze bardziej, gdy ruszyłem do domu po

samochód. Był kolejny piękny poranek bez parnego upału, który miał nadejść dopiero później. Żółcie,

fiolety i czerwienie na skwerku były tak intensywne, że raziły w oczy, napełniając powietrze ciężką

słodkością kwiatowego pyłku. Tylko policyjna przyczepa psuła złudzenie wiejskiej sielanki.

Jej obecność surowo zgałła mnie za ten nagły optymizm, ale ponieważ dawno się już tak nie czułem,

miałem to gdzieś. Oczywiście nie kwestionowałem tego, że tam jest. I starałem się nie łączyć mojego

nowego spojrzenia na życie z Jenny. Po prostu cieszyłem się chwilą.

Jak się wkrótce okazało, chwila ta nie trwała długo.

Właśnie mijalem kościół, gdy wtem usłyszałem czyjś głos.

Panie doktorze, chwileczkę.

Na cmentarzu stali Scarsdale i Tom Mason, młodszy z dwóch ogrodników, którzy zajmowali się miejskimi

klombami i trawnikami. Spojrzałem na nich zza niskiego murku.

Dzień dobry, pastorze. Jak się masz, Tom.

Nie przerywając pracy, Tom, który okopywał właśnie krzak róży, skinął mi głową i uśmiechnął się

nieśmiało. Podobnie jak jego dziadek, był najszcześniejszy wtedy, gdy zostawał sam na sam ze swymi

roślinami, które traktował z gamoniowatą wprost łagodnością. W przeciwieństwie do niego, Scarsdale nie

miał w sobie nic gamoniowatego czy łagodnego. Nie raczył odpowiedzieć na powitanie.

Ciekawią mnie pańskie przemyślenia na temat obecnej sytuacji zaczął bez wstępów.

Zdawało się, że jego czarny garnitur wchłania całe światło między starymi, przekrzywionymi nagrobkami.

Dziwne słowa.

Boję się, że nie rozumiem.

Nasze miasteczko czekają trudne chwile. Cały kraj będzie obserwował, jak oczyszczamy się z

zarzutów. Chyba się pan ze mną zgodzi.

Miałem tylko nadzieję, że nie będzie to powtórka z ostatniego kazania.

Pastorze, czego pan właściwie chce?

Chcę pokazać, że Manham nie zamierza tolerować tego, co się stało. To dla nas okazja do

zadziergnięcia silniejszych więzów. Do zjednoczenia w obliczu próby.

Szaleniec, który porywa i morduje kobiety to „próba”? Nie rozumiem, jak można do tego tak

podchodzić.

Rzeczywiście, chyba pan nie rozumie. Ludzie boją się, że ucierpi na tym reputacja miasteczka. I

słusznie.

Myślałem, że bardziej chcą znaleźć Lyn Metcalf i schwycić mordercę Sally Palmer. Czy to nie

ważniejsze niż zamartwianie się o reputację Manham?

Niech pan nie wykręca kota ogonem, doktorze warknął Scarsdale. Gdyby więcej ludzi

zwracało uwagę na to, co się tu dzieje, być może nigdy by do tego nie doszło.

Niepotrzebnie wdałem się z nim w dyskusję.

Wciąż nie rozumiem, o co panu chodzi.

Byłem świadom obecności ogrodnika, ale Scarsdale nigdy się nie wstydził występować przed

publicznością. Odchylił się do tyłu, żeby spojrzeć na mnie znad czubka nosa.

Było u mnie wielu parafian. Odczuwają potrzebę utworzenia zjednoczonego frontu. Zwłaszcza

w rozmowach z dziennikarzami.

A konkretniej? spytałem, czując, do czego to wszystko zmierza.

Miasteczko potrzebuje rzecznika prasowego. Kogoś, kto będzie reprezentował Manham na

zewnątrz.

Rozumiem, że mówi pan o sobie.

Jeśli ktoś inny zechce wziąć na siebie tę odpowiedzialność, chętnie ustąpię mu miejsca.

Skąd pewność, że będziemy potrzebowali rzecznika?

Ponieważ Bóg jeszcze z nami nie skończył. Scarsdale powiedział to z denerwującą pewnością

siebie.

Więc czego pan ode mnie chce?

Jest pan tu swego rodzaju prominentem. Pańskie poparcie byłoby mile widziane.

Myśl, że Scarsdale mógłby wykorzystać mnie do swoich celów, była irytująca. Jednakże wiedziałem, że

dzięki panującemu w miasteczku strachowi i nieufności zbierze skłoną do posłuchu gromadkę wiernych.

I to było najbardziej przygnębiające.

Nie mam zamiaru rozmawiać z prasą jeśli o to panu chodzi.

To również kwestia postawy. Nie chciałbym, żeby ktoś podważał wysiłki tych, którzy działają

w najlepszym interesie miasta.

Coś panu powiem, pastorze. Niech każdy z nas robi po prostu swoje. Tak będzie najlepiej.

Czy to znaczy, że pan mnie krytykuje?

Powiedzmy, że różnimy się w poglądach na to, co leży w najlepszym interesie miasteczka.

Przyjrzał mi się chłodno.

Chcę tylko panu przypomnieć, że mieszkańcy Manham są pamiętliwi. Jeśli ktoś zgrzeszy w

takiej chwili, długo mu tego nie zapomną. Ani nie wybaczą choć to nie po chrześcijańsku.

Cóż, w takim razie spróbuję nie grzeszyć.

Wygadanie nic panu nie pomoże. Widzi pan, nie tylko ja powątpiewam w pańską lojalność.

Ludzie mówią doktorze. A to, co mówią jest bardzo niepokojące.

To może niech pan nie słucha plotek? Czyż jako sługa boży nie powinien pan wierzyć mi na

słowo?

Niech pan nie uczy mnie zawodu.

A pan niech nie uczy mnie.

Łypnął na mnie spode łba. Może by coś dodał, ale w tej samej chwili Tom wrzucił z łoskotem narzędzia do

taczek. Scarsdaie wyprostował się dumnie z oczami twardymi jak kamienne nagrobki, wśród których stał.

Nie będę pana zatrzymywał, doktorze. Do widzenia rzekł sztywno i odszedł.

Dobrze to rozegrałeś, pomyślałem z goryczą, idąc dalej. Nie chciałem, żeby rozmowa przekształciła się w

konfrontację, ale pastor budził we mnie najgorsze uczucia. Głęboko zamyślony zauważyłem samochód

dopiero wtedy, gdy się ze mną zrównał.

Wyglądasz tak, jakbyś chciał usiąść, ale się przewróciłeś.

Ben. W ciemnych okularach, z ręką za oknem nowego, czarnego land rovera. Wóz był zakurzony, mimo to

mój wyglądał przy nim jak zabytek.

Przepraszam, zamyśliłem się.

Zauważyłem. Ale chyba nie dlatego, że dopadł cię nasz młot na czarownice? Ruchem głowy

wskazał kościół. Widziałem, jak rozmawialiście.

Nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem.

Żebyś wiedział. Streściłem mu pokrótce naszą rozmowę. Ben pokręcił głową.

Nie mam pojęcia, jakiego czci Boga, ale nie chciałbym spotkać go w ciemnej uliczce. Trzeba mu

było powiedzieć, żeby się odpieprzył.

Chyba nie przyjąłby tego zbyt dobrze.

On i tak ostrzy na ciebie zęby. Jesteś dla niego zagrożeniem.

Ja? spytałem zaskoczony.

Pomyśl tylko. Do tej pory był zasuszonym pasterzem stałe kurczącego się stadka. Teraz stanął

przed wielką szansą, a ty możesz podważyć jego autorytet. Jesteś lekarzem, jesteś wykształcony,

przyjechałeś z wielkiego miasta. No i nie zapominajmy, że jesteś człowiekiem świeckim.

Nie zamierzam z nim konkurować odparłem rozdrażniony.

Wszystko jedno. Ten stary sukinsyn obwołał się głosem Manham. Jeśli nie jesteś z nim, jesteś

przeciwko niemu.

Jakby nie dość było złego.

Och, nigdy nie wątp w człeka prawego i szlachetnego. Taki zawsze coś spieprzy. Oczywiście

wszystko w imię większego dobra.

Przyjrzałem się mu uważniej. Chyba stracił dobry humor.

Ben, co ci się stało?

Po prostu jestem dzisiaj cyniczny. Jak pewnie zauważyłeś.

Nie, w głowę.

Tuż nad okiem miał mocno otartego guza, który częściowo skrywały okulary. Pomacał go palcami.

W nocy pogoniłem kolejnego kłusownika. Próbował dobrać się do gniazda błotniaka stawowego, którego pilnowałem. Pobiegnęm za nim, potknąłem się, no i wylądowałem na dupie.

Uciekł?

Ben gniewnie pokręcił głową.

Ale jeszcze sukinsyna dopadnę. Jestem pewien, że to ten Brenner. W pobliżu znalazłem jego

samochód. Zaczaiłem się, ale się nie pokazał. Pewnie siedział gdzieś i czekał, aż sobie pójdę. Uśmiechnął

się zjadliwie. Mam nadzieję, że mnie widział, bo spuściłem mu powietrze.

Ryzykujesz.

I co mi robi? Doniesie na policję? Ben pogardliwie prychnął. Wpadniesz po południu do

pubu?

Możliwe..

To na razie.

Odjechał w mgiełce spalin, która wisiała przez chwilę w powietrzu, po czym zniknęła.

Wracając do domu, myślałem o tym, co powiedział. Zapotrzebowanie na chronione gatunki zwierząt,

zwłaszcza na ptaki, istniało od zawsze; czarny rynek kwitł. Ale ze względu na rolę, jaką zwierzęta te i ptaki

odegrały w okaleczeniu zwłok Sally Palmer i uprowadzeniu Lyn Metcalf, powinna wiedzieć o tym policja.

Problem polegał na tym, że tego aspektu zbrodni nie ujawniono, dlatego nie mogłem wspomnieć o nim

Benowi. Co oznaczało, że czeka mnie kolejna rozmowa z Mackenzie. Robiłem to za jego plecami, co wca

le mi nie odpowiadało, zwłaszcza że wątpiłem, by coś z tego wyszło. Ale nie mogłem ryzykować.

Doświadczenie nauczyło mnie, że nawet najmniejsze szczegóły mogą być ważne.

Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, ale już niebawem miało się to potwierdzić w najmniej spodziewany

sposób.

Rozdział 15

Tej nocy przybyło ofiar. Ale nie zrobił tego ten, kto zamordował Sally Palmer i uprowadził Lyn Metcalf. A przynajmniej nie bezpośrednio. Nie, James Nolan był ofiarą coraz większej w miasteczku podejrzliwości i wrogości.

Mieszkał w maleńkiej chatce w zaułku za warsztatem samochodowym. Był moim pacjentem, cichym, zamkniętym w sobie człowiekiem, mężczyzną nadzwyczaj łagodnym i nieszczęśliwym. Pracował w sąsiedniej wsi, miał pięćdziesiąt kilka lat i ponad dwadzieścia pięć kilogramów nadwagi. Był też homoseksualistą. Bardzo się tego wstydził. W zaścianku takim jak Manham, gdzie homoseksualizm uchodził za zwyrodnienie, nie było miejsca na seksualne przygody. Dlatego jako młody człowiek, Nolan szukał zaspokojenia w parkach, miejskich toaletach czy pobliskich miastach. Podczas jednej z takich eskapad miał nieszczęście zaczepić policjanta po cywilnemu. Dostał wyrok w zawieszeniu, ale wstyd, jaki potem odczuwał, trwał znacznie dłużej. Jak było do przewidzenia, wieść o tym dotarła do Manham i Nolan, uchodzący już za miejscowe dziwadło, stał się natychmiast kimś o wiele gorszym. Chociaż o przestępstwie, jakiego się dopuścił, nigdy otwarcie nie rozmawiano było wątpliwe, czy w ogóle znano jego charakter wystarczyły same plotki. Każda mała społeczność lubi przypisywać swoim członkom określoną rolę, dlatego w Manham szybko go napiętnowano. Stał się człowiekiem niedotykalnym, zboczeńcem, przed którym ostrzegano dzieci. A żyjąc samotnie i w odosobnieniu, Nolan jeszcze bardziej ten wizerunek uwiarygodniał. Przemykał przez miasto jak duch, prawie z nikim nie rozmawiał i pragnął tylko, żeby nie zwracano na niego uwagi. Manham chętnie się do tego dostosowało, nie tyle go tolerując, co ignorując. Aż do teraz.

Nolan przyjął to niemal z ulgą. Odkąd znaleziono zwłoki Sally Palmer, żył w ciągłym strachu, doskonale wiedząc, że racjonalne myślenie nie odgrywa żadnej roli w poszukiwaniach kozła ofiarnego. Wracał z pracy późnym wieczorem i natychmiast zamykał się w domu z nadzieją że ta swoista niewidzialność nie przestanie go chronić. Ale tej soboty go nie uchroniła.

Było po jedenastej, gdy ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Nolan wyłączył już telewizor i szedł właśnie spać. Kotary były zaciągnięte, więc przez chwilę siedział w fotelu, modląc się, żeby zostawili go w spokoju. Ale nie zostawili. Przyszło ich kilku. W dym pijani śmiali się początkowo i szyderczo wołali go po imieniu. Potem okrzyki stały się gniewniejsze, a łomotanie gwałtowniejsze. Drzwi zaczęły dygotać, omal nie wyskoczyły z zawiasów, więc Nolan spojrzął na telefon i niewiele brakowało, żeby zadzwonił na policję. Ale nie zadzwonił, ponieważ przez całe życie robił wszystko, żeby nie zwracać na siebie uwagi. I kiedy tamci zmienili taktykę, grożąc wyważeniem drzwi, zrobił to, co robił zawsze. Po prostu ich posłuchał.

Łańcucha nie zdjął, wierząc, że wytrzyma. Ale tak samo jak wszystko inne, łańcuch też zawiódł. Drzwi i futryna ustąpiły pod zmasowanym atakiem, odrzucając Nolana do tyłu i napastnicy wpadli do domu. Później twierdził, że żadnego z nich nie rozpoznał, że nie widział ich twarzy. Bez względu na to, jak było naprawdę, trudno uwierzyć,

żeby nie wiedział, kto go pobił. Musiał ich chociaż widzieć w mieście, może byli to nawet synowie czy wnukowie ludzi, z którymi dorastał. Pobili go, skopali, a potem zaczęli demolować dom. Kiedy już potłukli wszystko, co mogli, zajęli się nim ponownie i tym razem przestali dopiero wtedy, gdy stracił przytomność. Niewykluczone, że przed zabójstwem powstrzymała ich resztką zdrowego rozsądku. Z drugiej strony, Nolan odniósł tak rozległe rany, że mogli pomyśleć, iż nie żyje. Mój telefon zadzwonił jakiś czas po ich wyjściu. Rozespany wymacałem po ciemku słuchawkę, ale nie rozpoznałem głosu, który powiedział szeptem, że kogoś pobito. Zanim zdążyłem otrzeźwieć, rozmówca dodał jeszcze, że stało się to w tym a w tym domu i przerwał połączenie. Przez chwilę gapilem się osłupiały na słuchawkę, potem zebrałem myśli i zadzwoniłem na pogotowie. Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że to fałszywy alarm, ale nie, to nie brzmiało jak głupi dowcip. Poza tym wiedziałem, że upłynie sporo czasu, zanim karetka dojedzie na miejsce.

Po drodze zapukałem do przyczepy na skwerze. Policjanci dyżurowali w niej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a ja nie miałem ochoty iść do Nolana sam. Popełniłem błąd. Ci z pogotowia nic im nie przekazali i straciłem cenny czas na wyjaśnienia. Zanim jeden z nich zgodził się wreszcie mi towarzyszyć, żałowałem już, że nie poszedłem do niego sam.

W zaułku było ciemno choć oko wykol. Od razu domyśliliśmy się, gdzie mieszka, bo drzwi chatki były szeroko otwarte. Idąc w tamtą stronę, patrzyłem na okna sąsiednich domów. Nie dostrzegłem w nich ani śladu życia, mimo to miałem wrażenie, że przez cały czas ktoś nas obserwuje.

Znaleźliśmy Nolana tam, gdzie zostawili go napastnicy. Mogłem tylko ułożyć go w bezpiecznej pozycji i czekać na karetkę. To tracił, to odzyskiwał przytomność, więc przemawiałem do niego aż do przyjazdu sanitariuszy. Gdy ocknął się ponownie, spytałem, co się stało. Ale on znowu zaniknął oczy, nie chcąc nic słyszeć.

Gdy wyniesiono go na noszach, jeden z policjantów, którzy przyjechali wraz z karetką, spytał mnie, dlaczego ów tajemniczy nieznajomy zadzwonił do mnie, zamiast na pogotowie. Odparłem, że nie wiem, ale nie była to prawda. Popatrzyłem na niebieskawe błyski światła odbijającego się w oknach okolicznych domów. Mimo zamieszania, nikogo w nich nie dostrzegłem, nikt nie wyszedł na ulicę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Ale czułem, że ludzie na nas patrzą. Tak samo jak patrzyli lub odwracali wzrok gdy tamci łomotali do drzwi i katowali Nolana. Tak, kogoś gryzło sumienie, choć nie na tyle, żeby ich powstrzymać czy wciągnąć w to kogoś z zewnątrz. To była ich sprawa. Dzwoniąc do mnie, człowieka ni to obcego, ni to swojego, poszli na kompromis. Byłem pewien, że nie znajdzie się ani jeden świadek i że nikt nie przyzna się do anonimowego telefonu. Zresztą, jak się później okazało, telefonowano z budki, co skutecznie uniemożliwiło identyfikację rozmówcy. Gdy karetka odjechała, jeszcze raz popatrzyłem na ciemne okna i pozamykane drzwi. Miałem ochotę ich zwymyślać. Ale jakimi słowami i co miałbym tym osiągnąć, tego

nie wiedziałem. Wróciłem więc do domu i spróbowałem przespać resztę nocy.

Obudziłem się niewyspany i dziwnie nieswój. Wziąłem gazetę, kubek kawy i poszedłem do ogrodu. Tematem dnia była katastrofa kolejowa, dlatego odkrycie drugiego ciała w Manham zasłużyło jedynie na kilka akapitów na trzeciej czy czwartej stronie. Fakt, że zwłoki te nie miały nic wspólnego z morderstwem Sally Palmer, oznaczał, że była to tylko zwykła ciekawostka, ot, zbieg okoliczności. Poprzedniego dnia przez całe popołudnie i wieczór badałem szczątki młodego człowieka z leśnego grobu i chociaż musieliśmy jeszcze poczekać na wyniki testów tłuszczowych, które miały ustalić przybliżoną datę jego śmierci, nie spodziewałem się żadnych niespodzianek. Dobrą nowiną jeśli w ogóle można tak powiedzieć było to, że nie powinniśmy mieć trudności z ustaleniem jego nazwiska. Miał nietknięte zęby, a w zębach były plomby, więc przy odrobinie szczęścia policja mogła porównać zdjęcia ze zdjęciami rent genowskimi w kartotekach dentystycznych. Odkryłem również stare złamanie lewej kości piszczelowej. Dawno się zagoiło, lecz była to kolejna wskazówka, która mogła pomóc ustalić tożsamość zamordowanego.

Poza tym mogłem jedynie potwierdzić to, co powiedziałem Mackenziemu w lesie. Denat był młodym białym mężczyzną, któremu roztrzaskano czaszkę ciężkim, tępym narzędziem. Sądząc po promienistym kształcie dziur w kości, najprawdopodobniej dużym młotkiem albo pobijakiem. Usytuowanie ran oraz ich rozległość wskazywały na to, że uderzono go kilka razy od tyłu. Po tak długim czasie trudno było powiedzieć na pewno, czy to właśnie te urazy go zabiły, ale przypuszczałem, że tak. Tak silne ciosy musiały doprowadzić do natychmiastowej śmierci i chociaż nie sposób było ustalić, czy morderca nie zrobił mu czegoś przedtem, na kościach nie znalazłem innych śladów przemocy.

Nie miałem podstaw, by sądzić, że jego śmierć łączy się jakoś z ostatnimi wydarzeniami w Manham. Nasz morderca polował na kobiety, nie na mężczyzn, i chociaż musieliśmy jeszcze poczekać na wyniki badań, wątpiłem, żeby ta ofiara pochodziła stąd. W miasteczku tej wielkości nie można zniknąć niezauważenie,

zwłaszcza na tak długo. Poza tym zabójstwo to nie było pod żadnym względem podobne do zabójstwa

Sally Palmer. Zwłoki Sally pozostawiono na otwartej przestrzeni i podczas gdy jej zmasakrowano twarz,

czy to w napadzie szału, czy to po to, żeby uniemożliwić identyfikację, twarz mężczyzny z lasu była

nietknięta. Według najbardziej prawdopodobnego scenariusza, zarówno on, jak i morderca, pochodzili

spoza Manham. Morderca zabił i przywiózł tu ciało, żeby ukryć je w leśnej głuszy.

Jednakże na wszelki wypadek poświęciłem aż za dużo czasu na poszukiwanie charakterystycznych

wyźłobień na kręgach szyjnych denata. Może dlatego, że jeszcze tydzień wcześniej jedyną cechą

wyróżniającą Manham było to, że miasteczko leżało na odludziu. Teraz mieliśmy tu dwa zabójstwa, jedno

świeże, drugie sprzed lat, no i jedno zaginięcie. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że stoimy u progu jakiejś

tajemnicy. Jeśli Manham dopiero teraz zaczynało zdradzać swoje sekrety, nie sposób było przewidzieć,

czego jeszcze możemy się dokopać.

Myśl ta bynajmniej mnie nie pocieszyła.

Przejrzałem gazetę, lecz zrobiłem to bez większego zainteresowania. Rzuciłem ją na stolik i dopiłem kawę.

Nadeszła pora na prysznic. Tak, prysznic, a potem lunch u Henry'ego.

Po lunchu miałem spotkać się z Jenny, dlatego byłem zdenerwowany i podniecony. Miałem też wyrzuty

sumienia, bo nie powiedziałem o tym Henry'emu. Wiedziałem, że na pewno pożyczę mi żaglówkę, lecz

wiedziałem również, że liczy na dłuższe spotkanie, tymczasem ja zamierzałem je skrócić i uciec. Może

powinienem był je przełożyć, jedno albo drugie. Ale nie chciałem go zawieść, poza tym nie wiedziałem,

kiedy znowu będę miał okazję popływać. Nie chciałem czekać.

Dlaczego? jadził cyniczny głos w mojej głowie. Aż tak bardzo chcesz zobaczyć Jenny? Naprawdę?

Postanowiłem o tym nie myśleć. Wstałem i poszedłem wziąć prysznic, a pytanie pozostało bez

odpowiedzi.

Zanim dotarłem do przychodni, rozboleła mnie głowa. Ale nie dokuczała mi aż tak bardzo, żeby nie

ucieszył mnie zapach pieczeni wołowej, który poczułem, gdy tylko tam wszedłem. Zamiast zapukać,

głośno zawołałem, jak zwykle.

Tutaj! Był w kuchni.

Przeszedłem przez dom. W kuchni było gorąco mimo otwartych na oścież przeszklonych drzwi z

widokiem na ustronny, zielony ogródek. Henry kręcił ciasto na Yorkshire pudding, a tuż obok niego stał

pusty kieliszek. Jak na tak upalne popołudnie, nie była to najlepsza strawa, lecz jeśli chodziło o niedzielny

lunch, pan doktor był tradycjonalistą.

Już prawie gotowe powiedział, przekładając ciasto do brytfanny. Zasyczał i zaskwierczał

gorący tłuszcz. - Jak tylko dojdzie, możemy jeść.

Pomóc ci?

Tak, nalej nam po kielichu. Piję jakiegoś sikacza, ale otworzyłem butelkę, naprawdę

przedniego wina. Musiało trochę pooddychać, ale powinno być już dobre. Chyba że wolisz piwo.

Nie, wino.

Henry podjechał wózkiem do piecyka. Otworzył drzwiczki, odchylił się do tyłu, uciekając przed

podmuchem gorąca i wstawił do duchówki brytfannę. Nieczęsto gotował, ale jeśli już gotował, zawsze

podziwiałem jego zręczność i zastanawiałem się, jak poradziłbym sobie na jego miejscu. Z drugiej strony,

nie miał zbyt wielkiego wyboru. No i nie należał do ludzi, którzy łatwo się poddają.

Już rzucił, zatrzasnął drzwiczki. Jeszcze tylko dwadzieścia minut i możemy jeść. Boże,

człowieku, nie nałeś jeszcze wina?

Już, już, za chwileczkę. Właśnie zaglądałem do szuflady. Masz aspirynę? Głowa mnie boli.

Jeśli nic tam nie ma, musisz poszukać w szafce z lekami.

W szufladzie znalazłem tylko puste pudełko po paracetamolu. Korytarzem doszedłem do pokoju, który

pełnił też funkcję gabinetu lekarskiego, odkąd u niego zamieszkałem. Przechowywali tam leki i

różnego rodzaju przybory. Henry lubił chomikować i trzymał tam również stare proszki, butelki,

buteleczki i narzędzia lekarskie, które odziedziczył po swoim poprzedniku. Prawdopodobnie łamał tym

samym wiele przepisów BHP, lecz nigdy nie darzył szacunkiem nadmiernie rozbudowanych regulaminów

i biurokracji.

Jego kolekcja okrywała się kurzem w eleganckiej wiktoriańskiej gablotce, która stanowiła miły kontrast w

porównaniu z brzydką stalową szafką i małą lodówką gdzie przechowywaliśmy szczepionki. Wśród

pięknych, starych, drewnianych mebli i skórzanych foteli, szafka i lodówka kłuły w oczy mimo daremnych

wysiłków Henry'ego, który próbował zamaskować je oprawionymi w ramkę zdjęciami. Było tam również

zdjęcie, które zrobił nam na żaglówce rok wcześniej, lecz przeważały fotografie jego żony Diany. Na

honorowym miejscu na gablotce stało ich zdjęcie ślubne. Ładnie razem wyglądali, młodzi, szczęśliwi,

uśmiechnięci i nieświadomi czekającego ich losu.

Spojrzałem na dwie zakurzone laski w kącie przy biurku. Kiedy przyjechałem do Manham, próbował

jeszcze z nich korzystać. W uszach wciąż pobrzmiwało mi jego stękanie, gdy usiłował zrobić choć kilka

samodzielnych kroków. „Udowodnię tym sukinsynom, że się mylą” powtarzał. Ale nie udowodnił i z

czasem zarzucił dalsze próby. Laski pozostały w gabinecie jako symbol ludzkiej słabości i ułomności.

Odwróciłem się, otworzyłem gablotkę, poszperałem wśród pudełek, znalazłem paracetamol, zamknąłem

drzwiczki i wróciłem do kuchni.

Najwyższa pora mruknął, gdy wszedłem. Pospiesz się z tym winem. Po takiej robocie suszy

człowieka jak diabli. Wachlując się ręką, podjechał do otwartych drzwi. Ochłódźmy się trochę.

Jemy na dworze?

Nie bądź barbarzyńcą. Czy ja wyglądam na Australijczyka? I weź tę butelczynę. To bordeaux, a

nie jakiś tam sikacz.

Popiłem paracetamol wodą, wziąłem wino i wyszedłem. Ogródek był utrzymany starannie, choć niezbyt

pedantycznie. Henry zawsze lubił w nim grzebać i to, że już nie może, bardzo go frustrowało. Usiedliśmy

przy starym stole z kutego żelaza pod rozłożystym złotokapem. Jezioro, mieniające się za rosnącymi pod

płatem wierzbami, dawało złudzenie chłodu. Rozlałem wino.

Twoje zdrowie powiedziałem.

Twoje. Henry zakręcił rubinowym płynem w kieliszku i krytycznie go powąchał. W końcu

wypił łyk. Hmm... Niezłe.

Z naszego supermarketu?

Wieśniak prychnął i z wyraźną rozkoszą pociągnął kolejny łyk. No, to mów. Wszyściutko.

Jak było na kolacji?

Raczej na grillu. Siedzieliśmy w ogrodzie. Podobałoby ci się.

Jedzenie na świeżym powietrzu jest dopuszczalne tylko w piątek wieczorem. Niedzielny lunch

zasługuje na stosowną oprawę. Ale nie odpowiedziałeś na pytanie.

Było miło, dziękuję. Uniósł brew.

Miło? To wszystko?

Co jeszcze mogę powiedzieć? Dobrze się bawiłem.

Czyżbym słyszał nutkę wstydu w twoim głosie? rzucił z uśmiechem. Widzę, że będę musiał

to z ciebie wyciągać. Wiesz co? Po południu weźmiemy żaglówkę i wszystko mi opowiesz. Prawie nie

wieje, ale nie ma to jak wiosła. Zrzucimy trochę brzuszka.

Z zażenowania zaczęła mnie palić twarz.

Oczywiście jeśli nie chcesz, nie ma sprawy dodał już bez uśmiechu.

Nie, nie, nie o to chodzi. Widzisz... obiecałem Jenny, że popłyną z nią.

Aha. Nie potrafił ukryć zaskoczenia.

Przepraszam, powinienem był cię uprzedzić...

Ale Henry doszedł już do siebie i pokrył rozczarowanie szerokim uśmiechem.

Nie musisz przeproszać! Dobrze ci to zrobi!

Zawsze mogę.

Machnął ręką, nie pozwalając mi dokończyć.

W słoneczne popołudnie takie jak to o wiele przyjemniej jest z piękną młodą dziewczyną niż

ze starym piernikiem takim jak ja.

Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

Popływamy kiedy indziej. Cieszę się, że wreszcie poznałeś kogoś, kto ci się podoba.

„Podoba się” to za dużo powiedziane...

Przestań. Najwyższa pora, żebyś zaczął cieszyć się życiem! Z tego nie trzeba się tłumaczyć.

Ja się nie tłumaczę, po prostu... Zabrakło mi słów. Henry spoważniał.

Niech no zgadnę: masz wyrzuty sumienia. Kiwnąłem głową nie ufając językowi.

Ile to już? Trzy lata?

Prawie cztery.

U mnie prawie pięć. I wiesz co? To wystarczy. Zmarłych nie wskrzesisz, więc musisz żyć dalej

najlepiej, jak umiesz. Kiedy Diana zmarła... Chyba nie muszę ci tego mówić. Roześmiał się smutno. – Nie

mogłem zrozumieć, dlaczego ja przeżyłem, a ona nie. Jeszcze długo po wypadku...

Urwał i spojrzął na

jezioro. Chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Ale to już inna historia. Wziął kieliszek. Tak z

zupełnie innej beczki: słyszałem, że w miasteczku coś się wczoraj działo.

Niewiele plotek go omijało.

Można tak powiedzieć. James Nolan miał sąsiedzką wizytę.

Jak się czuje?

Źle. Przed wyjściem z domu dzwoniłem do szpitala. Mocno oberwał. Wyjdzie dopiero za

parę tygodni.

No i oczywiście nikt nic nie widział, tak?

Najwyraźniej.

Henry z odrazą uniósł krzaczaste brwi.

To są bestie, nie ludzie. Dzikie bestie. Ale wiesz, wcale mnie to nie dziwi. Z tego, co słyszałem,

ty też padłeś ofiarą plotek, prawda?

Powinienem był wiedzieć, że dotarły do niego i te.

Ale mnie nikt przynajmniej nie pobił.

Nie mów hop. Ostrzegałem cię, jak się to może skończyć. To, że jesteś lekarzem, wcale nie

znaczy, że masz u nich przody...

Znowu zaczynał wpadać w ten paskudny nastrój.

Przestań...

Wierz mi, znam Manham lepiej niż ty. Jak przyjdzie co do czego, ludzie zwrócą się przeciwko

tobie tak samo jak przeciwko Nolanowi. I nie będzie miało żadnego znaczenia, co

kiedyś dla nich zrobiłeś.

Wdzięczność? Nie w tym zasranym miasteczku! Rozsierdzony pociągnął łyk wina, zapominając go

posmakować. Zastanawiam się czasem, po jaką cholereę ich leczymy.

Nie mówisz tego poważnie.

Nie? Spojrzał w zadumie na swój kieliszek; zanim przyszedłem, musiał sporo wypić. Nie,

może i nie. Ale są takie chwile, kiedy zastanawiam się, co my tu robimy. Naprawdę. Nigdy nie zadajesz

sobie tego pytania?

Jesteśmy lekarzami, to chyba wystarczy.

Tak, tak, wiem odparł poirytowany Ale co dobrego robimy? Czy możesz szczerze powiedzieć,

że nigdy nie masz uczucia, że marnujesz tu czas? Że sztuka dla sztuki, utrzymujesz przy życiu kilkoro

staruszek i staruszków? Opóźniamy to, co nieuniknione, tylko do tego sprowadza się nasza rola.

Patrzyłem na niego z coraz większym zatroskaniem. Był zmęczony i pierwszy raz zauważyłem, że się

starzeje.

Dobrze się Czujesz? Zachichotał.

Nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem dzisiaj cyniczny. Może bardziej niż zwykle. Sięgnął po

butelkę. Zaczyna załazić mi to za skórę, i tyle. Napijemy się jeszcze po jednym i opowiesz mi o swoich

tajemniczych wyjazdach.

Nie bardzo chciałem, ale ucieszyłem się, że wreszcie możemy zmienić temat. Słuchał mnie, początkowo z

lekkim zdziwieniem, gdy opowiadałem o tym, co robiłem przed przyjazdem do Manham, potem z

niedowierzaniem, gdy opisałem mu, jak pomagałem Mackenziemu.

Gdy skończyłem, powoli pokręcił głową.

Przychodzi mi na myśl tylko jedno określenie: czarny koń.

Przepraszam. Wiem, że powinienem był powiedzieć ci o tym wcześniej, ale do zeszłego

tygodnia myślałem, że to już przeszłość.

Nie przepraszaj odparł, choć widziałem, że się zdenerwował. Przygarnął mnie, gdy byłem w

dołku, a teraz okazało się, że go oszukiwałem. Przez cały czas wierzył, że moja przygoda z antropologią

była przygodą czysto akademicką. I chociaż nie do końca skłamałem, była to marna odpłata za zaufanie.

Jeśli chcesz, mogę w każdej chwili zrezygnować dodałem.

Zrezygnować? Nie bądź śmieszny! Zmarszczył brwi. Chyba że zacząłeś mieć wątpliwości co

do sensu dalszej pracy w Manham?

Nie, oczywiście, że nie. Nie chciałem się w to angażować. I niczego przed tobą ukrywać. Po

prostu wolałem o tym nie myśleć.

Tak, rozumiem. Jestem trochę zaskoczony, to wszystko. Nie miałem pojęcia, że uprawiałeś tak

ciekawy i rzadki zawód. Popatrzył w zadumie na jezioro. Zazdroszczę ci. Zawsze żałowałem, że nie

poszedłem na psychologię. Kiedyś, dawno temu, miałem takie ambicje. Oczywiście nie wypaliło. Długie

studia podyplomowe, i tak dalej. A ja chciałem ożenić się z Dianą, zostać lekarzem i jak najszybciej zacząć

zarabiać. Psychologia... Wtedy uważałem, że to bardzo wytworne.

W tym, co robiłem, nie było nic wytwornego.

W takim razie coś podniecającego. Posłał mi znaczące spojrzenie. Nie zaprzeczaj tylko, że od

tygodnia jesteś zupełnie inny. Zmieniłeś się, i to jeszcze przed tym grillem. Roześmiał się krótko i wyjął

fajkę z kieszeni. Tak czy inaczej, to był upiorny tydzień. Wiadomo już, kto to jest?

Ten z lasu? Jeszcze nie. Ale jest nadzieja, że zidentyfikują go po zębach. Henry znowu pokręcił

głową nabił fajkę i zapalił.

Mieszka tu człowiek od tylu lat i nagle... Zrobił wysiłek, żeby odpędzić od siebie zły nastrój.

Dobra. Lepiej pójde sprawdzic, co z naszym jedzeniem. I bez przypalonego puddingu jest ponuro.

Potem rozmowa zrobila sie nieco lzejsza. Ale pod koniec lunchu Henry byl juz wyraźnie zmęczony i

uświadomiłem sobie, że od kilku dni odwala za mnie prawie całą robotę. Zaproponowałem, że

pozmywam, ale nie chciał o rym słyszeć.

Poradzę sobie, naprawdę. Zresztą większość naczyń pójdzie do zmywarki. Pędź już na to

spotkanie.

Mam jeszcze dużo czasu.

Ty się uparłeś na naczynia, ja na to, żebyś wreszcie poszedł. Wiesz, na co mam teraz ochotę?

Dopić wino i uciąć sobie drzemkę.

Groźnie zmarszczył brwi.

Czyżbyś śmiał zepsuć mi niedzielne popołudnie?

Umówiliśmy się przed pubem, na neutralnym terenie, bo gdybym po nią wpadł, wyglądałoby to jak

randka. Wciąż próbowałem wmówić sobie, że to tylko żagle, nic więcej. Przecież nie zabierałem jej na

kolację, co miałoby seksualny podtekst. A tak nie musiałem martwić się ani o nadawanie, ani o odbieranie

właściwych sygnałów. Ani o to, ani w ogóle o nic.

Tyle tylko, że przeczyło temu napięcie, jakie odczuwałem.

U Henry'ego celowo uważałem z winem i chociaż miałem ochotę na coś mocniejszego, piłem teraz sok

pomarańczowy. Gdy wszedłem do środka, powitano mnie jak zwykle, mimo to ucieszyłem się, że nie ma

tam Carla Brennera.

Wziąłem sok, wyszedłem na dwór i oparłem się o kamienny murek naprzeciwko pubu. Byłem tak

zdenerwowany, że niemal od razu wypilem całą szklankę. Poza tym co chwila spoglądałem na zegarek.

Żeby wreszcie przestać, odwróciłem głowę i zobaczyłem, że jedzie ku mnie samochód, stary mini morris.

Zaraz potem za kierownicą dostrzegłem Jenny. Zaparkowała, wysiadła i nagle poczułem się lekki jak

piórko. Co się ze mną działo? Ale wszystkie pytania poszły precz, gdy do mnie podeszła.

Postanowiłam się troszkę polenić zaczęła z uśmiechem, przesuwając ciemne okulary na

czubek głowy. Ale dobrze wiedziałem, że przyjechała samochodem tylko dlatego, że niewiele samotnych

kobiet chodziło teraz piechotą. Była w szortach i niebieskim podkoszulku. Zapach jej perfum był tak

delikatny, że prawie niewyczuwalny. Długo pan czeka?

Przed chwilą przyszedłem. Zerknęła na moją szklankę, więc zażenowany wzruszyłem

ramionami. Bardzo chciało mi się pić. Przynieść coś pani?

Dostosuję się do pana.

Czułem, że zaczynamy dryfować w strefę tego charakterystycznego napięcia, które powoduje, że każde

zdanie brzmi fałszywie. Decyduj, pomyślałem. Teraz! Od tego zależy nastrój całego popołudnia.

A może weźmiemy coś na wynos? zaproponowałem, zaskakując sam siebie. Gdy tylko to

powiedziałem, natychmiast wyczułem, że był to dobry wybór.

Jenny uśmiechnęła się promiennie.

Świetnie.

Zaczekała na zewnątrz, a ja wpadłem do pubu po butelkę wina. Próbowałem nie zwracać uwagi na dziwne

spojrzenia, jakimi obrzucano mnie, gdy pożyczałem od Jacka kieliszki i korkociąg, i dałem sobie w duchu

tęgiego kopa za to, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Ale wiedziałem dlaczego. Unikałem wszystkiego,

co mogłoby sugerować, że jest to coś więcej niż zwykła wycieczka. Wyglądało na to, że Jenny również.

Chwileczkę powiedziała, gdy wróciłem i teraz z kolei ona weszła do pubu. Minutę później

wróciła z kilkoma paczkami chipsów i orzeszków. Na wypadek gdyby zaczęło ssać nas w dołku

wyjaśniła z uśmiechem.

Napięcie prysło. Zostawiła samochód na skwerze i poszliśmy nad jezioro. Na molo można było dojść przez

ogródek Henry'ego, ale znałem również mało używaną drogę, a raczej dróżkę

dojazdową, która biegła tuż

obok przychodni. Nie chciałem mu przeszkadzać, więc poszliśmy dróżką. Żaglówka stała nieruchomo na

idealnie gładkiej wodzie. Nie wiał najłżejszy nawet wiatr. Weszliśmy na pokład.

Chyba dzisiaj nie pożeglujemy powiedziałem.

Nie szkodzi. Miło będzie po prostu pobyc na wodzie.

Nawet nie podnosząc żagla, siadłem do wiosł i wypłynęliśmy na jezioro. Jego powierzchnia błyszczała w

słońcu jak szkło, tak intensywnie, że rozboleły mnie oczy. Słysząc było jedynie melodyjny plusk wiosł,

gdy zagłębiały się i wynurzały z wody. Jenny siedziała twarzą do mnie. Dotykaliśmy się kolanami, ale się

od siebie nie odsunęliśmy. Płynęliśmy na drugi brzeg i włożyła rękę do wody, sunąc po niej czubkami

palców i zostawiając na powierzchni rozszerzający się ślad.

Im bliżej brzegu, tym jezioro robiło się płytsze, sam brzeg zaś, porośnięty kępami gęstego, żółtawego

sitowia, był miejscami niedostępny. Z sitowia sterczał mały cypel z brzegami porośniętymi starymi

wierzbami płaczącymi o długich, wystrzępionych gałęziach. Wpłynęliśmy pod jedną z nich i przywiązałem

łódź do pnia. Upstrzone słonecznymi plamkami liście były prawie przezroczyste.

Jak tu pięknie! wykrzyknęła Jenny.

Chciałaby się pani rozejrzeć? Zawahała się.

Nie chcę wyjść na idiotkę, ale czy to bezpieczne? Te wszystkie sidła i pułapki...

Nie przypuszczam, żeby ktoś zadawał sobie aż tyle trudu. Nikt tu już nie przychodzi, nie

byłoby sensu.

Włożyliśmy wino dowody, żeby się ochłodziło i poszliśmy zwiedzić okolicę. Nie żeby było tam dużo do

zwiedzania, ot, mały cypel, pas sitowia, skalny kurhan i drzewa. Na brzegu odkryliśmy ruiny jakiegoś

domku, porośniętego zielskiem i pozbawionego dachu.

Myśli pan, że ktoś tu kiedyś mieszkał? spytała Jenny i niskimi, kamiennymi drzwiami weszła

do środka. Pod nogami zaszleściły zeszłoroczne liście. Mimo upału, pachniało pleśnią wilgocią i starością.

Możliwe. Wszystko to należało kiedyś do ratusza, do miasta. Może był to domek wartownika

czy kogoś takiego.

Nie wiedziałam, że w miasteczku był kiedyś ratusz.

Był. Zburzono go po drugiej wojnie światowej. Przesunęła ręką po omszalej półce nad starym

kominkiem.

Nie zastanawia się pan nigdy, kto mieszkał kiedyś w miejscach takich jak to? Kim ci ludzie byli,

jak żyli?

Na pewno nie było im lekko.

Ale czy tak uważali, czy myśleli, że to normalne? Czy z nami będzie tak samo? Czy za kilkaset

lat ktoś popatrzy na nasze domy i pomyśli: „Biedacy. Jak oni dawali sobie radę?”

To bardziej niż prawdopodobne. Tak to już jest.

Zawsze chciałam być archeologiem. To znaczy, zanim zostałam nauczycielką. To dawne życie,

o którym nic nie wiemy, ci ludzie... Wszyscy na pewno myśleli, że są najważniejsi, tak samo jak my teraz.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się z zażenowaniem. Aż ciarki przechodzą.
Bardzo mnie to

fascynuje.

Zastanawiałem się, czy słyszała coś o moim związku z życiem ludzi sprzed lat. Ale
nic na to nie

wskazywało..._ Więc dlaczego pani nie została? To znaczy, archeologiem.

Pewnie za mało tego pragnęłam. No i skończyłam w szkole. Nie, nie, proszę mnie źle
nie

zrozumieć. Lubię uczyć. Ale czasami po prostu myślę: co by było gdyby?

Jest jeszcze czas.

Nie odparła z ręką na półce. Tamtej mnie już nie ma. Dziwne słowa.

Jak to?

Szansę dostaje się tylko w określonym czasie. Skrzyżowanie dróg, i tak dalej.
Podejmujesz

decyzję i skręcasz w lewo. Podejmujesz inną, skręcasz w prawo i trafiasz zupełnie
gdzie indziej.

Wzruszyła ramionami. Ja skręciłam nie tam, gdzie była archeologia.

Nie wierzy pani w drugą szansę?

Nie ma drugich szans, są tylko inne. Jakąkolwiek podejmiesz decyzję, życie zawsze
będzie inne

niż wtedy, gdybyś podjął inną. Nachmurzyła czoło. Zażenowana, szybko zabrała
rękę z półki. Boże, co ja

plotę rzuciła ze śmiechem. Przepraszam.

Nie ma za co odrzekłem, ale ona już wychodziła, pochylając głowę w drzwiach.

Ja też wyszedłem, dając jej czas na odpędzenie złych myśli. Miała gładki, opalony
kark. Porastały go

maleńkie, jasne włoski, delikatny meszek, który zniknął pod podkoszulkiem. Pod
wpływem nagłego

impulsu chciałem go dotknąć i z trudem oderwałem wzrok od jej szyi.

Gdy się odwróciła, była już wesola.

Myśli pan, że wino już się schłodziło?

Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Wróciliśmy do łodzi i wyjąłem butelkę z

wody.

Może pani pić? spytałem. Mam mineralną...

Nie, nie, wino będzie w sam raz. Rano wzięłam insulinę. Jeden kieliszek mi nie zaszkodzi.

Uśmiechnęła się szeroko. Poza tym jest ze mną lekarz.

Usiedliśmy na kocu pod wierzbą. Od powrotu z ruin prawie się do siebie nie odzywaliśmy, ale nie było to

milczenie niezręczne.

Tęskni pan za życiem w dużym mieście? spytała. Przypomniały mi się moje ostatnie wyprawy do laboratorium.

Do niedawna nie tęskniłem. A pani?

Nie wiem. Czasami mi czegoś brakuje. Nie barów czy restauracji. Bardziej już chyba ruchu,

tłumu. Ale powoli przywykam do wsi. Tak naprawdę wszystko sprowadza się do zmiany tempa życia.

i Zamierza pani kiedyś wrócić? Spojrzała na mnie, potem na wodę.

Nie wiem. Zerwała źdźbło trawy. Co powiedziała panu Tina?

Niewiele. Tylko to, że dużo pani przeszła. Jenny uśmiechnęła się, bawiąc się źdźbłem.

Dobra, stara Tina rzuciła oschle, lecz bez rozgoryczenia. Czekalem, chcąc, żeby sama

zdecydowała, czy powiedzieć coś więcej.

Napadnięto mnie zaczęła po chwili, nie podnosząc głowy. Półtora roku temu. Byłam z

przyjaciółmi w mieście i złapałam taksówkę, żeby wrócić do domu. Tak, jak trzeba. Na ulicy jest

niebezpiecznie, i tak dalej. Byłam na czyichś urodzinach i za dużo wypłam. Zasnęłam, a kiedy się

obudziłam, okazało się, że już nie jedziemy i że dobiera się do mnie kierowca. Broniałem się, ale zaczął

mnie bić. Grozić, że mnie zabije, a potem...

Zadrzał jej głos. Umilkła.

Nie zgwałcił mnie dodała po chwili. Usłyszałam, że gdzieś w pobliżu są ludzie. Staliśmy na

pustym parkingu, a oni akurat tamtędy przechodzili. Zupełny przypadek. Zaczęłam krzyczeć, kopać

nogami w okno. Wpadł w panikę, wypchnął mnie z samochodu i odjechał. Na policji powiedzieli mi, że

miałam szczęście. I naprawdę miałam. Wyszłam z tego z kilkoma siniakami i zadrapaniami, a mogło być

znacznie gorzej. Ale wcale się z tego nie cieszyłam. Byłam przerażona.

Złapali go? Pokręciła głową.

Nie potrafiłam go dokładnie opisać, uciekł, zanim ktokolwiek zdążył zanotować numer

rejestracyjny. Nie znałam nawet nazwy tego przedsiębiorstwa taksówkowego, bo zatrzymałam go na

ulicy. Wciąż gdzieś tam jest.

Wrzuciła żdźbło do wody. Unosiło się, nie pozostawiając na powierzchni najmniejszego śladu.

Doszło do tego, że przestałam wychodzić z domu. Nie bałam się, że znowu go zobaczę, nie.

Chodziło o... o wszystko razem. O to, że jeśli bez najmniejszego powodu napadnięto mnie raz, mogą mnie

napaść i drugi. W każdej chwili. Dlatego postanowiłam wyjechać. Zamieszkać gdzieś, gdzie jest ładnie i

bezpiecznie. Zobaczyłam ogłoszenie w gazecie i trafiłam tutaj. Wykrzywiła usta w uśmiechu. Świetnie

wybrałam, prawda?

Cieszę się, że pani przyjechała.

Powiedziałem to, zanim się spostrzegłem. Szybko spojrzałem na jezioro, gdziekolwiek, byleby nie na nią.

Idiota! Aż się we mnie zagotowało. Po jaką cholere otwierałeś gębę?

Milczeliśmy. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że Jenny na mnie patrzy. Uśmiechnęła się nieśmiało.

Chce pan chipsa? spytała.

Niezręczna chwila minęła. Z ulgą sięgnąłem po wino. W dniach, które nadeszły potem, popołudnie to

miało kojarzyć mi się z ostatnim przebłyskiem błękitu przed nadciągającą burzą.

Rozdział 16

Następny tydzień minął w stanie zawieszenia. Stłumione napięcie, otępiałe wyczekiwanie, aż coś się

wydarzy, wypełniało powietrze jak ozon. Nie wydarzyło się nic.

Panujący w miasteczku nastrój pasował do tego płaskiego, stężałego krajobrazu. Upał nie ustępował. Był

jeszcze intensywniejszy niż dotychczas i nic nie zapowiadało, żeby na niebie pojawiły się chmury.

Policyjne śledztwo mozolnie parło naprzód, lecz jak dotąd nie znaleziono ani ofiary, ani podejrzanego, a

ulice stały się hałaśliwe, bo wszystkie dzieci w wieku szkolnym obchodziły początek długich letnich

wakacji. Powróciłem do normalnych godzin pracy w przychodni i nawet jeśli więcej pacjentów

przychodziło ostatnio do Henry'ego niż do mnie, nie zwracałem na to uwagi. Żyłem nowym życiem, a

Manham było teraz moim nowym domem na dobre i na złe. Wcześniej czy później minie nawet to i znowu

nastaną względnie normalne czasy.

Przynajmniej tak wtedy myślałem.

Regularnie widywałem się z Jenny. Pewnego wieczoru pojechaliśmy na kolację do restauracji w Horning,

gdzie były stoły z lnianymi obrusami i świecami i gdzie lista win nie ograniczała się tylko do wyboru

między czerwonym i białym. Chociaż dopiero co się poznaliśmy, miałem wrażenie, że znamy się od lat. Być

może dlatego, że obydwójce przeżyliśmy to, co przeżyliśmy. Że obydwójce doświadczyliśmy czegoś, czego

nie doświadczyła większość ludzi, i przekonaliśmy się, jak cienka linia odgradza życie codzienne od tra

gedii. Świadomość ta, choć rzadko ujmowana w słowa, połączyła nas niczym tajemny język. Dlatego

całkiem naturalne było to, że opowiedziałem jej o Karen i Alice, i o tym, że pomagałem Mackenziemu.

Wysłuchiwała mnie bez komentarza, a gdy skończyłem, lekko dotknęła mojej ręki.

Dobrze zrobiłeś powiedziała. Trzymała rękę jeszcze przez chwilę, potem szybko ją zabrała i

bez najmniejszego zażenowania czy skrępowania zaczęliśmy rozmawiać o czymś innym.

Napięcie pojawiło się dopiero w drodze powrotnej. Im bliżej Manham, tym Jenny coraz bardziej zamykała

siew sobie. Rozmowa, dotychczas lekka i swobodna, powoli zamierała, wreszcie

umilkliśmy na dobre.

Wszystko w porządku? spytałem, gdy zatrzymaliśmy się przed jej domem.

Kiwnęła głową, lecz zrobiła to za szybko, za nerwowo.

Dobranoc rzuciła płochliwie i otworzyła drzwiczki. Już miała wysiąść, lecz się zawahała.

Posłuchaj... Przepraszam. Po prostu nie chcę się spieszyć. Drętwo kiwnąłem głową.

Nie, to nie znaczy... To nie znaczy, że nie chcę... Wzięła głęboki oddech. Ale jeszcze nie teraz.

Dobrze? Uśmiechnęła się niepewnie. Jeszcze nie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, nachyliła się i pocałowała mnie, musnęła ustami moje usta. A potem

pobiegła do domu. Zabrakło mi tchu. Przepelniała mnie radość, jednocześnie miałem wyrzuty sumienia.

Ale jej słowa uderzyły mnie z zupełnie innego powodu. „Jeszcze nie”. Tak odpowiedziała mi Linda Yates,

kiedy spytałem, czy śniła jej się Lyn. Pewnego popołudnia, gdy całe miasteczko było pogrążone w pełnej

oczekiwania ciszy, spotkałem ją ponownie. Z zaaferowaną twarzą szła spieszenie główną ulicą i zauważyła

mnie dopiero wtedy, gdy znalazłem się ledwie trzy kroki od niej. Podniosła głowę i gwałtownie

przystanęła.

Witaj, Lindo. Jak tam chłopcy? spytałem.

Dobrze.

Już miałem pójść dalej, gdy mnie zawołała.

Panie doktorze...

Czekałem. Linda rozejrzała się szybko, sprawdzając, czy nikt nas nie słyszy.

Czy... czy dalej pomaga pan policji? Tak, jak pan mówił?

Tak, od czasu do czasu. '

Czy oni... coś znaleźli? wypaliła.

Lindo, przecież pani wie, że nie mogę o tym mówić.

Ale jeszcze jej nie znaleźli, prawda? No, wie pan. Lyn.

Nie wiedziałem, dlaczego mnie o to spytała, ale na pewno nie zrobiła tego z czystej ciekawości. Było widać,

że coś ją dręczy.

O ile wiem, to nie.

Kiwnęła głową, ale chyba jej to nie uspokoiło.

Ale dlaczego to panią interesuje? spytałem, chociaż zaczynałem już coś podejrzewać.

Nie, nie, nieważne wymamrotała i szybko odeszła.

Patrzyłem za nią poruszony spotkaniem. Miałem dziwne wrażenie, że nie chodziło jej o nowe wiadomości,

tylko o potwierdzenie. Wiedziałem czego. Przyśniła jej się Lyn Metcalf, podobnie jak kiedyś Sally Palmer.

Ale szybko tę myśl odpędziłem. Jeśli zaczynałem wierzyć w sny i przeczucia, jej czy moje, oznaczało to, że

za długo mieszkam w Manham. Łatwo było popaść w beztroskie samozadowolenie. Ostatnio sypiałem

dobrze i budziłem się, myśląc o Jenny i o przyszłości. Jakbym po długim czasie w głębokiej kopalni zaczął

powoli wychodzić na powierzchnię. Może to egoistyczne, ale na przekór wszystkiemu, nie sposób było

patrzeć na świat pesymistycznie.

A potem, pod koniec tygodnia, atmosfera stężałego bezwładu prysła. Zidentyfikowano zwłoki człowieka z

lasu, porównując zdjęcia jego zębów ze zdjęciami rentgenowskimi zębów dwudziestodwuletniego

mężczyzny, niejakiego Alana Radcliffa. Radcliff, absolwent ekologii z Kent, zniknął pięć lat wcześniej.

Przyjechał tu, żeby zbadać krajobraz wokół Manham. I po pewnym czasie wrósł weń jak drzewo. Gdy

opublikowano jego zdjęcie, okazało się, że niektórzy jeszcze go pamiętają. Był przystojnym mężczyzną o

czarującym uśmiechu, przez kilka tygodni mieszkał na mokradłach i często bywał w miasteczku,

rozjaśniając dni naszym dziewczętom. W końcu wyjechał.

Ale nie zjechał daleko.

W Manham prawie tego nie komentowano. Ponieważ znano już tożsamość ofiary i wiedziano o jego

związkach z miasteczkiem, nikt nie musiał stwierdzać oczywistego, a mianowicie tego, że lokalizacja

leśnego grobu nie była przypadkowa. Manham miało trupa w szafie i nie mogło dłużej przymykać na to

oczu.

Dla wszystkich mieszkańców był to kolejny niechciany cios. Jeszcze się po nim nie otrząsnęli, gdy nagle

padł następny, o wiele silniejszy od poprzedniego.

Właśnie zaczynałem dyżur w przychodni, gdy zadzwonił telefon. Rozmawiałem z Mackenzie nie dalej

jak poprzedniego dnia, kiedy to zidentyfikowano zwłoki Radcliffa i pomyślałem, że dzwoni w tej sprawie

świadczyło to tylko o tym, jak nisko opuściłem gardę. Nie domyśliłem się niczego nawet wtedy, gdy

powiedział, że chce mnie natychmiast widzieć.

Mam pacjentów odparłem, przytrzymując słuchawkę ramieniem i podpisując receptę. Nie

można przełożyć tego na później?

Nie. Powiedział to z takim naciskiem, że przestałem pisać. Musi pan przyjechać natychmiast.

Jak najszybciej dodał z ledwie symboliczną uprzejmością; było oczywiste, że w tej chwili grzeczność ma

gdzieś.

Co się stało?

Mackenzie milczał. Zastanawiał się pewnie, co może powiedzieć mi przez telefon.

Znaleźliśmy ją rzucił wreszcie.

Istnieje około stu tysięcy gatunków much. Są różnych kształtów i rozmiarów, mają różny cykl życia.

Muchy plujki, te zielone i niebieskie, są najpowszechniejsze i należą do rodziny Calliphoridae. Żywią się

gnijącą materią organiczną. Rozkładającym się jedzeniem, kałem, ściervem. Niemal wszystkim. Większość

z nas nie rozumie, po co w ogóle są. Przecież roznoszą zarazki i z równą zachłannością pożerają świeże

ekskrementy jak wykwentne dania, w obydwu przypadkach zmiękczać je uprzednio zawartością swoje

go układu pokarmowego.

Ale tak samo jak wszystko w przyrodzie, one też odgrywają swoją rolę. Choć odrażające, przyczyniają się

do rozpadu materii organicznej, przyspieszają procesy gnilne, rozkładają zwłoki na składniki pierwsze. Są

mechanizmem przetwarzającooczyszczającym przyrody. I jeśli spojrzeć na nie w ten sposób, w

gorliwości, z jaką oddają się swojemu zajęciu, można dostrzec coś eleganckiego.

To, co robią nie tylko ma

sens, ale i jest częścią schematu wszelkiego stworzenia. Z tego punktu widzenia są ważniejsze niż na

przykład koliber czy jeleń, którego pewnego dnia pożrą. A z punktu widzenia medycyny sądowej nie są

bynajmniej nieuniknionym złem, tylko czymś bezcennym.

Nienawidzę ich.

Nie dlatego, że są irytujące czy odrażające, chociaż denerwują mnie i brzydzą tak samo jak innych. I nie

dlatego, że przypominają mi, jaki los nas wszystkich czeka. Nienawidzę ich dlatego, że brzęczą.

Słyszałem ich granie, idąc przez bagnisko. Początkowo nie tyle słyszałem, co wyczuwałem, niskie, basowe

buczenie, coś jakby muzyka stężałego upału. Im bliżej znaleziska, tym było bardziej natarczywe i brzmiało

jak bezsensowne mruczenie idioty, które nieustannie zmienia natężenie, tak naprawdę go nie zmieniając.

W pewnej chwili w powietrzu zaroilo się od owadów. Odpędzałem te, które przyciągnął zapach potu na

mojej twarzy, ale zaraz przylatywały inne.

Odór był znajomy i odrażający. Posmarowałem górną wargę mentolem, ale nie pomogło. Ktoś powiedział

mi kiedyś, że rozkładające się zwłoki wydzielają feter podobny do tego, jaki wydobywa się z

dojrzewającego na słońcu białego sera. To nieprawda, w każdym razie nie do końca. Ale tak, lepiej opisać

się go nie da.

Mackenzie powitał mnie skinieniem głowy. Jego ludzie w milczeniu robili swoje. Byli w kombinezonach i

mieli ponure, złane potem twarze. Przeniosłem wzrok w dół i spojrzałem na powód tego zamieszania, na

rój rozszalałych much.

Jeszcze jej nie ruszaliśmy powiedział Mackenzie. Czekaliśmy na pana.

Był patolog?

Był i wybył. Powiedział, że jak dla niego zwłoki są w stanie zbyt daleko posuniętego rozkładu. I

że może stwierdzić tylko jedno: że to trup.

Co do tego nie miałem żadnych wątpliwości. Minęło dużo czasu, odkąd po raz ostatni byłem na miejscu

zbrodni i oglądałem coś, co jeszcze niedawno żyło i oddychało. Zwłoki Sally Palmer zabrano, zanim

przyjechałem na mokradła, poza tym badałem je w sterylnym laboratorium, co było zajęciem znacznie

czystszy. Szczątki Alana Radcliffa natomiast leżały w ziemi tak długo, że pozostał z nich jedynie szkielet,

struktura nośna praktycznie bez żadnych śladów dawnego człowieczeństwa. W tym przypadku było

Inaczej. Tu miałem do czynienia ze śmiercią w jej najruchliwszej, najpotworniejszej chwale.

Jak ją znaleźliście? spytałem, nakładając gumowe rękawice.

Przebrałem się wcześniej, w przyczepie. Byliśmy kilka kilometrów za miasteczkiem, na osuszonym

bagnisku, niemal dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie znaleziono pierwsze zwłoki. Kilkaset metrów

dalej obojętnie lśniła tafla jeziora. Tym razem przyjechałem przygotowany i pod kombinezonem miałem

tylko szorty. Mimo to, pokonawszy stosunkowo niewielką odległość, cały splywałem potem.

Wypatrzyli ją ze śmigłowca. Przypadek. Coś im nawaliło i musieli zawrócić. Gdyby nie to,

polecieliby inną trasą. Ten teren już przeszukiwaliśmy.

Kiedy?

Osiem dni temu.

Dawało nam to względne pojęcie co do czasu ekspozycji ciała. Być może nawet co do czasu śmierci Lyn,

choć to było mniej pewne. Bywało, że morderca przenosił ciało ofiary, często nawet kilka razy.

Nałożyłem drugą rękawiczkę. Byłem gotowy do pracy, ale wcale się do niej nie paliłem.

Myśli pan, że to ona? spytałem.

Oficjalnie musielibyśmy poczekać na identyfikację. Ale ja nie mam wątpliwości.

Ja też nie miałem. Leśny grób zdradził swoją tajemnicę i raz już nam wyrok odroczone. Wątpiłem, żeby los

okazał się dla nas łaskawy aż dwukrotnie.

Zwłoki były nierozpoznawalne; leżały na brzuchu, częściowo ukryte między kępami bagiennej trawy. I

zupełnie nagie, nie licząc sportowego buta na jednej nodze, absurdalnego i na swój sposób żalnego. Lyn

nie żyła od kilku dni, tyle mogłem stwierdzić na pewno. Śmierć, ów proces alchemii na wspaniałym, w którym

złoto życia ulega rozbiciu na cuchnące składniki wyjściowe, jak zwykle poczyniła ponure zmiany. Ale tym

razem morderca nie wprowadził chociaż swoich ohydnych modyfikacji.

Nie przyprawił zwłokom łabędzich skrzydeł.

Wyłączyłem część świadomości, która nieustannie podsuwała mi obraz uśmiechniętej młodej kobiety, tej

spred drogerii w miasteczku, i podszedłem bliżej, żeby obejrzeć ciało. Na pociemniałej skórze widniało

kilka nacięć, najwyraźniejsze i najbardziej znaczące znajdowały się na szyi. Chociaż zwłoki leżały na

brzuchu, rozległość tej rany była aż nadto oczywista.

Może pan stwierdzić, od kiedy nie żyje? spytał Mackenzie. Tak mniej więcej – dodał, zanim

zdążyłem otworzyć usta.

Tkanka miękka jeszcze się nie rozłożyła odparłem. Skóra zaczyna się dopiero ześlizgiwać...

Wskazałem rany, w których roiło się od larw. Biorąc pod uwagę ilość i aktywność larw,

najprawdopodobniej od sześciu, ośmiu dni.

Może pan to zawęzić?

Już miałem warknąć, że nie dalej jak przed sekundą pytał mnie o diagnozę szacunkową, ale się

powstrzymałem. Nie było to przyjemne ani dla mnie, ani dla niego.

Pogoda się nie zmieniała, więc zakładając, że zwłoki leżą w tym miejscu przez cały czas, od

sześciu do siedmiu dni.

Coś jeszcze?

Takie same rany, jakie widzieliśmy na ciele Sally Palmer, chociaż tu jest ich mniej.

Poderżnięte gardło, odwodnione zwłoki. Odwodnione mniej niż zwłoki Sally, ale te leżą tu krócej. Gdybym

miał zgadywać, powiedziałbym, że ofiara się wykrwawiła. Spojrzałem na trawę, szerniałą od

alkalicznych związków uwolnionych podczas rozkładu. Żeby mieć stuprocentową pewność, trzeba by

zbadać zawartość żelaza w ziemi, ale moim zdaniem, zabito ją gdzie indziej, następnie przeniesiono tutaj,

tak jak Sally Palmer.

Myśli pan, że to robota tego samego człowieka?

Przesadza pan, nie jestem jasnowidzem.

Mackenzie mruknął coś pod nosem. Wiedziałem, dlaczego czuje się nieswojo. Pod niektórymi względami

morderstwo to było podobne do morderstwa Sally, jednocześnie różniło się od niego na tyle, żeby mieć

wątpliwości, czy zrobił to ten sam sprawca. Z tego, co dotąd widziałem, ofiara nie miała obrażeń twarzy.

Co więcej, rzucał się w oczy brak ptasiego lub zwierzęcego fetysza, tak oczywistego w przypadku

morderstwa Sally Palmer. Z detektywistycznego punktu widzenia pociągało to za sobą mnóstwo

niepokojących problemów. Albo stało się coś, co zmusiło mordercę do zmiany metody zabijania, albo był

po prostu nieobliczalny. Trzecia możliwość zakładała istnienie dwóch różnych sprawców.

Żadna z nich nie napawała zbytnim optymizmem.

Pobierałem próbki przy monotonnym akompaniamencie brzęczenia much. Od kucania zeszywniały mi

mięśnie i stawy.

Skończył pan? spytał Mackenzie.

Prawie.

Cofnąłem się. Nadeszła pora na kolejny krok, a ten nigdy nie należał do przyjemnych; Pomierzyliśmy i

obfotografowaliśmy zwłoki, zrobiliśmy wszystko, co można było zrobić bez ich przesuwania. Teraz

musieliśmy sprawdzić, co jest pod nimi. Technicy zaczęli ostrożnie je przewracać. Wystraszone muchy

zabrzęczały jeszcze głośniej.

O Chryste!

Nie wiem, kto to powiedział. Wszyscy obecni tam technicy byli zaprawionymi w boju weteranami, ale

chyba żaden z nich nie widział czegoś takiego. Tym razem morderca okaleczył przód ciała, nie tył. Brzuch

był rozcięty i gdy zwłoki przewrócono na bok, z rozległej rany coś wypadło. Jeden z policjantów odwrócił

się gwałtownie i zwymiotował. Przez chwilę nikt ani drgnął. Potem górę wziął profesjonalizm.

Co to, do diabła, jest? spytał przyciszonym głosem wstrząśnięty Mackenzie. Jego opalona

twarz była teraz biała jak papier.

Patrzyłem na to, lecz nie wiedziałem. Widok wykraczał poza moje doświadczenie zawodowe. Jako

pierwszy otrzeźwiał jeden z techników.

To króliki powiedział. Miot królików.

Gdy do mnie podszedł, siedziałem na tylnej klapie land rovera z butelką zimnej wody w ręku. Zrobiłem, co

mogłem. I z ulgą zdjąłem kombinezon. Ale chociaż umyłem się w policyjnej przyczepie, wciąż czułem się

brudny i nie miało to nic wspólnego z upałem.

Mackenzie usiadł obok bez słowa. Ja wypilem łyk wody, on wyjął miętówki.

Cóż mruknął wreszcie. Wiemy przynajmniej, że to ten sam facet.

Nie ma tego złego, co? Powiedziałem to bardziej szorstko, niż zamierzałem.

Zerknął na mnie kątem oka.

Dobrze się pan czuje?

Po prostu wyszedłem z wprawy.

To on mnie w to wciągnął i myślałem, że mnie przeprosi. Ale nie przeprosił. Milczeliśmy jeszcze przez

jakiś czas. Wreszcie powiedział:

Lyn Metcalf zaginęła dziewięć dni temu. Jeśli jest tak, jak pan mówi i jeśli nie żyje od tygodnia,

oznaczałoby to, że przetrzymywał ją żywą co najmniej przez dwa dni. Może trzy. Tak samo jak Sally

Palmer.

Wiem.

Mackenzie popatrzył w dal, tam gdzie niczym rtęć lśniła w upale tafla jeziora.

Dlaczego?

Co dlaczego?

Dlaczego tak długo je przetrzymuje? Dlaczego ryzykuje?

Na pewno pan o tym wie, że nie mamy tu do czynienia z człowiekiem myślącym racjonalnie.

Nie, ale i nie z głupcem. Więc dlaczego to robi? Rozdrażniony Mackenzie zagryzł wargę. Nie

rozumiem, w co on gra.

To znaczy?

Mordercą, który uprowadza i zabija kobiety, kierują zwykle motywy seksualne. A tym tu nie.

Więc myśli pan, że ich nie zgwałcono? Zwłoki Lyn Metcalf były w takim stanie, że nie mogłem

tego stwierdzić, podobnie jak w przypadku Sally Palmer. Niemniej, gdyby ofiarom oszczędzono chociaż

tego, byłoby to jakieś pocieszenie.

Tego nie powiedziałem. Ale jak znajdujesz nagiego trupa kobiety, istnieje duże

prawdopodobieństwo, że doszło do napaści seksualnej. Rzecz W tym, że zwykły zbrojeniec niemal zawsze

zabija ofiarę zaraz po tym, jak sobie ulży. Bardzo rzadko trafia się taki, który przetrzymuje ją żywą. Tym

czasem to, co robi ten tu, jest zupełnie bez sensu.

Może musi się przedtem podkręcić.

Mackenzie popatrzył na mnie bez słowa. Wzruszył ramionami.

Może. Ale z jednej strony, mamy tu kogoś inteligentnego na tyle, żeby uprowadzić dwie

kobiety, pozostawiać te wszystkie sidła i utrudnić nam poszukiwania, a z drugiej, kogoś, kto nie zawraca

sobie głowy ukrywaniem zwłok. No i te okaleczenia. Po cholere to robi?

O to niech pan spyta psychologów.

Spytam, spokojna głowa. Ale oni też nie będą wiedzieli, w każdym razie wątpię. Czy facet robi

to specjalnie, na pokaz czy po prostu jest nieostrożny? Jakbyśmy mieli do czynienia z dwiema

skonfliktowanymi ze sobą osobowościami.

Schizofrenik?

Zamyślony Mackenzie zmarszczył brwi.

Nie sądzę. Gdyby był naprawdę chory, już dawno by się czymś zdradził. Poza tym wątpię, czy

byłby zdolny do czegoś takiego.

Jest jeszcze coś odparłem. Zabił dwie kobiety w ciągu... Ilu? Niecałych trzech tygodni, tak?

Drugą ledwie dziesięć, jedenaście dni po pierwszej. To nie jest... Chciałem powiedzieć: „normalne”, lecz

słowo to zupełnie nie pasowało do sytuacji. To jest chyba dość niezwykle, prawda? Nawet jak na

seryjnego mordercę.

Mackenzie robił wrażenie zmęczonego.

Jest. Owszem.

Dlaczego tak się spieszy? Co wyzwoliło w nim tyle agresji?

Gdybyśmy wiedzieli, już byśmy drania namierzyli. McKenzie wstał, skrzywił się i pomacał

po krzyżu. Zwłoki będą w laboratorium. Pewnie już od jutra. Dobra?

Kiwnąłem głową. Już odchodził, gdy zawołałem:

A co z tymi martwymi ptakami i zwierzętami?! Nie zamierza pan tego upublicznić?

Nie możemy, nie takie szczegóły.

Nawet jeśli morderca używa ich do znakowania ofiar?

Nie wiemy tego na pewno.

Mówił pan, że na samochodzie Sally Palmer ktoś zostawił gronostaja, a dzień przed zaginięciem Lyn Metcalf powiedziała mężowi, że widziała w lesie martwego zająca.

Tu jest wieś, sam pan mówił. Zwierzęta umierają tu przez cały czas.

Ale nie przywiązują się same do kamieni ani nie włożą do brzucha zamordowanej kobiety.

Nie wiemy na pewno, czy je w ten sposób znakuje.

A jeśli znakuje? Nie uważa pan, że trzeba ostrzec mieszkańców miasteczka?

I zachęcić miejscowych dowcipnisiów? Wie pan, ile czasu byśmy stracili? Ludzie dzwoniłoby

do nas na widok każdego przejechanego jeża.

Jeśli pan tego nie zrobi, morderca znowu kogoś naznaczy, a ofiara nie będzie nawet o tym

wiedziała.

Tak, ale wszyscy są już przerażeni i bez tego. Nie chcę wywoływać paniki. W jego głosie

usłyszałem nutkę niepewności.

On jeszcze nie skończył rzuciłem. Prawda?

Przez chwilę myślałem, że odpowie. Ale on popatrzył na mnie bez słowa, odwrócił się i odszedł.

Rozdział 17

Wiść o znalezieniu zwłok Lyn Metcalf przetoczyła się przez Manham z siłą wybuchu cichej bomby. Ze

względu na makabryczny los Sally Palmer, zaskoczonych było niewielu, ale to wcale nie złagodziło szoku.

Tym bardziej że podczas gdy Sally mimo swej popularności była obcą, tą z miasta, Lyn się tu urodziła.

Tu chodziła do szkoły, tu brała ślub. Przynależała do Manham tak, jak Sally nigdy nie mogłaby

przynależać. Jej śmierć jej morderstwo miała o wiele bardziej emocjonalny wpływ na ludzi, którzy nie

mogli już dłużej udawać, że ofiara przywlekła tu nasiona ich losu z zewnątrz. Miasteczko opłakiwało teraz

swoją.

I bało się, że to samo może spotkać kolejną.

Nie ulegało wątpliwości, że w Manham dzieje się coś niespotykanego i strasznego. Złe było już samo to, że

los ten spotkał jedną kobietę. To, że spotkał dwie, w dodatku w tak krótkim odstępie czasu, było wprost

nieślychane. Miasteczko znowu trafiło na pierwsze strony gazet. Znowu znalazło się

w blasku reflektorów

niczym ofiara zbiorowego wypadku drogowego, na którą można się trochę pogapić. I tak jak wszystkie

ofiary, zareagowało najpierw niedowierzaniem, a potem rozżaleniem.

A jeszcze potem gniewem.

Z braku konkretnego obiektu, na którym gniew ów można by wyładować, ludzie odcięli się stanowczo od

obcych, których zwabiło tu ich nieszczęście. Może nie od policji, chociaż na ich bezsilność też zaczynano po

cichu narzekać. Ale prasy nie oszczędzono. Wielu uważało, że jej niestosowne podniecenie jest nie tylko

objawem braku szacunku, ale i pogardy. Dlatego jej przedstawiciele spotkali się z wrogością, której

wyrazem były początkowo kamienne twarze i zaciśnięte usta, a potem akty dyskretnego sabotażu. Zaczęły

ginąć nie pilnowany sprzęt ginąć lub doznawać tajemniczych uszkodzeń. Przycinano kable i opony

samochodowe, benzynę w bakach zaprawiano cukrem. Jedną z bardziej namolnych reporterek, która

chodziła po miasteczku z jakże niestosownym uśmiechem na mocno uszminkowanych ustach, trafił w gło

wę kamień, i to tak mocno, że musiano założyć jej osiem szwów.

Oczywiście nikt nic nie widział.

Ale były to jedynie symptomy, zewnętrzne oznaki trawiącej Manham choroby. Po stuleciach zamknięcia w

sobie, po wiekach pewności, że na swoich można polegać zawsze i wszędzie, mieszkańcy miasteczka

przestali sobie ufać. I jeśli przedtem ich podejrzliwość była zaraźliwa, teraz groziła nam prawdziwa

epidemia. Stare spory i waśnie nabrały złowieszczej głębi. Pewnej nocy wybuchła bójka między trzema

generacjami dwóch rodzin, kiedy to dym z grilla popłynął nie na ten ogród co trzeba. Na policję

zadzwoiła rozhisteryzowana kobieta tylko po to, by funkcjonariusze stwierdzili, że „śledził” ją sąsiad z

psem na spacerze. W dwóch domach wybito cegłami okna: w jednym za domniemaną znieprawę, w drugim

z powodu, którego nie udało się nikomu ustalić, przynajmniej oficjalnie.

Przez cały ten czas jeden z mieszkańców rósł w siłę. Wielebny Scarsdale został głosem Manham. Podczas

gdy wszyscy pozostali stronili od dziennikarzy, on nie okazywał najmniejszej niechęci do kamer, aparatów

i mikrofonów. Umiejętnie nastawiał jedną stronę przeciwko drugiej, wypominając policji, że nie schwytala

mordercy, twierdząc, że do sytuacji tej doprowadziło moralne samozadowolenie mieszkańców miasteczka

io ironio! wyrzucając dziennikarzom, że niepotrzebnie wykorzystują tę tragedię. Każdemu innemu

zarzucono by, że zabiega o popularność. Ale chociaż ten i ów miał mu po cichu za złe, że nie kryje się ze

swymi załatującymi siarką poglądami, wielebny zyskiwał coraz więcej zwolenników. Swoim grzmiącym

głosem wyrażał odczuwany przez wszystkich gniew, a brak rozsądku skutecznie może nawet aż zbyt

skutecznie nadrabiał żarliwością, głośnością i donośnością.

Mimo to może trochę naiwnie myślałem, że ograniczy swoje krzykliwe promulgacje do kościelnej ambony.

Ale nie doceniłem jego zdolności do zaskakiwania ludzi oraz determinacji, z jaką chciał zbić kapitał na

swoich nowo odkrytych wadze i znaczeniu. Dlatego gdy oznajmił, że zwołuje publiczne zebranie w sali

miejskiej, byłem tak samo zaskoczony jak inni.

Zebranie odbyło się w pierwszy poniedziałek po znalezieniu zwłok Lyn Metcalf. W niedzielę Scarsdale

odprawił nabożeństwo za jej duszę. Zdziwiłem się, że tym razem nie wpuścił do kościoła prasy i cynicznie

pomyślałem, że zrobił to pewnie nie tyle ze względu na pogrążoną w rozpacz rodzinę, co po to, żeby dać

do zrozumienia reporterom, iż ich obecność nie jest miłe widziana. Idąc na zebranie, przekonałem się, że

moje domysły były słuszne.

Sala mieściła się w niskim budynku użyteczności publicznej przy skwerze. Gdy rano przejeżdżałem

tamtędy w drodze do laboratorium, widziałem Scarsdale'a, który z władczą miną instruował Toma

Masona krzątającego się w ogrodzie od ulicy. Teraz unosił się tu słodki zapach świeżo skoszonej trawy, a

cisowe żywopłoty były starannie przystrzyżone. Stary George i jego wnuk musieli zaharować się na amen.

Przystrzygli nawet już i tak pięknie wypielęgnowany trawnik na skwerku, tak że pod starym, rozłożystym

kasztanowcem i wokół pomnika Męczennicy wszystko wyglądało teraz jak we wzorowo utrzymanym

parku.

Lecz wątpiłem, czy zrobiono to wszystko ze względu na nas. Reporterzy, którym zabroniono wstępu do

kościółka, przypuścili szturm na salę, bo skoro nie nabożeństwo, to przynajmniej zebranie. Z tym że

wchodząc do środka, stwierdziłem, że zebranie bardziej przypomina konferencję

prasową. Drzwi strzegł

spocony i sapiący przez nos Robert Sutton. Niechętnie skinął mi głową, najwyraźniej wiedząc, że

zasłużyłem sobie na dezaprobatę wielebnego.

W środku było duszno i tłoczno. Na małej scenie na końcu sali stały stół na kozłach i dwa krzesła. Przed

jednym z nich zainstalowano mikrofon. Natomiast przed sceną ustawiono rzędy składanych drewnianych

krzesłek, a pod ścianami i przy drzwiach pozostawiono miejsce dla dziennikarzy i ekip telewizyjnych.

Gdy wszedłem, wszystkie krzesła były już zajęte, ale w kącie, gdzie mogłem się jeszcze wcisnąć,

dostrzegłem Bena. Ruszyłem w jego stronę.

Ty tutaj? rzuciłem. Cóż za niespodzianka. Rozejrzeliśmy się po nabitej sali.

Chcę wiedzieć, co ten nędzny sukinsyn ma do powiedzenia. Czym zatruje ich tym razem.

Ben przewyższał wszystkich co najmniej o głowę. Zerkano na niego kilku reporterów telewizyjnych, ale

żaden nie śmiał poprosić go o wywiad. A może po prostu bali się stracić miejsce.

Policji nie mi skonstatował. Myślałem, że chociaż się pokażą.

Nikt ich nie zaprosił odparłem. Mackenzie mi powiedział. Wcale go to nie ucieszyło, lecz

decyzję podjęto gdzieś wyżej i nie miał nic do gadania. To zebranie tylko dla mieszkańców Manham.

To zabawne, ale nie rozpoznaję niektórych sąsiadów mruknął Ben, spoglądając na kamery i

mikrofony. Westchnął i pociągnął za kołnierzyk koszuli. Boże, jak tu gorąco... Skoczysz potem na piwko?

Dzięki, ale nie mogę.

Jedziesz do chorego?

Nie, umówiłem się z Jenny. Poznałeś ją w zeszłym tygodniu.

Wiem, ta nauczycielka. Ben wyszczerzył zęby. Często się z nią widzisz, co?

Zaczerwieniłem się jak nastolatek.

Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Jasne, jasne.

Ucieszyłem się, gdy zmienił temat.

Można się było domyślić, że każe na siebie czekać. Spojrzał na zegarek. Co on knuje?

Zaraz się dowiemy.

Otworzyły się drzwi, ale zamiast wielebnego Scarsdale'a, na scenę wyszedł. Marcus Metcalf, mąż Lyn.

W sali natychmiast ucichło. Marcus wyglądał strasznie. Był mężczyzną słusznej postury, lecz smutek

zmniejszył go i skurczył. Szedł powoli w wymiętym garniturze, jakby chował w sobie głęboką urazę. Gdy

wpadłem do niego zaraz po tym, kiedy policja upubliczniła wiadomość o śmierci Lyn, ledwo mnie

zauważył. Nie chciał środków uspokajających i wcale mu się nie dziwiłem. Bólu niektórych ran nie da się

załagodzić, a wszelkie próby tylko go wzmagają. Ale patrząc na niego teraz, zastanawiałem się, czy nie

wziął czegoś na własną rękę. Robił wrażenie oszołomionego, człowieka, który przeżywał koszmar na

jawie.

W absolutnej ciszy na scenę wyszedł za nim Scarsdale. Ich kroki zadudniły głucho na deskach. Tuż przy

stole wielebny położył mu rękę na ramieniu, pewnie po to, żeby go wesprzeć,

choć nie mogłem oprzeć

się wrażeniu, że gest ten ma w sobie coś zaborczego. Przeszły mnie ciarki, bo zdałem sobie sprawę, że

obecność męża ostatniej ofiary przyda wiarygodności knowaniom wielebnego.

Scarsdale poprowadził go do krzesła. Do tego bez mikrofonu. Zaczekał, aż usiądzie, po czym usiadł sam.

Postukał w mikrofon, żeby sprawdzić, czy działa, a potem niespiesznie powiódł wzrokiem po twarzach

ludzi.

Dziękuję wszystkim... Doszło do jakiegoś sprzężenia i mikrofon przeraźliwie zawył. Wielebny

gniewnie zmarszczył brwi i odsunął go nieco dalej. Dziękuję wszystkim za przybycie. Jesteśmy w żałobie

i w normalnych okolicznościach bym to uszanował. Niestety, okoliczności nie są normalne, wprost

przeciwnie.

Jego wzmocniony elektronicznie głos brzmiał donośniej niż zwykle. On mówił, a mąż Lyn gapił się tępo w

stół, jakby nie zdawał sobie sprawy z naszej obecności.

Będę się streszczał, ale to, co chcę powiedzieć, dotyczy nas wszystkich. Każdego mieszkańca

naszego miasteczka. Dlatego zanim zaczniecie zadawać pytania, zechciejcie mnie najpierw wysłuchać.

Wielebny nie spojrział nawet na reporterów, lecz było oczywiste, do kogo kierował tę ostatnią uwagę.

Zamordowano dwie kobiety, nasze dobre znajome kontynuował. Choć trudno to przełknąć,

nie możemy dłużej przymykać oczu na fakt, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zrobił to jeden z

nas. Policja najwyraźniej nie potrafi, a może nie chce podjąć stosownych kroków. Ale my nie możemy

siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak ktoś porywa i morduje nasze sąsiadki.

Z celową niemal teatralną troskliwością wskazał siedzącego obok Metcalfa.

Wszyscy wiemy, jaką stratę poniósł Marcus. Jaką stratę poniosła rodzina jego żony, której

przemocą odebrano córkę i siostrę. Następnym razem spotkać to może waszą żonę. Albo córkę. Albo

siostrę. Jak długo jeszcze będziemy beczynnie patrzeć na te potworności? Ile jeszcze kobiet musi umrzeć?

Jedna? Dwie? A może więcej?

Rozejrzał się wokoło, jakby czekał na odpowiedź. Ponieważ odpowiedzi rzecz jasna nie było, nachylił się i

szepnął coś do ucha Marcusowi. Ten szybko zamrugał jak człowiek obudzony ze snu. Zamrugał i popatrzył

tępo na zebranych.

Chciałeś coś powiedzieć, Marcusie, prawda? zachęcił go wielebny, podsuwając bliżej

mikrofon.

Zdawało się, że Marcus doszedł do siebie. Miał nawiedzoną twarz.

On zabił Lyn. On zabił moją żonę. On... Załamał mu się głos. Z oczu popłynęły łzy. Trzeba go

powstrzymać. Trzeba go znaleźć i... i...

Scarsdale położył mu rękę na ramieniu, żeby go pocieszyć albo powstrzymać i ze świętoszkowatą

satysfakcją zabrał mu mikrofon.

Co za dużo, to niezdrowo powiedział trzeźwym, wyważonym głosem. Co za dużo... to

**niezdrowo! powtórzył, miarowo uderzając ręką w stół. Czas beczynności minął.
Bóg wystawia nas na**

**próbę. To dzięki naszej słabości, naszemu samozadowoleniu ta bestia w ludzkiej
skórze mogła ukrywać**

**się tu i zabić, bezkarnie i z pogardą. Dlaczego? Bo dobrze wie, że może. Bo wie, że
jesteśmy słabi. A on**

słabych się nie boi.

Grzmotnął ręką w stół tak mocno, że podskoczył mikrofon.

**Nadeszła pora, żeby to on zaczął bać się nas! Pora zademonstrować naszą siłę!
Manham za**

**długo było ofiarą! Jeśli nie może obronić nas policja, musimy obronić się sami!
Naszym obowiązkiem jest**

znaleźć tego potwora i go stąd wypłoszyć!

**Musiał podnieść głos, żeby nie zagłuszył go wrzask publiczności. Na widowni
wybuchło zamieszanie.**

**Wielu ludzi wstało, klaszcząc i głośno krzycząc. Błyskały flesze aparatów
fotograficznych, reporterzy**

**wywrzaskiwali pytania. A Scarsdale siedział pośrodku sceny i spokojnie podziwiał
swoje dzieło. W pewnej**

**chwili spojrzał prosto na mnie. Z jego oczu biła płomienna żarliwość. Żarliwość i
triumf.**

Chyłkiem wymknąłem się z sali.

**Nie do wiary powiedziałem gniewnie. On ich podburza, zamiast uspokajać. Co go
napadło?**

**Jenny rzuciła kawałek chleba kaczce, która podeszła do naszego stolika.
Siedzieliśmy w pubie nad**

**brzegiem Bure, jednej z sześciu rzek przepływających przez Broads. Chcieliśmy
uciec z Manham i chociaż**

**od miasteczka dzieliło nas ledwie kilka kilometrów, było tu jak w innym świecie.
Cumujące na rzece łódki,**

bawiące się w pobliżu dzieci, roześmiani i rozgadani ludzie przy stolikach typowy angielski pub, typowe

angielskie lato. I atmosfera jakże inna od przytłaczającej atmosfery w naszym miasteczku. Jenny rzuciła

kaczce ostatni okruszek.

Ludzie go teraz słuchają odparła. Może właśnie tego chce.

I nie rozumie, co tak naprawdę robi? Jeden człowiek wylądował już w szpitalu; wystarczyło

kilku kretynów. Więc co teraz? Teraz nawołuje do zorganizowania straży obywatelskiej. I wykorzystuje do

tego Marcusa Metealfa!

Przypomniało mi się, że podczas poszukiwań Lyn Scarsdale nie odstępował go na krok. Śmiem

przypuszczać, że podkreślał go już wtedy, że już wtedy zastanawiał się, jak wykorzystać przybitego

tragedią męża. Żałowałem, że nie zamieniłem z nim kilku słów zaraz po zaginięciu Lyn. Nie chciałem

przeszkadzać mu w smutku, lecz nie przeczę, że nie zrobiłem tego ze względów egoistycznych. Jego widok

przypominał mi boleśnie tych, których straciłem ja, jednak moim zaniechaniem dałem wolną rękę

Scarsdale'owi, który mógł teraz wywierać na niego wpływ. A Scarsdale natychmiast to wykorzystał.

Myślisz, że naprawdę tego chce? spytała Jenny. Że chce podburzyć ludzi? Nie była na

zebraniu; powiedziała, że mieszka u nas za krótko, że nie powinna. Ale myślę, że powstrzymała ją również

perspektywa obecności tłumów.

Tak to brzmiało. Nie wiem, dlaczego mnie to dziwi. Piekielny ogień i siarka przemawiają do

ludzi bardziej niż teksty z cyklu: „Nadstaw drugi policzek”. Poza tym zbyt wiele lat stał co niedziela na

ołtarzu przed pustymi ławkami. A teraz może powiedzieć: „A nie mówiłem?” Nie przepuści takiej okazji.

Widzę, że nie tylko on się nabuzował.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo Scarsdale mnie wkurzył.

Przepraszam. Po prostu martwię się, że ktoś może zrobić coś głupiego.

Nic na to nie poradzisz. Nie jesteś sumieniem miasteczka.

Jenny była dziwnie rozkojarzona. Dopiero teraz dotarło do mnie, że przez cały wieczór prawie się nie

odzywała. Spojrzałem na jej twarz, na jej profil, na piegi na policzkach i nosie. Na sięgające ramion,

wybielone przez słońce włosy, ślicznie kontrastujące z opaloną na brąz skórą. Patrzyła w dal, pogrążona w

rozmowie z samą sobą.

Coś się stało? spytałem.

Nie. Po prostu myślę.

O czym?

O takich tam... sprawach. Uśmiechnęła się, lecz wciąż była spięta. Posłuchaj, jeśli nie masz

nic przeciwko temu, czy moglibyśmy już wracać?

Spróbowałem ukryć zaskoczenie.

Tak, oczywiście, jeśli chcesz...

Proszę.

Wracaliśmy w milczeniu. Ssało mnie w dołku i miałem złe przeczucia. Skląłem siebie w duchu za tę

gadanię o Scarsdale'u. Nic dziwnego, że miała mnie dość. Spieprzyłeś to,

staruszkę. Moje gratulacje.

Gdy dojechaliśmy do Manham, już zmierzchało. Wrzuciłem kierunkowskaz, chcąc skręcić w jej ulicę.

Nie, nie tam powiedziała. Pomyślałam, że... że może pokażesz mi, gdzie mieszkasz.

Chwilę trwało, zanim to do mnie dotarło.

Dobrze.

Źle to zabrzmiało. Gdy parkowałem samochód, zaczęło brakować mi tchu. Otworzyłem drzwi i

przepuściłem ją przodem. Od delikatnego, piżmowego zapachu jej perfum zakręciło mi się w głowie.

Przystanęła w saloniku. Czułem, że jest zdenerwowana tak samo jak ja.

}

Chcesz się czegoś napić?

Pokręciła głową. Staliśmy niezręcznie naprzeciwko siebie. Zrób coś! pomyślałem. Ale nie mogłem. W

półmroku widziałem tylko zarys jej twarzy. Tylko jej błyszczące oczy. Patrzyliśmy na siebie bez

najmniejszego ruchu. Wreszcie się odezwała, cicho i niepewnie:

Gdzie jest sypialnia?

Początkowo była nieśmiała, drżąca i spięta. Ale stopniowo zaczęła się odprężyć, ja też. Pamięć próbowała

narzucać dawne wzorce, dawny zapach i dotyk. Ale górę szybko wzięła terażniejszość, odsuwając na bok

wszystko inne. Potem przytuliła się do mnie zwinięta w kłębek, muskając mi pierś ciepłym oddechem.

Jeszcze potem podniosła ręce i czubkami palców dotknęła wilgotnych śladów łez.

David?

Tonie. Ja tylko...

Wiem. Już wszystko dobrze.

Tak, było dobrze. Roześmiałem się, objąłem ją przytulilem, podniosłem jej twarz. Całowaliśmy się długo i

niepiesznie i zanim znowu do siebie przywarliśmy, lzy zdążyły obeschnąć.

Tej samej nocy, podczas gdy my byliśmy w łóżku, Tina usłyszała hałas w ogrodzie. Podobnie jak Jenny, ona

też nie poszła na zebranie. Wołała zostać w domu z butelką białego wina i tabliczką czekolady do

towarzystwa.

Zamierzała zaczekać na przyjaciółkę, żeby wypytać ją o przebieg randki. Ale zanim obejrzała wypożyczony

film, zaczęła przeraźliwie ziewać i postanowiła pójść spać. Wyłączając telewizor, coś usłyszała.

Nie była głupia. Na wolności grasował morderca, który zabił już dwie kobiety. Dlatego nie otworzyła

drzwi. Chwyciła telefon, zgasiła światło i podeszła do okna. Z podniesioną słuchawką w ręku, w każdej

chwili gotowa zadzwonić na policję, ostrożnie wyjrzała na ogród.

Nikogo. Noc była jasna, księżyc w pełni dobrze oświetlał całą okolicę. W ogrodzie i na padoku sąsiadów

nie dostrzegła niczego groźnego. Mimo to patrzyła jeszcze przez chwilę, by upewnić się na sto procent, że

tylko się jej zdawało.

Zobaczyła to dopiero nazajutrz rano. Pośrodku trawnika leżał martwy lis. Leżał jak na wystawie, tak

starannie go ułożono. Gdyby wiedziała o łabędzich skrzydłach, o dzikiej kaczce i innych zwierzętach,

którymi morderca ozdabiał swoje makabryczne dzieła, na pewno nie zrobiłaby tego,

co zrobiła.

Rzecz w tym, że nie wiedziała. Jako dziewczyna urodzona i wychowana na wsi, po prostu Wzięła lisa i

wrzuciła go do pojemnika na śmieci. Widząc jego rany, doszła do wniosku, że zaatakowany przez psa,

doczołgał się na trawnik i tam zdechł. Zaatakowany przez psa albo przejechany przez samochód.

Niewykluczone, że wspomniałaby o tym Jenny, ot tak, mimochodem. A Jenny mogła wspomnieć o tym

mnie. Tylko że tej nocy Jenny nie wróciła do domu. Była u mnie, a gdy się spotkały, martwy lis natychmiast

poszedł w niepamięć, ponieważ miały do obgadania znacznie ciekawsze sprawy.

Tak więc, Tina nie powiedziała o lisie nikomu. Przypomniała sobie o nim dopiero wiele dni później, gdy

jego znaczenie stało się aż nadto oczywiste.

Ale wtedy było już za późno.

Rozdział 18

Nazajutrz zdarzyły się dwie rzeczy. Najwięcej rozmawiano o tej pierwszej. W normalnych okolicznościach

epizod ów stałby się zapewne tematem skandalizujących plotek; mówiono by o nim w nieskończoność, aż

trafiłby do skarbnicy miejscowego folkloru, stając się kolejnym rozdziałem w księdze historii Manham,

czymś, z czego można śmiać się i żartować przez wiele, wiele lat. Jednakże wydarzenie to miało mieć

reperkusje dużo poważniejsze niż obrażenia, jakie odnieśli biorący w nim udział ludzie.

Podczas konfrontacji między Benem Andersem a Carlem Brennerem zdaniem niektórych, konfrontacji o

kilka lat spóźnionej doszło do bójki.

Do jej wybuchu przyczyniły się po części alkohol, po części wzajemna wrogość, po części napięcie

ostatnich dni. Ben i Carl nigdy nie udawali, że się lubią, a panująca w miasteczku atmosfera sprzyjała

kłótniom ze znacznie błahszych powodów. Wszystko zaczęło się tuż przed zamknięciem pubu. Ben

zamówił właśnie whisky, żeby utrwalić efekt kilku małych jasnych, a raczej jak później przyznał kilku

małych jasnych więcej niż zwykle. Miał za sobą koszmarne dzień w rezerwacie, bo nie dość że jak zawsze

musiał użerać się z turystami, to udzielał również pierwszej pomocy obserwatorowi ptaków, który w tym

potwornym upale dostał ataku serca. Dlatego, gdy do pubu wszedł Carl Brenner „zadziorny i pewny

siebie", jak go później opisał Ben odwrócił się do niego plecami, postanowiwszy, że nie da się spro

wokować.

Ale los chciał inaczej.

Brenner nie przyszedł tylko na piwo. Rozogniony apelem wielebnego Scarsdale'a, który wzywał

mieszkańców pod broń, wpadł do pubu, żeby zwerbować ochotników do straży obywatelskiej i

zademonstrować wszystkim swoje zamiary. Towarzyszył mu Dale Brenner, smagły kuzyn, chłopak

niepodobny do niego fizycznie, lecz bratnia dusza pod względem nawyków, przyzwyczajień i

temperamentu. Stanowili część większej grupy, która za namową Scarsdale'a zobowiązała się patrolować

miasteczko we dnie i w nocy. „Policja nas olewa, dlatego musimy dorwać tego

sukinsyna sami" tak ujął to

Brenner, naśladowując może nie język wielebnego, lecz na pewno jego intencje.

Gdy Carl zaczął gadać, Ben początkowo milczał. I wtedy Brenner ośmielony alkoholem i poczuciem misji

popęłnił błąd, zwracając się bezpośrednio do niego.

A ty, Anders?

Co ja?

Jesteś z nami czy nie?.

Ben niespiesznie pociągnął łyk whisky.

A więc chcecie dopaść go sami, tak?

Tak. Masz coś przeciwko temu?

Tylko jedno. Skąd wiecie, że to nie jeden z was?

Brenner nigdy nie grzeszył bystrością umysłu i najwyraźniej nigdy o tym nie pomyślał.

Skąd wiadomo, że to na przykład nie ty czy on? kontynuował Ben. Te wasze sidła, te

pułapki. Wszystko pasuje, nie?

Później przyznał, że tylko się z nim drażnił, że ani przez chwilę nie pomyślał, jak groźne jest to oskarżenie.

I jak bardzo dopiecze nim Brennerowi.

Odpiardol się ode mnie, dobra? Policja wie, że nie miałem z tym nic wspólnego!

Ta sama policja, która wszystkich olewa? I chcesz, żebym się do was przyłączył? sztych z

nieukrywaną pogardą Ben. Lepiej trzymaj się kłusownictwa. Tylko do tego się nadajesz.

Ja mam przynajmniej alibi! A ty masz? Ben wycelował w niego palec.

Uważaj, Brenner.

Bo co? Masz alibi czy nie?

Ostrzegam cię...

Gdyby nie kuzyn, Brenner pewnie by się wycofał, bo zwykle tak robił. Ale tym razem nie ustąpił.

No to, kurwa, ostrzegaj! Wozisz się z tym brzuchem jak jakiś waźniak i mam tego dość. A w

zeszłym tygodniu szybciotko pospieszyłeś na ratunek swojemu kumplowi doktorkowi, co? Gdzie on był,

kiedy zaginęła Lyn?

Więc teraz twierdzisz, że zrobiliśmy to razem, on i ja?

Uwodnij, że nie!

Nie muszę ci niczego udowadniać odparł Ben, czując, że zaczynają puszczać mu hamulce.

Wiecie co, bohaterzy? Weźcie tę swoją żalosalną straż obywatelską i wsadźcie ją sobie w dupę.

Stali tak i łypali na siebie spode łba. W końcu Brenner pękł.

Chodź, spadamy stąd rzucił do kuzyna i na tym omal się nie skończyło. Ale chcąc odejść z

twarzą, nie oparł się pokusie, żeby wbić Benowi ostatnią szpilę. Pieprzony tchórz' syknął i ruszył do

drzwi.

W tym momencie dobre intencje Bena wyfrunęły oknem. Niewiele brakowało i wyfrunąłby również Carl

Brenner.

Walka trwała krótko. W pubie było sporo ludzi, którzy rozdzielili ich, zanim sytuacja wymknęła się spod

kontroli, ale jeśli chodziło o Bena, mogliby ich nie rozdzielać. Brenner nie

przedstawiał sobą zbyt

wielkiego zagrożenia, dlatego on, mężczyzna tęgi i krzepki; na pewno poradziłby sobie i z nim, i z jego

kuzynem. Lecz zanim ich od siebie odciągnięto, w drzazgi poszły stół i kilka krzesel i musiało upłynąć

dużo czasu, zanim Brenner mógł spojrzeć w lustro, a tym bardziej ogolić się bez skrzywienia. Ben też nie

wyszedł z tego bez szwanku; miał kilka zadrapań, kilka siniaków i wybity palec. Mimo to twierdził, że

warto było.

Jednakże najpoważniejsze konsekwencje tej bójkii miały wyjść na jaw dopiero kilka dni później.

Mnie tam wtedy nie było. Akurat robiłem kolację dla Jenny, która miała u mnie nocować, i myślałem o

wszystkim, tylko nie o trapiących miasteczko problemach. Co więcej, dowiedziałem się o tym chyba jako

ostatni, gdy wczesnym rankiem pojechałem do kostnicy, żeby kontynuować moje ponure dzieło.

Odkąd znaleziono zwłoki Lyn Metcalf, znowu zastępował mnie Henry. Robiłem wszystko, żeby zdążyć na

popołudniowy dyżur, mimo to dodatkowe zajęcia odciskały na nim coraz większe piętno. Był zmęczony,

choć ilekroć wyjeżdżałem, zmniejszał liczbę godzin do minimum, ograniczając się jedynie do

najpilniejszych przypadków.

Miałem wyrzuty sumienia i pocieszałem się tylko tym, że nie potrwa to długo. Że jeszcze tylko pół dnia w

laboratorium i skończę. Wciąż czekałem na wyniki badań, ale jak dotąd ze szczątków Lyn mogłem

odczytać historię niemal identyczną z tą którą odczytałem ze zwłok Sally Palmer.

Nie było żadnych

niespodzianek, nie licząc pytania, dlaczego twarz pierwszej ofiary tak potwornie zmasakrowano, podczas

gdy twarzy drugiej praktycznie nie tknięto. Poza tym, ze względu na mniej posunięty rozkład, na rękach

Lyn znalazłem paznokcie. Były połamane i wystrzępione, lecz w laboratorium kryminalistycznym odkryto

pod nimi włókna konopi. Innymi słowy, fragmenty konopnego sznura. Nie wiedziałem, co ten bydlak jej

zrobił, ale na pewno ją przedtem związał.

Nie licząc makabrycznej rany na szyi, większość pozostałych obrażeń była powierzchowna. Ślady na kości

pozostawiło jedynie cięcie, które rozplątało jej gardło. Podobnie jak w przypadku Sally Palmer, zrobiono

je dużym, ostrym nożem. Najprawdopodobniej myśliwskim i niemal na pewno tym samym, chociaż na tym

etapie badań istniały jeszcze wątpliwości. Ale nóż nie miał ząbków. Dlatego nadal nie rozumiałem,

dlaczego dwie kobiety zabito jednym, a psa drugim, zupełnie innym.

Myślałem o tym, zaglądając do poczekalni po wyjściu ostatniego pacjenta. Było ich połowę mniej niż

zwykle, dlatego dyżur przebiegł spokojnie. Albo ludzie przestali martwić się drobnymi dolegliwościami w

obliczu tragedii, która dotknęła miasto, albo przyczyna spadku mojej popularności była zupełnie inna,

mniej uchwytna, niemniej realna. Tak czy inaczej, zapotrzebowanie na usługi Henry'ego było wysokie jak

nigdy dotąd i coraz więcej ludzi wolało zaczekać niż przyjść do mnie.

Ale ja byłem zbyt zajęty Jenny i pracą w laboratorium, żeby przejmować się takimi sprawami.

W poczekalni krzątała się Janice. Poprawiała stare, zdekompletowane krzesła i układała czasopisma.

Spokojnie dziś powiedziałem.

Janice podniosła z podłogi dziecięcą układankę i włożyła ją do drewnianej skrzyneczki z zabawkami.

Lepsze to niż poczekalnia pełna zasmarkanych hipochondryków.

Słusznie. Była taktowna. Wiedziała, że mam coraz mniej pacjentów. Gdzie Henry?

Śpi. Zmęczyli go ci z rana. Niech pan tak na mnie nie patrzy. To nie pana wina.

Domyślała się, że wciąż robię coś dla policji, chociaż nie wiedziała co. W żaden sposób nie mogłem tego

przed nią zataić, zresztą nie miałem powodu. Może i lubiła plotkować, ale jeśli chodziło o nas, zawsze była

dyskretna.

Dobrze się czuje? spytałem zaniepokojony.

Jest po prostu zmęczony. Poza tym to nie tylko praca. Posłała mi znaczące spojrzenie. W tym

tygodniu miałiby rocznicę.

Zapomniałem. Za dużo się działo, żebym pamiętał o datach, ale mniej więcej o tej porze roku Henry

zawsze markotniał. Nigdy o tym nie mówił, podobnie jak ja, kiedy obchodziłem swoją. Mimo to czułem, że

coś wisi w powietrzu.

Trzydziestą dodała Janice, zniżając głos. A to jeszcze gorzej. W sumie to dobrze, że tak dużo

pracuje. Przynajmniej o tym nie myśli. Nachmurzyła czoło. Szkoda tylko, że...

Janice przerwałem jej ostrzegawczo.

Szkoda. Nie zasługiwała na niego. A on zasługiwał na kogoś lepszego. Wyrzuciła to z siebie

szybko i gwałtownie. Niemal z płaczem.

Dobrze się pani czuje?

Kiwnęła głową i na jej ustach zadrżał nieśmiały uśmiech.

Przepraszam. Ale nie znoszę, kiedy denerwuje się tą... Urwała. No i tymi innymi sprawami.

Wszyscy są wykończeni.

Wróciła do układania czasopism. Podszedłem bliżej.

Wie pani co? Chociaż raz powinna pani pójść wcześniej do domu.

Właśnie chciałam tu odkurzyć...

Jestem przekonany, że przez jeden dzień nieodkurzona poczekalnia nie będzie stanowiła

zagrożenia dla zdrowia.

Roześmiała się jak dawna Janice.

Jeśli pan tak uważa...

Absolutnie. Podwieźć panią?

Nie! Za ładny wieczór, żeby siedzieć w samochodzie.

Nie nalegałem. Miała do przejścia ledwie kilkaset metrów, w dodatku główną ulicą. Jest taki punkt, w

którym ostrożność ustępuje miejsca paranoi.

Mimo to patrzyłem za nią przez okno. Gdy zniknęła za rogiem, przeprowadziłem szereg działań

pozorujących, układając czasopisma. Znalazło się wśród nich kilka starych numerów gazety parafialnej;

pewnie zostawili je tu pacjenci, którym nie chciało się zabierać ich do domu. Wrzuciłem je do kosza na

śmieci i gdy to zrobiłem, jedna z nich przykuła moją uwagę.

Wyjąłem ją z kosza i z pierwszej strony uśmiechnęła się do mnie Sally Palmer. Pod zdjęciem widniała

krótka wzmianka o „słynnej pisarce z Manham”, napisana kilka tygodni przed jej śmiercią. Nie widziałem

jej przedtem, dlatego to, że znalazłem gazetę akurat teraz, bardzo mnie poruszyło. Zacząłem czytać i

zabrakło mi tchu. Usiadłem i przeczytałem wzmiankę jeszcze raz.

A potem zadzwoniłem do Mackenziego.

Przeczytał ją bez słowa. Złapałem go w ruchomym centrum koordynacyjnym i kiedy powiedziałem mu o

moim znalezisku, natychmiast przyjechał. Miał spalone słońcem kark i ręce. Wreszcie skończył i z

kamienną twarzą złożył gazetę.

I co pan o tym myśli? spytałem.

Mackenzie potarł palcem obłąający ze skóry czerwony nos.

Może to przypadek.

Znowu był policjantem, niekomunikatywnym profesjonalistą. No i mógł mieć rację. Ale bardzo w to

wątpiłem. Wziąłem gazetę i przeczytałem wzmiankę jeszcze raz. Była krótka, ot, typowa zapchajdziura,

jakich pełno w dzień bez newsów. ŻYCIE NA WSI USKRZYDLA WYOBRAŹNIĘ tak brzmiał nagłówek.

Fragment, który najbardziej wpadł mi w oko, znajdował się na końcu.

Sally Palmer twierdzi, że życie w Manharn pomaga jej pisać. „Uwielbiam żyć blisko natury. Moja wyobraźnia ulatuje tu

w przestworza jak ptak, jakby miała skrzydła” mówi uznana pisarka.

Odłożyłem gazetę.

I myśli pan, że to zwykły przypadek, że dwa tygodnie po tym, jak się to ukazało,

ktoś

przyprawił jej łabędzie skrzydła?

Mackenzie zaczynał się denerwować.

Powiedziałem: „może”. Nie potrafię stwierdzić tego na pewno na podstawie krótkiej notatki w

gazecie.

Więc jak wytłumaczyć to inaczej?

Czuł się coraz bardziej nieswojo, jak ktoś, kto musi wygłaszać partyjne slogany, do których nie jest

przekonany.

Psychologowie mówią, że może to być tłumione pragnienie transformacji. To, że ją zabił i dał

jej anielskie skrzydła. Albo że to jakiś religijny psychol z obsesją na punkcie wyższych stanów duchowych.

A co mówią o tych martwych zwierzętach? I o tym, co zrobił Lyn Metcalf? Jeszcze nic. Ale

nawet jeśli ma pan rację... Wskazał gazetę. To niczego nie wyjaśnia.

Starannie dobrałem słowa.

. Właściwie to chciałem porozmawiać z panem o czymś innym.

Przyjrzał mi się uważnie.

O czym?

Zaraz po tym, jak do pana zadzwoniłem, przejrzałem jej kartę zdrowia. Jej i jej męża. Wiedział

pan, że chcieli mieć dziecko? Że zamierzali leczyć się na bezpłodność?

Mackenzie załapał błyskawicznie. Króliczy miot. Jezu Chryste...

Tylko skąd morderca o tym wiedział? Mackenzie popatrzył na mnie, jakby coś w sobie ważył.

W komodzie w sypialni Metcalfów znaleźliśmy próbę ciążową powiedział powoli. W torbie

był paragon z poprzedniego dnia.

Przypomniało mi się, jak wpadłem na Lyn przed drogerią. I jaka była wtedy szczęśliwa.

Otworzyła pudełko? Zrobiła próbę?

Nie. Mąż nie wiedział nawet, że tam była, tak twierdzi.

Coś takiego kupuje się tylko wtedy, kiedy chce się tego użyć. Lyn domyślała się, że jest w ciąży.

Mackenzie kiwnął głową. Miał ponurą minę.

A co powiedziałaaby kobieta w ciąży komuś, kto ją uprowadził? „Nie rób mi krzywdy, jestem w

ciążą". Przetarł ręką twarz. Chryste. Teraz pewnie już się nie dowiemy, była czy nie.

Nie. Nie w tak wczesnym stadium i nie w tym stanie zwłok. Mackenzie westchnął.

Jeśli była, albo chociaż czuła, że jest, schwytanie tego sukinsyna będzie trudniejsze, niż

myśleliśmy.

Dlaczego?

Bo oznacza to, że to bydlę nie planuje tych rzeczy z wyprzedzeniem. Że improwizuje.

Mackenzie ciężko wstał. A jeśli tak, jakie mamy szanse?

Kiedy wyszedł, pojechałem za miasto. Bez celu, chciałem po prostu wyrwać się z Manham. Tego wieczoru

nie spotykałem się z Jenny. Szybkość i gwałtowność tego, co między nami zaszło, zaskoczyła nas oboje i po

dwóch jakże intensywnych dniach chcieliśmy pobyc trochę sami. Myślę, że potrzebowaliśmy więcej

przestrzeni i prywatności, żeby spokojnie rozważyć tę gigantyczną życiową zmianę i

zastanowić się, dokąd

może nas zaprowadzić. Obydwoje czuliśmy, że nie chcemy tego zepsuć, za szybko podejmując decyzję.

Ostatecznie, jeśli to było to, po co mieliśmy się spieszyć?

Przeżyłem swoje i nie chciałem kusić losu.

Jechałem przed siebie zupełnie bez celu. Na szczycie łagodnego wzgórza, skąd roztaczał się widok na całą

okolicę, zatrzymałem się i usiadłem w wysokiej trawie, patrząc, jak słońce opada za mokradła. Z sadzawek

i strumyków, które tworzyły w trzcinach abstrakcyjne wzory, biło złotawe światło. Przez chwilę

próbowałem myśleć o Sally Palmer i Lyn Metcalf. Lecz ich śmierć była teraz zbyt odległa. Zapadał zmrok.

Niebo i ziemia powoli ciemniały, ale nie chciałem jeszcze wracać.

Pierwszy raz od wypadku czułem, że otwiera się przede mną przyszłość. Mogłem wreszcie patrzeć przed

siebie, zamiast wstecz. Myślałem o Jenny,

o Karze i Alice, szukając w sobie choćby śladu poczucia winy czy zdrady. Nie znalazłem żadnego.

Było tam jedynie niecierpliwe oczekiwanie. I ból po stracie najbliższych, który miał mnie nie opuścić aż do

śmierci. Lecz teraz odkryłem tam również świadomość, że pogodziłem się z losem. Moja żona i córka nie

żyły i nie mogłem ich wskrzesić. Ja też długo nie żyłem.

1 nagle, zupełnie nieoczekiwanie, ktoś przywrócił mnie do życia.

Siedziałem tam, dopóki ze słońca nie pozostała jedynie srebrzysta luna nad horyzontem, dopóki mokradeł nie pochłonał wsysający światło matowy mrok. Gdy w końcu wstałem, obolały i zeszywniały, uzmysłowiłem sobie, że nie muszę już niczego przemyśliwać. I że nie chcę czekać całego dnia, zanim znowu zobaczę Jenny. Chciałem wyjąć telefon i do niej zadzwonić, lecz nie było go w kieszeni. W

samochodzie też nie. Przypomniało mi się, że gdy przyjechał Mackenzie, położyłem go na biurku i pochłonięty sprawami wyszedłem bez niego.

W innych okolicznościach pewnie nie pojechałbym do przychodni. Ale nie chciałem pojawić się w jej drzwiach niezapowiedziany. To, że podjąłem decyzję, wcale nie oznaczało, że ona też ją podjęła. Poza tym wciąż byłem lekarzem. Mieszkańcy Manham mogli mieć do mnie zastrzeżenia, ale chciałem być z nimi w stałym kontakcie. Dlatego wróciwszy do miasteczka, pojechałem do przychodni po telefon. Gdy skręciłem w główną ulicę, zapłonęły latarnie. Pod jedną z nich, niedaleko policyjnej przyczepy na skwerku, zobaczyłem grupę mężczyzn. Pewnie patrol straży obywatelskiej Scarsdale'a. Gapili się na mnie z podejrzliwymi w żółtym świetle twarzami.

Skręciłem ponownie i znalazłem się na długiej uliczce prowadzącej do domu Henry'ego. Na żwirze zachręściły opony. Zatańczyło światło reflektorów, omywając dachy domów i łagodnie opadając, gdy zjeżdżałem z pagórka. Okna były ciemne, co mnie nie zdziwiło, ponieważ Henry chodził wcześniej spać. Nie chcąc go budzić, obszedłem dom, żeby zamiast drzwiami frontowymi, wejść tymi od podwórza, bezpośrednio do przychodni.

Już wyjąłem klucze do gabinetu, lecz w tym samym momencie zobaczyłem, że drzwi do kuchni są otwarte. Gdyby paliło się tam światło, nic bym sobie nie pomyślał. Ale w kuchni było ciemno, a wiedziałem, że Henry nie poszedłby spać, nie zamknąwszy drzwi na klucz.

Zajrzałem do środka. Wszystko wyglądało normalnie. Już wyciągałem rękę, żeby zapalić światło, lecz szybko ją opuściłem. Instynkt podszeptował mi, że coś jest nie tak. Zadzwoić na policję? Tylko co bym im powiedział? Henry mógł po prostu zapomnieć zamknąć drzwi po powrocie z ogrodu. Wyszedłbym na idiotę, a moje notowania w miasteczku stały nisko i bez tego. Dlatego zamiast zadzwonić, wyszedłem na korytarz.

Henry?! zawołałem na tyle głośno, że gdyby nie spał, musiałby mnie usłyszeć i na tyle cicho,

żeby nie obudzić go, gdyby jednak spał.

Odpowiedziała mi cisza. Jego gabinet znajdował się na końcu korytarza, tuż za rogiem. Nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, że przesadzam, ruszyłem w tamtą stronę. Drzwi były lekko uchylone, w środku paliło się światło. Przystanąłem, nad słuchując i wypatrując jakiegokolwiek znaku życia, jakiegokolwiek

ruchu. Lecz dudnienie mojego serca zagłuszało wszystkie inne dźwięki. Przytknąłem rękę do drzwi i lekko

je pchnąłem.

Nagle ktoś nimi szarpnął. Mroczny cień odepchnął mnie na bok i wypadł z pokoju. Ciężko dysząc, rzuciłem

się w jego stronę. Poczułem lekki powiew powietrza, zacisnąłem rękę na szorstkiej, zatłuszczonej kurtce i

wtedy coś grzmotnęło mnie w twarz. Zatoczyłem się do tyłu i cień pomknął do kuchni. Gdy tam wpadłem,

zobaczyłem tylko kiwające się na zawiasach wahadłowe drzwi. Bez namysłu ruszyłem w pościg. I wtedy

przypomniałem sobie o Henrym.

Trzasnąłem zasuwą i popędziłem do gabinetu. Byłem już prawie na miejscu, gdy w korytarzu zapłonęło

światło.

David? Co się tu, do diabła, dzieje?

Z sypialni wyjeżdżał na wózku Henry. Był rozczochrany i wystraszony.

Ktoś tu był. Spłoszyłem go. Uciekł.

Dopiero teraz dały o sobie znać nerwy i adrenalina. Drżały mi ręce i kolana. Wszedłem do gabinetu. Z ulgą

zobaczyłem, że stalowa szafka jest zamknięta. Ten, kto tu był, nie dobrał się przynajmniej do leków. Potem

spojrzałem na przeszkloną gablotę, w której Henry przechowywał stare narzędzia i przybory. Drzwiczki

były otwarte na oścież, jej zawartość poprzewracana.

Henry zaklął i podjechał bliżej.

Niczego nie dotykaj rzuciłem. Zatrzesz odciski palców. Domyślasz się, kto to mógł być?

Henry spoglądał niepewnie na gablotę.

Nie, nie jestem pewien...

Poszedłem za jego wzrokiem i zauważyłem jeden oczywisty brak. Odkąd tylko tu pracowałem, na górnej

półce stała antyczna butla, duża, zielona, zakurzona, taka w wypukłe, pionowe prążki, którymi znakowano

kiedyś pojemniki z trucizną. Teraz jej nie było.

Do tej chwili myślałem, że włamywacz szukał narkotyków; kilku narkomanów mieszkało nawet tu, w

Manham. Ale wątpiłem, żeby nawet najbardziej zdesperowany ćpun połakomił się na butlę chloroformu.

Do rzeczywistości przywrócił mnie krzyk Henry'ego.

Boże święty, Davidzie, co to jest?!

Patrzył na moją pierś. Już miałem spytać, o co mu chodzi, ale wtedy zobaczyłem to sam. Przypomni mi

się ten dziwny podmuch powietrza, gdy chwyciłem włamywacza za kurtkę w korytarzu. Dopiero teraz

zrozumiałem, co to było.

Miałem przeciętą koszulę.

Rozdział 19

Po wieczornym zamieszaniu dzień rozpoczął się zwyczajnie, jak każdy inny. Uderzyło mnie to, ale dopiero

później. Z własnego doświadczenia powinienem był wiedzieć, że katastrofy nigdy nic nie zapowiada.

Dlatego gdy do niej doszło, byłem zupełnie nieprzygotowany. Podobnie jak wszyscy inni.

Dochodziła trzecia, gdy policja skończyła przeczesywać gabinet. Rzucili się nań z furią wszystko

fotografując, zdejmując odciski palców i zasypując nas gradem pytań. Mackenzie był na ostatnich nogach,

jak ktoś, kto obudził się z koszmarnego snu.

No, to jeszcze raz. Chce pan powiedzieć, że ktoś się tu włamał, chłasnął pana nożem i uciekł,

zanim zdążyliście na niego spojrzeć?

Ja też byłem zmęczony i poirytowany.

Było ciemno.

I nie wydało się panu, że to ktoś znajomy?

Nie, przykro mi.

A więc nie ma szans, żeby go pan zidentyfikował.

Chciałbym, ale mówiłem już, było ciemno.

Henry też nie mógł mu pomóc. Przez cały czas był w sypialni i nie zdawał sobie z niczego sprawy, dopóki

nie usłyszał hałasu i nie zobaczył, jak wracam korytarzem po przerwany pościgu. Gdyby sprawy

potoczyły się trochę inaczej, mieszkańcy Manham obudziliby się z rana i dowiedzieli o kolejnym

morderstwie. Może nawet o dwóch.

Sądząc po tym, jak Mackenzie mnie przepytował, myślał pewnie, że dobrze nam tak.

I nie wie pan, co jeszcze mógł zabrać?

Tylko pokręciłem głową. Szafka z lekarstwami była nietknięta, niczego nie brakowało też w lodówce,

gdzie przechowywaliśmy szczepionki oraz inne leki wrażliwe na temperaturę. Ale tylko Henry wiedział, co

było w zagraconej gablocie i dopóki oglądali ją technicy, nie mógł powiedzieć na pewno, co zginęło, a co

nie.

Mackenzie ucisnął grzbiet nosa. Był zły i miał zaczerwienione oczy.

Chloroform. Powiedział to z odrazą. Nie wiem nawet, czy nie złamaliście prawa,

przechowując coś takiego w domu. Lekarze chyba już tego nie używają.

Nie. Ta butla była perełką kolekcjonerską zbioru Henry 'ego, swego rodzaju osobliwością. Ma

tu gdzieś nawet starą ssawę do wypompowywania żołądka.

Ssawę do żołądka mam gdzieś, ale ten sukinsyn jest niebezpieczny i bez butli tego pieprzonego usypiacza! Wziął się w garść. Jak on się tu, do diabła, dostał?

To ja go wpuściłem.

Odwróciliśmy się. W drzwiach siedział na wózku Henry. Rozmawialiśmy w moim gabinecie, w jednym z

kilku pokoiów na parterze, bo tu nie istniało niebezpieczeństwo zatarcia śladów; wieczorem zawsze

zamykałem go na klucz. Poprosiłem Mackenziego, żeby dali mu trochę odpocząć. Włamanie bardzo nim

wstrząsnęło, a po godzinnym przesłuchaniu na pewno nie poczuł się lepiej. Wyglądało na to, że doszedł

już do siebie, chociaż wciąż był blady.

Aha, wpuścił go pan powtórzył beznamiętnie Mackenzie. Mówiliście przedtem, że był w

pańskim gabinecie.

Tak. Ale to moja wina. Bo kiedy teraz o tym myślę, to... Henry wziął głęboki oddech. To nie

pamiętam dokładnie, czy przed pójściem spać zamknąłem kuchenne drzwi.

Przedtem mówił pan, że były zamknięte.

Tak, bo założyłem, że były. Zawsze je zamykam. To znaczy, z reguły.

Ale nie dzisiaj.

Nie jestem pewien. Henry odchrząknął. Widać było, że czuje się nieswojo. Najwyraźniej

dzisiaj nie.

A ta gablotka? Też była otwarta?

Nie wiem odparł znużonym głosem Henry. Klucze są w biurku. Mógł je znaleźć albo... Urwał

i zamilkł.

Mackenzie wyglądał tak, jakby miał za chwilę wybuchnąć.

Ile osób wiedziało o tym chloroformie?

Bóg wie... Był tu, zanim przyjechałem do Manham. Nigdy nie robiłem z tego tajemnicy.

A więc mógł go widzieć każdy, kto tu przychodził, tak?

Tak przyznał niechętnie Henry. Chyba tak.

To jest gabinet lekarski wtrąciłem. Wszyscy wiedzą że są tu niebezpieczne substancje. Leki

uspokajające i tak dalej.

Które powinno trzymać się pod kluczem syknął Mackenzie. A on mógł tu spokojnie wejść i

częstować się do woli.

Do ciężkiej cholery, czyja go tu zapraszałem? nie wytrzymał Henry. Nie sądzi pan, że i bez

tego paskudnie się czuję? Jestem lekarzem od trzydziestu lat i nic takiego nigdy mi się nie przydarzyło!

Aż do dzisiaj mruknął Mackenzie. Bo dzisiaj zapomniał pan zamknąć drzwi.

Henry spuścił oczy.

Szczerze mówiąc, nie tylko dzisiaj. Ostatnio nie zamknąłem ich... tak ze dwa razy. Ale tylko

dwa dodał szybko bo zwykle o tym pamiętam. Cóż, wygląda na to, że jestem coraz bardziej...

roztargniony.

Roztargniony powtórzył bezbarwnym głosem Mackenzie. Ale do włamania doszło pierwszy

raz, tak?

Już miałem wyręczyć Henry'ego i powiedzieć, że oczywiście, ale wtedy zobaczyłem jego udręczoną twarz.

Widzi pan... Skrzyżował i rozłożył ręce. Nie jestem pewien. Mackenzie tylko na niego patrzył. Henry wzruszył ramionami jak zagubione dziecko.

Parę razy zauważyłem, że ktoś poprzestawiał rzeczy w gablotce. Tak mi się przynajmniej

wydawało.

Poprzestawiał? To znaczy, że coś z niej zginęło?

Nie wiem, naprawdę nie wiem... Może pamięć mnie zawodzi. Henry spojrzał na mnie zawstydzony. Przepraszam, Davidzie. Powinienem był ci powiedzieć. Ale miałem nadzieję, że... Myślałem,

że jak trochę bardziej się postaram, to... Podniósł ręce i bezwładnie je opuścił.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Czuję się potwornie. Tyle razy mnie ostatnio zastępował, a ja zawsze

myślałem, że nie licząc jego kalectwajest silny i zdrowy. Dopiero teraz, wczesnym rankiem, dostrzegłem

to, co przedtem mi umykało. Podkrążone oczy, obwisła skóra na szyi i porośniętym srebrzystą szczecina

podbródka nawet biorąc pod uwagę silny wstrząs, jaki niedawno przeżył, Henry robił wrażenie chorego i

starego.

Popatrzyłem znacząco na Mackenziego, dając mu do zrozumienia, żeby sobie odpuścił. Ten zacisnął usta i

odprowadził mnie na bok, pozostawiając Henry'ego z filiżanką herbaty, którą podała

mu młoda

policjantka.

Wie pan, co to znaczy? spytał.

Wiem.

Niewykluczone, że to nie pierwszy raz.

Wiem.

To dobrze, bo pańskiemu przyjacielowi może grozić utrata licencji. Miałby poważne kłopoty

nawet wtedy, gdyby był to tylko jakiś ćpun, ale my mówimy tu o seryjnym mordercy. Wygląda na to, że ten

facet bywał tu i podbierał towar od Bóg wie kiedy!

Chciałem znowu powiedzieć: „Wiem”, ale ugryzłem się w język.

Żeby podbierać towar, musiałby znać się trochę na medycynie. Wiedzieć, co kradnie i ile się

tego bierze.

Daj pan spokój. Ten człowiek to morderca! Myśli pan, że zawracałby sobie głowę odmierzaniem prawidłowej dawki? Poza tym nie trzeba być neurochirurgiem, żeby wiedzieć, do czego

służy chloroform.

Jeśli był tu przedtem, dlaczego nie zabrał całej butli?

Może nie chciał, żeby ludzie się zwiedzieli. I gdyby go pan dzisiaj nie przyłapał, dalej gralibyśmy w ciemno. Prawda?

Z tym nie mogłem polemizować. Czuję się jak winowajca, jakbym to ja zaniedbał obowiązki, a nie Henry.

Byłem jego współnikiem i jako współnik powinienem był zwracać większą uwagę na to, co się tu działo. I

na to, co działo się z nim.

W końcu policjanci zrobili swoje i poszli do domu. Gdy przykładałem głowę do poduszki, śpiewały już

pierwsze ptaki.

Zasnąłem i zdawało się, że niemal natychmiast się obudziłem.

Po raz pierwszy od wielu dni znowu miałem ten sen. Był jak zawsze plastyczny, lecz nie nappełnił mnie

poczuciem straty. Smutkiem, tak, ale i spokojem. Nie było w nim Alice, tylko sama Kara. Rozmawialiśmy o

Jenny.

„Wszystko w porządku. Tak powinno być”.

Powiedziała to jakby na pożegnanie, długo odkładane, lecz nieuniknione. Ale na wspomnienie jej ostatnich

słów, jej tak dobrze mi znanej zatroskanej twarzy, poczułem się nieswojo.

„Uważaj. Bądź ostrożny”.

Uważaj, ale na co? Tego nie powiedziała. Myślałem o tym przez chwilę, wreszcie zdałem sobie sprawę, że

próbuję jedynie przeanalizować własną podświadomość.

Cóż, ostatecznie to był tylko sen.

Wstałem i wziąłem prysznic. Chociaż spałem tylko kilka godzin, czułem się wypoczęty, jakbym przespał

całą noc. Wyjechałem do laboratorium wcześniej niż zwykle, bo chciałem po drodze wpaść do Henry'ego.

Martwiłem się o niego. W nocy wyglądał strasznie i miałem wyrzuty sumienia. Gdyby nie był tak bardzo

zmęczony ciągłymi zastępstwami, które na nim wymuszałem, być może nie zapomniałby zamknąć drzwi.

Wszedłem do domu i zawołałem. Nie odpowiedział. Zajrzałem do kuchni, lecz w

kuchni go nie było.

Poczułem się trochę nieswojo, ale spróbowałem wmówić sobie, że pewnie jeszcze śpi. Potem spojrzałem

w okno i zmartwiałem. Za ogrodem widać było fragment starego, drewnianego molo. Stał na nim jego

wózek.

Był pusty.

Z krzykiem wypadłem na dwór. Wciąż nic nie widziałem, bo furtka znajdowała się na końcu ogrodu, za

krzakami i drzewami, i zobaczyłem molo dopiero wtedy, gdy do niej dobiegłem. Dobiegłem i z ulgą

zwolniłem. Obok wózka, niebezpiecznie balansując na brzegu molo, siedział Henry. Próbował wsiąść do

żaglówki. Miał zaczerwienioną z wysiłku twarz, a jego nogi dyndały bezwładnie nad pokładem łodzi.

Na miłość boską, co ty wyprawiasz?

Łypnął na mnie spode łba, lecz nie zaprzestał prób.

A jak myślisz? Chcę popływać tą zasraną łodzią.

Głośno stękał, utrzymując ciężar ciała na rękach. Zawahałem się. Chciałem mu pomóc, ale wiedziałem, że

lepiej to sobie darować. Stałem tuż przy nim i gdyby wpadł do wody, mógłbym go wyciągnąć.

Przestań. Dobrze wiesz, że nie powinieneś tego robić.

Odwał się! Pilnuj własnego nosa!

Zaskoczony wytrzeszczyłem oczy. Miał mocno zaciśnięte, lecz drżące usta. Jeszcze przez chwilę

kontynuował te próżne wysiłki i nagle oklapł. Osunął się na drewniany słup i zasłonił sobie oczy.

Przepraszam wydyszał. Nie chciałem tego powiedzieć.

Pomóc ci usiąść na wózku?

Zaraz. Daj mi odsapnąć.

Usiadłem na chropowatych deskach. Pierś podnosiła mu się ciężko i opadała, przeupocona koszula lepiała

się do ciała.

Długo tu jesteś? spytałem.

Nie wiem. Trochę. Uśmiechnął się słabo. Myślałem, że mała przejażdżka łódką to dobry

pomysł.

Henry... Nie wiedziałem, co powiedzieć. Henry, czyś ty zwariował? Nie wolno ci wsiadać do

łodzi samemu.

Wiem, wiem. Chciałem tylko... Pociemniała mu twarz. Wszystko przez tego pieprzonego

gliniarza. Widziałeś, jak on na mnie patrzył? Gadał do mnie, jakbym był... głupim, dzieciniałym starcem!

Wiem, że popełniłem błąd, że powinienem był sprawdzić drzwi. Ale żeby od razu traktować mnie jak

jakiegoś półgłówka...

Zacisnął usta i popatrzył na swoje nogi.

Czasami mnie to wkurza. Ta bezsilność. Czasami czuję, że muszę, po prostu muszę coś zrobić.

Rozumiesz?

Popatrzyłem na płaski bezkres jeziora. Nie było na nim ani żywego ducha.

A gdybyś wpadł do wody?

To bym wpadł. Zaoszczędziłbym wszystkim kłopotów. I, jak dawny Henry, zerknął na

mnie z

ironicznym uśmiechem na ustach. Nie patrz tak na mnie. Nie zamierzam się topić. Już i tak zrobiłem z

siebie durnia.

Usiadł prosto, krzywiąc się z wysiłku.

Pomóż mi wleźć na ten cholerny wózek.

Chwyciłem go pod pachy, podciągnąłem i wreszcie usiadł jak trzeba. Był tak zmęczony, że nie

zaprotestował, gdy pchnąłem wózek w stronę domu. Byłem już spóźniony, ale zrobiłem mu jeszcze

herbatę; chciałem upewnić się, czy nic mu nie jest.

Gdy wstałem, żeby wyjść, ziewnął i przetarł oczy.

No, pora się przygotować powiedział. Za pół godziny zaczynam dyżur.

Nie dzisiaj odparłem. – Nie jesteś w stanie pracować. Musisz się przespać.

Podniósł brew.

To zalecenie lekarza?

Jeśli tak wolisz.

•A co z pacjentami?

Janice zawiadomi ich, że dzisiaj nie przyjmujesz. Jeżeli to coś pilnego, niech zadzwonią na

pogotowie.

Choć raz się ze mną nie sprzeczał. Zdążył się już uspokoić i zupełnie oklapł.

Posłuchaj... Ale nikomu o tym nie powiesz, prawda?

Oczywiście, że nie. Kiwnął głową.

To dobrze. Już i tak głupio się czuję.

Niepotrzebnie. Ruszyłem do drzwi.

David... zawołał i urwał zażenowany. Dziękuję.

Jego wdzięczność wcale nie poprawiła mi nastroju. Jadąc do laboratorium, uzmysłowiłem sobie, jak wielką

presję ostatnio na niego wywierałem, z góry zakładając, że zgodzi się na te wszystkie zastępstwa. I nie

tylko to. Teraz żałowałem, że nie wybrałem się z nim na przejażdżkę łodzią że spędzałem z nim tak mało

czasu. Byłem tak pochłonięty śledztwem, jeszcze bardziej Jenny, że prawie o nim nie myślałem.

Postanowiłem, że to się zmieni. Badania w laboratorium dobiegały końca. Gdy tylko zdam Mackenziemu

raport, resztą zajmie się policja, a wtedy będę mógł zrekompensować mu wszystkie zaniedbania. Moje

życie wróci do normy.

Nigdy dotąd tak bardzo się nie myliłem.

Po zamieszczeniu ostatnich dwunastu godzin do laboratorium wróciłem niemal z ulgą. Tu byłem

przynajmniej na pewniejszym gruncie. Przyszły wyniki badań, potwierdzając to, co przewidziałem. Lyn

Metcalf nie żyła mniej więcej od sześciu dni, co oznaczało, że z jakiegoś potwornego powodu morderca

przetrzywał ją prawie przez trzy dni i dopiero potem poderznął jej gardło. Bo właśnie to ją zabiło. Tak

samo jak w przypadku Sally Palmer, niski stopień nasycenia zwłok płynami organicznymi wskazywał, że

się wykrwawiła. A niska zawartość żelaza w ziemi, że umarła gdzie indziej i że zabójca podrzucił jej ciało

na mokradła.

Podobnie też jak w przypadku Sally, na mokradłach nie znaleziono żadnych śladów, które mogłyby nam

podpowiedzieć, kto to zrobił. Ziemia była za bardzo spieczona, żeby odcisnęły się na niej podeszwy butów

mordercy, a oprócz włókien konopnego sznura pod połamanymi paznokciami, nie było absolutnie

żadnych dowodów, żadnych wskazówek, które mogłyby doprowadzić policję do sprawcy.

Ale martwić się o to miał już ktoś inny. Moja praca dobiegała końca. Zrobiłem kilka ostatnich odlewów

nacięcia na kręgu szyjnym, całkowicie przekonany, że obydwie kobiety zabito tym samym nożem. Potem

posprzątałem. Koniec. Marina zaprosiła mnie z tej okazji na lunch, ale odmówiłem. Nie rozmawiałem

jeszcze z Jenny i nagle nie mogłem się już tego doczekać.

Zadzwoiłem zaraz po wyjściu Mariny. Czekaając, aż Jenny podniesie słuchawkę, byłem niemal boleśnie

podekscytowany.

Przepraszam powiedziała zdyszana. Tiny nie ma, a ja byłem w ogrodzie.

Jak się masz? spytałem i nagle dostałem nerwowej drżączki. Zapatrzony we własny pępek ani

razu nie pomyślałem, że mogła wyciągnąć swoje własne wnioski na temat naszego związku.

Niewykluczone, że zupełnie inne niż moje...

Dobrze, a ty? Wszyscy mówią o tym włamaniu. Ale nic ci się nie stało, prawda?

Nie, nie, nic. Gorzej z Henrym.

Boże, kiedy o tym usłyszałam... Martwiłam się.

Nie przyszło mi to do głowy. Już dawno nie musiałem o nikim myśleć.

Przepraszam. Powinienem był zadzwonić wcześniej.

Nie, nie, nie szkodzi. Cieszę się, że wszystko w porządku. Zadzwoniłabym, ale...

Urwała, a ja zeszywniałem. No i zaczyna się, pomyślałem.

Posłuchaj, wiem, że postanowiliśmy dać sobie parę dni spokoju, ale... Ale chciałabym cię już

zobaczyć. Oczywiście, jeśli ty chcesz.

Uśmiechnąłem się od ucha do ucha.

Bardzo.

Na pewno?

Na sto procent. Roześmialiśmy się.

Boże, to śmieszne powiedziała. Czuję się jak nastolatka.

A ja jak nastolatek. Zerknąłem na zegarek. Dziesięć po pierwszej. O drugiej mógłbym być w

Manham, a dyżur zaczynałem dopiero o czwartej. Jeśli chcesz, mógłbym zaraz do ciebie wpaść.

Dobrze. Powiedziała to nieśmiało i wstydliwie, lecz słyszałem śmiech w jej głosie. W tle

zabrzmiął dwutonowy gong.

Zaczekaj, ktoś przyszedł.

Odłożyła słuchawkę. Oparłem się o stół i z kretyńskim uśmiechem na twarzy czekałem, aż wróci do

telefonu. Do diabła z przestrzenią i prywatnością. Wiedziałem tylko, że chcę z nią być, zaraz, teraz, że

pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego. Czekałem. W tle grało radio. Jenny długo nie wracała.

Wreszcie podniosła słuchawkę.

Mleczarz? zażartowałem.

Nie odpowiedziała. Słyszałem tylko czyjś oddech. Głęboki i trochę chrapliwy, jak oddech kogoś

zmęczonego wysiłkiem.

Jenny? rzuciłem niepewnie.

Cisza. Tylko ten oddech. Jedno uderzenie serca, drugie i... cichy trzask odkładanej słuchawki.

Przez chwilę gapiłem się jak głupi na swoją a potem trzęsącą się ręką ponownie wybrałem jej numer.

Odbierz, błagałem ją w duchu. Proszę cię, odbierz. Ale słyszałem jedynie sygnał.

Rzuciłem słuchawkę na widełki i pędząc do samochodu, zadzwoniłem do Mackenziego.

Rozdział 20

Nie trudno się było domyślić, co się stało. Wszystko opowiedział sam dom. Na rozchwianym stole, na

którym jedliśmy wtedy kolację, leżała nadjedzona kanapka, już prawie sucha i zwinięta z gorąca. Tuż obok

obojętnie grało radio. Kuchenne drzwi były otwarte na oścież; zasłona z koralików nieustannie się

poruszała, rozgarniana i potrącana przez policjantów. Mata drzwiowa leżała pod kredensem, słuchawka

telefonu na widełkach.

Ale po Jenny nie było ani śladu.

Gdy przyjechałem, nie chcieli mnie wpuścić. Otoczyli już dom i na chodniku po drugiej stronie ulicy stała

grupa dzieci z sąsiedztwa, które patrzyły z powagą na wchodzących i wychodzących policjantów. Gdy

podszedłem do furtki, drogę zastąpił mi młody posterunkowy, nerwowo strzelając oczami to na padok, to

na łąkę. Nie chciał mnie słuchać, ale byłem w takim stanie, że zupełnie się mu nie dziwiłem. Potem

przyjechał Mackenzie. Uspokajającym gestem podniósł ramię do góry i dopiero

wtedy wpuszczono mnie do

środka.

Niech pan niczego nie dotyka powiedział. Zupełnie niepotrzebnie.

Nie jestem nowicjuszem, do cholery!

To niech się pan odpowiednio zachowuje.

Już miałem mu odszczeknąć, ale się powstrzymałem. Miał rację. Wziąłem głęboki oddech, próbując nad

sobą zapanować. Mackenzie obserwował mnie ciekawie.

Dobrze ją pan znał?,

Chciałem odpowiedzieć, że to nie jego sprawa. Ale oczywiście nie mogłem.

Niedawno zaczęliśmy się spotykać. Patrząc, jak dwóch techników zdejmuje odciski palców z

telefonu, zacisnąłem pięści.

Na poważnie?

Przeszyłem go wzrokiem. Po chwili krótko skinął głową.

Przykro mi.

To niech ci nie będzie! pomyślałem. Lepiej byś coś zrobił! Ale policja robiła już wszystko, co można było

zrobić. Nad domem przeleciał z łoskotem śmigłowiec, mundurowi przeczesywali padok i pobliskie łąki.

Niech pan opowie jeszcze raz rozkazał Mackenzie. Opowiedziałem, nie wierząc, że dzieje się

to naprawdę.

Jest pan pewien co do godziny?

Absolutnie. Czekaając, aż wróci do telefonu, spojrzałem na zegarek.

I nic pan nie słyszał?

Nie! Chryste, jest środek dnia! Jak to możliwe, żeby ktoś zapukał do drzwi i tak po prostu

wywlókł ją z domu? Przecież w miasteczku roi się od policji! Co oni, do diabła, robili?

Wiem, jak się pan czuje, ale...

Nie, nie wie pan! Ktoś musiał coś widzieć!

Mackenzie westchnął z rzadką u niego o czym miałem się dopiero przekonać cierpliwością.

Przesłuchujemy wszystkich sąsiadów. Najgorsze jest to, że na ogród nie wychodzą okna ani

jednego domu. Przez padok biegnie ścieżka. Mógł podjechać tu samochodem albo furgonetką wrócić tą

samą drogą i nikt by go nie zobaczył.

Spojrzałem w okno. W oddali niewinnie lśniła lustrzana tafla jeziora. Mackenzie czytał w moich myślach.

Nie ma tam ani jednej łodzi. Ci w śmigłowcu wciąż wypatrują, ale...

Nie musiał nic wyjaśniać. Policja przyjechała niemal piętnaście minut po tym, jak Jenny otworzyła

intruzowi drzwi. Ktoś, kto dobrze znał okolicę, mógł przez ten czas przepaść jak kamień w wodę wraz z

tym, kogo uprowadził.

Dlaczego nie krzyczała o pomoc? Trochę się już opanowałem, lecz w opanowaniu tym było

więcej rozpaczy niż spokoju. Nie poszłaby z nim bez walki.

Zanim Mackenzie zdążył odpowiedzieć, na dworze wybuchło jakieś zamieszanie. Chwilę później do domu

wpadła Tina, blada i przerażona.

Co się stało? Gdzie Jenny?

Tylko pokręciłem głową. Tina rozejrzała się nieprzytomnie.

To on, tak? Porwał ją.

Próbowałem coś powiedzieć, lecz nie mogłem.

Nie. Boże, nie. Proszę... Rozplakała się.

Zawahałem się i dotknąłem jej ramienia. Przytuliła się do mnie, głośno łkając.

Panie inspektorze.

Do Mackenziego podszedł jeden z policjantów. Podał mu plastikową torebkę. W torebce było coś, co

wyglądało jak brudna, zwinięta w kłębek szmatka.

Leżała pod żywopłotem w rogu ogrodu. Jest tam dziura, można się przez nią przecisnąć.

Mackenzie otworzył torebkę i ostrożnie powąchał jej zawartość. Potem bez słowa podał torebkę mnie.

Zapach był nie do pomylenia. Chloroform.

Nie brałem udziału w poszukiwaniach. Między innymi dlatego, że nie chciałem być odcięty od wiadomości.

Ponieważ wokół Manham roilo się od martwych stref, w których telefony komórkowe nadawały się

jedynie na złom, bałem się, że utknąwszy w jakimś odizolowanym miejscu, w lesie lub na moczarach,

stracę kontakt ze światem. Poza tym wiedziałem, że poszukiwania nic nie dadzą. Że błądząc na oślep, nikt

jej nie znajdzie. Dopóki nie zechce tego sam porywacz.

Tina powiedziała nam o martwym lisie. Nawet teraz nie zdawała sobie sprawy, co to znaczy. Była

zdmiona, gdy Mackenzie spytał ją czy Jenny nie znalazła ostatnio jakichś ptaków czy zwierząt. Najpierw

odparła, że nie, i dopiero po chwili, jakby po namyśle, wspomniała o lisie.

Zignorowane ostrzeżenie.

Zrobiło mi się niedobrze.

Nadal uważa pan, że utajnienie tych okaleczeń było dobrym pomysłem? spytałem potem

Mackenziego. Zaczerwienił się i tylko zacisnął usta. Wiedziałem, że pogrywam nieuczciwie, bo decyzję

podjęto na pewno gdzieś wyżej. Po prostu chciałem się na kimś wyżyć. Na kimś albo na czymś.

To Tina przypomniała sobie o jej insulinie. Gdy jeden z policjantów zaczął szperać w torebce Jenny, nagle

pobladła.

Boże, to jej pióro!

Policjant trzymał wtryskiwacz do wstrzyknięć. Aparat przypominał wyglądem grube pióro wieczne, ale

zamiast atramentu, zawierał kilka dawek insuliny. Kiedy u mnie nocowała, widziałem, jak robi sobie

zastrzyk, swobodnie i bez trudu wprowadzając do krwi lekarstwo, które regulowało jej metabolizm.

Kolejny cios.

Mackenzie spojrzał na mnie pytająco.

Jenny jest diabetyczką wyjaśniłem łamiącym się głosem. Musi codziennie brać insulinę.

A jeśli nie weźmie?

Zapadnie w śpiączkę. Nie powiedziałem mu, co będzie potem, ale sądząc po jego minie, chyba

nie musiałem.

Dość się napatrzyłem. Wyraźnie mu ulżyło, gdy wreszcie wyszedłem; obiecał zadzwonić, kiedy tylko się

czegoś dowie. W drodze do domu przez cały czas dręczyła mnie myśl, że przeżywszy jedną napaść, Jenny

przyjechała do Manham tylko po to, żeby paść ofiarą kolejnej, jeszcze gorszej. Przyjechała tu, bo tu miało

być bezpieczniej niż w dużym mieście. Wydawało się to z gruntu niesprawiedliwe, jakby pogwałcony

został naturalny porządek rzeczy. Czułem się rozpołowiony, rozłupany, przeszłość nałożyła się na

teraźniejszość i wciąż na nowo przeżywałem koszmar po śmierci Kary i Alice. Ale teraz przeżywałem go

zupełnie inaczej. Wtedy dobijało mnie poczucie osamotnienia i straty. Teraz nie wiedziałem nawet, czy

Jenny żyje czy nie. A jeśli żyje, to co ten bydlak jej robi. Chociaż próbowałem, nie mogłem przestać myśleć

o ranach i okaleczeniach na ciele dwóch zamordowanych kobiet, o włóknach konopnego sznura pod

połamanyimi paznokciami Lyn Metcalf. Przed śmiercią obydwie związane i poddano Bóg wie jak

makabrycznym torturom. A teraz tego, czego doświadczyły one, miała doświadczyć Jenny.

Nigdy w życiu nie byłem tak przerażony.

Gdy wszedłem do domu, naparły na mnie wszystkie ściany. Zadręczając się, poszedłem na górę, do

sypialni. Wciąż czułem jej zapach, który z rozdzierającym bólem przypominał o jej nieobecności.

Spojrzałem na łóżko, gdzie leżeliśmy ledwie dwa dni wcześniej, i to wystarczyło: nie mogłem dłużej

wytrzymać w domu. Szybko zszedłem na dół i wybiegłem na dwór.

Wsiadłem do samochodu i podświadomie skręciłem do przychodni. Wieczór był pełen ptasiego śpiewu i

zielonkawego światła. Jego szyderczo okrutne piękno przypominało, jak obojętny może być wszechświat.

Gdy zamknąłem za sobą drzwi, z gabinetu wyjechał na wózku Henry. Wciąż był mizerny i źle się czuł.

Poznałem to po jego twarzy.

Davidzie, tak mi przykro... Kiwnąłem głową. Miał łzy w oczach.

Wczoraj w nocy... To moja wina.

Nie, nie twoja.

Kiedy dowiedziałem się, że... Nie wiem, co powiedzieć.

A cóż można?

Potał ręką podłokietnik wózka.

Co na to policja? Przecież muszą mieć jakiś... jakiś trop czy coś.

Nie, nie mają.

Boże, co za burdel... Przesunął ręką po twarzy i podciągnął się wyżej na siedzeniu. Dam ci

kielicha.

Nie, dzięki.

I tak się napijesz. – Uśmiechnął się sztucznie. – Zalecenie lekarza. – Nalał nam whisky,

podał mi szklankę. Pij. Do dna.

Nie wiem, czy.

Pij.

Wypiłem. Whisky popłynęła palącą strugą prosto do żołądka. Henry bez słowa wyjął mi szklankę z ręki i

ponownie ją napelnił.

Jadłeś?

Nie jestem głodny.

Chyba chciał coś we mnie wmusić, ale zmienił zdanie.

Możesz tu dzisiaj nocować. W twoim starym pokoju nie ma dużo do sprzątnia.

Nie, dzięki.

Żeby się czymś zająć, wypilem łyk whisky.

Cały czas mam uczucie, że to wszystko przeze mnie.

Przestań, nie pleć bzdur.

Powinienem był to przewidzieć. I chyba przewidziałem. Przypomniało mi się ostrzeżenie,

którego Kara udzieliła mi we śnie. A ja je zignorowałem.

Nonsens warknął Henry. Niektórym rzeczom nie da się zapobiec. Dobrze o tym wiesz...

Miał rację, lecz świadomość ta niewiele pomogła. Siedziałem u niego godzinę i prawie przez cały ten czas

milczeliśmy. Powoli sączyłem whisky;

namawiał mnie na dolewkę, ale spasowałem. Nie chciałem się upić. Owszem, kusilo mnie, ale wiedziałem,

że alkoholowa mgła niczego nie zmieni. Wyszedłem dopiero wtedy, gdy poczułem, że za chwilę dostanę

kolejnego ataku klaustrofobii. Henry nie mógł mi w niczym pomóc i przeżywał to tak bardzo, że było mi go

żał. Ale myśl o Jenny wypierała wszystko inne.

Jadąc przez miasteczko, widziałem policjantów, którzy chodzili od domu do domu, przepytując ludzi w

kolejnym pokazie bezsensownej aktywności. Aż się we mnie zagotowało, bo znowu marnowali czas.

Minąłem mój dom, doskonale wiedząc, że teraz też nie znajdę tam ukojenia. Na skraju miasteczka drogę

blokowała grupa mężczyzn. Zwolniejszy, niemal wszystkich rozpoznałem. Był tam nawet Rupert Sutton;

wyglądało na to, że w końcu wyszedł spod fartucha matki.

Ale na ich czele stał Carl Brenner.

Otworzyłem okno. Ani drgnęli. Gapili się na samochód.

Co się dzieje?

Brenner splunął na ziemię. Ben musiał mu nieźle przyłożyć, bo wciąż miał posiniaczoną twarz.

Nie słyszał pan? Porwał kolejną.

Poczułem się tak, jakby ktoś grzmotnął mnie pięścią w brzuch. Jeśli ta bestia uprowadziła czwartą kobietę,

mogło to oznaczać tylko jedno. Że zrobił już coś Jenny.

Nauczycielkę z naszej szkoły dodał niczego nieświadomy Brenner. Dziś po południu.

Powiedział coś jeszcze, ale go nie słyszałem. Gdy dotarło do mnie, że mówi o czymś, o czym już

wiedziałem, w uszach zadudniła mi krew.

Dokąd się pan wybiera? rzucił, nie zdając sobie sprawy z efektu swych słów.

Mogłem mu powiedzieć. Mogłem mu wszystko wyjaśnić albo coś zmyślić. Ale gdy zobaczyłem, jak się

nadyma, jak pyszni się swoją nową rolą ogarnął mnie gniew.

Nie wasza sprawa. Chyba go trochę zaskoczyłem.

Jedzie pan na wizytę? Nie.

Brenner niepewnie rozluźnił ramiona jak bokser szykujący się do walki.

Nikt stąd nie wyjedzie bez pozwolenia.

I co mi zrobicie? Wywleciecie mnie z samochodu?

Odezwał się ktoś z tyłu. Dan Marsden, robotnik, którego opatrywałem zaraz po tym, gdy wpadł w

zastawione przez mordercę sidła.

Niech pan nie bierze tego do siebie, doktorze.

Niby dlaczego? To nie było do mnie? Chyba jednak do mnie, Brenner doszedł już do formy.

Co jest, doktorku? Czyżby miał pan coś do ukrycia?

Zabrzmiało to jak obelga. Ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, Marsden chwycił go za rękę.

Zostaw go, Carl. Był jej przyjacielem.

„Był”. Zacisnąłem rękę na kierownicy. Gapili się na mnie bezczelnie.

Z drogi warknąłem.

Brenner położył rękę na klamce drzwiczek.

Nigdzie pan nie pojedzie, dopóki...

Wcisnąłem pedał gazu i odrzuciło go do tyłu. Ci stojący przede mną rozpięchli się na wszystkie strony:

land rover skoczył do przodu i za oknem śmignęły przerażone twarze. Śmignęły i zniknęły. Usłyszałem

tylko ich gniewne krzyki, ale się nie zatrzymałem. Ochłonąłem dopiero wtedy, gdy straciłem ich z oczu.

Chryste, co mi odbiło? Ładny mi lekarz. Mogłem kogoś zranić. Albo zabić.

Jeździłem bez celu, aż zdałem sobie sprawę, że zmierzam prosto do pubu, w którym byłem z Jenny ledwie

kilka dni wcześniej. Gwałtownie zahamowałem, nie mogąc znieść myśli, że znowu zobaczę to miejsce. Gdy

tuż za mną zatrąbił klakson, zjechałem na pobocze, przepuściłem samochód i zawróciłem.

Próbowałem uciec od tego, co się stało, i teraz już wiedziałem, że to niemożliwe. Do

Manham dojechałem

zupełnie wykończony. Brennera i jego kumpli już nie było. Oparłem się pokusie i nie pojechałem do domu

Jenny ani nie zadzwoniłem do Mackenziego. Nie było sensu. Gdyby coś się stało, szybko bym się o tym

dowiedział.

W domu nałamałem sobie whisky, na którą nie miałem ochoty, i usiadłem na dworze w zachodzącym słońcu.

Moje serce umierało wraz z nim. Od zniknięcia Jenny minęło niemal pół dnia. Wmawiałem sobie, że jest

jeszcze nadzieja, że ten, kto ją uprowadził, nie zabija swych ofiar natychmiast. Lecz mysi ta nie przyniosła

mi pocieszenia. Żadnego.

Nawet jeżeli Jenny jeszcze żyła świadomość, że mogła nie żyć, rozwierała się przede mną niczym paszcza

mrocznej otchłani mieliśmy najwyżej dwa dni na jej znalezienie. I jeśli do tego czasu nie zapadnie w

śpiączkę z braku insuliny, ten bezimienny potwór zabije ją tak samo, jak zabił Sally Palmer i Lyn Metcalf.

A ja nie mogłem zrobić nic, żeby go powstrzymać.

Rozdział 21

Po pewnym czasie ciemność przestała być absolutna. Pojawiły się w niej punkciki światła, świetliste kropeczki tak małe, że początkowo myślała, iż to złudzenie. Gdy próbowała skupić na nich wzrok, momentalnie znikaly. Stawały się widoczne tylko wtedy, gdy patrzyła na nie kątem oka. Były jak mikroskopijne plamki, jak maleńkie gwiazdy na skraju pola widzenia.

Ale potem, gdy wzrok przywykł do ciemności, stwierdziła, że może dostrzec je znacznie łatwiej. Nie tylko

punkciki. Ale i świetliste szparki. Rysy. Jakieś pęknięcia. Jeszcze potem zauważyła, że nie ma ich wszędzie.

Że światło dochodzi tylko z jednego kierunku. Nazwała to miejsce Przodem.

Mając już punkt odniesienia, zaczęła stopniowo kształtować otaczającą ją ciemność, nadawać jej

konkretną formę.

Budziła się powoli. Głowa pulsowała jej tępym, mdlącym bólem i ból ten sprawiał, że przy każdym ruchu

cierpiała katusze. Nie mogła pozbierać myśli, lecz przerażenie nie pozwalało jej ponownie stracić

przytomności. Jakby znowu była w tamtej taksówce i jakby kierowca zamknął ją w bagażniku. Czuła się

osaczona, nie mogła oddychać. Chciała krzyknąć, chciała krzyczeć o pomoc, lecz gardło, podobnie jak

reszta ciała, nie słuchało rozkazów mózgu.

Myślała coraz spójniej. W końcu dotarło do niej, że bez względu na to, gdzie jest, na pewno nie jest na

parkingu. Nie, tamto już minęło. Lecz świadomość ta nie przyniosła jej ulgi. Gdzie ona była? Ciemność

dezorientowała ją i przerażała. Gdy spróbowała usiąść, coś chwyciło ją za nogę. Chciała ją zabrać, ale

wtedy to coś napięło się gwałtownie i czubkami palców musnęła gruby, szorstki sznur na kostce. Z

narastającym niedowierzaniem przesunęła po nim ręką i stwierdziła, że sznur jest przywiązany do

ciężkiego, żelaznego pierścienia wpuszczonego w podłogę.

Była związana. I nagle sznur, ciemność, twarda podłoga, na której siedziała, nagle wszystko to razem

ułożyło się w całość logiczną i straszną.

Wtedy sobie przypomniała.

Pamięć wracała powoli, fragmentami, które w końcu się ze sobą zespoliły.

Rozmawiała z Davidem przez

telefon. Zadzwoił dzwonek u drzwi i poszła otworzyć. Za zasłoną z koralików zobaczyła jakiegoś

mężczyznę i... i...

Boże, nie, przecież to niemożliwe. A jednak. Krzyknęła. Wołała Davida, wołała Tinę. Błagała o pomoc. Nikt

nie przyszedł. Z trudem przestała. Oddychaj. Oddychaj powoli i głęboko. Weź się w garść. Roztrzęsiona

spróbowała ocenić sytuację. W pomieszczeniu było chłodno, ale nie zimno. I obrzydliwie cuchnęło czymś,

czego nie potrafiła zidentyfikować. Ale była przynajmniej ubrana, wciąż miała na sobie szorty i

podkoszulek. Wmówiła sobie, że to dobry znak. Ból głowy przeszedł w tępe pulsowanie i bardzo chciało

jej się pić. Zaschło jej w ustach i miała opuchnięte gardło; bolało ją, gdy przełykała ślinę. Była też głodna i

gdy to sobie uświadomiła, zdała sobie również sprawę z czegoś znacznie bardziej przerażającego.

Nie miała insuliny.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, odkąd wzięła ostatnią dawkę. Nie wiedziała, od której tu siedzi. Pierwszy

zastrzyk zrobiła sobie jak zwykle rano, ale kiedy było rano? Jeśli nawet nie minęła jeszcze pora na drugi,

niedługo na pewno minie. Insulina regulowała poziom cukru we krwi. Bez insuliny poziom zacznie

wzrastać, a wtedy...

Przestań, nie myśl o tym. Pomyśl, jak się stąd wydostać. Bez względu na to, gdzie jesteś.

Wyciągnąwszy przed siebie ręce, zaczęła badać granice więzienia na tyle, na ile pozwalał jej sznur. Tuż za

nią była twarda, szorstka ściana, ale wszędzie indziej ręce napotkały tylko powietrze. Macając na oślep w

ciemności, zawadziła o coś nogą. Głośno krzyknęła i odskoczyła do tyłu. Gdy nic się nie stało, ponownie

przykucnęła, ostrożnie przesunęła ręką po ziemi, dotknęła tego palcami i stwierdziła, że to but. Sportowy,

za mały jak na męski...

Zdała sobie sprawę, co trzyma, i szybko go upuściła. To nie był zwykły but. To był but do biegania.

But Lyn Metcalf.

Niewiele brakowało i uległaby strachowi. Odkąd odkryła sznur na kostce u nogi, ze wszystkich sił

próbowała stłumić w sobie świadomość, że morderca wybrał ją na trzecią ofiarę. But Lyn potwierdził jej

podejrzenia. Ale nie mogła się załamać. Jeśli chciała się stąd wydostać, nie mogła się poddać.

Stanęła bliżej ściany i gdy sznur się poluźnił, obmacała węzły. Równie dobrze mogły być odlane z tego

samego żelaza co pierścień. Pętla była dość luźna, ale chociaż nie sprawiała jej bólu, nie mogła wyjąć z niej

stopy. Próbowala, lecz tylko otarła sobie skórę.

Niezwiązaną nogą zaparła się o ścianę i mocno pociągnęła. Nie ustąpił ani sznur, ani pierścień, mimo to

ciągnęła dalej, dopóki z wysiłku nie zaczęło łupać jej w głowie i nie zobaczyła gwiazd przed oczami.

I właśnie wtedy gdy zgasły, gdy ciężko dysząc, leżała na ziemi, zobaczyła te świetliste punkciki.

Przekonawszy się, że nie są złudzeniem, spróbowała ich dotknąć. Światło to wyjście, a przynajmniej coś,

co znajdowało się za murami tego czarnego, bezkresnego więzienia. Rzecz w tym,

że nie mogła ich

dosięgnąć. Podeszła bliżej na tyle, na ile pozwalał jej sznur. Ostrożnie wyciągnęła rękę. Dotknęła czegoś

twardego i sztywnego trzydzieści, czterdzieści centymetrów dalej. Powoli obmacała to rękami. Deski.

Spękane, nieheblowane deski.

Światło sączyło się przez szpary i rozstępy. Jedna ze szpar znajdowała się dokładnie naprzeciwko i była

większa niż pozostałe. Jenny przysunęła się jeszcze bliżej. Musnęła rzęsami chropowate drewno, nerwowo

drgnęła i ostrożnie przytknęła oko do szpary.

Zobaczyła część mrocznego, kiszkowatego pomieszczenia. Sądząc po dużej wilgotności powietrza, była to

jakaś piwnica czy suterena. Niepomalowane kamienne ściany, półki ze słojami i puszkami, wszystko stare

i zakurzone. I drewniany stół roboczy naprzeciwko, taki z imadłem i narzędziami. Ale to nie widok stołu

nią wstrząsnął.

Z sufitu, niczym rząd odrażających wahadeł, zwisały ciała martwych zwierząt.

Dziesiątków zwierząt. Lisów, ptaków, zajęcy, gronostajów, kretów; był tam nawet borsuk. W słabym

przeciągu, wszystkie falowały w powietrzu z przyprawiającą o mdłości powolnością niczym powierzchnia

odwróconego do góry nogami morza. Niektóre wisiały za szyję, inne za nogi, demonstrując tępe kikuty w

miejscu, gdzie powinna być głowa. Wiele mniejszych doszczętnie zgniło i gapiło się na nią pustymi

oczodołami.

Zdławiwszy krzyk przerażenia, Jenny odepchnęła się od ściany. Teraz już wiedziała,

skąd pochodził ten

smród. I czując, że stają jej dęba włosy na karku, zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze. Wyprostowała się i

powoli wyciągnęła rękę do góry. Czubkami palców dotknęła czegoś miękkiego. Sierść. Szybko zabrała

rękę, potem zmusiła się, żeby wyciągnąć ją ponownie. Tym razem musnęła kilka miękkich piór, które

zakołysały się pod jej dotykiem.

Zwierzęta zwisały i z sufitu jej celi.

Mimowolnie krzyknęła, przykucnęła i przywarła do ściany. Załamała się i rozplakała. Ale powoli przestała

plakać. Wytarła oczy i nos. Idiotka. Płacz nic nie pomoże. A zwierzęta są martwe. Nic ci nie zrobią.

Wziąwszy się w garść, ponownie podeszła do ściany i przytknęła oko do szpary. Nikogo. Nic się tam nie

zmieniło. Ale teraz dostrzegła coś, czego wstrząśnięta widokiem zwierząt przedtem nie zauważyła. Jakiś

zakamarek za stołem. I właśnie stamtąd, z tego zakamarka, sączyło się słabe, sztuczne światło. A w świetle

tym zobaczyła schody.

Wyjście.

Popatrzyła na nie wygłodniałym wzrokiem, cofnęła się i ostrożnie naparła na deski. Potem uklękła i

grzmotnęła w nie pięściami. Wstrząs poraził jej ramiona. Nabiła sobie kilka drzazg. Przepierzenie nie

ustąpiło.

Ale to, że w ogóle spróbowała, podniosło ją na duchu. Uderzyła pięściami jeszcze raz, i jeszcze raz, z

każdym uderzeniem wyzbywając się cząstki strachu, który ją paraliżował.

Zadyszana cofnęła się pod

ścianę, gdzie mogła usiąść. Ścierpła jej przewiązana sznurem noga, znowu rozboleła ją głowa, jeszcze

bardziej chciało jej się pić, mimo to odczuwała ponurą satysfakcję. Trzymała się jej kurczowo, nie myśląc o

tym, jak niewiele tak naprawdę osiągnęła. Przepierzenie było do przejścia. Mając czas, mogłaby się przez

nie przebić.

Z tym że nie wiesz, ile ci tego czasu zostało. Prawda?

Odpędziwszy tę myśl, chwyciła sznur i zaczęła obmacywać węzeł.

Rozdział 22

Nazajutrz rano włączyłem radio i dowiedziałem się, że aresztowano podejrzanego.

W nocy prawie nie spałem; większość czasu przesiedziałem w fotelu, chcąc i jednocześnie nie chcąc, żeby

zadzwoił do mnie Mackenzie. Ale telefon milczał. O piątej wstałem i wziąłem prysznic. Potem usiadłem w

ogrodzie i otępiały, długo patrzyłem, jak świat budzi się do życia. Nie chciałem włączać radia, dobrze

wiedząc, o czym będą mówili w wiadomościach. Lecz przytłaczała mnie panująca w domu cisza, a milczące

radio było jeszcze gorsze. O ósmej uległem i pstryknąłem włącznikiem.

...tożsamości nie ujawniono, ale policja potwierdza, że wczoraj wieczorem aresztowano jednego z

mieszkańców Manham w związku z uprowadzeniem Jenny Hammond, nauczycielki miejscowej szkoły

podstawowej.

Prezenter zaczął czytać kolejną wiadomość.

Chciałem krzyknąć: A co z Jenny?! Jeśli kogoś aresztowano, dlaczego jej nie

znaleziono? Zdałem sobie

sprawę, że kurczowo zaciskam rękę na uchwycie ekspresu do kawy. Odstawiłem go z trzaskiem i

chwyciłem słuchawkę telefonu. Odbierz, modliłem się w duchu. Odbierz. Jeden sygnał, drugi, trzeci

pomyślałem, że zaraz włączy się poczta głosowa i w tym momencie odebrał.

Znaleźliście ją? rzuciłem, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Doktor Hunter?

Znaleźliście?

Nie. Niech pan posłucha. Nie mogę teraz rozmawiać. Oddzwonię.

Niech pan nie odkłada słuchawki! Kogo aresztowaliście?

Nie mogę powiedzieć.

Na miłość boską!

O nic go jeszcze nie oskarżono, dlatego nie możemy ujawnić jego nazwiska. Dobrze pan wie,

jak to wszystko działa dodał niemal przepaszająco.

Powiedział coś?

Jeszcze go przesłuchujemy. Innymi słowy, nie.

Dlaczego nic mi pan nie powiedział? Obiecał pan natychmiast zadzwonić!

Było już późno. Chciałem zadzwonić rano.

Dlaczego? Bał się pan w czymś mi przeszkodzić?

Niech pan posłucha. Wiem, że się pan martwi, ale prowadzimy śledztwo...

Zapomniał pan, że brałem w nim udział?

Kiedy tylko będę mógł coś powiedzieć, natychmiast zadzwonię. Ale najpierw musimy go

przesłuchać.

Miałem ochotę go zbluzgać, ale się powstrzymałem. Nie należał do tych, którzy reagują na groźby.

W radiu podali, że to ktoś stąd powiedziałem, siląc się na spokój. To oznacza, że już niedługo wszyscy będą wiedzieli, kto to jest, chce pan tego czy nie. Ja też. Stracę tylko kilka godzin na

głupie domysły. Nagle oklapłem. Proszę. Ja muszę wiedzieć...

Zawahał się. Milczałem, żeby miał czas przekonać sam siebie. Ciężko westchnął.

Niech pan zaczeka.

Zasłonił ręką słuchawkę. Pewnie z kimś rozmawiał i nie chciał, żebym ich podsłuchał. Po chwili

przyciszonym głosem powiedział:

To ściśle tajne, zgoda? Czekalem.

To Ben Anders.

Spodziewałem się, że usłyszę znajome nazwisko. Ale nie to.

Doktorze? Jest pan tam?

Ben Anders? powtórzyłem oszołomiony.

Jego samochód widziano w pobliżu domu Jenny Hammond wczesnym rankiem na dzień przed

jej zaginięciem.

I to wszystko?

Nie, nie wszystko warknął. W bagażniku znaleźliśmy sprzęt do zastawiania sideł. Druć i

nożyce do cięcia drutu. Drewniane paliki. Strażnik leśny takich rzeczy ze sobą nie wozi.

Wciąż nie mogło to do mnie dotrzeć. Ale umysł zaczynał już powoli pracować.

Kto widział jego samochód w pobliżu domu Jenny?

Nie mogę powiedzieć.

Dostaliście cynk, co? Anonimowy cynk.

Dlaczego pan tak myśli? spytał podejrzliwie.

Bo wiem, kto go wam dał odparłem z nagłym przekonaniem. Carl Brenner. Pamięta pan, jak

powiedziałem, że według Bena, Carl kłusuje? Parę dni temu pobili się w pubie. Brenner oberwał.

To nic nie znaczy upierał się Mackenzie.

To znaczy, że powinniście spytać Brennera, co o tym wie. Nie wierzę, żeby Ben miał coś z tym

wspólnego.

Dlaczego? Bo to pański przyjaciel? Mackenzie wpadł w gniew.

Nie, bo go wrobiono.

Aha, i myśli pan, że nie wzięliśmy takiej możliwości pod uwagę, tak? I zanim pan spyta,

Brenner ma mocne alibi, w przeciwieństwie do Andersa. Wie pan, że był kochankiem Sally Palmer?

Wiadomość ta skutecznie zatkała mi usta.

Byli ze sobą kilka lat temu ciągnął Mackenzie. Tuż przed pana przyjazdem do Manham.

Nie wiedziałem odparłem oszołomiony.

Może zapomniał panu o tym wspomnieć. I założę się, że nie wspomniał również o tym, że

piętnaście lat temu aresztowano go za napaść seksualną na kobietę.

Po raz drugi zabrakło mi słów.

Mieliśmy go na oku, zanim dostaliśmy cynk kontynuował bezlitośnie Mackenzie. To zdumiewające, ale nie jesteśmy kompletnymi idiotami. A teraz wybaczy pan, jestem

bardzo zajęty.

I odłożył słuchawkę. Ja odłożyłem swoją. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. W normalnych okolicznościach

mógłbym przysiąc, że Ben jest niewinny. Wciąż byłem przekonany, że to Brenner dał im ten anonimowy

cynk. Był na tyle małostkowy, żeby bez względu na konsekwencje wyrównać rachunki z Benem.

Mimo to rozmowa z Mackenzie mną wstrząsnęła. Nie miałem pojęcia, że Ben utrzymywał zażyłe

stosunki z Sally, a także że aresztowano go za napaść na kobietę. To prawda, nie miał żadnych powodów,

żeby mi o tym mówić i zwłaszcza w tej sytuacji miał każdy powód do tego, żeby milczeć. Ale teraz

zważyłem, czy dobrze go znam. Na świecie roi się od ludzi, którzy uparcie twierdzili, że ich znajomy nie

może być mordercą. Po raz pierwszy dotarło do mnie, że jestem jednym z nich.

Ale o wiele bardziej niepokojąca była możliwość, że policja traci bezcenny czas na nie tego człowieka, co

trzeba. Nagle podjąłem decyzję. Chwyciłem kluczyki samochodowe i wybiegłem z domu. Jeśli Brenner

skłamał, żeby wrobić Bena, musiałem mu uświadomić, na co skazuje Jenny. Musiałem wiedzieć, jak było i

w razie konieczności wycisnąć z niego prawdę. A jeśli mi się nie uda...

Nie chciałem o tym myśleć.

Gdy jechałem przez miasteczko, było już upalnie. Na ulicy kręciło się więcej policjantów i dziennikarzy niż

przedtem. Na chodnikach stali grupkami reporterzy i dźwiękowcy, skwaszeni, że nie mogą przeprowadzić

wywiadu z uparcie milczącymi mieszkańcami Manham. Nie mogłem znieść myśli, że przyjechali tu ze

względu na Jenny. Mijając kościół, zobaczyłem na cmentarzu Scarsdale'a. Wydawał polecenia Tomowi

Masonowi, grożąc mu kościstym palcem. Gdy zobaczył, że idę w jego stronę, gwałtownie urwał i zrobił

niezadowoloną minę.

Pan doktor rzucił zimno na powitanie.

Chcę pana prosić o przysługę zacząłem bez wstępów.

O przysługę? Pan? To nowość. Nie potrafił ukryć satysfakcji. Pozwoliłem mu się nią nacieszyć. Stawką w tej grze było coś więcej niż

duma, moja czy jego. Nie pytając, czego chcę, demonstracyjnie spojrział na zegarek.

Nie wiem, o co chodzi, ale będziemy musieli odłożyć to na później. Czekam na telefon. Mam

wywiad w radiu.

Kiedy indziej jego poczucie wyższości pewnie by mnie zirytowało, ale teraz nawet nie zwróciłem na to

uwagi.

To ważne.

Skoro tak, na pewno zechce pan z tym poczekać, prawda? Przekrzywił głowę, słysząc

dzwonek telefonu zza drzwi kościoła. Proszę wybaczyć.

Miałem ochotę chwycić go za ten zakurzony kołnierz i mocno nim potrząsnąć, ale tylko zacisnąłem zęby.

Odszedł. Kusiło mnie, żeby też odejść, ale jeśli miałem zaapelować do tego, co uchodziło za lepszą naturę

Brennera, jego obecność mogła mi pomóc. Omal go nie przejechałem i gdybym poszedł sam, bardzo

wątpiłem, żeby zechciał mnie wysłuchać.

Z zamyślenia wyrwało mnie szczękanie ogrodowego sekatora. Tom. Przycinał trawę na klombie, udając, że

nie słyszał naszej rozmowy. Poniewczasie zdałem sobie sprawę, że nawet się z nim nie przywitałem.

Dzień dobry powiedziałem, starając się mówić normalnym tonem głosu. Gdzie George?

Boli go, jeszcze leży.

Nie wiedziałem, że choruje. Kolejny dowód na to, że zaczynałem tracić kontakt z pacjentami.

Znowu krzyż? Kiwnął głową.

Jeszcze kilka dni i mu przejdzie.

Znowu naszły mnie wyrzuty sumienia. George i jego wnuk byli pacjentami Hemy'ego, ale to ja miałem

jeździć do nich na wizyty domowe. George, stary ogrodnik, był w Manham postacią tak dobrze znaną, że

powinienem zauważyć jego zniknięcie. Ciekawe ilu jeszcze pacjentów zawiodłem? Przedtem i teraz, bo

tego dnia Henry znowu mnie zastępował.

Lecz strach o Jenny przesłaniał wszystko. Zza otwartych drzwi dobiegał napuszony głos Scarsdale'a, a we

mnie coraz bardziej narastała potrzeba natychmiastowego działania. Z niecierpliwości zakręciło mi się w

głowie. Słońce świeciło za jasno, cmentarne powietrze mdliło od zapachów. Przez cały czas coś nie dawało

mi spokoju, ale gdy usłyszałem, jak Scarsdale odkłada słuchawkę, momentalnie o tym zapomniałem.

Chwilę później wielebny wyszedł z kościoła, arogancki, zadufany w sobie i zadowolony.

Słucham. Chciał pan mnie prosić o przysługę.

Jadę do Carla Brennera. Proszę, żeby pojechał pan ze mną.

Naprawdę? Niby dlaczego miałbym to zrobić?

Bo pana wysłucha, a mnie nie.

Wysłucha w jakiej sprawie?

Zerknąłem na Toma, ale pochłonięty pracą odszedł dalej.

Policja kogoś aresztowała. Myślę, że Brenner coś im powiedział i popełnili błąd.

Czy ten „błąd” ma może coś wspólnego z Benem Andersem?

Za odpowiedź wystarczyła mu moja mina. Był z siebie zadowolony.

Przykro mi, ale muszę pana rozczarować. To żadna nowina. Ludzie widzieli, jak go aresztują.

Coś takiego trudno utrzymać w tajemnicy.

Nieważne, kto to. Nadal uważam, że Brenner ich okłamał.

Mogę spytać dlaczego?

Bo ma do Bena urazę. Skorzystał z okazji, żeby się odegrać.

Aie nie wie pan tego na pewno, prawda? Scarsdale krytycznie ściągnął usta. Poza tym, o ile

się nie mylę, Anders jest pańskim przyjacielem,

Jeśli jest winny, zasłużył na wszystko, co z nim zrobią. Ale jeśli nie, policja traci tylko czas.

To oni o tym zdecydują, a nie wiejski lekarz. Próbowałem zachować spokój.

Proszę.

Przykro mi, doktorze, ale chyba nie rozumie pan, czego pan ode mnie żąda. Chce pan, żebym

wtrącił się do policyjnego śledztwa.

Nie! Omal nie krzyknąłem. Chcę, żeby pomógł mi pan uratować komuś życie!
Proszę

powtórzyłem ciszej. Tu nie chodzi o mnie. Kilka dni temu w tym kościele siedziała Jenny Hammond i

mówił pan wtedy o potrzebie działania. Możliwe, że ona jeszcze żyje, ale jeśli tak, zostało jej bardzo mało

czasu. Nie można... Nie mogę... Załamał mi się głos.

Scarsdale uważnie mnie obserwował. Nie mogąc mówić, pokręciłem głową i ruszyłem w stronę ulicy.

Dlaczego uważa pan, że Brenner zechce mnie wysłuchać? Chwilę trwało, zanim otrzeźwiałem

na tyle, żeby się odwrócić.

Powołał pan straż obywatelską. Bardziej liczy się z panem niż ze mną.

Ta trzecia ofiara... Zna ją pan? Kiwnąłem głową.

Scarsdale zastanawiał się przez chwilę. W oczach miał coś, czego przedtem nie dostrzegłem. Początkowo

nie wiedziałem, co to jest, lecz w końcu zrozumiałem. Był to przebłysk współczucia. Szybko zniknął,

ustępując miejsca zwykłej u niego wyniosłości.

Dobrze powiedział. Pojedziemy.

Nigdy nie byłem u Brennera, ale jego domu trudno było nie zauważyć. Stał niecałe dwa kilometry za

miasteczkiem i prowadziła do niego bita droga, latem pełna dziur, przez resztę roku błotnista i pełna

kałuż. Okoliczne łąki i pola kiedyś osuszono, lecz powoli wracały do swego pierwotnego, dzikiego stanu. I

właśnie tam, dokładnie pośrodku działki, wśród gratów i rupieci, stał dom, wysoki i zapuszczony. Zdawało

się, że nie ma w nim ani jednego kąta prostego, ani jednej prostej linii. Z biegiem lat dobudowano doń

kilka przybudówek i nadbudówek, rozpadających się bud, które przywierały do

ścian jak pijawki. Dach był

połatany blachą falistą. Zamontowano na nim wielki, absurdalnie nowoczesny talerz anteny satelitarnej.

Jechaliśmy krótko i przez ten czas Scarsdale ani razu się do mnie nie odezwał. W zamkniętej przestrzeni

samochodu jego stęchły, lekko kwaskowaty zapach był jeszcze bardziej wyczuwalny. Land rover

podskakiwał na zrytej koleinami drodze. Na spotkanie wybiegi nam wściekle ujadający pies, lecz gdy

wysiedliśmy, trzymał się od nas z daleka. Załomotałem do frontowych drzwi; natychmiast odpadły z nich

płatki starej farby. Otworzyły się niemal od razu i w progu stanęła znużona kobieta, w której rozpoznałem

matkę Brermera.

Była przeraźliwie chuda. Miała proste, siwe włosy, bladą cerę i wyglądała tak, jakby uszło z niej życie. I

pewnie uszło, biorąc pod uwagę, że była wdową i samotnie wychowywała takiego syna jak Carl. Mimo

upału, była w ręcznie robionym rozpinanym swetrze i wypłowiałej sukience. Poprawiła ją i bez słowa

szybko zamrugła.

Doktor Hunter zacząłem; Scarsdale'a nie musiałem przedstawiać. Czy zastaliśmy Carla?

Zdawało się, że pytanie nie wzbudziło żadnej reakcji. Już miałem je powtórzyć, gdy kobieta skrzyżowała

ręce na piersiach.

Carl śpi odparła zaczepnie i nerwowo.

Musimy z nim porozmawiać. To ważne.

Nie lubi, jak się go budzi. Scarsdale postąpił krok do przodu.

Zajmie nam to tylko chwilę. To naprawdę ważne.

Zirytowało mnie, że próbuje przejąć inicjatywę, lecz irytacja szybko minęła. Chciałem tylko jednego: wejść

do środka. Brennerowa niechętnie odsunęła się na bok.

Zaczekajcie w kuchni powiedziała. Zawołam go.

Scarsdale wszedł pierwszy, ja za nim. W zagraconym korytarzu pachniało smażeliną i starymi meblami. W

kuchni zapach smażenia był jeszcze silniejszy. W kącie grał mały telewizor. Nad pustymi talerzami

śniadaniowymi klócili się nastoletni chłopak i dziewczyna. Parę kroków dalej, z zabandażowaną nogą na

niskim stołku, siedział Scott Brenner. Pił herbatę i oglądał telewizję.

Gdy weszliśmy, spojrzeli na nas i zamilkli.

Dzień dobry rzuciłem zakłopotany do Scotta; nie pamiętałem imienia jego młodszego brata i

siostry. Nagle dotarło do mnie, że przyszedłem tu, by zarzucić komuś kłamstwo, i po raz pierwszy naszyły

mnie wątpliwości. Ale szybko je odpędziłem. Miałem rację czy nie, musiałem to zrobić.

Zapadła cisza. Scarsdale stał pośrodku kuchni nieruchomo jak posąg. Chłopak i dziewczyna nie

przestawali się na nas gapić. Scott spuścił oczy.

Jak noga? spytałem, żeby cokolwiek powiedzieć.

W porządku. Spojrzał na nią i wzruszył ramionami. Trochę boli. Bandaż był brudny.

Kiedy ostatni raz zmieniałeś opatrunek? Scott się zaczerwienił.

Nie wiem.

Ale zmieniałeś? Nie odpowiedział.

To głęboka rana, nie wolno jej tak zostawiać.

Przecież nigdzie z tą nogą nie dojdę, nie?

Mogła przyjść tu pielęgniarka. Albo Carl mógł podzucić cię do przychodni. Scott natychmiast zamknął

się w sobie.

Carl nie ma czasu.

Na pewno, pomyślałem, A ja jestem za bardzo zajęty sobą. Kolejny dowód na to, że straciłem kontakt z

pacjentami. Usłyszeliśmy kroki na schodach i do kuchni weszła ich matka.

Melissa, Sean, idźcie na dwór rozkazała.

Dlaczego? zaprotestowała dziewczyna.

Bo tak chcę! No? Jazda!

Powłócząc nogami, wyszli źli na cały świat. Matka stanęła przy zlewie i puściła wodę.

Zejdzie? spytałem.

Jak będzie gotowy mruknęła.

Wyglądało na to, że nic więcej nie powie. Zdenerwowana zaczęła zmywać i słychać było jedynie szum

wody, brzęk talerzy i sztućców. Wytężyłem słuch, ale na górze panowała cisza.

To co mam zrobić? spytał Scott, patrząc z niepokojem na chorą nogę. Z trudem wróciłem do

rzeczywistości. Czulem, że Brenner mnie obserwuje.

Niecierpliwość stoczyła krótki pojedynek z poczuciem obowiązku i przegrała.

Pokaż. Obejrzę ją.

Mimo brudnego bandażu rana nie wyglądała źle. Goiła się i istniało duże prawdopodobieństwo, że Scott

odzyska pełną władzę w nodze. Szwy zakładał mu chyba początkujący student medycyny, ale brzegi rany

były już zrośnięte. Przyniosłem apteczkę z samochodu i zacząłem ją przemywać i bandażować. Prawie

skończyłem, gdy na schodach zadudniły ciężkie kroki.

Nonszalancko wszedł do kuchni. Był w brudnych dżinsach i podkoszulku. Błady, lecz potężnie zbudowany,

miął silnie umięśnione brzuch i pierś. Przeszył mnie jadowitym spojrzeniem, a potem z niechętnym

szacunkiem skinął głową Scarsdale'owi. Przypominał nadąsanego ucznia na dywaniku u surowego

dyrektora szkoły.

Dzień dobry, Carl powiedział wielebny, ponownie przejmując inicjatywę. Przepraszamy, że

ci przeszkadziliśmy.

W jego głosie zabrzmiała nutka dezaprobaty. Słyszając ją Brenner dopiero teraz zdał sobie sprawę ze swego

wyglądu.

Dopiero co wstałem mruknął wciąż zaspany. Późno poszedłem spać. Mina wielebnego

mówiła, że przymknie na to oko. Ale tylko tym razem.

Pan doktor chce cię o coś spytać.

Brenner spojrzał na mnie z nieukrywaną wrogością.

A co to mnie, kur... Ugryzł się w język. A co to mnie obchodzi?

Scarsdale, cierpliwy

rozjemca, uspokajającym gestem podniósł ręce.

Wiem, że ci przeszkadzamy, ale pan doktor uważa, że to ważne.

Wysłuchaj go. Zerknął na

mnie na znak, że zrobił, co mógł. Scott i jego matka nie odrywali ode mnie wzroku.

Na pewno już wiesz, że policja aresztowała Bena Andersa zacząłem. Brenner nie spieszył się z

odповідzią. Oparł się o stół i założył ręce.

No i co z tego?

Wiesz coś na ten temat?

Niby skąd mam wiedzieć?

Policja dostała cynk. Od ciebie?

Agresja biła z niego jak gorąco z pieca.

Co to ma wspólnego z panem?

Bo jeśli od ciebie, chcę wiedzieć, czy naprawdę go tam widziałeś.
Brenner zmrużył oczy.

Zarzuca mi pan kłamstwo?

Posłuchaj, nie chcę, żeby policja na próżno traciła czas.

Skąd pewność, że traci? Najwyższa pora, żeby ludzie przejrżeli
na oczy i zobaczyli, jaki z

niego sukinsyn.

Scott poruszył się nerwowo w fotelu.

Carl, może on...

Brenner łypnął na niego spode łba.

Zamknij się. Kto cię, kurwa, o coś pytał? Scott drgnął i skulił
ramiona.

Tu nie chodzi o Bena Andersa! powiedziałem. Na miłość boską
czy ty tego nie rozumiesz?

Brenner odepchnął się od stołu i zacisnął pięści.

Za kogo ty się, kurwa, uważasz? Wczoraj, kiedy zatrzymaliśmy
cię na drodze, nie chciałeś z

nami gadać, bo nie twój poziom, co? A teraz przychodzisz tu i
mówisz mi, co mam robić?

Chcę tylko poznać prawdę.

To znaczy, że co? Że jestem kłamcą?

To znaczy, że igrasz z czyimś życiem! Carl uśmiechnął się dziko.

I dobrze. Niech sukinsyna powieszą, mam to gdzieś.

Nie chodzi o niego! krzyknąłem. Chodzi o tę dziewczynę! Co się z nią stanie?

Carl przestał się uśmiechać. Najwyraźniej nie przyszło mu to do głowy. Wzruszył ramionami, ale widać

było, że przeszedł do defensywy.

Ona już pewnie nie żyje.

Chciałem się na niego rzucić, ale Scarsdale położył mi rękę na ramieniu. Z wielkim trudem zaapelowałem

do Carla raz jeszcze.

On je przetrzymuje powiedziałem, nie panując nad głosem. Przez dwa, trzy dni.

Przetrzymuje, dręczy i zabija. Mija już drugi dzień, a policja wciąż przesłuchuje Andersa, bo chce, żeby się

przyznał. Tylko dlatego, że ktoś dał im fałszywy cynk. Musiałem przestać mówić. Proszę dodałem po

chwili. Jeśli to ty, powiedz im to. Proszę.

Pozostali patrzyli na mnie zaszokowani. Nikt spoza policyjnej

grupy śledczej nie wiedział, że morderca

przetrzymuje swoje ofiary. Zdawałem sobie sprawę, że Mackenzie będzie na mnie wściekły, ale miałem to

gdzieś. Całą uwagę skupiałem na Brennerze.

Nie wiem, o czym pan mówi wymamrotał z niepewną miną i uciekł wzrokiem w bok.

Carl? wtrąciła nieśmiało jego matka.

Mówię, że nie wiem! warknął Brenner, ponownie wpadając w gniew. Chciałeś mnie o coś

spytać i spytałeś, to teraz odpierdol się, dobra?

Nie wiem, co by się stało, gdyby nie było tam Scarsdale'a. Szybko stanął między nami i powiedział:

Dość tego! Spojrzał na Carla. Rozumiem, że jesteś zdenerwowany, ale wolałbym, żebyś nie

używał takiego języka w mojej obecności. I w obecności matki.

Brenner był wściekły, lecz Scarsdale niezachwianie wierzył w siłę swej osobowości. Odwrócił się do mnie.

Chciał pan z nim porozmawiać i porozmawiał pan. Nie ma sensu zostawać tu dłużej.

Ani drgnąłem. Patrzyłem na Carla jeszcze bardziej przekonany, że zrobił Bena z zemsty. Widząc jego

ponurą gębę, miałem ochotę go zbić, wydusić z niego prawdę siłą.

Jeśli coś się jej stanie powiedziałem dziwnie obcym głosem jeśli Jenny umrze, bo skłamałeś,

przysięgam, że cię zabiję.

Zdawało się, że groźba wyssała całe powietrze z kuchni.

Scarsdaie wziął mnie pod rękę i poprowadził do

drzwi.

Idziemy, doktorze.

Przystanąłem przed Scottem. Miał bladą twarz i patrzył na mnie wytrzeszczonymi oczami. Scarsdaie

pociągnął mnie do drzwi.

Do samochodu wsiedliśmy bez słowa. Mowę odzyskałem dopiero na drodze do miasteczka.

On kłamie.

Gdybym wiedział, że przestanie pan nad sobą panować, nigdy bym z panem nie pojechał

wysyczał Scarsdaie. Zachował się pan skandalicznie.

Popatrzyłem na niego zdumiony.

Skandalicznie? Brenner wrobił niewinnego człowieka i ma

wszystko gdzieś!

Nie ma pan na to dowodu.

Niech pan przestanie. Był pan tam, słyszał go pan!

Słyszałem kłótnię dwóch mężczyzn, którzy niepotrzebnie wpadli w gniew, to wszystko.

Mówi pan poważnie? Naprawdę nie wierzy pan, że to on dał cynk policji?

Nie mnie o tym sądzić.

Nikt pana o to nie prosi. Niech pan po prostu pojedzie ze mną i powie im, że powinni go

przesłuchać!

Scarsdale długo się nie odzywał. W końcu odpowiedział, lecz nie bezpośrednio.

Wspomniał pan, że ten człowiek nie zabija swoich ofiar od razu. Skąd pan o tym wie?

Z nawyku lekko się zawahałem, ale było mi już wszystko jedno, kto i czego się dowie. Przestało to mieć

jakiegokolwiek znaczenie.

Badałem ich zwłoki.

Scarsdale gwałtownie odwrócił głowę.

Pan?

Kiedyś się w tym specjalizowałem. Zanim tu przyjechałem. Pastor trawił to przez chwilę.

To znaczy, że brał pan udział w śledztwie?

Tak, prosili mnie o pomoc.

Rozumiem... Po jego głosie poznałem, że nie bardzo mu się to podoba. I postanowił pan

zachować to w tajemnicy.

To bardzo drażliwy temat. Niechętnie o tym mówię.

Naturalnie. Cóż, ostatecznie jesteśmy tylko prowincjuszami. Nasza ignorancja musiała bardzo

pana rozbawić.

Na policzkach wykwitły mu czerwone plamy. Zdałem sobie sprawę, że jest wściekły. Nie zły, tylko

wściekły. Jego reakcja zaskoczyła mnie, lecz po chwili wszystko zrozumiałem. Lubił dominować, uważał

się za przywódcę miasteczka. I nagie okazało się, że przez cały czas miał rywala, że rywal ten dysponował

informacjami, którymi on dysponować nie mógł. Uraziłem jego dumę. Gorzej:, uraziłem jego dumne ego.

To nie tak odrzekłem.

Nie? To dziwne, że mówi mi pan o tym dopiero teraz, kiedy czegoś pan ode mnie chce. Cóż, już

widzę, jak bardzo byłem naiwny. I zapewniam pana, że dragi raz nie dam zrobić z siebie głupca.

Nikt nie zrobił z pana głupca. Jeśli pana obraziłem, przepraszam, ale tu chodzi o coś więcej niż

o pana czy o mnie.

Tak, rzeczywiście. Dlatego może być pan pewny, że od tej pory zdam się wyłącznie na

specjalistów. Powiedział to z gorzką ironią w głosie. Ostatecznie jestem tylko prostym sługą bożym.

Potrzebuję pańskiej pomocy. Nie mogę...

Nie sądzę, żebyśmy mieli sobie coś więcej do powiedzenia. Reszta podróży upłynęła w

milczeniu.

Rozdział 23

Obudził ją hałas. Gęsty mrok początkowo ją zdezorientował. Nie pamiętała, gdzie jest, dlaczego nic nie

widzi. Zawsze spała przy rozsuniętych zasłonach, więc nawet w najciemniejszą noc do sypialni wpadało

trochę światła. Dopiero po chwili poczuła ten zapach i zdała sobie sprawę, że siedzi na twardej podłodze.

Świadomość ta przygniotła ją jak monstrualny ciężar.

Ponownie pociągnęła za sznur. Miała zdarte paznokcie i gdy posała palec, poczuła smak krwi. Ale mimo

jej wysiłków, węzeł nie puścił. Bezwładnie osunęła się na ścianę. Coraz bardziej zaczynały jej doskwierać

inne niewygodności. Choćby głód, ale przede wszystkim pragnienie. Zanim zasnęła, na granicy zasięgu ręki

znalazła maleńką kałużę sączącą się ze ścian wody.

Była za płytka, żeby się z niej napić, zdjęła więc podkoszulek, namoczyła go i długo ssała. Woda była

stęchła i słonawa, ale smakowała cudownie.

Potem znalazła dwie inne kałuże i znowu skorzystała z podkoszulka. Lecz pragnienia nie zaspokoila. Śniła

jej się woda. Obudziła się ze spieczonymi ustami, w letargu, z którego nie mogła się otrząsnąć. Wiedziała,

że są to pierwsze oznaki niedoboru insuliny, ale nie chciała o tym myśleć. Żeby się czymś zająć, jeszcze raz

zbadala podłogę z nadzieją, że kałuże znowu są pełne.

1 wtedy usłyszała ten hałas. Dochodził z za drewnianego

przepierzenia.

Ktoś tam był.

Czekała z wstrzymanym oddechem. Ten ktoś na pewno nie przybył na ratunek. Odgłosy nie ustawały, ale poza tym nie działo się nic. Zauważyła też, że przez szpary w deskach wpada do celi więcej światła. Gdy powoli pełzła w tamtą stronę, dudnienie krwi w głowie zagłuszało wszystkie inne dźwięki. Macając wokoło rękami, najciszej jak tylko mogła, przytknęła oko do tej samej szpary co przedtem. W siatkówkę ukłuło ją przeraźliwie jasne światło. Zamrugła, żeby oko przestało łzawić i zaczęła, aż wzrok przywyknie do jasności. Nad stołem paliła się naga żarówka na długim kablu. Zwisała tuż nad blatem, tak nisko, że rzucała jedynie mały krąg światła, oświetlając niewielki fragment pomieszczenia. Jego pozostała część, wraz z wiszącymi pod sufitem martwymi zwierzętami, tonęła w bezkształtnym mroku.

Hałas powtórzył się i z mroku wyszedł jakiś mężczyzna. Szpara znajdowała się tuż nad podłogą i patrząc pod tym kątem, Jenny miała bardzo ograniczony widok. Gdy mężczyzna stanął przy stole, dostrzegła tylko dżinsy i kawałek wojskowej kurtki. Sądząc po sylwetce, musiał być wysoki i dobrze zbudowany. Przez chwilę pochylał się nad blatem, potem ruszył w jej stronę.

W popłochu czmychnęła pod ścianę. Kroki ucichły. Sparaliżowana patrzyła w ciemność. Głośny trzask i na

podłogę padła pionowa smuga światła. Chwilę później zgrzytnęły zawiasy, deski cofnęły się i światło

zalało całą celę. Oślepiąca Jenny zasłoniła sobie oczy.

Górował nad nią czyjś mroczny cień.

Wstań. Cichy szept.

Nie wiedziała, czy zna ten głos czy nie; była zbyt przerażona, żeby się nad tym zastanawiać. Nie mogła wykonać żadnego ruchu.

Lekki podmuch powietrza i ostry ból. Krzyknęła, chwytając się za ramię. Było mokre. Z niedowierzaniem

spojrzała na rękę. Krew.

Wstawaj!

Trzymając się za rozcięte ramię, z trudem wstała i chwiejnie oparła się o ścianę. Oczy przywykły już do

światła, mimo to nie podniosła głowy. Nie patrz na niego, myślała. Jeśli zobaczy, że go rozpoznałaś, już cię

stąd nie wypuści. Spojrzała tam mimowolnie, wbrew sobie. Nie na jego twarz, tylko na myśliwski nóż z

zakrzywionym ostrzem skierowanym w jej stronę. Boże, nie, proszę...

Rozbieraj się.

Znowu poczuła się jak wtedy, jak z tym taksówkarzem. Ale teraz było o wiele gorzej, gdyż nie mogła liczyć

na to, że ktoś przyjdzie jej na ratunek.

Po co? Z odrazą usłyszała nutkę hysterii w swoim głosie.

Nóż ciął ponownie, nie miała nawet czasu, żeby zareagować. Poczła palące zimno na policzku.

Oszołomiona przytknęła doń rękę i coś pociekło jej między palcami. Popatrzyła na błyszczącą od krwi

dłoń i wtedy zaczęło ją boleć, boleć i palić tak mocno, że zabrakło jej tchu.

Ściągaj ubranie.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że skądś ten głos zna. Próbowwała skojarzyć go sobie z twarzą, lecz

dochodził jak ze studni. Tylko nie zemdlej, pomyślała. Nie zemdlej. Ból pomógł jej się skupić. Zachwiała

się, lecz nie upadła. Słyszała jego chrapliwy oddech, gdy niespiesznie podniósł nóż. Czubek noża dotknął

nagiego ramienia, potem ostrze przywarło do skóry na plask, musnęło ją delikatnie jak piórkiem, po

mostku powędrowało do góry i znieruchomiło na szyi. Raptem drgnęło i czubek noża dotknął miękkiej

skóry na gardle. Jego nacisk stopniowo przybierał na sile, zmuszając ją do podniesienia głowy. Gdy już nie

mogła podnieść jej wyżej, napór ostrego jak igła czubka zelżał. Stała teraz z odsłoniętym gardłem, na

czubkach palców, wyciągnięta jak struna. Oddychała nierówno, łapczywie połykając powietrze i próbując stać nieruchomo. Nagłe nóż zniknął.

Rozbieraj się.

Otworzyła oczy, wciąż na niego nie patrząc. Chwyciła za spód podkoszulka, wilgotnego i brudnego od

wody, naciągnęła go na głowę i ogarnęła ją błoga ciemność. Lecz gdy podkoszulek znalazł się na wysokości

czoła, ciemność pierzchła i Jenny znowu znalazła się w cuchnącej celi.

Po raz pierwszy zobaczyła, jak wygląda jej więzienie. Była to po prostu część piwnicy, oddzielona od

reszty drewnianym przepierzeniem. W mroku za kręgiem światła na stole piętrzyły się stare meble, graty i

rupiecie. Z tyłu były kręte schody, które widziała już przedtem, słabo oświetlone niewidocznym źródłem

światła i ginące gdzieś na górze.

A nad tym wszystkim wisiały okaleczone ciała zwierząt.

Było ich tam pełno, wszędzie, pełno wysuszonych kłębków sierści, kości i piór kołyszących się leniwie w

przeciągu. Mężczyzna podszedł bliżej i zasłonił jej światło. Nie

mogła oderwać wzroku od uniesionego

noża w jego rękę. Zaczęła się szybko rozbierać, rozpaczliwie pragnąc uniknąć kolejnego ciosu. Włożyła

palce pod gumkę szortów i znieruchomiła, lecz po chwili zsunęła je do kostek. Była teraz w samych

majtkach. Stała ze spuszczoną głową bojąc się spojrzeć mu w oczy, tak samo jak bałaby się spojrzeć w oczy

wściekłemu psu.

Wszystko rzucił ochryplym głosem.

Co pan chce zrobić? wyszeptała, gardząc sobą za słabość w głosie.

Zdejmuj to!

Posłuchała go przerażona i zdrętwiała ze strachu. Mężczyzna nachylił się, szybkim ruchem noża rozciął

szorty i majtki i niecierpliwie odrzucił je na bok. Zdławiła krzyk, gdy powoli wyciągnął rękę i niemal z

wahaniem dotknął jej piersi. Żeby się nie rozplakać, zagryzła wargę, odwróciła głowę, znowu zobaczyła

wiszące pod sufitem zwierzęta i zupełnie nie myśląc...

Uderzyła go w rękę.

Skóra zachowała pamięć dotyku: szorstkość włosów, twardość kości. Przez chwilę nie działo się nic. A

potem mężczyzna chlasnął ją na odlew w twarz. Upadła na ścianę i osunęła się na podłogę.

Stał nad nią słyszała jego oddech. Skuliła się, czekając na cios, lecz on nie zrobił nic więcej. Wreszcie

odszedł i zalała ją fala ulgi. Bolała ją twarz, ale przynajmniej nie użył noża. Mam szczęście, pomyślała tępo.

I jestem głupia.

Coś pstryknęło i oślepiło ją jaskrawe światło. Przesłoniwszy oczy, zobaczyła, że zapalił lampę na stole.

Zalana jej przeraźliwym blaskiem usłyszała skrzypienie krzesła. Mężczyzna usiadł w cienistym mroku.

Wstań.

Wstała z bolesnym trudem. Jej krótki bunt coś jednak zmienił. Wciąż się bała, ale teraz do strachu dołączył

gniew. Czerpiąc z niego siłę, wyprostowała się buntowniczo. Powiedziała sobie, że bez względu na to, co

jej zrobi, wytrzyma to z godnością że przynajmniej spróbuje. Nie wiedzieć czemu, stało się to dla niej

niezmiernie ważne. Dobrze, pomyślała. Rób, co chcesz. Tylko szybciej.

Czekała naga i drżąca. Lecz nie działało się absolutnie nic. Z mroku dobiegały ją tylko niewyraźne odgłosy.

Co on robi? Zaryzykowała, szybko zerknęła w tamtą stronę i zobaczyła jego rozmytą sylwetkę. Siedział z

szeroko rozchylonymi nogami. Wsłuchując się w te przytłumione, rytmiczne odgłosy, nagle zrozumiała.

Mężczyzna się onanizował.

Dochodzące spoza kręgu światła odgłosy przybrały na sile. Potem usłyszała zdławiony krzyk. Zaszurały

buty i zapadła cisza. Jenny stała bez ruchu, wstrzymując oddech. Co teraz?

Po chwili wstał. Coś zaszleściło i ruszył w jej stronę. Spuściła głowę. Zatrzymał się tuż przed nią tak

blisko, że poczuła jego zapach. Coś jej podał.

Włóż to.

Wyciągnęła rękę, ale znowu spojrzała na nóż. Odłóż go, pomyślała. Chociaż na sekundę. Wtedy zobaczymy,

jaki z ciebie chojrak. Ale on go nie odłożył. Gdy brała od niego zawiniątko, wciąż ścisnął go w rękę.

Sukienka. Zobaczyła, że to sukienka. Pomyślała, że może ją jednak wypuści, i zatliła się w niej iskierka

nadziei. Dopiero po chwili zrozumiała, co tak naprawdę trzyma.

To była suknia ślubna. Biała, atłasowa, z koronkami. Pożółkła ze starości i poplamiona ciemnymi,

zaschniętymi plamami. Omal nie zwymiotowała, gdy zdała sobie sprawę, że to...

Krew.

Rozwarła palce. Błysnął nóż i na jej ramieniu wykwitła cienka, szkarłatna linia. Linia momentalnie

wypełniła się i wezbrała.

Podnieś to!

Pochylając się, miała wrażenie, że jej ręce i nogi należą do kogoś innego. Chciała w nią wejść, lecz zdała

sobie sprawę, że nie może, że ma na nodze sznur. Krótki przyptyk nadziei już chciała go prosić, żeby go

przeciął, ale coś kazało jej milczeć. On właśnie tego chce. Wyraźnie to czuła. Chce, żebym dała mu pretekst.

Zawirowały wszystkie ściany, lecz to, że go rozgryzła, dodało jej sił. Niezdarnie włożyła suknię przez

głowę. Materiał cuchnął. Doszedł ją zapach kulek na mole, stęchły odór potu i leciutki zapach perfum. Z

suknią na głowie, przerażona, że mężczyzna potnie ją zaraz

nożem, poczuła się jak w klaustrofobicznym

potrzasku. Szybko uwolniła głowę i wzięła głęboki oddech.

Ale mężczyzna już odszedł. Stał w ciemności i robił coś na stole. Jenny spojrzała w dół. Suknia była

sztywna i zmięta. Ubrudziła ją krwią, dodając nowe plamy do tych starych i zaschniętych. Mimo to była

ładnie uszyta, z grubego, ciężkiego atłasu, i wykończona koronkowymi kwiatami lili. Nosila ją kiedyś

panna młoda. W najszczęśliwszym dniu swego życia.

Coś zazgrzytało jak nakręcany zegar. Wciąż kryjąc się w mroku, mężczyzna postawił obok lampy małe,

drewniane pudełko. Gdy podniósł wieczko, domyśliła się, co to jest.

Pozytywka. Taka z maleńką baletnicą. Baletnica zaczęła się obracać i w cuchnącym powietrzu popłynęła

cicha, brzękliwa melodyjka. Mechanizm był zepsuty, mimo to Jenny ją rozpoznała. *Claire de Lune*.

Tańcz.

Głos wyrwał ją z transu.

Słucham?

Tańcz.

Rozkaz był tak surrealistyczny, że równie dobrze mógł paść w obcym języku. Zaszokowana poruszyła się

dopiero wtedy, gdy podniósł nóż. Zaczęła przestępować z nogi na nogę i chwiać się w parodii pijanego

tańca na sznurze. Nie płacz, powtarzała sobie w duchu. Nie może widzieć, że płaczesz. Ale łzy popłynęły i

tak.

Czuła, że obserwuje ją na wpół ukryty w mroku. Potem ruszył w stronę schodów. Gdy zniknął na górze,

skonsternowana przestała tańczyć. Przez chwilę myślała, że wyszedł, nie zamykając jej drewnianej celi.

Ale kilka sekund później ponownie usłyszała kroki. Równe, powolne, jakby nieporadne. Było w nich coś

złowieszczego. Próbuje cię nastraszyć. To tylko kolejna zagrywka, taka sama jak z suknią.

Gdy stanął u stóp schodów, gwałtownie odwróciła głowę i zaczęła niezdarnie tańczyć. Słyszała, jak idzie

powoli przez piwnicę. Ponownie zatrzeszczało krzesło. Wiedziała, że ją obserwuje i pod niemal fizyczną

presją jego wzroku poruszała się sztywno i nie do rytmu. Dobrze się bawisz? pomyślała z wściekłością,

podsycając gniew. Bo tylko dzięki gniewowi mogła zapanować nad strachem.

W miarę rozwijania się sprężyny, muzyka zwalniała i brzmiała coraz bardziej fałszywie. Gdy zupełnie

ucichła, trzasnęła zapałka i rozbłysnął żółtawy płomyk. Mrok pierzchnął i zaraz powrócił. Lecz tuż

przedtem Jenny zobaczyła twarz siedzącego na krześle mężczyzny.

I nagle wszystko zrozumiała.

Pozytywka już nie grała, lecz ona prawie tego nie zauważyła. Doszedł ją zapach siarki i tytoniowego dymu,

ponownie zazgrzytał mechanizm.

Muzyka ożyła, a ona, wstrząśnięta i jeszcze bardziej zrozpaczona, zaczęła tańczyć swój niezdarny taniec.

Rozdział 24

Bena zwolniono z aresztu wieczorem tego samego dnia. Zadzwonił do mnie Mackenzie.

Pomyślałem, że zechce pan o tym wiedzieć. Mówił zmęczonym, bezbarwnym głosem, jakby

przez całą noc nie spał. I pewnie nie spał.

Zaszyłem siew przychodni, bo nie mogłem wytrzymać w domu.

Nie wiem, jak odebrałem tę wiadomość.

Cieszyłem się, tak. Ale byłem też co zupełnie nieoczekiwane rozczarowany. Nigdy nie wierzyłem, że Ben

jest mordercą, jednak przez cały czas musiało kiełkować we mnie ziarenko wątpliwości. A może chodziło

o to, że dopóki policja przesłuchiwała podejrzanego, obojętnie jakiego, tliła się we mnie iskierka nadziei,

że znajdą Jenny? Teraz iskierka ta zgasła.

Co się stało? spytałem.

Nic. Po południu tamtego dnia nie mógł być w pobliżu jej domu, i tyle.

Przedtem mówił pan co innego.

Przedtem mniej wiedzieliśmy odparł krótko Mackenzie. Początkowo nie chciał powiedzieć,

gdzie był. Wreszcie powiedział i okazało się, że nie kłamie.

Nie rozumiem. Skoro miał alibi, dlaczego nie powiedział od razu?

Niech pan sam go o to spyta mruknął poirytowany. Jak zechce, to panu powie. Jeśli chodzi o

nas, Anders jest czysty.

Potarłem powieki.

I co teraz?

Nadal badamy pozostałe tropy, to oczywiste. Analizujemy dowody zebrane w jej domu, ślady...

Niech pan przestanie pieprzyć i powie szczerze! Zapadła cisza. Wstrzymałem oddech.

Przepraszam.

Mackenzie westchnął.

Robimy wszystko co w naszej mocy. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Macie innych podejrzanych?

Jeszcze nie.

A Brenner? W ostatniej chwili postanowiłem nie mówić mu, że widziałem się z nim rano.

Jestem przekonany, że to on dał wam cynk o Andersie. Naprawdę nie warto z nim porozmawiać?

Mackenzie nie potrafił ukryć zniecierpliwienia.

Już panu mówiłem: Carl Brenner ma alibi. Jeśli to on dał nam fałszywy cynk, zajmiemy się tym

później. Teraz mamy na głowie ważniejsze sprawy.

Próbowałem nie ulec rozpacz, lecz czułem, że powoli ulegam.

Mogę wam jakoś pomóc? Wiedziałem, co odpowie, mimo to wciąż miałem nadzieję.

Nie. Niech pan posłucha dodał z wahaniem. Jest jeszcze czas. Tamte kobiety przetrzymywał

prawie przez trzy dni. Nie ma powodu myśleć, że teraz zrobi inaczej.

Miałem ochotę krzyknąć: I to ma mnie pocieszyć?! Jeśli nawet Jenny jeszcze żyła, obydwaj wiedzieliśmy, że

zostało jej bardzo mało czasu. A myśl, jak musi teraz cierpieć, była po prostu nie do zniesienia.

Gdy skończyliśmy rozmawiać, długo siedziałem z twarzą w dłoniach. Ktoś zapukał do drzwi. Henry.

Wyprostowałem się.

Są nowe wiadomości?

Pokręciłem głową. Zauważyłem, że jest bardzo zmęczony. Ale zupełnie mnie to nie zdziwiło. Od

uprowadzenia Jenny przestałem udawać, że pracuję.

Dobrze się czujesz? spytałem.

Świetnie! Ale pokaz siły i energii nie bardzo mu wyszedł. Uśmiechnął się słabo i wzruszył

ramionami. O mnie się nie martw. Jakoś sobie radzę. Naprawdę.

Nie przekonał mnie. Wyglądał mizernie i nie potrafił tego ukryć. Chociaż miałem wyrzuty sumienia, że

zostawiłem go samemu sobie, mogłem myśleć tylko o Jenny i o tym, co ją czeka w ciągu najbliższych

dwudziestu czterech godzin. Wszystko inne było odległe i nieważne.

Widząc, że nie mam nastroju do rozmowy, zostawił mnie samego. Próbowałem czytać protokoły z

oględzin zwłok Sally Palmer i Lyn Metcalf z nadzieją że znajdę w nich coś, co przedtem przeoczyłem. Ale to

kierowało moją wyobraźnię w strony, których próbowałem unikać. Sfrustrowany wyłączyłem komputer.

Patrząc na czarny ekran monitora, nabrałem jeszcze większego przekonania, że przeoczyłem coś

niezmiernie ważnego. Coś, co leżało przede mną jak na talerzu. Już to prawie miałem, już zaciskałem na

tym pałce, lecz w ostatniej chwili znowu mi umknęło.

Potrzeba działania kazała mi wstać. Wziąłem komórkę i pobiegłem do samochodu. Mogłem pojechać tylko

w jedno miejsce. Żadne inne nie przychodziło mi do głowy.

Ale nawet odjeżdżając, nie mogłem wyzbyć się wrażenia, że przeoczyłem coś oczywistego.

Ben Anders mieszkał w dużym, ceglanym domu na skraju miasteczka. Dom należał kiedyś do jego

rodziców, a kiedy zmarli, mieszkał tam z siostrą, dopóki nie wyszła za mąż i nie wyjechała. Często

powtarzał, że jest dla niego za duży, że powinien go sprzedać i kupić mniejszy, ale chyba nie chciał tego

zrobić. Cóż, ostatecznie za duży czy za mały, był to jego dom.

Odwiedziłem go tam tylko dwa razy. Zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem wpadłem do niego za

dnia, na strzemiennego po zamknięciu pubu, i parkując przed ciężką, drewnianą bramą w wysokim,

kamiennym murze, pomyślałem, że świadczy to tylko o głębi naszej przyjaźni.

Nie wiedziałem nawet, czy go zastanę. I gdy już tam przyjechałem, zdałem sobie sprawę, że wolałbym go

jednak nie zastać. Chciałem, żeby wyjaśni! mi, dlaczego go aresztowano, ale nie pomyślałem, co mu

powiem.

Lecz pukając do drzwi, wyzbyłem się wszelkich wątpliwości. Dom zbudowano z jasnej cegły. Nie był za

ładny, chociaż przyciągał wzrok swoją solidnością. Miał duży ogród, utrzymany ładnie i bez

ekscentrycznych akcentów, białe okna i ciemnozielone drzwi. Odczekałem chwilę i zapukałem ponownie.

Nie zauważyłem żadnych oznak życia, więc po trzeciej próbie odwróciłem się, chcąc odejść. Ale nie

odszedłem. Nie wiem, może dlatego że po prostu nie chciałem wracać do siebie i znowu beczynnie

czekać, a może dlatego że czułem, iż ktoś tam mimo wszystko jest.

Przy domu biegła ścieżka. Wszedłem na nią i ruszyłem przed siebie. Kilka kroków dalej zobaczyłem

ciemną plamę na ziemi, jakby coś się tam rozbryznęło. Krew. Przeszłem przez nią. Za domem był

starannie przystrzyżony trawnik. Na końcu trawnika rosła kępa drzew owocowych. W cieniu pod

drzewami ktoś siedział.

Ben nie zdziwił się na mój widok. Na topornym stoliku obok niego, takim z chropowatych,

nieheblowanych desek, stała butelka. Na brzegu stolika dymił zapomniany papieros. Sądząc po ilości

whisky w butelce i jego zaczerwienionej twarzy, Ben musiał siedzieć tu od dłuższego czasu. Gdy pod

szedłem bliżej, nalał sobie kolejną szklanę.

Masz ochotę? Szkło jest w domu.

Nie, dzięki.

Zrobiłbym ci kawy. Ale szczerze mówiąc, nie chce mi się ruszyć tyłka. Podniósł papierosa,

popatrzył nań i go zgasił. Pierwszy od czterech lat. Smakuje jak psie gówno.

Pukałem.

Wiem. Myślałem, że to znowu ci zasrani dziennikarze. Było tu dwóch takich. Pewnie jakiś

życzliwy gliniarz powiedział im, gdzie mieszkam. Uśmiechnął się krzywo. Trochę trwało, zanim

zrozumieli, że wolę zostać sam. Ale w końcu zrozumieli.

To stąd ta plama na ścieżce?

Tak. Nie docierało do nich, że nie chcę niczego komentować. No i doszło do małego rozlewu

krwi. Gdyby nie to, że zbyt starannie wymawiał

głoski, nie byłoby po nim widać, że jest pijany. Sukinsyny dodał i pociemniała mu twarz.

Bicie dziennikarzy to chyba nie najlepszy pomysł.

A kto powiedział, że ich pobitem? Po prostu wyprosiłem ich w

mojego domu, to wszystko.

Nachmurzył czoło. Posłuchaj, przykro mi z powodu Jenny. Ciężko westchnął. Ale to żadne pocieszenie,

co?

Nie byłem gotów na przyjmowanie kondolencji.

Kiedy cię wypuścili?

Dwie, trzy godziny temu.

Dlaczego?

Co dlaczego?

Dlaczego cię wypuścili? Spojrzał na mnie znad szklanki.

Bo nie miałem z tym nic wspólnego.

I dlaczego się upijasz?

Przesłuchiowano cię kiedyś w sprawie o morderstwo?

Przesłuchanie powtórzył ze śmiechem.

Sranie w banię. Oni nie przesłuchują, oni ci wszystko wmawiają. „Wiemy, że pan tam był. Widziano

pański samochód. Gdzie ją pan wywiózł? Co pan z nią zrobił?" To mało zabawne, wierz mi. Nawet kiedy

już cię wypuszczają zachowują się tak, jakby robili ci łaskę.

Podniósł szklankę w szyderczym toaście. A

potem znowu jesteś wolnym człowiekiem. Z tym że ludzie patrzą na ciebie i myślą: Nie ma dymu bez

ognia, ja i tak nigdy mu nie ufałem.

Ale ty nie miałeś z tym nic wspólnego. Zacisnął zęby, lecz głos miał cichy i spokojny.

Nie, nie miałem. Ani z nią ani z tamtymi.

Nie zamierzałem go przesłuchiwać, ale nie mogłem się powstrzymać. Westchnął, wzruszył ramionami i

trochę się odprężył.

Głupi błąd. Ktoś im doniósł, że widziano mój samochód przed domem Jenny. Sęk w tym, że to

bzdura.

Skoro mogłeś to udowodnić, dlaczego nie powiedziałeś im od razu? Boże, przecież to

wyglądało tak, jakbyś coś ukrywał.

Ben pociągnął łyk whisky.

Bo ukrywałem. Tylko nie to, co myśleli.

Mam nadzieję, że to było coś ważnego. Nie mogłem zapanować nad gniewem. Chryste, Ben,

policja zmarnowała przez ciebie tyle godzin!

Zacisnął usta, ale przełknął tę gorzką pigułkę.

Spotykałem się z kobietą. Nikt o tym nie wiedział. Mieszka...
Nieważne, w każdym razie nie

tutaj. Byłem u niej.

Domyśliłem się reszty.

Jest mężatką.

Jeszcze jest. Ale ponieważ męża odwiedziła policja i spytała go,
czy to prawda, że tego a tego

dnia jego małżonka była ze mną w łóżku, wątpię, czy długo nią
pozostanie.

Milczałem.

Wiem, wiem dodał gwałtownie Powinienem był powiedzieć.
Kurwa mać, nie wiesz nawet,

jak bardzo żałuję, że nie powiedziałem. Zaoszczędziłbym sobie
nerwów i nie siedziałbym tu teraz, robiąc

sobie wyrzuty. Ale kiedy policja wywleka cię z domu i wrzuca do
celi. nie zawsze myślisz trzeźwo.

Potał ściągniętą twarz.

A wszystko dlatego, że ktoś się, kurwa, pomylił.

To nie była pomyłka, Ben. To był Carl Brenner. Spojrzał na mnie ostro, z podejrzliwym błyskiem w oku.

Chyba się starzeję powiedział po chwili. Cholera, nawet o nim nie pomyślałem.

Uciekaliśmy od konfrontacji, po cichu godząc się z tym, że i przez niego, i przeze mnie przemawia napięcie i stres.

Byłem u nich. Brenner się nie przyznał, ale mógłbym przysiąc, że to on.

On nie z tych, co się do czegoś przyznają. Ale dzięki, że próbowałeś.

Nie zrobiłem tego tylko dla ciebie. Chciałem, żeby policja szukała Jenny, zamiast tracić czas w ślepym zaułku.

W porządku. Popatrzył na szklankę i odstawił ją na stolik. I co jeszcze powiedział ci twój przyjaciel inspektor?

Że byłeś kochankiem Sally Palmer. I że kilkanaście lat temu napastowałaś jakąś kobietę.

Roześmiał się gorzko.

Od przeszłości nie uciekniesz, co? Tak, jakiś czas temu Sally i ja byliśmy razem. Nie robiliśmy z

tego tajemnicy, ale i się z tym nie obnosiliśmy. Nie w miasteczku takim jak to. Ale to nie było nic

poważnego. Trwało krótko, pozostaliśmy przyjaciółmi. Koniec opowieści. A to drugie... Powiedzmy, że był

to błąd młodości.

Musiał wyczytać coś z mojej twarzy.

Nie, nie, to nie tak. Nikogo nie napastowałem. Miałem osiemnaście lat i spotykałem się z trochę

starszą kobietą. Mężatką.

Znowu.

Wiem, mam złe nawyki. Nie jestem z tego dumny. Ale wtedy rznąłem wszystko, co weszło pod

kosę. Byłem młody i myślałem, że mam Bóg wie jaki dar. Kiedy chciałem z nią zerwać, zrobiło się

paskudnie. Pokłóciliśmy się, zaczęła mi grozić. Zanim się spostrzegłem, oskarżyła mnie o gwałt. Wzruszył

ramionami.

W końcu wycofała oskarżenie. Ale gównu śmierdzi, nie? A gdybyś zastanawiał się, dlaczego nic

ci o tym nie powiedziałem, to wiedz, że nie trąbię wokoło o moim życiu prywatnym i nie zamierzam

nikogo za to przepraszać.

Wcale tego nie chciałem.

Fakt. Wyprostował się, wziął szklankę i wylał whisky na trawę. I to już wszystko. Koniec

moich mrocznych tajemnic. Teraz mogę pomyśleć, co zrobić z tym sukinsynem Brennerem.

Nic z nim nie zrobisz.

Uśmiechnął się leniwym, niebezpiecznym uśmiechem, w którym widać było skutki działania whisky.

Nie dałbym za to głowy.

Jeśli spróbujesz, wpadniesz w jeszcze głębsze bagno. Tu chodzi o coś więcej niż o zemstę.

Krew nabiegła mu do twarzy.

Mam o tym zapomnieć? Tak po prostu?

Tak, na razie. A potem... – Na myśl, co może oznaczać to „potem”, poczułem się tak, jakby ktoś

uderzył mnie w brzuch. Kiedy już złapią tego, kto porwał Jenny, możesz robić, co chcesz.

Ben spuścił parę.

Masz rację. Nie pomyślałem. Cóż, będę niecierpliwie czekał...
Chcę cię o coś spytać dodał w

zadumie. Nie tylko dlatego, że mam coś do Brennera.
Zastanawiałeś się, dlaczego doniósł na mnie policji?

Pomijając to, że chciał wpakować cię do pudła?

Właśnie. Może miał jeszcze jakiś powód? Może próbował się
zabezpieczyć?

Tak, przeszło mi to przez myśl. Ale nie tylko ty masz alibi.
Mackenzie już go sprawdził. On też

ma.

Ben wpatrywał się w pustą szklankę.

Powiedział jakie? Zmarszczyłem czoło.

Nie.

Stawiam funta, że poręczyła za niego rodzinka. To banda
złodziei, znają się jak łyse konie.

Właśnie dlatego nie mogę przymknąć go za kłusownictwo. I
dlatego, że to przebiegły sukinsyn.

Serce zabiło mi szybciej. Bremer był myśliwym, kłusownikiem i
agresywnym odludkiem. Biorąc pod

uwagę to, że morderca zastawiał sidła, znęcał się nad zwierzętami i swoimi ofiarami, wydawało się, że Carl

pasuje do profilu jak ulał, Mackenzie nie był idiotą, ale ponieważ nie miał ani dowodów, ani motywu, nie

mógł podejrzewać go bardziej niż innych.

Ale najważniejsze było... alibi.

Ben coś powiedział, ale nie miałem pojęcia co. Myślami wybiegłem już naprzód.

O której Brenner wychodzi na polowanie? spytałem.

Rozdział 25

Jenny straciła poczucie czasu. Gdy wyszedł, długo drżała jak w gorączce, lecz atak prawie minął. Bardziej

martwiło ją to, że coraz bardziej chce jej się spać. I to nie ze zwykłego zmęczenia. Nie wiedziała, jak długo

tu siedzi, lecz na pewno opuściła już dwa, może nawet trzy zastrzyki insuliny. Poziom cukru we krwi

zaczynał wymykać się spod kontroli, a związany z tym wstrząs jeszcze bardziej pogarszał jej stan.

Wstrząs i utrata krwi.

Po ciemku nie mogła sprawdzić, ile jej tak naprawdę straciła. Większość ran w końcu się zasklepiła, z

wyjątkiem tej ostatniej. Najgorszej. Prawą stopę owinęła zakrwawioną szmatą, która była kiedyś jej

podkoszulkiem. Materiał lepił się teraz i kleił do ciała. Miała nadzieję, że to dobry znak. Że krwawienie

powoli ustaje. Tylko bardzo ją bolało. Boże, jak bolało. Zrobił to zaraz po tym, jak zdjęła tę brudną suknię

ślubną.

Gdy muzyka z pozytywki umilkła po raz trzeci, Jenny przestała tańczyć. Zachwiała się nieprzytomnie i nie

mogąc ustać na nogach, w zakrwawionej sukni osunęła się na podłogę. Robiła wszystko, żeby nie zasnąć,

lecz przed oczami miała tylko gęstniejącą ciemność. Niejasno zdawała sobie sprawę, że coś się wokół niej

dzieje, lecz odgłosy coraz bardziej się oddalały. Mijał czas. A potem ktoś ją kopnął.

Otworzyła oczy i od razu zobaczyła nóż.

Podniosła głowę, żeby spojrzeć na tego, który go trzymał. Nie było sensu dłużej udawać. Już wiedziała, że

bez względu na to, czy rozpozna go czy nie, żywa stąd nie wyjdzie.

Mimo to ścisnęło ją w brzuchu, gdy spojrzała mu w twarz i gdy jej podejrzenia się potwierdziły.

Kopnął ją ponownie.

Zdejmij to.

Przytrzymując się ściany, chwiejnie wstała i ściągnęła suknię przez głowę. Wyrwał jej ją z rąk i stanął

naprzeciwko. Spuściła oczy, wiedząc, że patrzy na jej nagie ciało. Serce biło jej mocno i boleśnie. Pochylił

się w jej stronę i poczuła jego zapach, oddech na skórze. Boże, co on chce zrobić? Cały czas zerkąła

ukradkiem na nóż, który trzymał z boku, ze wszystkich sił pragnąc, żeby go odłożył. Choć raz. Daj mi tylko

jedną szansę, o nic więcej nie proszę.

Ale on go nie odłożył. Powoli podniósł go, tak żeby zobaczyła klingę, i wyciągnął rękę. Drgnęła, gdy czubek

ukłuł ją w ramię.

Nie ruszaj się.

Zmusiła się, żeby stać nieruchomo. Czubek noża wędrował coraz 'wyżej i wyżej, nakłuwając ciało. Każde

nakłucie wyciskało spod skóry kropelkę krwi, malutki, czerwony koralik, który szybko wzbierał i spływał

w dół. Bolało, lecz czekanie było jeszcze gorsze. Mężczyzna miał przyspieszony oddech, bił od niego

gorący zapach podniecenia. Przysunął się jeszcze bliżej. Gdy przydeptał jej palce u stóp, mimowolnie

syknęła, cofnęła się i tama pękła.

Zostaw mnie! krzyknęła w panice, rzucając się na oślep w bok, zapominając o sznurze.

Napięty sznur szarpnął, ciężko upadła i przewróciła się na bok, gdy nad nią stanął. Widok jego oczu

przyprawił ją o ciarki. Niebyło w nich nic ludzkiego, nic zdrowego psychicznie.

Mówiłem, żebyś się nie ruszała. Miał przerażająco spokojny głos. Pochylił się i chwycił ją za

nieprzywiązaną nogę. Chciałaś uciec, a nie powinnaś. Nie mogę ci na to pozwolić.

Nie! Ja nie uciekałam...

Ale on nie słuchał. Głaskał nożem jej łydkę.

Tu, tu, tu, sroczka kaszkę warzyła zaintonował śpiewnie. Tu, tu, tu, ogoneczek sobie sparzyła.

Temu dała na łyżeczkę... Jak urzeczony dotknął nożem wielkiego palca u nogi. Temu dała na miseczkę.

Dragi palec i trzeci. Temu dała w kubeczek, temu dała w wiaderczku. A temu nic nie dała, tylko mu

łebek ukręciła i do lasu poleciała...

Jenny zorientowała się, co chce zrobić, na ułamek sekundy przed tym, gdy to zrobił. Nóż gwałtownie

drgnął i poczuła w stopie gorący, przeszywający ból. Przeraźliwie krzyknęła, szarpnęła nogą. Przytrzymał

ją patrzył przez chwilę, jak się wyrywa, nagle puścił. Odcięty palec leżał na podłodze jak zakrwawiony

kamyk.

Ta sroczka nie będzie już próbowała uciekać.

Gdy wyprostował się z ociekającym krwią nożem, pomyślała, że zaraz z nią skończy. Chciała błagać o

życie, lecz powstrzymał ją upór. Teraz była z tego dumna. Poza tym czuła, że nic by tym nie wskórała.

Sprawiłaby mu tylko przyjemność.

Potem wyszedł. Zamknął drzwi i w celi znowu zapadła ciemność. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło od

tamtej pory. Kilka godzin, minut, może nawet dni. Agonalny ból w stopie przeszedł w tępe, głębokie do

kości pulsowanie, a w gardle miała tak sucho, jakby powbijały się tam odłamki szkła. Mimo to zachowanie

przytomności przychodziło jej z jeszcze większym trudem.

Próbowała rozwiązać węzeł na kostce, lecz kosztowało ją to zbyt dużo wysiłku. W kompletnej ciemności nie mogła sprawdzić, czy widzi wyraźnie, wiedziała jednak, że poziom cukru we krwi niebezpiecznie wzrósł, że grozi jej hiperglikemia. Że bez insuliny będzie coraz gorzej.

Zakładając, że jeszcze trochę pożyje.

Niemal z roztargnieniem pomyślała, dlaczego jej nie zgwałcił. Nienawidził jej, jednocześnie pożądał, to

było oczywiste, jednak z jakiegoś powodu nie zgwałcił. Ale nie chciała się oszukiwać. Znowu przypomniała

jej się twarz, którą widziała w żółtym świetle płonącej zapałki. Nie dostrzegła w niej ani litości ani nadziei.

I aż za dobrze zdawała sobie sprawę, że nie jest pierwszą kobietą, którą tu więziono. To nacinanie nożem,

ta suknia, ten taniec, to wszystko stanowiło element jakiegoś niezrozumiałego rytuału.

Wiedziała, że go nic przeżyje.

Rozdział 26

Do domu Brennerów dojechałem późnym popołudniem. Dzień zrobił się mglisty, a na błękitne dotychczas

niebo wpełzły lekkie jak welon obłoki. Przystanąłem na końcu drogi i spojrzałem na rozpadający się dom.

Był jeszcze bardziej zapuszczony, niż wydawało mi się poprzednim razem. Nie dostrzegłem tam żadnych

oznak życia. Patrzyłem nań przez chwilę i uświadomiłem sobie, że próbuję tylko opóźnić to, po co tu

przyjechałem. Wrzuciłem bieg i land rover potoczył się powoli po wyboistej drodze.

Gdy już postanowiłem to zrobić, najtrudniej było mi zachować cierpliwość. Każdy nerw ciała kazał mi

natychmiast działać, natychmiast wyjechać z domu. Wiedziałem jednak, że sukces zależy od tego, czy

Brenner będzie w domu czy nie. Ben sugerował, żeby poczekać, aż pójdzie do pubu albo na polowanie.

To kłusownik mówił. Wychodzi do pracy wczesnym rankiem albo późnym wieczorem.

Dlatego spał, kiedy tam byłeś. Pewnie do świtu zastawiał sidła.

Ale nie mogłem tak długo zwlekać. Każda mijająca godzina zmniejszała szanse Jenny. W końcu wpadłem

na absurdalnie oczywisty pomysł: po prostu zadzwoniłem do nich i nie przedstawiając się, poprosiłem do

telefonu Carla. Za pierwszym razem odebrała matka. Gdy kazała

mi zaczekać i poszła po niego na górę,

odłożyłem słuchawkę.

A jeśli wyświetla im się numer i oddzwoni? spytał Ben.

To co? Powiem, że chciałem z nim porozmawiać. I tak się nie zgodzi. Ale Brenner nie

oddzwonił. Odczekałem trochę i ponownie podniosłem

słuchawkę. Tym razem odebrał Scott. Nie, Carla nie ma. Nie, nie wiadomo, kiedy wróci. Podziękowałem

mu i przerwałem połączenie.

Życz mi szczęścia powiedziałem, wstając.

Ben chciał ze mną jechać, ale się nie zgodziłem. Wolałbym, żeby mi towarzyszył, lecz prosiłbym się tylko o

kłopoty. On i Brennerowie stanowili mieszankę wybuchową nawet wtedy, kiedy byli trzeźwi, tymczasem

tego dnia Ben wyłopał pół butelki whisky. Stawiałem na perswazję, nie na konfrontację.

Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć o tym Mackenziemu, ale szybko zarzuciłem ten pomysł. Na

poparcie moich podejrzeń nie miałem nic, czego nie powiedziałbym mu wcześniej. A on wyraźnie dał mi

do zrozumienia, że nie chce, żebym się wtrącał. Bez konkretnych dowodów nie zamierzał nawet kiwnąć palcem.

Dlatego pojechałem do Brennerów sam.

Ale teraz czułem się nieswojo. Gdy stanąłem przed domem, całkowicie wyparowała ze mnie wcześniejsza

pewność siebie. Na samochód czekał ten sam pies, duży kundel z naderwanym uchem. Lecz tym razem

był odważniejszy. Nie wycofał się tak jak przedtem, może dlatego że przyjechałem sam. Zjeżył się i zajął

pozycję między mną i domem. Wziąłem apteczkę na wypadek, gdyby zaatakował. Gdy ruszyłem w jego

stronę, zjeżył się jeszcze bardziej. Przystanąłem, lecz wciąż warczał.

Jed!

Pies posłał mi ostrzegawcze spojrzenie i potruchtał do drzwi, gdzie stała Brennerowa. Miała wrogą twarz.

Czego pan chce? Przyjechałem przygotowany.

Chciałbym jeszcze raz obejrzeć nogę Scotta.

Popatrzyła na mnie podejrzliwie. A może, zdenerwowany, źle to zinterpretowałem.

Już ją pan oglądał.

Wtedy nie miałem ze sobą wszystkich potrzebnych rzeczy. Muszę sprawdzić, czy infekcja się

nie wda. Ale jeśli pani nie chce...

Ruszyłem do samochodu. Westchnęła.

Nie, to niech pan już wejdzie.

Nie okazując, jak bardzo mi ulżyło i jak bardzo byłem zdenerwowany wszedłem do domu. Scott był w

saloniku; leżał wyciągnięty na kanapie przed telewizorem. Chorą nogę trzymał na poduszce.

Doktor przyszedł powiedziała Brennerowa.

Scott usiadł. Robił wrażenie zaskoczonego. I takiego, co to ma coś na sumieniu, pomyślałem. Ale i teraz

mogła zwieść mnie wyobraźnia.

Carl jeszcze nie wrócił.

Nie szkodzi. Przejeżdżałem w pobliżu i pomyślałem, że wpadnę. Przywiozłem opatrunek

antyseptyczny. Próbowałem mówić lekko i swobodnie, lecz nawet ja słyszałem fałsz w moim głosie.

To pan dzwonił do Carla? spytała wrogo matka. Tak, przerwało

nam. Dzwoniłem z komórki.

Czego pan od niego chciał?

Chciałem go przeprosić. To zadziwiające, ale kłamstwo przeszło mi przez gardło bez

najmniejszego bólu. Usiadłem na krześle obok Scotta. Ale teraz bardziej interesuje mnie twoja noga. Mogę

ją obejrzeć?

Spojrzał na matkę i wzruszył ramionami.

No.

Zacząłem odwijać bandaż. Brennerowa obserwowała mnie od drzwi.

Na herbatę nie ma pewnie szans, co? rzuciłem, nie podnosząc głowy. Już myślałem, że mnie

nie poczęstuje. Nagle westchnęła i naburmuszona

znikła w kuchni. Zostaliśmy sami. W pokoju słychać było jedynie bełkot z telewizora i szmer odwijanego

bandaża. Zaschło mi w ustach. Zaryzykowałem i spojrzałem na Scotta. Patrzył na mnie z lekkim

niepokojem w oczach.

Opowiedz mi jeszcze raz, jak to się stało powiedziałem.

Wpadłem w sidła.

Gdzie?

Nie pamiętam.

Zdjąłem bandaż i opatrunek, odsłaniając brzydkie szwy.

Masz szczęście, że nie straciłeś stopy. Ale jeśli wda się infekcja, możesz ją jeszcze stracić.

Niebezpieczeństwo już minęło, ale chciałem nim trochę wstrząsnąć.

To nie była moja wina odparł ponuro. Nie wpadłem w nie celowo.

Być może. Ale jeśli uszkodziłeś sobie nerw, będziesz kulał do końca życia. Powinieneś był

zmienić opatrunek. – Spojrzałem mu prosto w oczy. A może Carl nie pozwolił ci pójść do lekarza?

Uciekł wzrokiem w bok.

Czemu miałby nie pozwolić?

Wszyscy wiedzą, że kłusuje. Miałaby wypytywać go policja tylko dlatego, że brat wpadł w

sidła? To ostatnia rzecz, jakiej by chciał.

To nie były nasze sidła, już mówiłem wymamrotał.

Skoro tak... odparłem, jakby było mi wszystko jedno. Odstawiłem przedstawienie, oglądając

ranę i poruszając jego stopą w górę i w dół. Ale na policję tego nie zgłosiłeś, co?

Zgłosiłem przyznał niechętnie. Jak przyszli tu i pytali.

Nie wspomniałem mu, że to ja powiedziałem o sidłach Mackenziemu.

A Carl?

Co Carl?

Powiedział ci, co mówić? Gwałtownie zabrał nogę.

Co panu do tego?

Carl skłamał policji, prawda? Chciałem, żeby zabrzmiało to racjonalnie, lecz nie zabrzmiało.

Scott łypnął na mnie spode łba. Posunąłem się za daleko. Przegiąłem. Ale nie miałem pojęcia, jak podejść

do tego inaczej.

Spierdalaj stąd! Ale już! Wstałem.

Dobrze. Ale zadaj sobie jedno pytanie: dlaczego kryjesz kogoś, kto zamiast odwieźć cię do

szpitala, woli, żebyś dostał gangreny?

Gówno prawda!

Tak? To dlaczego nie zawiózł cię tam od razu? Widział, że jesteś ciężko ranny, więc dlaczego

szukał mnie?

Bo do pubu było bliżej.

Nie, bo wiedział, że szpital natychmiast zgłosi to policji. Nie chciał cię tam zawieźć, chociaż

rana wymagała szycia.

Coś w jego twarzy kazało mi spojrzeć w dół. Zobaczyłem niezdarnie założone szwy i nagle wszystko

zrozumiałem.

On cię tam nie zawiózł skonstatowałem zdumiony. Dlatego nikt nie zmienił ci opatrunku.

Ty w ogóle nie byłeś w szpitalu.

Scott wbił wzrok w podłogę. Wyparował z niego cały gniew.

Powiedział, że wszystko będzie dobrze.

Kto zakładał szwy? On?

Mój kuzyn Dale odrzekł zażenowany. Był kiedyś w wojsku. Zna się. na tym.

Ten sam kuzyn, którego widziałem na blokadzie drogowej z Carlem.

A potem? Pofatygował się, żeby zmienić ci opatrunek?

Scott żałośnie pokręcił głową. Współczułem mu, lecz nie na tyle, żeby przestać.

Dale pomaga Carlowi w innych rzeczach? Na przykład w kłusowaniu? Scott niechętnie kiwnął

głową.

Byłem blisko. Bardzo blisko. Dwóch mężczyzn. Dwóch myśliwych, w tym jeden ekswojskowy. Dwa różne

noże.

W czym jeszcze?

W niczym. Kłamać to on nie umiał.

Narazili cię na niebezpieczeństwo. Wiesz o tym, prawda?

Dlaczego? Co było aż tak ważne, że

woleli, byś stracił stopę?

Wił się jak piskorz. Skonsternowany zobaczyłem, że ma łzy w oczach. Ale nie mogłem sobie pozwolić na

litość.

Nie chcę, żeby mieli przeze mnie kłopoty szepnąć.

Już je mają. I pamiętaj, że tobą się nie przejmowali. Chciałem przycisnąć go jeszcze bardziej,

ale instynkt kazał mi zamilknąć. Czekałem, aż Scott sam podejmie decyzję.

Zastawiają sidła na ptaki powiedział w końcu. Na te rzadkie. I na zwierzęta, na wydry i

różne takie. Carl mówi, że jest na nie zbyt. I na ptasie jaja. Sprzedają je kolekcjonerom.

Siedzą w tym razem?

Niby tak. Ale Carl poluje częściej. Ptaki trzyma w starym młynie na moczarach.

Mój umysł pracował tak szybko, że omal nie wpadł w poślizg. Młyn stał w ustronnym miejscu. Był

zrujnowany i od lat opuszczony. Albo i nie. Zacząłem owijać mu stopę bandażem.

Właśnie tam wpadłeś w sidła rzuciłem, przypomniawszy sobie, co powiedział, gdy tamtego

wieczora przyszli do pubu. I jak Carl go uciszył.

Scott kiwnął głową.

Kiedy policja zaczęła szukać tych kobiet, Carl przestraszył się, że zajrzą do młyna. Nie pozwala

mi tam chodzić. Mówi, żebym rozkręcił własny interes i trzymał się z daleka. Ale tamtego tygodnia Dale'a

nie było i musiałem pomóc mu wszystko poprzemienić.

Dokąd?

Gdzie się dało. W kilka miejsc. Większość ptaków ukryliśmy tutaj, w przybudówkach. Mama

się wściekła, ale powiedzieliśmy, że to tylko na parę dni, dopóki policja nie przeszuka młyna. Ale potem

wpadłem w te sidła i Carl musiał wozić wszystko sam. Był wyraźnie przybity. Dostał szału. A przecież

nie zrobiłem tego specjalnie.

To były jego sidła? Scott pokręcił głową.

Potem powiedział, że tego szajbusa, który zabija kobiety. Patrzyłem w dół, udając, że jestem

zajęty jego nogą.

A teraz? Trzyma tam coś?

Tak. Nie ma innej kryjówki. Kręci się tu tyle glin, że Dale nie chce przewozić towaru.

Chodzi tam?

Codziennie. Musi dokarmiać ptaki. Martwych nikt nie kupi. Scott

wzruszył ramionami. Ale

nie wiem, czy długo wytrzyma. Sprzedali tylko kilka sztuk.

Trudno mi było zachowywać się normalnie. Starąłem się mówić obojętnie i swobodnie.

Jaką dałeś mu przykrywkę? Spojrzał na mnie skonsternowany.

Co?

Trzęsącymi się rękami zawiązałem bandaż.

Kiedy policja pytała o te zaginione kobiety. Przecież nie mógł im powiedzieć, że akurat

kłusował.

Scott rozciągnął usta w uśmiechu.

A skąd. Powiedzieliśmy im, że przez cały czas był w domu, z nami. Uśmiech szybko zgasł.

Ale nie powie mu pan, że się wygadałem?

Nie. Zachowam to dla siebie.

Już i tak za dużo mu powiedziałem. „On je przetrzymuje. Przez dwa, trzy dni. Przetrzymuje, dręczy i

zabija”. Teraz już wiedział, że policja zna sposób jego działania. Przeze mnie Jenny miała jeszcze mniejsze

szanse na przeżycie.

Boże, co ja zrobiłem?

Wstałem i zacząłem szybko zbierać rzeczy. Wróciła matka z kubkiem herbaty.

Przepraszam, ale muszę już iść.

Niezadowolona zacisnęła usta.

Przecież chciał pan herbaty.

Przepraszam.

Ruszyłem do drzwi. Scott patrzył na mnie tak, jakby żałował tego, co powiedział. Nagle zapragnąłem

stamtąd uciec, zanim pojawi się Carl i spróbuje mnie zatrzymać. Wrzuciłem apteczką do samochodu i

szybko odpaliłem silnik, czując, że Brennerowa obserwuje mnie od drzwi. Land rover potoczył się po

wyboistej drodze.

Gdy tylko zniknęła mi z oczu, wyjąłem komórkę. Ale gdy wybrałem numer Mackenziego, zasięg zaczął

słabnąć, wreszcie zanikł zupełnie.

Cholera jasna, nie teraz. Nie teraz!

Wypadłem na drogę i skręciłem w kierunku starego młyna, modląc się o silniejszy sygnał. Gdy się tylko

pojawił, ponownie wcisnąłem przycisk wybierania.

Włączyła się poczta głosowa. Niech to szlag!

Brennerowie skłamali rzuciłem bez wstępu. Carl... Nagle usłyszałem głos Mackenziego.

Tylko niech mi pan nie mówi, że znowu pan z nim gadał.

Nie z nim, z jego bratem, ale...

Miał pan trzymać się od nich z daleka!

Niech pan tylko posłucha! krzyknąłem. Brenner łapie ptaki i zwierzęta i sprzedaje je ze

swoim kuzynem. Kuzyn nazywa się Dale, Dale Brenner, i służył kiedyś w wojsku. Trzymają te ptaki w

starym młynie na moczarach, dziewięć, dziesięć kilometrów na południe od miasteczka. To właśnie tam

Scott wpadł w sidła.

Chwileczkę. Teraz, gdy przykułem jego uwagę, Mackenzie natychmiast stał się spokojny i

rzeczowy. W tle słyszałem czyjeś przytłumione głosy. Dobrze, wiem, gdzie to jest. Ale byliśmy tam, nic

tam nie ma.

Kiedy szukaliście Lyn Metcałf, wywieźli cały towar, ukryli go, a potem ponownie przewieźli

do młyna. Właśnie wtedy brat Brennera zranił się w nogę. Carl tak bardzo chciał uniknąć spotkania z

policją, że nie zawiózł go nawet do szpitala.

Brenner kłusuje, to już wiemy upierał się Mackenzie.

Ale nie wiecie, że jego rodzina skłamała, żeby go kryć. Ani tego, że myśliwy i były wojskowy

chwytają zwierzęta i ptaki w sidła, że trzymają je w opuszczonym młynie i że co najmniej jeden z nich nie

ma alibi. Wyłożyć to panu jeszcze jaśniej?

To chyba wystarczyło, bo Mackenzie szpetnie zaklął.

Gdzie pan teraz jest?

Właśnie wyszedłem od Brennerów. Nie dodałem, że jestem w drodze do młyna.

A gdzie jest Carl?

Nie mam pojęcia.

Dobrze, niech pan posłucha. Jestem w miasteczku, w centrum koordynacyjnym. Niech pan tu

przyjedzie najszybciej, jak się da.

Jechałem w przeciwnym kierunku.

Po co? Wszystko panu powiedziałem.

Ale chciałbym usłyszeć to jeszcze raz, ze szczegółami. Nie chcę, żeby coś nie wypaliło, jasne?

Milczałem. Jechałem z telefonem przy uchu. Pod oponami samochodu syczał asfalt, z każdą sekundą

zbliżałem się do miejsca, gdzie byłem tego pewien to bydlę przetrzymywało Jenny.

Słyszał pan, doktorze? Zacisnąłem zęby.

Tak, słyszałem.

Zawróciłem i pojechałem do miasteczka.

Niebo nabrało niezdrowego połysku. Słońce przesłonił klin cienkich chmur i światło pożółkło. Po raz

pierwszy od wielu tygodni lekki wiatr niósł zapach czegoś innego niż tylko przegrzanego powietrza.

Gdzieś niedaleko zbierało się na deszcz, ale ponieważ wciąż było wilgotno, upał doskwierał jeszcze

bardziej niż zwykle.

Miałem opuszczone szyby, mimo to zanim dojechałem do

centrum koordynacyjnego, cały spływałem

potem. Wokół przyczepy panował ruch większy niż zwykle. Gdy wszedłem, Mackenzie stał przy stole wraz

z grupą policjantów po cywilnemu i oglądał jakąś mapę; policjanci umundurowani byli w kamizelkach

kuloodpornych. Zobaczył mnie, zamilkł i odęty podszedł bliżej.

Nie będę udawał, że to, co pan zrobił, sprawiło mi radość powiedział, agresywnie wysuwając

podbródek. Doceniam pańską wcześniejszą pomoc, ale to jest policyjne śledztwo. Nie ma tu miejsca dla

nieudolnych cywilów.

Próbowałem powiedzieć panu o Brennerze, ale nie chciał pan mnie słuchać. To co miałem

zrobić?

Chyba miał ochotę mnie zrugać, ale się powstrzymał.

Szef chce z panem rozmawiać.

Zaprowadził mnie do grupy oficerów przy stole i przedstawił. Wyciągnął do mnie rękę mężczyzna z miną

srogiego dowódcy.

Inspektor Ryan. Rozumiem, że ma pan dla nas jakieś informacje.

Trzymając się nagich faktów,

opowiedziałem mu to, czego dowiedziałem

się od Scotta. Gdy skończyłem, spojrzał na Mackenziego.

Zna pan tego Brennera?

Już go przesłuchiwaliśmy, tak. Pasuje do profilu, ale ma alibi zarówno na dzień zaginięcia Lyn

Metcalf, jak i Jenny Hammond. Potwierdziła je rodzina.

Jeszcze jedno wtrąciłem. Serce waliło mi jak młotem, ale musieli o tym wiedzieć. Wczoraj

powiedziałem Brennerowi, że morderca nie zabija ofiar od razu i że o tym wiecie.

Jezus Maria... sapnął Mackenzie.

Chciałem, żeby zrozumiał, że chodzi o coś więcej niż tylko o niego i Bena Andersa.

Usprawiedliwienie to, a raczej próba usprawiedliwienia, zabrzmiało fatalnie nawet dla mnie. Twarze

policjantów były wrogie i pełne odrazy. Ryan krótko skinął głową.

Dziękujemy, że pan przyjechał powiedział zimno. Zechce nam pan wybaczyć. Mamy dużo

pracy. 1 odwrócił się do mnie plecami.

Mackenzie wyprowadził mnie z przyczepy. Panował nad sobą, dopóki nie wyszliśmy.

Cholera jasna, co pana opętało? Dlaczego mu pan powiedział?

Bo wiedziałem, że przesłuchiwalicie nie tego człowieka, co trzeba! I niech pan mi wierzy, bez

względu na to, co mi pan zarzuci, nie będę żałował tego bardziej, niż żałuję.

Mackenzie przejrzał wreszcie na oczy i spuścił parę.

Może nie będzie to miało aż takiego znaczenia. Jeśli Scott nic nie powie, Carl nie domyśli się, że

go podejrzewamy.

Wcale mnie to nie pocieszyło.

Przeszukacie ten młyn?

Jak tylko będziemy mogli. On ma zakładniczkę, nie możemy iść tam bez przygotowania.

Przecież to tylko Brenner i jego kuzyn!

Ale mogą być uzbrojeni, a kuzyn jest byłym wojskowym. Nie można atakować bez planu.

Mackenzie westchnął. Zdaję sobie sprawę, że panu ciężko. Ale my wiemy, co robimy. Rozumie pan?

Proszę mi zaufać.

Chcę jechać z wami. Stężyła mu twarz.

Wykluczone.

Zostanę przy samochodach. Nie będę przeszkadzał.

Odpada.

Na miłość boską, ona ma cukrzycę! Podniosłem głos i zaczęli gapić się na nas ludzie. Jestem

lekarzem dodałem ciszej. Jenny musi natychmiast dostać zastrzyk insuliny. Może być ranna albo w

śpiączce.

Będzie karetka i sanitariusze. Spróbowałem jeszcze raz.

Ja muszę tam być. Proszę!

Ale on szedł już do przyczepy. Jakby po namyśle odwrócił się i powiedział:

I niech pan nie myśli nawet o tym, żeby pojechać tam samemu. Lepiej, żeby nam pan nie

przeszkadzał. Choćby dla dobra pańskiej przyjaciółki.

Nie musiał dodawać tego, o czym obydwaj pomyśleliśmy. Że już i tak narozrabiałem.

Dobrze.

Mam pana słowo?

Wziętem głęboki oddech.

Tak.

Mackenzie złagodniał, ale tylko trochę.

Niech pan spróbuje zachować spokój. Zadzwonię, jak tylko się czegoś dowiem.

Zostawił mnie tam i wszedł do przyczepy.

Rozdział 27

Latem, gdy skończyła dziesięć lat, rodzice zabrali ją do Kornwalii. Rozbili namiot na kempingu w Penzance

i pewnego dnia ojciec zawiózł ich nad małą zatokę. Być może jakoś się nazywała, ale ona nie wiedziała jak,

pamiętała tylko drobniutki, biały piasek i wysoki klif z ptakami w gniazdach. Dzień był gorący, a morze

rozkosznie chłodne. Bawiła się w cieniu i na plaży, a potem leżała na słońcu i czytała książkę, *Opowieści z*

Narni CS. Lewisa. Czuła się bardzo dorosła, że czyta na wakacjach.

Zostali tam cały dzień. Nad zatoczką były i inne rodziny, ale

jedna po drugiej odjechały i wreszcie zostali

tylko oni. Słońce powoli opadało do morza, rzucając coraz dłuższe i dłuższe cienie. Nie chcąc, żeby dzień

się skończył, czekała, aż któreś z rodziców przeciągnie się i oznajmi, że pora jechać. Ale żadne tego nie

zrobiło. Minęło popołudnie, zaczął się wieczór, a oni wciąż nie chcieli wracać, tak samo jak ona.

Gdy się ochłodziło, włożyli swetry i śmiali się z gęsiej skórki na rękach matki, gdy ta postanowiła

przepląnąć się ostatni raz. Ujście zatoczki wychodziło na zachód, mieli więc widok na tonące w morzu

słońce. Było cudowne, szeroka smuga złota i szkarłatu, a oni siedzieli we troje i w milczeniu patrzyli, jak

zachodzi, jak powoli zapada zmierzch. Ojciec poruszył się dopiero wtedy, gdy ostatnie promienie zniknęły

za horyzontem.

Już pora powiedział.

I poszli plażą w gęstniejącym mroku, zachowując w pamięci wspomnienie najpiękniejszego dnia jej

dzieciństwa.

Myślała o tym i teraz, wyczarowując tamten dotyk słońca i

niecierpliwy szelest piasku przesypującego się

między palcami. Czuła zapach kokosowego olejku do opalania matki, słonawy smak morza na wargach.

Zatoczka wciąż gdzieś tam była i Jenny niemal wierzyła, że we wszechświecie istnieje też druga, młodsza

Jenny, dziewczynka z tamtego nigdy niekończącego się dnia.

Gdy leżała na podłodze celi, ból odciętego palca zlał się z bólem innych ran, tworząc przelewającą się falę,

która porwała ją i uniosła. Ale teraz nawet ból zdawał się czymś odległym, jakby zamiast doświadczać,

obserwowała go z boku. To traciła, to odzyskiwała przytomność i coraz trudniej jej było odróżnić zwidy i

urojenia od okrutnej rzeczywistości. Z jednej strony, wiedziała, że to zły znak, że to pierwsze objawy

śpiączki. Z drugiej jednak, może było to lepsze od tego, co szykował dla niej oprawca. Hej, bądź opty

mistką. Tak czy inaczej, wiedziała, że tu umrze.

Byłoby o wiele lepiej, gdyby umarła, zanim tamten wróci.

Pomyślała o rodzicach, zastanawiając się, co zrobią, gdy się dowiedzą. Współczuła im, ale jakby na

dystans. Głębszym smutkiem napawała ją myśl o Davidzie. Ale

na to też nic nie mogła poradzić. Nawet

strach rozmył się i rozplynał jak coś oglądanego przez warstwę wody. Jedynym uczuciem, które wciąż

płonęło w niej żywym ogniem, był gniew. Gniew na człowieka, który roztrwonił jej życie z taką łatwością,

jakby rozrzucił w polu garść pyłu.

W przebłysku świadomości próbowała rozwiązać węzeł na kostce, lecz nie zdołała. Nie miała siły w

palcach, poza tym cała się trzęsła. Wyczerpana osunęła się bezwładnie na podłogę i znowu wpadła w

delirium. Raz wydawało jej się, że ma nóż, ten sam, którym poranił ją oprawca. Był wielki i błyszczący jak

miecz, tak że bez trudu przecięła nim sznur, lekka jak piórko uniosła się w powietrze i poszybowała ku

słońcu i wolności.

Sen nagle pierzchnął i znowu znalazła się na podłodze brudna i zakrwawiona.

Jakiś zgrzyt. Początkowo myślała, że znowu śni, bo nawet smuga światła, która wpadła do celi, zlewała się

idealnie z błękitnym niebem, trawą i drzewami. Dopiero gdy coś ostrego i zimnego jak lód uderzyło ją w

twarz, otwierając zasklepioną ranę na policzku, ponownie zdała sobie sprawę, gdzie jest. Ktoś chwycił ją za ramiona i gwałtownie potrząsnął.

David? szepnęła, próbując rozpoznać rozmazaną twarz, która się nad nią pochylała. A może

tylko chciała szepnąć, gdyż z jej ust wydobył się jedynie cichy, chrapliwy jęk.

Ktoś uderzył ją na odlew tak mocno, że odskoczyła jej głowa.

Obudź się! Obudź!

Skupiła wzrok i obraz się wyostrzył. Och nie, to nie David. Twarz mężczyzny wykrzywiały gniew i

rozczarowanie. Do oczu nabiegły jej łzy. A więc jednak nie dane jej było umrzeć w porę. To

niesprawiedliwe. Ale już zaczynała odpływać. Ledwo zauważyła, że ją upuścił. Mocno uderzyła głową w

ziemię, lecz ból tylko ją zirytował.

Nagle skurczyła się w sobie i zapadła. Zimny wstrząs, lodowaty szok. Na chwilę zamarło jej serce. Nie

mogła oddychać, bo przepona stwardniała jak kamień. Z trudem wzięła haust powietrza, potem drugi,

szybko zamrugowała, żeby woda nie zalała jej oczu i zobaczyła, że

nad nią stoi. Z pustym, wciąż kapiącym
wiadrem w ręku.

Jeszcze nie! Nie umieraj! Nie teraz!

Rzucił wiadro, chwycił ją za stopę, kilkoma szybkimi ruchami
rozwiązał węzeł, szarpnął ją, dźwignął z

podłogi i zawlókł na drugi koniec piwnicy. Było tam ceglane
przepierzenie. Rzucił ją na twardą posadzkę.

Spojrzała w górę i chociaż dwoiło jej się w oczach, zobaczyła
zardzewiały kran sterczący ze ściany. Zaraz

potem spostrzegła coś jeszcze i widok ten przedarł się nawet
przez gęstą insulinową mgłę. Tuż obok niej

była okrągła, żelazna studzienka ściekowa i w nagłym przebłysku
intuicji domyśliła się, co miało tam

ściekać.

Leżała w miejscu, gdzie oprawca zabijał swoje ofiary.

Wrócił z workiem. Rozwiązał go i tuż obok jej głowy wylądował
kłąb ptasich piór. Przerażona spojrzała

prosto w żółte ślepia sowy.

Mądry ptak powiedział z uśmiechem mężczyzna. Dla
nauczycielki. Z nożem w ręku nachylił

się i chwycił sowę za nogi. Były związane, lecz

gdy ją podniósł, sowa gwałtownie się szarpnęła i kurczowo przywarła do jego dłoni. Raptem dziko

załopotała skrzydłami, nóż zaklekotał na podłodze, a mężczyzna cisnął nią wtedy w ścianę. Buchnął ptasi

puch i miękko pacnęła na beton. Mężczyzna spojrzął bez słowa na rozoraną dziobem dłoń, na kapiącą

krw. Dobrze ci tak, pomyślała radośnie Jenny i ściany piwnicy znowu zaczęły się rozmazywać. Lecz gdy

przytknął rękę do ust, żeby wyssać ranę, spotkali się wzrokiem i po jego oczach poznała, że podjął decyzję.

Jeszcze nie, pomyślała. Jeszcze trochę. Potem będzie mi wszystko jedno. Ale on już ku niej szedł.

Trzymasz jej stronę, co? Biedna sowa. Biedna mała sówka...

Stał nad nią zamyślony. Nagle przekrzywił głowę. Jak przez szarą mgłę Jenny zobaczyła, że ma

zaskoczoną minę. Chociaż dźwięki docierały do niej jak zza wacianego kokonu, chwilę później ona też to

usłyszała. Ciężki stukot.

Na górze ktoś był.

Rozdział 28

Przed stu pięćdziesięciu laty stary młyn był dumą Manham. Tak naprawdę nie był to jednak młyn, tylko

napędzana wiatrem pompa melioracyjna, jedna z setek takich pomp rozsianych po całym Broads. Teraz

jednak był jedynie rozpadającą się skorupą bez śladu dawnej świetności. Z jego majestatycznych skrzydeł

pozostała tylko dziura w spękany murze, a otaczający go teren ponownie wzięła w posiadanie przyroda.

Z biegiem lat na podmokłym gruncie wyrósł karłowaty las, tak że młyn był dobrze ukryty.

Lecz bynajmniej nie opuszczony.

Przebieg wydarzeń odtworzyłem z tego, co opowiedział mi później Mackenzie. Zamierzali przeprowadzić

jednoczesny nalot i na sam młyn, i na dom Brennerów, i na domek Dale'a Brennera. Jego celem miało być

schwywanie i zatrzymanie obydwu mężczyzn, zanim zdążyliby się wzajemnie ostrzec lub zanim

ostrzegłaby ich rodzina. Chociaż plan wymagał dłuższych przygotowań, dawał Jenny największą szansę

przeżycia. Oczywiście pod warunkiem, że wszystko poszłoby zgodnie z założeniami.

A ja mógłbym im powiedzieć, że nigdy nie idzie.

Mackenzie pojechał z taktyczną grupą operacyjną, która miała zaatakować młyn. Gdy samochody i

furgonetki z ubranymi w kamizelki kuloodporne policjantami dotarły na miejsce, zapadał już zmierzch.

Byli tam ludzie z jednostki szybkiego reagowania i sanitariusze z karetką pogotowia, gotowi natychmiast

przewieźć do szpitala Jenny i każdego innego. Ponieważ do młyna można było dotrzeć tylko wąską,

zarośniętą dróżką, postanowiono zaparkować na skraju lasu i dojść do celu na piechotę.

Doszli i kryjąc się za drzewami, obstawili tylne okna i drzwi. Podczas gdy oni zajmowali pozycję,

Mackenzie uważnie obserwował niszczący budynek. Robił wrażenie pustego i opuszczonego, a w

gasnącym świetle dnia jego ciemne, ceglane ściany zdawały się wchłaniać gęstniejący mrok. Zasycał

radionadajnik: wszyscy byli już na wyznaczonych pozycjach. Mackenzie spojrzał na dowódcę grupy

operacyjnej. Krótco skinął głową.

Zaczynajcie.

Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Docierało do mnie jedynie to, że nie mogę nic zrobić, i czekając,

przeżywałem katusze. Zdawałem sobie sprawę, że Mackenzie ma rację. Widziałem zbyt wiele

spartaczonych policyjnych operacji, by wiedzieć, że trzeba je dobrze zaplanować. Lecz świadomość ta

wcale nie podnosiła mnie na duchu.

Było oczywiste, że w policyjnej przyczepie widziano by mnie bardzo niechętnie. Ale nie mogłem poradzić

sobie z frustrującym oczekiwaniem, z obserwowaniem ich ponurych twarzy i domyślaniem się, co też

może się tam teraz dziać. Wróciłem do samochodu i zadzwoniłem do Bena. Miał czekać na mój telefon.

Trzęsącymi się rękami wybrałem numer.

A może wpadniesz do mnie? zaproponował. Pomożesz mi skończyć tę flaszkę. Towarzystwo

dobrze ci zrobi.

Byłem mu wdzięczny za troskę, lecz odmówiłem. Alkohol był ostatnią rzeczą na jaką miałem teraz ochotę.

Towarzystwo też. Pożegnałem się z nim i spojrzałem w okno. Niebo nad Manham miało barwę ciemnej

miedzi i zasnuwały je jeszcze ciemniejsze chmury. W powietrzu czuło się zapowiedź deszczu. Fala upałów

kończyła się z prawdziwym wyczuciem, w najbardziej odpowiednim momencie. Tak jak wiele innych rzeczy.

Wyskoczyłem z samochodu, zamierzając jeszcze raz prosić Mackenziego, chcąc namówić go do tego, żeby

pozwoił mi się z nimi zabrać. Ale tuż przed przyczepą przystanąłem. Nie. Wiedziałem, co by mi

odpowiedział, poza tym, przeszkadzając im, nie pomógłbym Jenny.

I nagle mnie olśniło. Dobrze, nie mogłem pojechać tam z nimi, ale zawsze mogłem pojechać sam. Pojechać

i poczekać w pobliżu młyna. Na to nie potrzebowałem ich pozwolenia. Mógłbym też zabrać insulinę dla

Jenny. Plan był marny, lecz uznałem, że lepsze to niż nic. Straciłem już Karę i Alice. Po prostu nie mogłem

siedzieć z założonymi rękami, podczas gdy tam decydował się los Jenny.

Nie wozilem insuliny w podręcznej apteczce, ale w lodówce mieliśmy spory zapas. Szybko wsiadłem do

samochodu, wróciłem do przychodni i nie wyłączając silnika, wpadłem do środka. Wieczorny dyżur już się

skończył, ale Janice jeszcze nie wyszła. Spojrzała na mnie

zaskoczona i powiedziała:

Pan doktor? Nie wiedziałam, że pan... Są nowe wiadomości?

Bardzo się spieszyłem, więc tylko pokręciłem głową. Wbiegłem do gabinetu Henry'ego i gwałtownym

szarpnięciem otworzyłem lodówkę. Nie obejrzałem się, gdy wjechał do pokoju.

David, co ty, do licha, robisz?

Szukam insuliny. Grzebałem wśród butelek i pudełek. Cholera jasna, gdzie ona jest?

Uspokój się, powiedz, co się stało!

To Carl Brenner i jego kuzyn. Trzymają Jenny w tym starym młynie. Policja organizuje na nich

nalot.

Carl Brenner? Chwilę trwało, zanim to do niego dotarło. Ale po co ci insulina?

Jadę tam. Buteleczka z insuliną stała tuż pod moim nosem. Chwyciłem ją i otworzyłem

stalową szafkę, gdzie trzymaliśmy strzykawki.

To nie będzie tam karetki?

Nie odpowiedziałem, uparcie szperając na półkach w

poszukiwaniu jednorazówek.

David, pomyśl tylko. Na pewno będą tam sanitariusze z insuliną! wszystkim innym. Wpadniesz

do młyna jak burza i co? Co zrobisz?

Tym do mnie trafił. Rozgorączkowanie minęło. Maniakalna energia, która mnie dotąd napędzała, nagle się

wyczerpała. Gapilem się głupio na insulinę i strzykawkę.

Nie wiem odparłem chrapliwie. Henry westchnął.

Odłóż to powiedział łagodnie.

Jeszcze raz popatrzyłem na strzykawkę i powoli je odłożyłem. Wziął mnie za rękę.

Usiądź. Wyglądasz koszmarnie.

Pozwoliłem mu zaprowadzić się do krzesła, lecz nie usiadłem.

Nie mogę. Muszę coś zrobić. Spojrzał na mnie zatroskany.

Wiem, że ci ciężko. Ale czasami jest tak, że nie da się nic zrobić, chociaż bardzo się chce.

Ścisnęło mnie w gardle. Od łez zapiekło w oczach.

Chcę tam być. Kiedy ją znajdą. Henry milczał przez chwilę.

David... powiedział nieśmiało. Wiem, że wołałbyś tego nie

słyszeć, ale nie sądzisz, że

powinieneś się... przygotować?

Poczułem się tak, jakby ktoś grzmotnął mnie pięścią w brzuch.
Nie mogłem oddychać.

Wiem, że bardzo ją lubisz, ale...

Nie kończ. Zmęczony kiwnął głową.

Dobrze. Dam ci kielicha i...

Nie chcę! Ugryzłem się w język. Nie mogę tu siedzieć i czekać.
Po prostu nie mogę.

Henry miał bezradną minę.

Nie wiem, co powiedzieć. Tak mi przykro.

Daj mi coś do roboty. Coś, cokolwiek.

Kiedy nic nie ma. Została tylko jedna wizyta, ale...

Gdzie? U kogo?

U Irenę Williams, ale to nic pilnego. Lepiej zostań i...

Ale ja już szedłem do drzwi. Zapomniałem nawet o karcie
zdrowia, ledwo spojrzałem na zaniepokojoną

Janice. Musiałem być w ruchu, musiałem zapomnieć, że nie
mam wpływu na to, czy Jenny przeżyje czy nie.

Jadąc do małego, segmentowego domku na skraju miasteczka, gdzie mieszkała Irenę Williams,

próbowałem myśleć o czymś innym. Irenę, gadatliwa staruszka w wieku siedemdziesięciu kilku lat, ze

stoickim spokojem i dobrym humorem czekała na operację artretycznego biodra. Zwykle lubiłem do niej

jeździć, ale tego wieczoru nie potrafiłem gadać o niczym.

Milczący pan dzisiaj zauważyła, gdy wypisywałem receptę. Mowę panu odjęło?

Nie, jestem po prostu zmęczony. W tym samym momencie spostrzegłem, że zamiast środków

przeciwbólowych, przepisałem jej insulinę. Zmiałem receptę i wziąłem kolejną.

Irenę zachichotała.

Myśli pan, że nie wiem, co panu jest? Wiem.

Bez słowa podniosłem wzrok. Uśmiechała się do mnie, demonstrując sztuczne zęby, jedyną część starej,

pomarszczonej twarzy, która zachowała młodość.

Potrzeba panu miłej dziewczyny Żeby trochę pana rozweseliła. Omal stamtąd nie wybiegłem.

Ukrywszy się w bezpiecznym wnętrzu land

rovera, oparłem głowę o kierownicę. Spojrzałem na zegarek. Wskazówki poruszały się z szyderczą

powolnością. Nie, było jeszcze za wcześnie. Z doświadczenia wiedziałem, że tamci wciąż gadają, instruują

policjantów z grupy operacyjnej, dopracowują plany.

Sprawdziłem telefon. Zasięg był słaby, jednak wystarczył, żeby się do mnie dodzwonić. Nic. Żadnych

wiadomości. Przez przednią szybę popatrzyłem na ulicę. I wtedy uderzyło mnie, jak bardzo nie znoszę

tego miasteczka. Tych kamiennych domów, tego płaskiego, podmokłego krajobrazu. Tych podejrzliwych i

pełnych urazy ludzi. Tego zwyrodniałego mordercy, który mieszkał tu, nie rzucając się w oczy, dopóki nie

zwyciężyła trawiąca go choroba. Ale najbardziej dobijało mnie to, że Manham dało mi Jenny i zaraz mi ją

odebrało. Widzisz? Tak mogło wyglądać wasze życie.

Rozgorączkowanie minęło równie szybko, jak szybko mną owładnęło, pozostawiając po sobie mdławy

osad. Niebo pokrywały ciemne chmury przypominające powiększający się siniak. Odpaliłem silnik.

Mogłem tylko wrócić do domu, usiąść, siedzieć i czekać na telefon, który mnie przerażał. Myśl ta dławiła

mnie i dusiła.

I nagle coś mi się przypomniało. Gdy tamtego poranka rozmawiałem na cmentarzu ze Scarsdale'em, Tom

Mason powiedział, że jego dziadek znowu ma kłopoty z kręgosłupem. Miewał je regularnie, co było ceną

za życie spędzone nad klombami i grządkami innych. Wizyta potrwałaby tylko kilka minut, poza tym

choć na chwilę zapomniałbym o nieuniknionym telefonie od Mackenziego. Z rozpaczliwą niemal ulgą

zawróciłem i pojechałem do domu Masonów.

Stary George i jego wnuk mieszkali nad jeziorem, na skraju lasu, w dawnej stróżówce czy wartowni.

Masonowie byli ogrodnikami od wielu pokoleń i jako młody człowiek George pracował w ratuszu, zanim

go nie zburzono. Po okazałym niegdyś gmachu pozostało jedynie to maleńkie, starannie utrzymane

poletko pośród agresywnego lasu.

Zza drzew przebijał spiżowy poblask jeziora. Zaparkowałem na podwórzu i ruszyłem do drzwi. Miały na

górze dużą matową szybę, która cicho zabrzęczała, gdy zapukałem. Cisza. Zapukałem ponownie.

Czekałem. Po niebie przetoczył się grzmot i powietrze zawibrowało. Spojrzałem w górę i zaskoczony

stwierdziłem, że światła szybko ubywa. Kłębiące się chmury przyspieszyły koniec dnia. Zapadała

ciemność.

Nagle zdałem sobie sprawę z czegoś jeszcze. W domu nie paliło się światło, a przecież powinno się palić,

skoro ktoś tam był. Mieszkali tylko we dwóch, George i Tom, bo rodzice Toma zmarli, gdy ten był jeszcze

dzieckiem. A może George'owi polepszyło się na tyle, że wrócił do pracy? Ruszyłem z powrotem do

samochoodu, lecz po kilku krokach przystanąłem. Coś nie dawało mi spokoju, poczucie, że coś przeoczyłem.

Zapadła upiorna cisza, jak to bywa przed burzą. Rozejrzałem się wokół, dziwnie przeświadczony, że

zaraz coś się wydarzy, że to wprost nieuchronne. Ale nie wydarzyło się nic.

Podskoczyłem, gdy coś pacnęło na moje nagie ramię. Rozpłaszczyła się na nim kropla deszczu. Zaraz

potem niebo rozświetliła błyskawica i na ułamek sekundy wszystko spowiła oślepiająca biel. Chwilę

później w napiętej ciszy usłyszałem, a raczej wyczułem jakiś

dźwięk. Momentalnie zagłuszył go agresywny

grzmot, ale nie, to na pewno nie było złudzenie. Usłyszałem niskie, niemal podprogowe brzęczenie,

brzęczenie aż za dobrze mi znane.

Muchy.

I podczas gdy ja próbowałem zrozumieć, co to znaczy, ponury Mackenzie stał wśród przerażonych ptaków

i zwierząt w klatkach, słuchając zdyszanego policjanta, który tylko potwierdził jego podejrzenia.

Sprawdziliśmy wszędzie. Nikogo tu nie ma.

Rozdział 29

Trudno było ustalić, skąd dochodzi brzęczenie. Wiedziałem tylko, że z domu. Lecz ciemne okna, które gapiły się na mnie jak oczy ślepeca, niczego mi nie podpowiedziały. Podszedłem do najbliższego i zajrzałem do środka. Zobaczyłem tylko mroczną kuchnię, nic więcej. Podszedłem do sąsiedniego. Mały pokój. Martwy ekran telewizora i dwa zniszczone fotele.

Ruszyłem do drzwi. Przystanąłem, podniosłem rękę, żeby ponownie zapukać, ale zaraz ją opuściłem.

Gdyby ktoś tam był, już dawno by mi otworzył. Zawahałem się, nie wiedząc, co robić. Wiedziałem jednak,

co słyszałem. Wiedziałem też, że nie mogę tego zignorować.

Podniosłem rękę. Jeśli drzwi będą zamknięte,
trudno, siła wyższa. Przekręciłem klamkę.

Drzwi się otworzyły.

Ponownie się zawahałem, w pełni świadomy, że nie powinienem
nawet o tym myśleć. I wtedy poczułem

ten zapach. Słodkawy odór, aż za dobrze mi znany fetor.

Pchnąłem drzwi i zobaczyłem ciemny korytarz. Ten smród. Nie
miałem już żadnych wątpliwości. Zaszło

mi w ustach. Wyjąłem telefon, żeby zadzwonić na policję. Nie
mogli mi już zarzucić, że boję się własnego

cienia. W tym domu zdechło jakieś zwierzę albo ktoś w nim
umarł. Zacząłem wybierać numer i w tym

samym momencie uświadomiłem sobie, że nie ma zasięgu. Dom
Masonów stał w martwej strefie.

Zakląłem, zastanawiając się, jak długo jestem poza zasięgiem i
czy w tym czasie dzwonił do mnie

Mackenzie.

Z drugiej strony, dawało mi to mi kolejny powód, żeby wejść do
środka. Bo nawet gdybym nie musiał teraz

szukać telefonu stacjonarnego, nie miałem już wyboru. Nie
chciałem tam zaglądać, lecz nie mogłem też tak

po prostu odejść.

Odór natychmiast przybrał na sile. Przystanąłem na korytarzu, próbując wyczuć atmosferę domu. Na

pierwszy rzut oka był czysty i wysprzątnany, ale wszędzie leżała gruba warstwa kurzu.

Halo?! zawołałem.

Cisza. Po prawej stronie były drzwi. Otworzyłem je i znalazłem się w kuchni, którą widziałem przez okno.

Brudne naczynia w zlewie, zakrzepłe i rozkładające się resztki jedzenia na talerzach. Ożyło kilka tłustych

much, lecz to nie ich brzęczenie słyszałem przed domem. Tu, w kuchni, było ich po prostu za mało.

Kuchnia, a tuż obok równie opustoszały pokój. Stały w nim tylko dwa zakurzone fotele i telewizor.

Telefonu nie było. Wróciłem do korytarza i stanąłem u stóp schodów. Wyściełający je bieżnik był stary i

przetarty, a ich szczyt ginął w mroku. Położyłem rękę na poręczy.

Nie chciałem tam iść. Ale zabrnąwszy tak daleko, nie mogłem przecież wyjść i tak zwyczajnie odjechać. Na

ścianie był włącznik światła. Pstryknąłem dźwignią i przerażony podskoczyłem, bo żarówka zapaliła się i

z głośnym trzaskiem zgasła. Powoli ruszyłem na górę. Z każdym krokiem smród stawał się coraz

silniejszy. Dołączył do niego inny zapach, mdławy i smolisty, zapach, który skądś znałem. Ale nie miałem

czasu się nad tym zastanawiać. Schody wychodziły na korytarz. W prawie całkowitej ciemności do

strzegłem zapuszczoną łazienkę i dwoje drzwi. Otworzyłem te pierwsze. Pojedyncze łóżko, zmięta pościel,

naga, niepomalowana podłoga. Podeszedłem do drugich. Smolisty zapach przybrał na sile. Położyłem rękę

na klamce. Przekręciłem ją i przez chwilę myślałem, że są zamknięte. Lecz nagle ustąpiły, a wówczas

pchnąłem je i otworzyłem.

W twarz uderzyła mnie czarna chmura much. Odpędziłem je, dławiąc się ciepłym smrodem buchającym z

pokoju. Myślałem, że zdążyłem już przywyknąć do trupiego zapachu, lecz ten był obezwładniający. Jedna

po drugiej, rozhisteryzowane muchy powróciły na łóżko i ponownie obsiadły leżącego na nim człowieka.

Zasłoniłem ręką usta i oddychając krótkim, urwanym oddechem, podeszedłem bliżej.

Moją pierwszą reakcją była ulga. Zwłoki były w stanie daleko

posuniętego rozkładu i chociaż na pierwszy

rzut oka nie mogłem powiedzieć, czy jest to mężczyzna czy kobieta, nie ulegało wątpliwości, że leżą tu już

od jakiegoś czasu. Na pewno dłużej niż dwa dni. Dzięki ci, Boże, pomyślałem ze słabą nadzieją.

Gdy stanąłem przy łóżku, zdenerwowane muchy poruszyły się niespokojnie. Zapadł zmrok i były teraz

mniej aktywne niż za dnia. Gdybym przyjechał tu wcześniej lub gdyby nie przeszkodziła im błyskawica,

mógłbym nie usłyszeć ich charakterystycznego brzęczenia. Dopiero teraz spostrzegłem, że okno jest lekko

uchylone. Za mało, żeby zapewnić wymianę powietrza w pokoju, jednak na tyle szeroko, żeby zwabione

kuszącym zapachem rozkładu muchy wleciały tu i złożyły jaja.

Jego głowa leżała na poduszce, ręce na prześcieradle. Przy łóżku stała stara, drewniana szafka, a na niej

pusta szklanka i milczący budzik. Tuż obok leżały męski zegarek i fiolka z jakimiś proszkami. Było za

ciemno, żeby przeczytać napis na naklejce, lecz akurat w tym momencie pokój ponownie rozświeciła

błyskawica i w oczach zachował mi się migawkowy obraz pokoju. Wypłowiła tapeta w kwiecisty wzorek,

oprawione w ramki zdjęcie nad łóżkiem i naklejka:
KOPROKSAMOL, środek przeciwbólowy na receptę dla
George'a Masona.

Staremu ogrodnikowi mógł dokuczać kręgosłup, lecz to nie
dlatego nie widziano go ostatnio w

miasteczku. Przypomniało mi się co powiedział Tom, gdy
spytalem go o dziadka. „Boli go, jeszcze leży”.

Zastanawiałem się, kiedy umarł. I jak to świadczy o
mieszkańcach Manham, skoro żaden z nich nie
zauważył jego nieobecności.

Pamiętałem, żeby niczego tam nie dotykać. Wyglądało to raczej
na tragedię domową niż na miejsce

zbrodni, jednak nie chciałem zatrzeć żadnych śladów. Ktoś
będzie musiał ustalić, na co starzec umarł i

dlaczego wnuk nikogo o tym nie zawiadomił. Nie był to czyn
człowieka zdrowego umysłowo, jednak ból

po stracie bliskiego jest uczuciem bardzo dziwnym. Tom nie
byłby pierwszą osobą która woląa żyć w

nieświadomości, nie dopuszczając do siebie myśli, że kogoś,
kogo kochał, już nie ma.

Gdy wyszedłem na korytarz, ponownie uderzył mnie ten smolisty
zapach. Teraz, przy otwartych drzwiach,

widać było grube, czarne smugi na futrynie. Do progu przywarł kawałek zmiętej gazety, posmarowanej

tym samym mazidłem. Mazidło. Przypomniało mi się, z jakim trudem otworzyłem drzwi. Ostrożnie

dotknąłem futryny i poczułem, że kleją mi się palce.

To był lepik.

I już wiedziałem, co nie dawało mi spokoju od rozmowy na cmentarzu. Pośród zapachu kwiatów i świeżo

ściętej trawy wyczułem inny słaby zapach. Byłem wtedy zbyt rozkojarzony, żeby o tym myśleć, ale teraz

natychmiast go rozpoznałem. Tak, to był zapach lepiku bijący albo od Masona, albo od narzędzi, którymi

uszczelnił sypialnię dziadka.

Lepik. Ta sama substancja, którą znalazłem w wyłobieniu od noża na kręgu szyjnym Sally Palmer.

Próbowałem się uspokoić, próbowałem to przemyśleć. Tom Mason mordercą? Zdawało się, że to

niewyobrażalne. Był człowiekiem zbyt łagodnym, zbyt prostym, żeby zaplanować te wszystkie

potworności, nie wspominając już o tym, żeby się ich dopuścić.

Z drugiej jednak strony, od początku wiedzieliśmy, że pod

latarnią najciemniej, że morderca ukrywa się

wśród nas. Mason był w tym dobry; cierpliwie pracował na cmentarzu i na miejskim skwerku, wtapiając

się w tło tak skutecznie, że nikt go tak naprawdę nie zauważał. Zawsze w cieniu dziadka, cichy i

małomówny nigdy nie wywierał na nikim żadnego wrażenia.

Aż do dzisiaj.

Próbowałem wmówić sobie, że wyciągam pochopne wnioski. Bo przecież nie dalej jak przed kilkoma

minutami byłem święcie przekonany, że to Carl Brenner jest mordercą. Ale Mason też pasował do profilu.

I to nie Brenner trzymał w swoim domu rozkładające się zwłoki dziadka. To nie on chciał uszczelnić drzwi

i zagłuszyć trupi odór tym samym lepiszczem, którego ślady znalazłem na kręgu szyjnym martwej Sally.

Zapomniawszy, że nie ma zasięgu, trzęsącymi się rękami wyjąłem telefon, żeby zadzwonić do

Mackenziego. Zakląłem i zbiegłem schodami na dół. Tak, musiałem zawiadomić go o moim znalezisku, ale

nie mogłem odjechać, nie upewniwszy się przedtem, czy nie ma tu Jenny. Jak burza pędziłem przez ciemny

dom, otwierając wszystkie drzwi i zaglądając do wszystkich pomieszczeń. W żadnym nie znalazłem ani

śladu życia, ani choćby telefonu.

Wypadłem na dwór i spróbowałem zadzwonić z samochodu z nadzieją że kapryśna atmosfera przywróciła

zasięg. Nic z tego, sygnału wciąż nie było. Gdy odpalałem silnik, po niebie przetoczyła się seria głuchych

grzmotów. Było już zupełnie ciemno, a w przednią szybę zabębniły krople deszczu. Podwórze było za

małe, żeby na nim zawrócić, wrzuciłem więc wsteczny. Gdy ruszyłem do tyłu, światło reflektorów land

rovera omiotło rosnące w oddali drzewa i coś między nimi błysnęło.

Natychmiast wcisnąłem pedał hamulca i gdyby samochód nie miał automatycznej skrzyni biegów, na

pewno zadławiłbym silnik. Wbiłem wzrok w tamto miejsce, lecz niczego nie dostrzegłem. Czując, że

znowu zaschło mi w ustach, lekko skręciłem kierownicę i powolutku ruszyłem do przodu. Światło

reflektorów ponownie omiotło drzewa i ponownie coś między nimi zabłyszczało.

Był to żółty prostokąt tablicy rejestracyjnej samochodu.

Dopiero teraz zauważyłem, że droga, którą tu przyjechałem, nie kończy się na podwórzu, tylko biegnie

dalej, w głąb lasu. I że jest wciąż używana, chociaż porastają gęsta trawa. Ale samochód stał za daleko i

gdyby nie odblaskowa tablica rejestracyjna, nie domyśliłbym się nawet, że tam jest.

Musiałem zadzwonić do Mackenziego, lecz kusila mnie i wabiła ta przeklęta droga. Biegła przez prywatny

teren, kilometry od miejsca, gdzie znaleziono zwłoki obydwu kobiet. Tego miejsca na pewno nie

przeszukano. Poza tym samochód nie przyjechał tam bez powodu. Wewnętrznie rozdarty, zawahałem się,

nie mogąc podjąć decyzji. Ale tak naprawdę, nie miałem żadnego wyboru. Pchnąłem do przodu dźwignię

zmiany biegów i pojechałem przed siebie.

Niemal natychmiast musiałem zwolnić, ponieważ nad dachem samochodu zamknęły się gałęzie drzew.

Zgasłem reflektory, nie chcąc zwracać na siebie uwagi, ale bez reflektorów prawie nic nie widziałem. Gdy

ponownie je zapaliłem, droga rozmyła się w świetle i znikła w głębi lasu. Deszcz przybrał na sile.

Włączyłem wycieraczki i wyteńczyłem wzrok, próbując wypatrzeć

coś przez pokrytą wodnistymi smugami

szybę. Wóz długo trząsał się i podskakiwał na wybojach, lecz wreszcie dostrzegłem jasną plamę światła,

światlistą boję na tle czarnego oceanu. Zaraz potem z mroku wychynął sam pojazd. To nie był zwykły

samochód. To była furgonetka.

Parkowała przed niskim, osłoniętym drzewami budynkiem.

Zatrzymałem się. Zgasilem światła i świat zewnętrzny natychmiast zniknął. Poszperałem w schowku na

mapy, szukając latarki i modląc się, żeby zadziałała. Pstryknąłem włącznikiem wytrysnął żółtawy

promień. Otworzyłem drzwiczki i szybko poświeciłem wokoło. W uszach dudniła mi krew. Ale nie, nikt nie

wyskoczył na mnie z ciemności. Widziałem tylko drzewa. I czarną taflę jeziora za drzewami. Wysiadłem, w

zagłuszającym wszelkie odgłosy deszczu otworzyłem tylne drzwiczki i wyjąłem ze skrzynki klucz do kół.

Podniesiony na duchu jego ciężarem ruszyłem w stronę budynku.

Furgonetka była stara i zardzewiała. Tylne drzwiczki były związane sznurkiem. Otworzyły się ze

skrzygnięciem. W środku walały się narzędzia ogrodnicze, szpadle i widły; stała tam nawet taczka.

Popatrzyłem na zwój drutu w kącie i pomyślałem, że Carl Brenner jednak nie kłamał. Sidła, które zraniły

Scotta, nie należały do niego.

Ani te, ani inne.

Już się odwracałem, gdy w świetle latarki dostrzegłem coś jeszcze. Na stercie narzędzi leżał duży składany

nóż. Miał ząbkowane ostrze i wyglądał jak miniaturowa piła. Na ostrzu zakrzepło coś czarnego.

Patrzyłem na nóż, którym zabito psa Sally Palmer.

Nagle błysnęło i gwałtownie drgnąłem. Niemal zaraz potem powietrzem wstrząsnął wściekły grzmot.

Jeszcze raz sprawdziłem telefon, wiedząc, że to bez sensu. I rzeczywiście, zasięgu wciąż nie było.

Ponownie ruszyłem w stronę budynku i raptem zahaczyłem o coś udem. Spojrzałem w dół. Krzaki, a w

krzakach przerdzewiały druty. Ogrodzenie obwieszane dziesiątkami ciemnych przedmiotów. Początkowo

nie wiedziałem, co to jest, lecz gdy oświetliłem latarką najbliższy, zobaczyłem zbielełą kość. Były to ciała

małych ptaków i zwierząt, które wisiały tam i gniły.

Ciała, dziesiątki ciał.

W koronach drzew szumiał deszcz. Ruszyłem przed siebie. Kilka metrów dalej ogrodzenie nagle się

urywało; zerwane i poskręcane druty ginęły w trawie. Przeszłam przez nie i poszedłem dalej, chcąc

obejść cały budynek. Był niski, przysadzisty i nijaki, bez drzwi i okien. Ze szczelin w spękanych

betonowych ścianach sterczał drut zbrojeniowy. Zrozumiałem, co to jest, dopiero wtedy, gdy

przystanąwszy po drugiej stronie, zobaczyłem pojedyncze wąskie okno i głęboko osadzone drzwi. Był to

stary schron przeciwlotniczy. Wiedziałem, że na wsi było ich sporo, że w przypiływie masowej hysterii

zbudowano je na początku drugiej wojny światowej i że podobnie jak w większości tych miejskich, nikt się

w nich nigdy nie ukrywał.

Ale najwyraźniej dla tego ktoś znalazł zastosowanie.

Starając się iść jak najciszej, podszedłem do drzwi. Były stalowe i matowoczerwone od rdzy. Myślałem, że

będą zamknięte, lecz otworzyły się, gdy je pchnąłem.

Powitał mnie powiew stęchłego powietrza. Z mocno bijącym sercem wszedłem do środka. W świetle

latarki ukazało się pojedyncze pomieszczenie, zupełnie puste, jeśli nie liczyć martwych liści na podłodze.

Poświeciłem latarką po nagich ścianach i jej promień padł na drugie drzwi, ukryte w rogu i niemal

niewidoczne.

Wtem usłyszałem jakiś hałas. Odwróciłem się i zobaczyłem zatraskujące się drzwi. Próbowałem je

przytrzymać, lecz nie zdążyłem. Huknęły tak głośno, że zatrzęsł się cały schron, że zadudniło echo.

Właśnie oznajmiłem swoje przybycie temu, kto był w środku.

Nie pozostawało mi jednak nic innego, jak iść dalej. Nie dbając już o zachowanie ciszy, ruszyłem do drzwi

w rogu pomieszczenia. Otworzyłem je i zobaczyłem wąskie schody. Wisząca nad nimi słaba żarówka

rzucała mdławę światło.

Zgasłem latarkę i zacząłem schodzić na dół.

Powietrze było stęchłe i cuchnące. Pachniało śmiercią, więc próbowałem nie myśleć, co to może oznaczać.

Schody były kręte, spiralne. Kończyły się w kiszkowatej piwnicy.

Wydawała się większa niż betonowy

budynek na górze, jakby schron zbudowano na starszych fundamentach. Jej drugi koniec ginał w

ciemności. Tuż nad stołem roboczym wisiała żarówka, oświetlając słabo zdumiewającą liczbę kształtów i

cieni.

Zmartwiałem sparaliżowany widokiem.

Cała piwnica była obwieszona ciałami ptaków i zwierząt. Lisy, zajęce i kaczki wisiały tam jak makabryczne

eksponaty. Wiele z nich zgniło, zmumifikowało się do skóry i kości, podczas gdy inne dopiero zaczynały

się rozkładać. Wszystkie były okaleczone. Pozbawione głowy lub kończyn kołysały się z hipnotyzującą

powolnością w słabym przeciągu.

Oderwałem od nich wzrok i rozejrzałem się wokół. Moją uwagę przykuły kolejne obrazy. Na stole stała

lampa wycelowana w pusty kąt piwnicy. W jej jaskrawym świetle zobaczyłem przywiązany do

metalowego pierścienia sznur, którego drugi koniec leżał na podłodze. Na stole wały się też różne

narzędzia i imadła, w tej scenerii odrażające i makabryczne.

Zaraz potem zobaczyłem coś, co nie pasowało

tu jeszcze bardziej, coś jeszcze bardziej ohydneho i plugawego.

Na krześle wisiała ozdobna suknia ślubna z koronkowym przodem. Była przesiąknięta krwią.

Widok ten wstrząsnął mną, ale i mnie otrzeźwił.

Jenny! krzyknąłem.

W mrocznym kącie piwnicy coś się poruszyło. Wychylnęła stamtąd jakaś postać i gdy weszła w krąg

światła, rozpoznałem w niej wnuka George'a Masona.

Miał łagodną minę, taką samą jak zawsze. Ale poza tym teraz nie było w nim nic łagodnego. Zdałem sobie

sprawę, że jest rosły i atletycznie zbudowany, wyższy i szerszy w barach ode mnie. Jego dżinsy i wojskowa

kurtka były poplamione krwią.

Nie patrzył prosto na mnie, nieustannie zerkając to na moją pierś, to na ramiona. Miał puste ręce, ale spod

poplamionej kurtki wystawała mu pochwa noża.

Zacisnąłem palce na uchwycie klucza.

Gdzie ona jest? wychrypiałem.

Nie powinien pan tu przychodzić, panie doktorze odparł
przepraszająco, sięgając do pochwy.

Był równie zaskoczony jak ja, gdy stwierdził, że jest pusta.

Zrobiłem krok w jego stronę.

Co jej zrobiłeś?

Patrzył na podłogę, jakby szukał tam zgubionego noża.

Komu?

Przekręciłem lampę, tak że teraz świeciła prosto na niego.
Zasłonił ręką oczy. Gdy światło rozproszyło

mrok w kącie piwnicy, dostrzegłem tam sylwetkę nagiej kobiety,
na wpół ukrytej za ceglana ścianą.

Odebrało mi oddech.

Nic powiedział Mason, mrużąc oczy.

Wtedy zaatakowałem. Podniosłem klucz, chcąc wyrżnąć go ze
wszystkich sił w tę potulną gębę, lecz

zawadziłem o zwisające z sufitu truchła i momentalnie
pochłonęła mnie cuchnąca lawina sierści i pierza.

Dławiąc się i krztusząc, odepchnąłem na bok rozkołysane ptaki i
zwierzęta zdążyłem w samą porę, gdyż

w tej samej chwili Mason się na mnie rzucił. Chciałem zrobić

unik, lecz nie zdołałem i chwycił za klucz. W

drugiej ręce miałem latarkę. Wziąłem zamach i grzmotnąłem go w głowę. Przerażliwie krzyknął,

odpowiedział ciosem na cios i zatoczyłem się do tyłu, upuszczając latarkę. Siłą rozpędu wpadłem na stół,

trafiłem na kant imadła i plecy zalała mi fala palącego bólu.

W tym samym momencie przyłożył mi łokciem w brzuch i odebrało mi oddech. Poczułem, że mnie pcha,

że odchyła mnie do tyłu, że kant imadła jeszcze bardziej wbija mi się w kręgosłup. Wcisnął mi łokieć pod

szyję i pchnął jeszcze silniej, a wtedy spojrzałem mu w twarz: oczy miał wciąż spokojne i łagodne.

Zdołałem wyszarpnąć rękę i spróbowałem go odepchnąć, oderwać od szyi jego przedramię. Ale on tylko

przestąpił z nogi na nogę, jeszcze bardziej wzmógł nacisk i sięgnął po coś na stole. Metal potarł z chro

botem o drewno: Mason chciał wyjąć dłuto z drewnianego stojaka. Chwyciłem go za ramię, lecz tym

samym odstłoniłem szyję. Spojrzał na mnie i nie zabierając ręki ze stołu, przydusił mnie jeszcze mocniej. W

oczach pokazały mi się gwiazdy. Mason zerknął na stół i wtedy dostrzegłem za nim jakiś ruch.

Jenny. Z rozdzierającą powolnością pełzła w stronę czegoś, co wyglądało na kupkę puchu na podłodze.

Chciała coś spod niej wyjąć i gdy włożyła tam rękę, z trudem przeniosłem wzrok z powrotem na twarz

Masona, woląc tego nie widzieć. Próbowałem wbić mu kolano w krocze, ale staliśmy zbyt blisko siebie,

zdołałem za to kopnąć go w pizczel. Stęknął i lekko zwolnił ucisk, jednak w tym samym momencie

usłyszałem głuchy stukot i stojak z narzędziami upadł na stół. Niczym tłuste pająki, palce wolnej ręki

Masona momentalnie powędrowały w tamtą stronę i chociaż wciąż ciągnąłem go za ramię, chwycił dłuto i

centymetr po centymetrze zaczął wyjmować je ze stojaka.

Kątem oka ponownie zauważyłem jakiś ruch. Jenny próbowała wstać. Klęczała i opierając się o ścianę,

ściskała coś w ręku.

I wtedy Mason wyszarpnął dłuto. Zamiast przytrzymać jego rękę, musiałem ją teraz nieustannie

odpychać i z narastającą paniką zdałem sobie sprawę, jak bardzo jest silny. Z wysiłku drżało mi całe ramię,

tymczasem dłuto było coraz bliżej i bliżej. Prosto na moją twarz, z czoła skapywał mu pot, jednak poza

tym nie widać było po nim żadnego wysiłku. Był łagodny i skupiony tak jak wtedy, gdy doglądał swoich roślin.

Bez ostrzeżenia szarpnął się w drugą stronę, uwolnił rękę i wziął zamach. Chwyciłem go za nadgarstek,

wiedząc, że nie dam rady go powstrzymać. Nagle wrzasnął i gwałtownie wygiął się do tyłu. Ręka, którą

miażdżył mi szyję, zniknęła. Podniosłem wzrok i tuż za nim zobaczyłem nagą, zakrwawioną Jenny.

Trzymała długi nóż, lecz upuściła go w chwili, gdy na nią spojrzałem. Gdy zabrzączał na betonie, Mason

ryknął jak zwierzę i uderzył ją na odlew w twarz. Osunęła się na podłogę tak miękko, jakby nie miała

kości.

Rzuciłem się na niego. Wylądowaliśmy jeden na drugim, ja na górze, i znowu przeraźliwie krzyknął.

Zepchnął mnie, próbował odpełznąć na bok i wtedy zobaczyłem szybko powiększającą się plamę krwi na

jego plecach. Czołgał się w stronę noża. Na czworakach popęzłem za nim, lecz nagle zahaczyłem o coś

nogą. Spojrzałem w dół, zobaczyłem mój klucz i w chwili, gdy Mason chwycił nóż, zdzieliłem go w

zakrwawione plecy. Zawył jak dzika bestia, odwrócił się, a wtedy grzmotnąłem go kluczem w głowę.

Uderzyłem tak mocno, że zaboląła mnie ręka. Nie wydał żadnego dźwięku. Po prostu padł i znieruchomiał.

Wziąłem zamach, żeby przyłożyć mu jeszcze raz, ale nie było takiej potrzeby. Ciężko dysząc, odczekałem

chwilę, żeby sprawdzić, czy na pewno się nie poruszy, a potem podszedłem do Jenny. Leżała tam, gdzie

upadła. Ostrożnie przewróciłem ją na plecy i zamarło mi serce, gdy zobaczyłem, jak bardzo jest

zakrwawiona. Miała rany na całym ciele. Jedne były drobne i płytkie, inne długie i głębokie. Rana na po

liczku sięgała niemal kości i gdy zobaczyłem, co ten bydlak jej zrobił, chciałem ponownie chwycić klucz.

Omam nie wykrzyknąłem z ulgi, wyczuwając puls na jej szyi. Był słaby i nieregularny, ale był.

Jenny, Jenny, to ja, David. Zatrzepotała powiekami.

David... szepnęła i zmroziło mnie, gdy poczułem słodkawego zapach jej oddechu. Kwasica

ketonowa. Jej ciało zaczęło rozkładać własny tłuszcz, niebezpiecznie podwyższając stężenie kwasu

ketonowego we krwi. Musiała dostać zastrzyk insuliny, i to

szybko.

A ja jej przy sobie me miałem.

Nic nie mów powiedziałem jak kretyn, bo znowu zamknęły jej się oczy. Cios, jaki zadała Masonowi,

pozbawił ją resztek sił. Ponownie zbadałem puls. Był jeszcze słabszy niż przedtem. Boże, pomyślałem. Nie

rób mi tego, nie teraz.

Podniosłem ją, nie zważając na ból przeszywający mi szyję i plecy. Podniosłem i wstrząśnięty

stwierdziłem, że jest przerażająco lekka. Jakby w ogóle nic nie ważyła. Mason wciąż leżał bez ruchu, lecz

niosąc ją w stronę schodów, słyszałem jego chrapliwy oddech. Już na górze, kopnąłem drzwi i zataczając

się nieprzytomnie, wpadłem między drzewa. Lało jak z cebra, lecz po piwnicznych potwornościach deszcz

był czymś czystym i ożywczym. Gdy posadziłem Jenny na przednim siedzeniu, bezwładnie zwisała jej

głowa. Musiałem przypiąć ją pasem, inaczej zsunęłaby się z fotela, potem sięgnąłem po koc zawsze

woziłem go wraz z apteczką i szczelnie ją okryłem. Odpaliłem silnik, ruszyłem, otarłem się drzwiczkami o

furgonetkę Masona, zawróciłem i łamiąc nisko zwisające gałęzie drzew, pełnym gazem popędziłem przed siebie.

Jechałem szybko, choć nie szarżowałem. Jenny od dwóch dni nie brała insuliny, przeżyła koszmar i straciła

dużo krwi. Musiałem zawieźć ją natychmiast do szpitala, ale najbliższy był kilometry dalej, o wiele za

daleko, i nie chciałem ryzykować. Dręcząc się myślą, że tam, w przychodni, miałem insulinę w rękach,

rozpaczliwie rozważałem wszystkie możliwości. Było ich niewiele. Jenny mogła zapaść już w śpiączkę.

Jeśli szybko jej nie ustabilizują, niedługo umrze.

Nagle przypomniałem sobie o karetce pogotowia i sanitariuszach, których Mackenzie zabrał do starego

młyna. Istniał cień szansy, że jeszcze tam są. Włożyłem rękę do kieszeni, chcąc wyjąć komórkę i zadzwonić

po pomoc, gdy tylko pojawi się sygnał. Ale w kieszeni jej nie było. Przeszukałem pozostałe. Na próżno.

Ogarnięty paniką, zdałem sobie sprawę, że musiała wypaść mi w piwnicy, podczas walki z Masonem.

Zawahałem się. Zawrócić czy jechać dalej? Wcisnąłem pedał gazu. Zawracając, straciłbym zbyt dużo czasu.

Czasu, którego Jenny nie miała.

Dojechałem do końca drogi i wypadłem na szosę. Insulina była w przychodni. W przychodni mógłbym

zacząć ją leczyć, czekając na karetkę. Przyspieszyłem, wpatrując się w ciemność za szybą. Wycieraczki

pracowały pełną parą, lecz padało tak intensywnie, że nawet w świetle reflektorów widziałem ledwie na

kilka metrów. Zaryzykowałem i zerknąłem na Jenny. To, co zobaczyłem, wystarczyło, żebym mocniej

zaciśnął ręce na kierownicy i jeszcze bardziej przyspieszył.

Podróż trwała wieki. I nagle wpadłem do Manham, które wyskoczyło na mnie jak duch z deszczu i

ciemności. Ulice były opustoszałe; reporterzy i dziennikarze, którzy jeszcze niedawno się na nich tłoczyli,

przepadli jak kamień w wodę. Chciałem przystanąć i zajrzeć do policyjnej przyczepy na skwerku, ale

zmieniałem zdanie. Nie było czasu na wyjaśnienia, poza tym najpierw musiałem zrobić Jenny zastrzyk.

Z rykiem silnika wjechałem na podjazd. Dom tonął w ciemności. Byłem na tyle przytomny, żeby

zaparkować z boku i zostawić miejsce dla karetki; inaczej nie mogłaby podjechać pod same drzwi.

Wysiadłem, obiegłem samochód i otworzyłem drzwiczki. Jenny oddychała szybko i płytko, lecz gdy niosłem ją przez deszcz, lekko się poruszyła.

David... szepnęła.

Już wszystko dobrze, jesteśmy w przychodni. Trzymaj się, trzymaj. Chyba mnie nie słyszała.

Szarpnęła się słabo, oczy miała niewidzące i przerażone.

Nie! Nie!

To ja, Jenny, to ja. Nic ci nie grozi.

Nie pozwól, żeby mnie skrzywdził!

On już nic ci nie zrobi, przyrzekam.

Ponownie straciła przytomność. Załomotałem do drzwi, nie mogąc otworzyć ich z Jenny na rękach. Minęła

wieczność, zanim w holu zapaliło się światło. Henry. Wpadłem do środka, gdy tylko nam otworzył.

Dzwoń po karetkę! Wystraszony zrobił mi przejście.

Co się...

Ale ja biegłem już korytarzem.

Zapada w śpiączkę. Wezwij karetkę, szybko! Powiedz im, że

jedną wzięła policja.

Kopnąłem drzwi do gabinetu, tymczasem Henry podjechał wózkiem do telefonu w korytarzu. Jenny nie

poruszyła się, gdy kładłem ją na sofie. Pod krwawą maską miała przerażająco bladą twarz. I nikły,

trzepoczący puls. Trzymaj się, myślałem. Proszę. Błagam. Rozpacz i desperacja. Mogła mieć uszkodzone

wątrobę i nerki i wiedziałem, że jeśli natychmiast nie trafi do szpitala, w każdej chwili może stanąć jej

serce. Poza insuliną potrzebowała kroplówki z soli fizjologicznej, żeby wypłukać zatruwające ją toksyny.

Tu, w przychodni, nie mogłem jej pomóc. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że insulina utrzyma ją przy życiu

do przyjazdu karetki.

Gwałtownym szarpnięciem otworzyłem lodówkę i zacząłem w niej niecierpliwie szperać. Do gabinetu

wjechał Henry.

Ja poszukam rzucił. Ty weź strzykawkę.

Gdy otworzyłem stalową szafkę z lekami, zagrzechotały ramki stojących na niej zdjęć.

Co z karetką?

Już jedzie. Zaczekaj, nie dasz rady, nie w tym stanie powiedział stanowczo Henry i wyciągnął

rękę. Bez słowa protestu podałem mu strzykawkę. Na miłość boską co się tu dzieje? spytał, przebijając

igłą metalowe zabezpieczenie na buteleczce.

To był Tom Mason. Więził ją w starym schronie przeciwlotniczym w lesie za domem.

Spojrzałem na leżącą bez ruchu Jenny i ścisnęło mi się serce. Zabił Sally Palmer i Lyn Metcalf.

Wnuk George'a Masona? spytał z niedowierzaniem Henry. Żartujesz!

Próbował zabić i mnie.

Chryste! Gdzie on teraz jest?

Jenny dźgnęła go nożem.

To znaczy, że nie żyje?

Może, nie wiem.

Wtedy było mi wszystko jedno. Cierpiąc katusze, niecierpliwie patrzyłem, jak Henry zмага się ze

strzykawką.

Cholera jasna! Igła się zatkała. Daj mi inną. Szybko.

Miałem ochotę na niego nawrzeszczyć. Odwróciłem się do szafki. Drzwiczki zdążyły się już zamknąć, więc

otworzyłem je tak gwałtownie, że przewróciło się jedno ze zdjęć. Ledwo na nie zerknąłem interesowała

mnie tylko strzykawka lecz ponieważ coś do mnie dotarło.

Spojrzałem jeszcze raz, ale nie na zdjęcie, które się przewróciło, tylko na to obok. Na zdjęcie ślubne

Henry'ego i jego żony. Widziałem je wiele razy, wiele razy wzruszała mnie utrwalona na nim chwila

szczęścia. Ale nie na to teraz patrzyłem.

Żona Henry'ego miała na sobie suknię identyczną z tą, którą widziałem w piwnicy Masona.

Próbowałem wmówić sobie, że to tylko złudzenie. Ale nie, jej krój i koronkowy wzór na przodzie były zbyt

charakterystyczne, żebym mógł się pomylić. Suknie były identyczne. Nie, nie identyczne.

Suknia ze zdjęcia była suknią z piwnicy.

Henry... zacząłem i w tej samej chwili poczułem ból w nodze. Spojrzałem w dół. Henry cofnął

się z pustą strzykawką w rękę.

Przykro mi, Davidzie. Naprawdę mi przykro szepnął, patrząc na

mnie ze smutkiem i

rezygnacją.

Co ty... Chciałem coś powiedzieć, lecz nie mogłem. Gabinet powoli znikał, ściany się

rozmaływały. Lekki jak piórko osunąłem się na podłogę. Tracąc kontakt ze światem, zobaczyłem coś

nieprawdopodobnego: Henry wstał z wózka i właśnie szedł w moją stronę.

A potem i on, i wszystko inne pogrążyło się w ciemności.

Rozdział30

Niespieszne tykanie zegara wypełniało pokój niczym cichutki szmer kurzu osiadającego w promieniach

słońca. Każde leniwe tyknięcie zdawało się pobrzmiwać przez sto lat, zanim rozległo się kolejne. Nie

widziałem zegara, lecz mogłem go sobie wyobrazić. Stary i ciężki pachniał woskiem pszczelim i minionym

czasem. Czułem, że doskonałego znam; miałem przed oczami zakrzywiony mosiężny klucz, którym go

nakręcałem.

Jego dostojnego tykania mógłbym słuchać bez końca.

W kominku paliły się polana, rozsiewając wokół słodki, sosnowy zapach. Zajmującą całą ścianę półkę

wypełniały książki, a wszystkie kąty pokoju były oświetlone miękkim światłem lamp. W misie, stojącej na

środku stołu z wiśniowego drewna, leżały pomarańcze. Znałem ciepło tego pokoju, podobnie jak znałem

cały ten dom, chociaż na jawie nigdy w nim nie byłem. Mieszkały tu Kara i Alice. Kara i Alice z moich snów.

To był nasz dom.

Przepęłniała mnie niepoohamowana radość. Naprzeciwko mnie siedziała na sofie Kara ze zwiniętą w

kłębek Alice na kolanach. Obydwie patrzyły na mnie ze smutkiem. Chciałem je pocieszyć, zapewnić, że nie

ma żadnego powodu do smutku. Przecież wszystko było dobrze. Przecież do nich wróciłem.

Tym razem na zawsze.

Kara zsunęła Alice z kolan.

Bądź grzeczna i idź pobawić się na dworze.

Nie mogę zostać z tatusiem?

Nie teraz. Tatuś i ja musimy porozmawiać.

Rozczarowana Alice zrobiła minkę. Podeszła bliżej i objęła mnie na pożegnanie. Tuląc ją do siebie, czułem

dotyk i ciepło jej ciała.

Idź, córeczko, idź. Pocałowałem ją w czubek głowy. Włosy miała delikatne jak jedwab.

Zaczekam na ciebie.

Spojrzała na mnie z poważną twarzyczką.

Do widzenia, tatusiu.

Patrzyłem, jak idzie do drzwi. W progu pomachała mi rączką i wyszła. Byłem tak wzruszony, że przez

chwilę nie mogłem mówić. Kara patrzyła na mnie z drugiej strony stołu.

Co się stało? spytałem. Nie cieszysz się?

Tak nie można, Davidzie.

Roześmiałem się. Nie mogłem się powstrzymać.

Można. I trzeba. Nie czujesz tego?

Mimo przepelniającej mnie radości, usłyszałem nutkę smutku w jej głosie.

To ten narkotyk. Dlatego tak ci dobrze. Ale to tylko złudzenie. Musisz z tym walczyć.

Nie mogłem zrozumieć, co ją tak martwi.

Znowu jesteśmy razem. Nie tego chciałaś?

Tego, ale nie tak.

Dlaczego? Jestem z wami. Tylko to się liczy.

Nie chodzi o nas. Ani o ciebie. Już nie. Euforię ostudził lekki podmuch chłodnego wiatru.

Jak to?

Ona cię potrzebuje.

Kto? Alice? Oczywiście, że tak.

Ale wiedziałem, że Kara nie mówi o naszej córce. Radość, jaką odczuwałem, wystawiono na ciężką próbę.

Chcąc ją podtrzymać, podszedłem do stołu i wziąłem pomarańczę z misy.

Chcesz?

Kara tylko pokręciła głową, obserwując mnie w milczeniu. Trzymałem pomarańczę w ręku. Czułem jej

ciężar, czubkami palców wyczuwałem jej teksturę. Oczami wyobraźni widziałem, jak ją obieram, czułem

zapach skórki, widziałem tryskający sok. Wiedziałem, że będzie słodki, wiedziałem też, że spijając go i

smakując, pogodzę się z tym, co jest. Że będzie to akt ostatni i nieodwracalny.

Niechętnie odłożyłem pomarańczę do miski. I z ciężkim sercem usiadłem. Kara uśmiechnęła się z

wilgotnymi od łez oczami.

O to ci chodziło, kiedy mówiłaś, żebym był ostrożny? Nie odpowiedziała.

Nie jest już za późno? spytałem. Przez jej twarz przemknął mroczny cień.

Możliwe. Możliwe, że ledwo zdążysz.

Ścisnęło mnie w gardle.

A ty i Alice? Uśmiechnęła się ciepło.

Damy sobie radę. Nie musisz się o nas martwić.

Już was nie zobaczę, tak?

Kara płakała. Płakała, nie przestając się uśmiechać.

Nie musisz. Już nie.

Po policzkach spływały mi łzy.

Kocham cię powiedziałem.

Wiem.

Podeszła bliżej i objęła mnie. Po raz ostatni ukryłem twarz w jej włosach. Po raz ostatni poczułem jej

zapach, nie chcąc zapomnieć i wiedząc, że muszę.

Uważaj na siebie, Davidzie powiedziała.

Czując słony smak łez w ustach, uświadomiłem sobie, że nie słyszę już tykania zegara i...

Sparaliżowany, ocknąłem się w dusznej ciemności.

Spróbowałem wziąć oddech, ale nie mogłem. Moją pierś owijały stalowe taśmy. Ogarnięty paniką

spróbowałem jeszcze raz i zdołałem wciągnąć do płuc haust powietrza, jeden, potem drugi. Odcięty od

odgłosów świata zewnętrznego, czułem się jak w bawełnianym kokonie. Tak łatwo byłoby zrezygnować i

ponownie odejść...

„Musisz z tym walczyć”. Słowa te przywróciły mnie do rzeczywistości. Euforia rozmyła się jak dym.

Rozedrgana przepona protestowała przeciwko każdemu oddechowi. Lecz z każdym oddechem, krótkim i

jakże słabym, wciągałem do płuc coraz więcej powietrza.

Otworzyłem oczy.

Świat był dziwacznie przekrzywiony. Wirował, więc spróbowałem skupić wzrok. Wtedy usłyszałem

płynący gdzieś w górze głos Henry'ego.

Nie chciałem, żeby do tego doszło, wierz mi. Ale kiedy ją porwał, przestałem mieć na to wpływ.

Co mogłem zrobić?

Zauważyłem, że się poruszam. Tuż obok przesuwała się ściana. Zdałem sobie sprawę, że siedzę w jego

wózku, że jadę korytarzem. Spróbowałem usiąść, lecz zdołałem tylko bezwładnie poruszyć rękami.

Korytarz zawirował jeszcze szybciej, mimo to zacząłem sobie coś przypominać.

Henry. Strzykawka.

Jenny.

Chciałem wykrzyknąć jej imię, lecz tylko jęknąłem.

Ciiicho.

Wykręciłem szyję i znowu dostałem gwałtownego zawrotu głowy. Opierając się ciężko o fotel, Henry pchał

mnie korytarzem.

Pchał mnie. Szedł.

To nie miało sensu. Chciałem usiąść prosto, lecz zabrakło mi siły w rękach. Opadłem na siedzenie.

Jenny... Karetka... wymamrotałem niewyraźnie.

Nie będzie żadnej karetki, Davidzie.

Nie... Nie rozumiem.

Ale rozumiałem. A przynajmniej zaczynałem rozumieć. Przypomniało mi się, jak zareagowała Jenny, gdy

przywiozłem ją do przychodni, przypomniało mi się, jaka była przerażona. „Nie pozwól, żeby mnie

skrzywdził!” Myślałem, że bredzi, że chodzi jej o Masona.

Lecz jej chodziło o kogoś innego.

Spróbowałem wstać. Ale czułem się tak, jakby ktoś zanurzył mi kończyny w galarecie.

Daj spokój, przestań syknąć Henry.

Opadłem na fotel, lecz gdy mijaliśmy schody, rzuciłem się na poręcz. Wózek zachybotał i omal nie

spadłem. Henry zachwiał się, z trudem zachowując równowagę.

Cholera jasna, David!

Wózek stał bokiem. Wciąż trzymałem się poręczy. Zamknąłem oczy, bo wszystko znowu zawirowało.

Dotarł do mnie jego poirytowany głos.

Puść wysapał. Przecież wiesz, że to na nic.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że spocony i rozczochrany opiera się o ścianę.

Proszę cię. Powiedział to ze szczerym bólem. Tylko to utrudniasz, i mnie, i sobie.

Jeszcze mocniej zacisnąłem palce. Westchnął i wyjął z kieszeni strzykawkę. Podniósł ją wysoko, żebym zobaczył, że jest pełna.

Tyle diamorfiny zabije nawet konia. Naprawdę nie chcę dawać ci więcej. Wiesz tak samo jak

ja, czym by się to skończyło. Ale jeśli mnie zmusisz, nie będę miał wyboru.

Mój umysł przetrawił to ospale. Diamorfina, silny środek przeciwbólowy, pochodna heroiny, mogła

wywoływać halucynacje, czasem doprowadzała do śpiączki. Stosował ją Harold Shipman, usypiając na

wieki setki pacjentów.

A Henry wpompował jej we mnie Bóg wie ile.

Fragmenty układanki zaczęły dopasowywać się do siebie z przerażającą jasnością.

Ty i on... To byliście... ty i Mason.

Nawet teraz podświadomie oczekiwałem, że zaprzeczy, że jakoś to wyjaśni. Ale on patrzył na mnie przez

chwilę, a potem opuścił strzykawkę.

Przykro mi odparł. - Nie przypuszczałem, że do tego dojdzie.

Za nic nie mogłem tego pojąć.

Ale dlaczego, Henry, dlaczego? Uśmiechnął się krzywo.

Boję się, że mnie nie znasz. Powinieneś był trzymać się swoich trupów. Są znacznie mniej

skomplikowane niż ludzie.

O czym ty... O czym ty mówisz? Zmarszczył czoło i spojrzał na mnie z pogardą.

Myślisz, że lubię być kaleką? Że tkwię w tej dziurze, bo mi się tu podoba? Że lubię, kiedy to... to

bydło traktuje mnie z góry? Trzydzieści lat udawania szlachetnego doktora i co z tego mam? Wdzięczność?

Oni nie wiedzą, co to znaczy!

Boleśnie wykrzywił twarz. Przytrzymując się ściany, ruszył sztywno w stronę giętego krzesła przy stoliku

na telefon. Nie odrywałem od niego wzroku. Z ulgą usiadł.

Tak naprawdę to nie wierzyłeś, że zrezygnuję, co? Chciałem udowodnić specjalistom, że się

mylą zawsze ci to powtarzałem. Zdyszany wytarł spocone czoło. Wierz mi, bezradność to nie zabawa.

Zwłaszcza bezradność wystawiona na widok publiczny. Wiesz, jakie to poniżające? Jak bardzo niszczy

duszę? Wyobraź sobie, że przez cały czas czujesz się tak jak teraz. I nagle odkrywasz, że możesz mieć

władzę, prawdziwą władzę nad życiem i śmiercią że otwiera się przed tobą taka możliwość. Że możesz być

Bogiem!

Uśmiechnął się chytrze.

Przyznaj się. Jesteś lekarzem, musiałeś się tak czasem czuć. Nigdy nie słyszałeś cichutkiego

szeptu pokusy?

Wy ich... Wy ich zamordowaliście! To zbiło go z tropu.

Palcem ich nie tknąłem. To Mason. Ja spuściłem go tylko ze smyczy.

Chciałem zamknąć oczy i natychmiast o tym zapomnieć.

Powstrzymywała mnie tylko myśl o Jenny, o tym,

co mógł jej zrobić. Ale chociaż rozpaczliwie pragnąłem się tego

dowiedzieć, w tej chwili nie byłem w stanie

pomóc ani jej, ani sobie. Lecz im dłużej mówił, tym większą miałem szansę, gdyż narkotyk powoli

przestawał działać.

Kiedy... Od kiedy...

Od kiedy o nim wiem? Henry wzruszył ramionami. Odkąd był małym chłopcem; dziadek go

do mnie przyprowadził. Lubił dręczyć i zabijać zwierzęta, tak wiesz, rytualnie. Oczywiście wtedy zabijał

tylko zwierzęta. Za nic nie mógł zrozumieć, że to, co robi, jest złe. Zaproponowałem, że nikomu o tym nie

wspomnę, że dam mu środki uspokajające, które poskromią jego... skłonności, ale pod warunkiem, że będę

mógł monitorować przebieg choroby. Jak widzisz, był to taki prywatny projekt badawczy. Z teatralną

uległością podniósł rękę.

Wiem, wiem, to nieetyczne. Ale mówiłem ci, że zawsze chciałem zostać psychologiem. Byłbym

w tym cholernie dobry, ale przyjechałem do Manham i wszystko się skończyło. Mason był przynajmniej

ciekawszy niż artretyzm czy grzybica stóp. I wiesz co? Odwaliłem

kawał dobrej roboty. Gdyby nie ja,

odbiłoby mu już lata temu.

Dziadka też... zabił? Henry był szczerze wstrząśnięty.

Boże święty, ależ skąd! On go uwielbiał! Nie, nie, George zmarł z przyczyn naturalnych.

Podejrzewam, że na serce. Ale kiedy umarł, nikt nie pilnował już, żeby wnuczek brał lekarstwa. W sensie

zawodowym przestałem go widywać lata temu. Pewnie mi nie uwierzysz, ale miałem w końcu dość opo

wieści o dręczeniu i zabijaniu zwierząt. Dawałem George'owi leki, George dawał je wnukowi, i tyle. Po

prostu straciłem zainteresowanie. Aż pewnej nocy przyszedł do mnie i oznajmił, że porwał Sally Palmer i

że zamknął ją w starym warsztacie ojca.

Henry zachichotał.

Okazało się, że przypadła mu do gustu już parę lat wcześniej, kiedy pracował z dziadkiem w jej

ogrodzie. Wszystko było dobrze do chwili, gdy środki uspokajające przestały działać i znowu mu odbiło.

Zaczął za nią chodzić. Prawdopodobnie nie wiedział nawet, co chce zrobić, ale pewnej nocy zobaczył go jej

pies. Zobaczył, rozszczękał się, więc Mason poderżnął mu gardło, związał Sally i zawiózł ją do domu.

Niemal z podziwem pokręcił głową. Nie mogłem uwierzyć, że jest to ten sam człowiek, którego znałem od

tylu lat, którego zawsze uważałem za przyjaciela. Między tym, kim naprawdę był, a tym, za kogo go

uważałem, ziała bezdenna przepaść.

Boże święty, Henry!

Przestań, nie patrz tak na mnie. Należało się jej. Zarozumiała krowa, nasza „znakomitość”,

cholera. Jak nie wyjeżdżała do Londynu albo gdzie indziej, zadowalała się miejscowymi kmiotkami.

Nonszalancka suka. Chryste, patrzyłem na nią i widziałem Dianę!

Drgnąłem. Diana, jego żona. Zauważył, że to mnie skonsternowało.

Nie, nie, nie przypominała jej fizycznie dodał poirytowany. Diana miała klasę, trzeba jej to

oddać. Ale wiesz mi, były do siebie podobne pod innymi względami. Obydwie aroganckie, obydwie z

poczuciem wyższości.

Pieprzone baby! Wszystkie są takie same! Wyssą z ciebie całą

krw, a potem roześmieją ci się w nos!

Przecież ty ją kochałeś...

Diana była dziwką! ryknął. Pierdoloną kurwą!

Jego wściekle wykrzywiona twarz była niemal nie do rozpoznania. Nie miałem pojęcia, jak to się stało, że

przez tyle lat nie dostrzegłem w nim tej przerażającej goryczy. Janice często wspominała, że nie było to

szczęśliwe małżeństwo, ale przypisywałem to zazdrości.

Jakże się myliłem.

Zrezygnowałem dla niej ze wszystkiego rzucił porywczo Henry. Wiesz, dlaczego zostałem

zwykłym lekarzem, zamiast psychologiem? Bo zaszła w ciążę i musiałem poszukać pracy. Chcesz usłyszeć

coś naprawdę zabawnego? Tak się do tej pracy spieszyłem, że nie skończyłem nawet studiów.

Zdawało się, że czerpie perwersyjną przyjemność z mojej konsternacji.

Tak, tak, nie jestem nawet wykwalifikowanym lekarzem. Myślisz, że zostałem w tej zaszranej

dziurze z wyboru? Przyjechałem do Manham przede wszystkim dlatego, że stary pijak, który tu pracował,

był zbyt wlany, żeby sprawdzić moje papiery! Roześmiał się gorzko. Ty też pograłeś ze mną nieuczciwie

i nie myśl sobie, że nie dostrzegłem w tym ironii. Ale różnica między tobą a mną polega na tym, że ja

utknąłem tu jak w pułapce. Nie mogłem nigdzie wyjechać ani zmienić pracy bez ryzyka wpadki. Dziwisz

się, że nienawidzę tego pieprzonego miasta? Manham to moje więzienie!

Uniósł brew w wynaturzonej parodii Henry'ego, którego kiedyś znałem.

A moja droga Diana? Czy moja droga Diana stanęła u mego boku? Ależ skąd! To była moja

wina! Moja wina, że poroniła! Moja wina, że nie mogła mieć dzieci! Moja wina, że zaczęła pieprzyć się z

innymi!

Może to narkotyk wyostrzył mi zmysły, bo nagle domyśliłem się, do czego to zmierza.

Ten leśny grób, ten student... To go otrzeźwiło.

Chryste powiedział z nagłym zmęczeniem. Kiedy znaleźli go po tych wszystkich latach...

Potrząsnął głową jakby chciał odpędzić wspomnienia. Tak, to był jeden z jej kochanków. Myślałem, że

uodporniłem się na jej wyskoki. Ale on był inny. Inteligentny, przystojny. I taki młody, tak cholernie

młody. Mógł zrobić karierę, miał przed sobą całe życie. A co miałem ja?

Więc go zabiłeś...

Niechcący. Poszedłem do jego, zaproponowałem pieniądze, żeby tylko wyjechał. Ale on nie

chciał. Przeklęty głupiec. Myślał, że to prawdziwa miłość. Oczywiście chciałem, żeby przejrzał na oczy i

powiedziałem mu, z jaką dziwką ma do czynienia. Pokłóciliśmy się. Jedno doprowadziło do drugiego.

Wzruszy! ramionami, jakby się z tego rozgrzeszał.

Wszyscy pomyśleli, że zwinął namiot i wyjechał. Nawet Diana. Ale cóż, tam, skąd pochodził,

było pełno innych, taką wyznawała filozofię. Nic się nie zmieniło. Wciąż byłem rogaczem, miejscowym

pośmiewiskiem. Aż pewnej nocy, kiedy wracaliśmy do domu po jakiejś imprezie, doszedłem do wniosku,

że mam tego dość. Był tam taki kamienny most i zamiast na most, pojechałem prosto przed siebie, pełnym

gazem.

Wyparowało z niego całe ożywienie. Stary i wyczerpany osunął się bezwładnie na oparcie krzesła.

Tylko że straciłem zimną krew. W ostatniej chwili chciałem skręcić. Oczywiście za późno. To

był ten słynny wypadek. Kolejna fuszerka, nic więcej. Diana pewnie by mnie wyśmiała. Przynajmniej

zginęła na miejscu i nie została z tym! Q.

Wyprostował nogę.

Niesprawna, niezdatna do użytku. Życie w Manham było potworne już przedtem, ale po

wypadku, ilekroć patrzyłem na tych wszystkich ludzi, na moją pieprzoną trzódkę, na ich małe, żałosne,

lecz w miarę normalne życie, ilekroć widziałem, jak ze mnie szydzą, czułem tylko nienawiść. Mówię ci,

bywały takie chwile, kiedy miałem ochotę ich wszystkich pozabijać. Wszystkich, co do jednego! Ale nie

miałem odwagi. Tak samo, jak nie miałem odwagi zabić samego siebie. A potem, niczym kot, który

przynosi swemu panu upolowanego ptaszka, pojawił się u mnie Mason. Mój własny golem!

Był niemal zachwycony. Znowu patrzył na mnie z przejęciem.

Gliną, Davidzie, oto czym był. Ani odrobiny sumienia czy choćby jednej myśli o

konsekwencjach. Był gliną, która tylko czekała, żebym ulepił z niej człowieka, żebym powiedział mu, co

ma robić! Wyobrażasz to sobie? Wyobrażasz sobie moją radość? Kiedy stałem w tej piwnicy i patrzyłem na

Sally Palmer, czułem się potężny! Po raz pierwszy od lat nie byłem żalosnym kaleką. Patrzyłem na tę

arogancką na tę nonszalancką dziwkę, zapłakaną i całą we krwi, i czułem się silny!

Miał posępnie błyszczące oczy. Oczy przerażająco trzeźwe i przytomne, mimo potworności czynów, jakich

się dopuścił.

Wiedziałem, że to moja szansa. Mogłem nie tylko zemścić się na Manham, ale i upokorzyć

Dianę, wymazać ją w końcu z pamięci! Zawsze była dumna, że tak dobrze tańczy, więc dałem Masonowi jej

suknię ślubną i pozytywkę, którą kupiłem jej podczas miesiąca miodowego. Boże, jak ja tego pudła

nienawidziłem! Ilekroć miała spotkać się z gachem, z którym się aktualnie pieprzyła, puszczała bez końca

Claire de Lune. Palmer wkładała suknię, Mason wychodził

czekał na zewnątrz a ja siadałem na dole i

patrzyłem, jak ta dziwka tańczy, przerażona do tego stopnia, że ledwo powłóczyła nogami. Byłem

świadkiem jej poniżenia! To niby niewiele, ale nie wiesz nawet, jakie to było oczyszczające! Nie miało

znaczenia, że to nie Diana!

Henry, jesteś chory, potrzebujesz pomocy...

Och, nie bądź taki świętoszkowaty! warknął. Mason i tak by ją zabił. A ubrudziwszy sobie

ręce krwią naprawdę myślisz, że by przestał? Jeśli to cię jakoś pocieszy, wiedz, że ich nie gwałcił. Lubił

patrzeć, ale nie miał odwagi dotknąć. Nie twierdzę, że w końcu by do tego nie doszło, ale choć to dziwne,

on bał się kobiet. Ta myśl chyba go rozbawiła. Cóż za ironia...

On je torturował! krzyknąłem.

Henry wzruszył ramionami, ale uciekł wzrokiem w bok.

Najgorsze rzeczy robił, kiedy już nie żyły. Z odrazą wykrzywił twarz. Te jego rytuały. Nawet

suknia stała się ich częścią. A kiedy już coś zrobił, zawsze to powtarzał. Wiesz, dlaczego przetrzymywał je

przez trzy dni? Bo po trzech dniach zabił pierwszą. Stracił panowanie nad sobą kiedy próbowała uciec i

gdyby nie to, równie dobrze mógłby ją zabić po czterech albo pięciu.

A więc to dlatego Sally Palmer została pobita, a Lyn Metcalf nie. Mason nie chciał utrudniać identyfikacji

zwłok. Po prostu wpadł w szal.

Przypomniałem sobie, co powiedział Henry tuż przed policyjnym nalotem na młyn, i jeszcze mocniej

zaciśnąłem ręce na podłokietnikach wózka. „Nie sądzisz, że powinieneś się... przygotować?” Wiedział, że

policja jedzie nie tam, gdzie trzeba, wiedział, co się stanie z Jenny. Gdybym mógł, zabiłbym go tu i teraz.

Ale dlaczego Jenny? – wychrypiałem. – Dlaczego akurat ona?

Z tego samego powodu co Lyn Metcalf. Po prostu wpadła mu w oko. Chciał to powiedzieć

obojętnie i z bez troską lecz mu nie wyszło.

Łżesz!

Bo mnie zdradziłeś! ryknął. Byłeś dla mnie jak. syn! Byłeś jedynym porządnym człowiekiem

w tym zasranym miasteczku, a potem spotkałeś ją! Wiedziałem,

że wyjedziecie, że zaczniecie nowe życie,

że to tylko kwestia czasu! Poczuję się staro, tak cholernie staro! I kiedy powiedziałaś mi, że pomagasz

policji, że robisz to ukradkiem, za moimi plecami, po prostu... Po prostu...

Zamilkł. Powoli, żeby go nie zaniepokoić, spróbowałem zmienić pozycję, nie zważając na to, że korytarz

ponownie zachwiał się i zakołysał.

Ale nigdy nie chciałem, żeby stała ci się krzywda dodał. Pamiętasz to „włamanie”, tę noc,

kiedy Mason przyszedł po chloroform? Byłem wtedy w gabinecie. Niewiele brakowało i byś tam wszedł,

ale nie wiedziałem, że próbował cię dźgnąć, przysięgam. Przejrzałem na oczy dopiero potem, kiedy

zobaczyłeś mnie w korytarzu i pomyślałeś, że byłem w sypialni. A nazajutrz rano, kiedy znalazłeś mnie w

łodzi? Zerknął na mnie przepaszająco, lecz nie bez dumy.

Ja wtedy nie wsiadałem. Ja wysiadałem.

Teraz sprawa była oczywista. Obydwa domy, jego i Masona, stały nad brzegiem jeziora. Istniała nikła

szansa, żeby ktoś zauważył nocą małą łódź, chyba że specjalnie

by jej wypatrywał.

Popłynąłem, żeby go powstrzymać ciągnął Henry. Powiedzieć mu, że zmieniłem zdanie.

Zajęło mi to kilka godzin, ale Mason nie ma telefonu, więc nie było wyjścia. Ale tylko straciłem czas. Kiedy

się na coś uparł, to już nie ustąpił Tak jak z tymi zwłokami na mokradłach. Chciałem, żeby zrobił to

porządnie, żeby je gdzieś ukrył, ale jego to nie interesowało. Słuchał, gapił się na mnie tępo i robił swoje.

Więc pozwoliłeś mu porwać Jenny. A potem pojechałeś, żeby na nią... popatrzeć

Podniósł ręce i bezradnie je opuścił.

Nie wiedziałem, że do tego dojdzie. Proszę, uwierz mi. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić!

Sondował moją twarz, rozpaczliwie szukając w niej zrozumienia. Ale po chwili stracił nadzieję.

Uśmiechnął się krzywo.

Cóż, w życiu nigdy nie układa się tak, jak byśmy chcieli, prawda? Nagłe grzmotnął pięścią w

stolik.

Cholera jasna, dlaczego nią dobiłeś tego przeklętego Masona?

Gdyby nie żył, mógłbym

zaryzykować nawet z tą dziewczyną! Ale teraz nie mam wyboru!

Jego pełen frustracji krzyk rozbrzmiał echem w całym korytarzu. Przetarł ręką twarz i zastygł bez ruchu,

patrząc w pustkę. Raptem się ocknął.

Miejmy to już za sobą mruknął głucho.

Gdy zaczął wstawać z krzesła, zebrałem wszystkie siły i rzuciłem się na niego.

Rozdział 31

Próba była wątła, bardzo anemiczna, bo natychmiast ugięły się przede mną nogi. Wylądowałem na

podłodze, a wózek przewrócił się obok mnie. Wystarczył jeden gwałtowny ruch i ściany ponownie

zawirowały. Gapily się na mnie pod zwariowanym kątem, więc straciwszy ostatnią nadzieję, mocno

zacisnąłem powieki.

Oj, Davidzie, Davidzie... wyszeptał ze smutkiem Henry. Leżałem skołowany i zamroczony,

bezzadnie czekając na ukłucie igły

i na ciemność, która potem nadejdzie. Ale się nie doczekałem.

Otworzyłem oczy i mimo silnych zawrotów

głowy, spróbowałem skupić wzrok. Henry patrzył na mnie...
chyba z zatroskaniem. W ręku niepewnie

trzymał strzykawkę.

Tylko to utrudniasz powiedział. Ta dawka cię zabije. Proszę, nie
zmuszaj mnie.

I tak to... zrobisz wybełkotałem.

Spróbowałem podeprzeć się rękami. Ale nie miałem siły i
natychmiast dostałem rozrywającego bólu

głowy. Widząc jak przez mgłę, opadłem na podłogę. Henry
pochylił się i wziął mnie za rękę. Nie miałem

siły jej wyszarpnąć i mogłem tylko patrzeć, jak przytyka igłę do
skóry na przedramieniu. Chociaż

wiedziałem, że to bez sensu, spiąłem się i przygotowałem na
ukłucie, gotowy stawić czoło narkotykowi.

Ale on nie wbił igły. Powoli zabrał strzykawkę.

Nie mogę, nie tak wymamrotałem.

Schował strzykawkę do kieszeni. Mgła szybko gęstniała i
przesłaniała już cały korytarz. Poczułem, że

odpływam. Nie! Ze wszystkich sił chciałem zachować
przytomność, lecz mimo to ją traciłem. Świat zniknął

i słyszałem jedynie potężne, rytmiczne dudnienie. Uświadomiłem sobie, choć nie do końca, że to bicie
mojego serca.

Jak z oddali poczułem, że ktoś dźwiga mnie z podłogi. Zaraz potem odniosłem wrażenie, że się poruszam.

Otworzyłem oczy i od razu je zamknąłem, gdyż od zmieniających się jak w kalejdoskopie światła i barw

dostałem mdłości. Zwalczyłem je, nie chcąc ponownie zasłabnąć. Jakiś wstrząs, i poczułem podmuch

chłodnego powietrza na twarzy. Ostrożnie otworzyłem oczy i zobaczyłem ciemnogrnatowe niebo.

Gwiazdy i konstelacje były krystalicznie jasne: to ukazywały się, to znikaly za wystrzępionymi chmurami,

które sunęły po nocnym niebie, gnane przez niewidzialny wiatr.

Próbując otrzeźwieć, wziąłem głęboki oddech. Przede mną stał land rover. Wózek jechał w tamtą stronę,

chrzęszcząc i podskakując na wyżwirowanym podjeździe. Zmysły miałem wyostrzone jak nigdy dotąd.

Słyszałem szum drzew, czułem piaszczystoilasty zapach mokrej ziemi. Zadrapania i placki błota na

karoserii land rovera były wielkie jak kontynenty.

Podjazd był stromy i słyszałem sapanie Henry'ego, który pchał wózek pod górę. Po chwili dotarł do

samochoodu i przystanął, oddychając głośno i z trudem. Wiedziałem, że muszę coś zrobić, lecz świadomość

ta nie docierała do moich kończyn. Odpocząwszy, Henry zaczął obchodzić wózek, przytrzymując się go,

dopóki nie chwycił się klamki tylnych drzwiczek land rovera. Miał sztywne nogi i poruszał się niezdarnie.

Otworzył drzwiczki i powoli usiadł na brzegu podłogi. Zlany potem, pobałdł z wyczerpania tak bardzo, że

zauważyłem to nawet w blasku księżyca.

Ciężko dysząc, podniósł wzrok. Zobaczył mnie i na jego twarzy zagościł słaby uśmiech.

Wróciłeś? Wciąż siedząc na podłodze land rovera, nachylił się w moją stronę. Poczujęm, że

bierze mnie pod pachy. Ostatni etap. Hop! Wstajemy.

Jeździł na wózku od wielu lat, dlatego miał dobrze umięśnione ręce i górną część ciała. Szarpnąłem się

anemicznie. Henry głucho stęknął i objął mnie jeszcze mocniej. Gdy wyciągnął mnie zwózka, chwyciłem

się drzwiczek. Kurczowo zacisnąłem palce i drzwiczki zaczęły się zamykać.

Przestań, nie bądź głupi wysapał, próbując oderwać mi rękę. Zawzięcie trzymałem się dalej.

Gwałtownie szarpnął i wyrznąłem głową w kant drzwiczek. Poczulem silny wstrząs i położył mnie na metalowej podłodze samochodu.

Boże święty, naprawdę nie chciałem powiedzieć. Wyjął chustkę do nosa i ostrożnie wytarł mi

czoło. Gdy ją podniósł, zobaczyłem, że jest pokryta czymś czarnym i błyszczącym. Henry popatrzył na nią

oparł się o framugę i zamknął oczy. Chryste, co za jatka...

Straszliwie bolała mnie głowa, lecz po narkotykowej mgle był to ból czysty i niemal odświeżający.

Henry, nie... Nie rób tego.

Myślisz, że chcę? Chcę tylko, żeby było już po wszystkim. To dużo? Zachwiał się ze zmęczenia.

Boże, jestem wykończony. Miałem zawieźć cię nad jezioro, skończyć to tam, popłynąć na drugi brzeg i

zająć się Masonem. Ale chyba nie dam rady.

Sięgnął za siebie i z ciemnego wnętrza samochodu wyjął gumowy szlauch.

Wziąłem to z ogrodu, kiedy byłeś nieprzytomny. Masonowi już

się nie przyda zażartował

ponuro, lecz natychmiast spoważniał. Znowu oklapł jak przekłuty balon. Będzie paskudnie, kiedy cię tu

znajdą ale nie ma wyjścia. Przy odrobinie szczęścia wszyscy pomyślą, że popełniłeś samobójstwo. Trochę

to naciągane, ale musi wystarczyć.

Zatrzasnął drzwiczki i gwiazdy zgasły. Usłyszałem, jak przekręca klucz w zamku, jak obchodzi samochód.

Próbowałem usiąść, ale znowu zakręciło mi się w głowie. Wyciągnąłem rękę, żeby nie stracić równowagi i

dotknąłem czegoś szorstkiego i twardego. Koc. I coś pod kocem. Gdy dotarło do mnie, co to jest, doznałem

wstrząsu.

Jenny.

Leżała zwinięta w kłębek za fotelem pasażera, W prawie zupełnej ciemności widziałem tylko plamę jej

jasnych włosów. Były brudne i zmierzwione. Nie poruszała się.

Jenny! Jenny!

Zsunąłem koc, ale nie zareagowała. Miała lodowate ciało. Boże, nie, błagam cię, nie!

Otworzyły się drzwiczki od strony kierowcy. Henry stęknął i usiadł za kierownicą.

Henry, pomóż mi...

Mój głos zginął w głuchym warkocie silnika. Henry lekko uchylił okno i spojrzał na mnie przez ramię. W

ciemności nie widziałem jego twarzy.

Przykro mi, Davidzie. Naprawdę. Ale nie widzę innego wyjścia.

Na miłość boską...

Żegnaj.

Niezdarnie wysiadł i zatrzasnął drzwiczki. Chwilę później coś wsunęło się do środka przez szparę w oknie.

Gumowy szlauch. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego nie wyłączył silnika.

Henry! zawołałem przerażony. Mignął mi za przednią szybą; szedł w stronę domu.

Odwróciłem się, chcąc otworzyć tylne drzwiczki, chociaż wiedziałem, że są zamknięte na klucz. Nie

ustąpiły. Czułem już zapach spalin. Myśl, do cholery, myśl!
Poczołgałem się do bocznego okna, do

gumowego węża, i wyrosła przede mną niebotyczna barykada z foteli. Chwyciłem się ich, spróbowałem się

podciągnąć i znowu pochłonęła mnie czarna mgła. Jak kłoda runąłem na podłogę. Nie! Nie trać

przytomności! Nie teraz! Odwróciłem głowę, zobaczyłem nieruchomą Jenny i odpędziłem gęstniejącą ciemność.

Spróbowałem jeszcze raz. Między fotelami była szpara. Zdołałem wsunąć w nią rękę i trochę się

podciągnąć. Mgła czaiła się tuż pod powiekami i czułem, że w każdej chwili mogę ponownie zasłabnąć.

Znieruchomiałem z boleśnie bijącym sercem i odczekawszy, aż mgła zrzednie, zacisnąłem zęby i

podciągnąłem się wyżej. Podłoga land rovera zachwiała się i zakołysała. Jeszcze! Jeszcze trochę! Tkwiłem

między fotelami, z piersią na rozdzielającej je skrytce. Kluczyk był w stacyjce, ale równie dobrze mógł być

kilometr dalej. Wyciągnąłem rękę i pomacałem drzwiczki w poszukiwaniu przycisku opuszczania szyby,

dobrze wiedząc, że też jest za daleko. Błędym wzrokiem spojrzałem na obscenicznie rozwartą paszczę

gumowego węża. Nie, nie dosięgnę tam, nie zdążę. A nawet gdybym zdążył, to co z tego? Henry wróciłby i

zakładając, że nie straciłby przedtem cierpliwości, po prostu

wstrzyknąłby mi kolejną dawkę diamorfiny.

Ale nic innego nie przychodziło mi do głowy. Przytrzymałem się hamulca ręcznego, podciągnąłem między

fotelami i znowu zobaczyłem Henry'ego, Był przed samochodem i wyczerpany, ciężko opierając się o

wózek, pchał go w stronę domu.

Wciąż zaciskałem rękę na uchwycie hamulca. I nagle go zwolniłem.

Land rover lekko się poruszył. Ale chociaż podjazd był stromy, nie drgnął z miejsca. Rzuciłem się na

podłogę, chcąc go rozhuścić, ale nic z tego. Mój wzrok padł na dźwignię automatycznej skrzyni biegów.

Była w pozycji „Parkowanie”.

Ponownie wyciągnąłem rękę, wytrzymałem siły i pchnąłem ją do przodu.

Samochód potoczył się gładko naprzód. Wciąż tkwiłem między fotelami. Henry musiał coś usłyszeć, bo

spojrzał przez ramię i zaskoczony rozdziawił usta. Myślałem, że zdąży odejść na bok, chociaż land rover

coraz bardziej przyspieszał. Ale być może zużył już cały zapas sił i jego chore nogi nie zareagowały

należycie szybko. Spotkaliśmy się wzrokiem i wtedy samochód go uderzył.

Usłyszałem głuchy stukot i Henry zniknął. Poczulem przyprawiający o mdłości wstrząs, jeden, potem

drugi. Straciłem równowagę i ponieważ tuż przed maską wyrósł nagle dom, chwyciłem za hamulec. Za

późno. Land rover zatrzymał się z głośnym hukiem. Poleciałem do przodu i oszołomiony wylądowałem w

poprzek przedniego fotela. Silnik wciąż pracował. Przekręciłem kluczyk. Potem wyjąłem go ze stacyjki i

niezdarnie otworzyłem drzwiczki.

Do środka wpadło chłodne, świeże powietrze. Wdychając je łapczywie, stoczyłem się z fotela na ziemię.

Przez chwilę leżałem na kłującym żwirze, zbierając siły. Przetoczyłem się na czworaki, oparłem o maskę i

wstałem. Przytrzymując się tak jak przedtem Henry, ruszyłem pod górę.

Leżał kilka metrów dalej, ciemny kształt obok roztrzaskanego wózka. Ale nie miałem czasu o nim myśleć.

Udało mi się wetknąć klucz do zamka, otworzyć tylne drzwiczki i wejść do środka.

Jenny nawet się nie poruszyła. Kilkoma nieskoordynowanymi

ruchami zerwałem z niej koc. Proszę,

blagam, nie umieraj. Miała bladą i chłodną skórę, ale wciąż oddychała krótkim, świszczącym oddechem,

przesyconym złowieszczo słodkim zapachem acetonu. Dzięki ci, Boże. Chciałem ją objąć i przytulić, przelać

w nią choć trochę mojego ciepła, ale ona potrzebowała czegoś więcej, i to natychmiast.

Wypełzłem z samochodu i wstałem. Tym razem poszło mi łatwiej, bo adrenalina i rozpaczliwa nadzieja

osłabiły działanie diamorfiny. Frontowe drzwi domu były wciąż otwarte i biła z nich prostokątna smuga

światła. Chwiejnym krokiem wszedłem do holu. Najbliższy telefon był na kredensie. Sunąc plecami po

ścianie, ruszyłem w stronę stolika, o który przedtem opierał się Henry. Niewiele brakowało i runąłbym na

stojące obok krzesło, ale jakimś cudem zdołałem odzyskać równowagę. Wiedząc, że jeśli usiądę, to pewnie

już nie wstanę, podniosłem słuchawkę na stojąco. Za nic nie mogłem sobie przypomnieć numeru

Mackenziego, więc opuchniętymi, niezdarnymi palcami wybrałem numer pogotowia. Dyspozytorka

odpowiedziała niemal od razu, lecz w tym samym momencie

dostałem silnego zawrotu głowy. Zamknąłem

oczy i zacząłem mówić. Ze wszystkich sił próbowałem się skupić, wiedząc, że od tego zależy życie Jenny. Z

olbrzymim wysiłkiem w miarę wyraźnie wypowiedziałem słowa: „nagły wypadek” i „śpiączka

cukrzycowa”, ale potem przestałem panować nad językiem. Gdy dyspozytorka zaczęła mnie o coś pytać,

upuściłem słuchawkę na widełki. Zamierzałem pójść do lodówki po insulinę, ale kurczowo przytrzymując

się kredensu, próbując stać prosto i walcząc z gęstniejącą w oczach mgłą wiedziałem, że nie dam rady. A

nawet gdybym dał, w tym stanie nie odważyłbym się zrobić Jenny zastrzyku.

Zataczając się jak pijany, wyszedłem na dwór i potwornie zmęczony ruszyłem w stronę samochodu. Jenny

leżała na boku, tak jak ją zostawiłem, i wciąż była przerażająco blada i nieruchoma. Nie musiałem

wchodzić do środka, by usłyszeć, że pogorszył jej się oddech. Był chrapliwy, nierówny i o wiele, o wiele za

szybki.

David...

Cichy szept Henry'ego. Spojrzałem w tamtą stronę. Leżał na ziemi tak samo jak przedtem, ale teraz miał

odwróconą głowę. Jego ubranie było czarne i błyszczące od krwi. Jasny żwir też był poplamiony krwią. W

półmroku widziałem, że ma otwarte oczy.

Zawsze mówiłem, że jesteś... czarnym koniem. Odwróciłem się do Jenny.

Proszę...

Nie chciałem na niego patrzeć. Nienawidziłem go nie tylko za to, co zrobił i kim się okazał, ale i za to, kim

nie był. Mimo to się zaważałem. Nawet teraz, patrząc wstecz, nie wiem, co bym wtedy zrobił.

Lecz w tym samym momencie Jenny przestała oddychać.

Oddychała i nagle przestała, jakby ktoś wyłączył dźwięk. Przez parę sekund patrzyłem na nią czekając, aż

znowu zacznie. Ale nie zaczęła. Na czworakach wpełzłem do samochodu.

Jenny? Jenny!

Przewróciłem ją na dragi bok i bezwładnie opadła jej głowa. Miała częściowo otwarte oczy, dwa białe

półksiężycy obramowane boleśnie pięknymi rzęsami.

Gorączkowo poszukałem pulsu. Ale nie znalazłem.

Nie!

To nie mogło dziać się naprawdę, nie teraz. Omal nie sparaliżowała mnie panika. Myśl! Myśl! Adrenalina

otrzeźwiła mnie i dodała mi sił: przewróciłem Jenny na wznak, chwyciłem koc, zwinąłem go w wałek i

podłożyłem jej pod głowę. Na studiach uczono mnie sztucznego oddychania, ale nigdy dotąd nie musiałem

z tych nauk korzystać. Szybciej! Przeklinając moją niezdarność, odchyliłem jej do tyłu głowę, zacisnąłem

nos i wetknąłem palce do ust, żeby wysunąć język. Świat zawirował, gdy przytknąwszy wargi do jej warg i

wpompowawszy do jej płuc haust powietrza, jeden i drugi, przyłożyłem ręce do jej mostka i zacząłem go

rytmicznie uciskać.

Oddychaj. Oddychaj! błagałem ją w duchu. Kolejny haust powietrza, kolejny ucisk mostka. Powtórzyłem

to jeszcze raz, i jeszcze raz. Leżała bezwładnie i nie reagowała. Rozpłakałem się i prawie nic nie widząc

przez łzy, uparcie próbowałem ożywić jej serce. Lecz jej ciało wciąż było martwe i zwiotczałe.

Na nic. Wszystko na nic!

Szybko odpędziłem tę myśl, ponownie przytknąłem usta do jej ust, a potem piętnaście razy ucisnąłem

mostek. Usta, wydech, ucisk. Usta, wydech, ucisk.

Umarła.

Nie! Odchodziłem od zmysłów, nie chcąc przyjąć tego do wiadomości. Oślepiiony przez łzy nie ustawałem

w wysiłkach. Cały świat ograniczył się do serii bezmyślnych powtórek. Usta, wydech, ucisk. Usta, wydech,

ucisk.

Straciłem poczucie czasu. Nie słyszałem syren, nie widziałem światła reflektorów, które omyło wnętrze

land rovera. Nie istniało nic, oprócz zimnego, nieruchomego ciała Jenny, oprócz rozpaczliwego rytmu, w

jakim uciskałem jej mostek. Nie chciałem się poddać nawet wtedy, gdy poczułem dotyk czyichś rąk.

Nie! Zostawcie mnie! Próbowałem się wyrwać. Ale odciągnęli mnie od niej i wywlekli z

samochoodu. Migające światła, pojazdy, ludzie przed domem panował chaos. Gdy sanitariusze prowadzili

mnie do karetki, opuściły mnie reszki sił. Osunąłem się na

ziemię. I ujrzałem nad sobą twarz Mackenziego.

Widziałem, że porusza ustami, że coś do mnie mówi albo o coś pyta, ale nie zwracałem na niego uwagi.

Wokół land rovera zaroilo się od ludzi.

I nagle w zamęcie tym usłyszałem słowa, na dźwięk których zamarło mi serce.

Nic z tego. Za późno.

Epilog

Trawa skrzypiała pod nogami jak rozbite szkło. Poranny mróz wysał barwy z krajobrazu, przemieniając go w dzikie, monochromatyczne pustkowię. Po białym niebie szybowała samotna wrona z nieruchomymi skrzydłami. Machnęła nimi parę razy i zniknęła między powykręcany konarami drzewa, stając się kolejną czarną plamą w plątaninie nagich gałęzi.

Włożyłem ręce głębiej do kieszeni i czując, że mróz przenika przez podeszwy butów, mocno zatupałem nogami. Hen, daleko, na wąskiej jak tasiemka drodze, widziałem oddalający się samochód. Patrzyłem za nim, zazdroszcząc kierowcy podróży ku domom, ciepłu i życiu.

Potarłem bladą szramę na czole. Na zimnie zawsze bolała. A boląc, przypominała tamten wieczór, gdy

uderzyłem głową w drzwiczki land rovera. Od tamtej pory minęło kilka miesięcy i rana zagoiła się,

pozostawiając tylko cienką, białą bliznę. Znacznie dotkliwiej odczuwałem obecność ran, których nie było

widzieć. Jednakże wiedziałem, że nawet one zagoją się w końcu i zbliznią.

Z czasem.

Nawet teraz trudno mi było rozpamiętywać tamte wydarzenia obiektywnie. Noc, burza, piwnica, jazda z

Jenny przez deszcz, wszystko, co było potem wspomnienia powracały coraz rzadziej. Ale kiedy już

powracały, wciąż pozbawiały mnie tchu, wciąż mną wstrząsały.

Mason żył, gdy znalazła go policja. Przeżył jeszcze trzy dni, odzyskując przytomność tylko po to, żeby

uśmiechnąć się do czuwającej przy jego łóżku policjantki. Zważywszy na to, że brytyjskie prawo jest takie,

jakie jest, przez pewien czas bałem się, że postawią mnie przed sądem. Jednakże okoliczności zdarzenia

akt oczywistej samoobrony oraz ponure dowody rzeczowe znalezione w piwnicy wystarczyły, żeby

odrzucić argumenty z szarej strefy na pograniczu prawa.

Gdyby i tego było mało, ostatecznych dowodów dostarczył dziennik, który policja znalazła w zamkniętej

na klucz szufladzie Henry'ego. Zawierał szczegółowy raport z badań nad wnukiem ogrodnika, nieoficjalne

studium przypadku, pośmiertne przyznanie się do winy. Jego fascynacja Masonem była aż nadto

oczywista, poczynając od młodzieńczych aktów sadyzmu to właśnie on jako mały chłopiec dręczył i

zabijał koty, o czym opowiadał mi kiedyś Henry na ich zwyrodniałej spółce kończąc.

Chociaż nie chciałem i ostatecznie nie przeczytałem tego dziennika, rozmawiałem z policyjnym

psychologiem, który musiał to zrobić z obowiązku. Po lektorze nie ukrywał podniecenia, gdyż mógł dzięki

temu zgłębić wynaturzoną psychikę niejednego, a dwóch ludzi naraz. Twierdził, że to unikalny przypadek.

Że na takich przypadkach robi się karierę.

Jako sfrustrowany psycholog, Henry na pewno doceniłby tę ironię.

Wciąż nie wiedziałem, co tak naprawdę do niego czuję. Na pewno odczuwałem gniew, ale i smutek. Było

mi go żal nie dlatego, że umarł, tylko dlatego, że zmarnował życie sobie i tylu innym. Wciąż nie umiałem

postawić znaku równości między człowiekiem, którego uważałem za przyjaciela, i zgorzkniałą kreaturą,

jaką się w końcu okazał. Wciąż nie wiedziałem, który z nich był prawdziwym Henrym.

Nie ulegało wątpliwości, że próbował mnie zabić, jednak zastanawiałem się czasem, czy prawda nie jest

bardziej złożona. Sekcja zwłok ujawniła, że nie umarł od ran, chociaż na pewno okazałyby się śmiertelne.

Zabiła go potężna dawka diamorfiny. Strzykawka, którą miał w kieszeni, była pusta, igła wbita w ciało. Być

może doszło do tego przypadkiem, gdy przejechał go land rover. Ale niewykluczone też, że w agonii zrobił

sobie zastrzyk sam.

Ale to nie wyjaśniało, dlaczego nie zrobił drugiego zastrzyku mnie. Gdyby wstrzyknął mi drugą dawkę

narkotyku, o wiele łatwiej mógłby upozorować moje samobójstwo. Łatwiej i na pewno skuteczniej.

Dopiero podczas śledztwa dowiedziałem się czegoś, co podważyło moje przekonanie co do jego intencji.

Kiedy policjanci z ekipy dochodzeniowej zbadali land Rovera, okazało się, że jeden koniec gumowego

węża wciąż tkwi w oknie. Natomiast drugi, zamiast być podłączony do rury wydechowej, leżał po prostu

na ziemi.

Mógł się zsunąć, kiedy samochód drgnął z miejsca i ruszył przed siebie. Mógł też zahaczyć o Henry'ego,

gdy przetoczyły się po nim koła. Ale mnie przez cały czas dręczyło coś innego, to, czy Henry w ogóle go

podłączył.

Nie wierzyłem, że wszystko to sobie zaplanował, chciałem za to wierzyć, że miał wątpliwości. Przecież

gdyby rzeczywiście chciał mnie zabić, mógł to zrobić już przedtem, i to nie raz. I ciągle powracałem myślą

do tych ostatnich chwil na podejździe. Nie uskoczył. Może z wyczerpania. Miał osłabione wysiłkiem nogi i

mógł nie zdążyć. A może widząc nadjeżdżający samochód, po prostu podjął decyzję. Nie miał odwagi

odebrać sobie życia, sam to kiedyś przyznał. Więc może w ostatniej chwili wybrał

najłatwiejszy sposób i

pozwoił, żebym ja zrobił to za niego.

Niewykluczone też, że za bardzo się w to wgłębiałem, niezasłużenie obdarzając go dobrodziejstwem

wątpliwości. W przeciwieństwie do niego, nigdy nie twierdziłem, że jestem dobrym psychologiem.

Psychologia jest nauką o wiele mroczniejszą od tej, którą uprawiam, dlatego chociaż bardzo chciałbym

wierzyć w to, że mimo wszystko tliła się w nim iskierka odkupienia, nigdy nie będę wiedział tego na

pewno.

Podobnie jak wielu innych rzeczy.

Po wyjściu ze szpitala odwiedziło mnie sporo gości. Jedni przychodzili z obowiązku, inni z ciekawości,

jeszcze inni kierowali się szczerą troską. Jako jeden z pierwszych przyszedł Ben Anders, z butelką

przedniej whisky za pazuchą.

Wiem, że tradycja każe przynosić winogrona powiedział ale wódzia posłuży ci o wiele bardziej.

Nalał nam po szklance i unosząc moją w odpowiedzi na jego milczący toast, omal nie spytałem go, czy

starsza kobieta, z którą miał kiedyś romans, nie była przypadkiem żoną lekarza. Ale nie spytałem. To nie

była moja sprawa. I w sumie nie chciałem tego wiedzieć.

Zaskoczył mnie natomiast wielebny Scarsdale. Była to niezręczna wizyta. Wciąż dzieliły nas różnice

poglądów i tak naprawdę nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Ale wzruszyło mnie samo to, że

przyszedł, że zrobił ten wysiłek. Tuż przed wyjściem spojrzał na mnie z poważną

miną. Myślałem, że coś

powie, że wyrazi uczucia, które przewyższą ten zapiekły antagonizm. Ale on nie powiedział nic. Skinął

tylko głową, życzył mi zdrowia i wyszedł.

Regularnie odwiedzała mnie Janice. Ponieważ Henry'ego już nie było, całą swoją łzawą troskę przelała

teraz na mnie. Gdybym jadł wszystko to, co mi przynosiła, w ciągu pierwszych dwóch tygodni przytyłbym

ze trzy kilo, ale nie miałem apetytu. Dziękowałem jej, zaczynałem skubać zdrowe, angielskie jedzenie, a

gdy wychodziła, wyrzucałem wszystko do kosza.

Minęło trochę czasu, zanim odważyłem się spytać ją o romanse Diany Maitland. Zawsze potępiała zmarłą

żonę Henry'ego nigdy tego nie ukrywała i okazało się, że wciąż ją potępia. Jej wyskoki były tajemnicą

poliszynela, ale Janice wpadła w gniew, gdy spytałem, czy rzeczywiście wystawiła Henry'ego na

pośmiewisko.

Wszyscy o tym wiedzieli, ale przymykali na to oko fuknęła. Ze względu na niego, nie na nią.

Jego nigdy by nie wyśmiali, za dużym cieszył się szacunkiem.

Gdyby nie było to takie tragiczne, mogło być śmieszne.

Nie wróciłem do przychodni. Nawet wtedy, gdy z Bank House wyszła już policja, stwierdziłem, że powrót

byłby zbyt bolesny. Znalazłem kogoś na zastępstwo do chwili, aż miejscowe władze znajdą lekarza na

stałe albo aż ludzie przepiszą się do lekarzy w okolicznych miasteczkach. Tak czy inaczej, wiedziałem, że

moje dni w Manham są policzone. Poza tym zauważyłem, że pacjenci traktują mnie

ze swoistą rezerwą. W

opinii wielu wciąż byłem tym „nowym”, w dodatku podejrzanym, przynajmniej przez pewien czas. Ale

nawet kiedy było już po wszystkim, na moje uczestnictwo w tamtych wydarzeniach wciąż patrzono

nieufnie. Zdałem sobie sprawę, że Henry miał rację. Że tu nie przynależę.

I że nigdy przynależać nie będę.

Pewnego ranka obudziłem się ze świadomością[^] że pora ruszać dalej. Wystawiłem dom na sprzedaż i

zacząłem porządkować sprawy. Wieczorem na dzień przed przyjazdem tych od przeprowadzek ktoś

zapukał do moich drzwi. Otworzyłem i ze zdziwieniem ujrzałem w progu Mackenziego.

Mogę wejść?

Cofnąłem się, zaprowadziłem go do kuchni, poszukałem kubków. Gdy zagotowała się woda, spytał, co u

mnie.

Wszystko dobrze, dziękuję.

A ten narkotyk? Żadnych skutków ubocznych?

Wygląda na to, że nie.

Dobrze pan sypia? Uśmiechnąłem się.

Czasami.

Nalałem herbaty, podałem mu kubek. Podmuchał do środka, unikając mojego wzroku.

Wiem, że nie chciał się pan w to mieszać. Wzruszył ramionami; widać było, że czuje się

nieswojo. Mam wyrzuty sumienia, że pana w to wciągnąłem.

Niepotrzebnie. I tak w tym siedziałem, tylko nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Ale biorąc pod uwagę, jak się to skończyło...

Nie z pana winy.

Kiwnął głową, nie do końca przekonany, że nie mógł zrobić nic więcej. Ale nie tylko on tak się wtedy czuł.

Co pan teraz zamierza? spytał Wzruszyłem ramionami.

Poszukam sobie mieszkania w Londynie. Poza tym, nie wiem.

Wróci pan do sądówki? Omal się nie roześmiałem. Omal.

' Wątpię. Podrapał się w szyję.

W sumie to się panu nie dziwię. Posłał mi dziwne spojrzenie. Wiem, że nie chciałby pan

usłyszeć tego ode mnie, ale niech pan wstrzyma się z decyzją. Może pan przydać się innym.

Popatrzyłem w okno.

Będą musieli poszukać kogoś innego.

Niech pan to jeszcze przemyśli – powiedział, wstając. Uścisnęliśmy sobie ręce. Już wychodził,

gdy ruchem głowy wskazałem pieprzyk, który ciągle drapał.

Na pana miejscu poszedłbym jednak do specjalisty. Nazajutrz wyjechałem z Manham na dobre.

Ale przedtem się z kimś pożegnałem. Tej nocy miałem sen i wiedziałem, że śni mi się ostatni raz. Dom był

jak zwykle ciepły i spokojny. Ale jakże inny.

Kara i Alice odeszły.

Wędrowałem po niezamieszkanym pokojach, wiedząc, że już tu nie wrócę. I że tak powinno być. Linda

Yates mówiła, że snów nie ma się bez powodu, chociaż słowo „sen” wciąż nie

oddaje tego, czego wtedy

doświadczałem. Być może jakiś powód był, lecz ja go nie znałem. Obudziłem się z policzkami mokrymi od

łez, ale czułem, że nie ma w tym nic złego.

Absolutnie nic.

Dzwonek telefonu przywrócił mnie teraźniejszości. W obłoku buchającej z ust pary sięgnąłem do kieszeni.

I uśmiechnąłem się, widząc, kto dzwoni.

Cześć rzuciłem. Wszystko dobrze?

Świetnie. Przeszkadzam?

Na dźwięk jej głosu jak zwykle zalała mnie fala miłego ciepła.

Ależ skąd.

- Dojechałeś. Dostałam twoją wiadomość. Jak minęła podróż?

Dobrze. Było ciepło. Gorzej, że potem musiałem wysiąść z samochodu. Roześmiała się.

Długo cię nie będzie?

Jeszcze nie wiem. Ale wrócę jak najszybciej.

To dobrze. Pusto tu bez ciebie.

Nawet teraz bywały takie chwile, kiedy nie wierzyłem, że dano nam drugą szansę. Ale najczęściej

cieszyłem się po prostu, że nam ją dano.

Jenny omal nie umarła. W sumie to umarła, chociaż przerażające świadectwo zgonu, które sanitariusze

wystawili tamtej nocy na podjeździe, dotyczyło Henry'ego, nie jej. Ale wystarczyłoby jeszcze kilka minut i

byłoby za późno i dla niej. Czystym przypadkiem w zamieszaniu po przerwanej nalocie na młyn nikt nie

pomyślał o odprawieniu karetki i sanitariuszy. Kiedy zadzwoniłem na pogotowie, właśnie wracali do

miasta i dyspozytorka natychmiast ich zawróciła. Gdyby nie to, iskierka życia, którą nieświadomie

tchnąłem w Jenny, zgasłaby przed ich przyjazdem. Jej serce przestało bić, gdy tylko dojechali do szpitala, a

godzinę później stanęło ponownie. Ale za każdym razem ruszało. Po trzech dniach odzyskała

przytomność. Po tygodniu wypisano ją z oddziału intensywnej terapii.

Uszkodzenie mózgu, uszkodzenie organów wewnętrznych, ślepotą obawy te nigdy się na szczęście nie

ziściły, chociaż lekarze uważali, że było to bardzo prawdopodobne. Ale chociaż jej ciało zaczynało

powracać do zdrowia, przez jakiś czas bałem się, że przeżyty wstrząs pozostawi po sobie urazy głębsze,

psychiczne. Lecz z czasem przekonałem się, że niepotrzebnie. Jenny uciekła do Manham ze strachu. Teraz

strach minął. Stawiła czoło koszmarowi i przetrwała. Ja na swój sposób też.

Tak czy inaczej, przywrócono nas do życia, i ją, i mnie.

Wrona sfrunęła z drzewa. Niechętnie schowałem telefon do kieszeni. W krystalicznej ciszy trzepot jej

skrzydeł brzmiał nienaturalnie głośno. Patrzyłem, jak leci nad zamarzniętym szkockim wrzosowiskiem.

Ale chociaż było dzikie i posępne, przez twardą jak kamień ziemię przebijały się już pierwsze zielone

pędy, zwiastuny wiosny.

Spojrzałem na młodą policjantkę, która szła ku mnie po chrzęszczącym szronie. Była w ciemnej kurtce i

miała bladą zaszokowaną twarz.

Doktor Hunter? Przepraszam, że musiał pan czekać. To tam. Podeszliśmy do grupy

**policjantów, przedstawiliśmy się, uścisnęliśmy sobie ręce. Odsunęli się na bok i
pozwolili mi zobaczyć to,**

co nas tu wezwało.

**Zwłoki leżały w płytkiej niecce. Odnotowując ich ułożenie, teksturę skóry i
roziewane przez wiatr**

rzadkie włosy, poczułem, że ogarnia mnie znajomy chłód.

Podszedłem bliżej i zabrałem się do pracy.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-26

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/